

**PAWEŁ MAJKA
RADOSŁAW RUSAK**



CZERWONE ŻNIWA

TOM I

**UDERZENIE
WYPRZEDZAJĄCE**



**PAWEŁ MAJKA
RADOSŁAW RUSAK**

CZERWONE ŻNIWA

TOM I

**UDERZENIE
WYPRZEDZAJĄCE**



ZNAK HORYZONT

Kraków 2019

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

[Karta redakcyjna](#)



Prolog

12 kwietnia 1961 roku

Na miejsce startu dotarli nocą. Kosmodrom jaśniał na wielkiej, ciemnej równinie, stanowił jedyny świetlisty punkt w oceanie nocy. Pobliskie Töretam spało, nawet jedna świeczka nie płonęła w żadnym oknie. Mieszkańcy bardzo dbali o to, by nikt nie pomyślał, że interesują się wzmożonym ruchem na drodze, jeszcze częstszą niż zwykle obecnością wojska czy nadzwyczaj licznymi przelotami samolotów. Lata przeżyte w Kraju Rad nauczyły ich, że nadmierna ciekawość nie należy do cnót człowieka radzieckiego, a zbędna informacja to nie skarb, lecz wyrok śmierci w kieszeni. Gdy więc sześć lat wcześniej rozpoczęto budowę gigantycznego obiektu, większego niż jakiegokolwiek znane wcześniej w ZSRR lotnisko, starannie nie zwracali na nie uwagi.

– Bajkonur, Bajkonur – nucił Grigorij Nielubow, uśmiechając się kpiąco. Jak zawsze zadbany, może nawet nieco przesadnie, z modną fryzurą zaczesaną do góry. Siedzącemu obok niego w autobusie Gagarinowi zdawało się, że uśmiech tego mężczyzny nigdy nie gasł, zawsze czaił się w kącikach ust. Nielubow chętnie śmiał się i żartował, choć bywał też gwałtowny i porywczy. – Wszystko tu nie takie, nie uważacie, towarzysze? Biedne Töretam nazwali Bajkonurem, w prawdziwym Bajkonurze ponoć zbudowali kosmodrom z dykty... Nasz statek raz nazywa się tak, raz siak... Sam już nie wiem, czy to sputnik, czy wostok...

– Siedziałbyś choć raz cicho, Grisza – prychnął z tylnego fotela Titow. – Pewnie najbardziej ci nie w smak, że nie ty polecisz.

– Nie polecę teraz, to załapię się na następny lot. Nam kosmos pisany, towarzysze. Ale pierwszy Ziemię z góry zobaczy nasz bohater. Coś taki milczący,

Jurij?

– Myślę o tym, jak tam będzie.

– Będzie, co ma być. Nie ma co nad tym dumać. Wszystko przewidziane i ustalone. Zresztą sterować będą tobą nasi, tu z dołu. Równie dobrze możesz sobie uciąć drzemkę i zostać pierwszym człowiekiem, który spał w kosmosie. Ciekawe, co by ci się śniło?

– Przymknij się, Grisza – powtórzył Titow. – Daj człowiekowi przygotować się w spokoju. To chyba ostatnie takie nasze chwile w życiu. Spokojne.

– A potem, wiadomo: sława. – Nielubow pokiwał głową. – Rauty, dziewczynki...

Autobus zahamował przed halami odpraw. I jak wywróżył Titow: zaczęło się. Spadli na nich medycy, inżynierowie. Kosmonauci jeszcze raz musieli powtarzać wszystko, co już wcześniej recytowali po sto razy. Szef projektu Korolow, jak zwykle skupiony, dreptał za nimi krok w krok, pomrukując coś pod nosem. Co chwila dopadał go ktoś, pytał o szczegóły, które także powinny być od dawna jasne dla każdego pracownika. Twórca radzieckiego projektu kosmicznego wzdychał, przymykał na chwilę oczy, po czym odpowiadał cierpliwie, powoli. Gagarinowi przyszło do głowy, że to lata niełaski nauczyły genialnego konstruktora pokory. Kogo raz skazano na łagry, ten na zawsze wyzbywa się wyrywności.

– A ten Siewierin znowu się tu kręci – szepnął Nielubow, wskazując kiwnięciem głowy mężczyznę w mundurze pułkownika lotnictwa, który pojawił się na Bajkonurze niespełna miesiąc wcześniej. Niewysoki, wręcz tęgawy, zdaniem doświadczonych pilotów mógł być każdym, ale nie lotnikiem. Zza okrągłych drucianych okularów spoglądały na nich badawczo oczy krótkowidza. Nielubow miał ochotę strzelić gada w pysk za to spojrzenie, bo mu się zdawało, że Siewierin traktuje ich nie jak ludzi, ale jak okazy badawcze.

Uwagę przyciągała odznaka lśniąca na pułkownikowej piersi. Niby błyszcząca na niej sierp i młot, ale jakieś dziwne, bo otoczone kręgiem ze srebra. I jeszcze z jakąś plamą pośrodku. Jakby niedźwiedziem, ale niewyraźnym. Kosmonautów fascynował nie tylko tajemniczy pułkownik, ale i towarzystwo, które ze sobą sprowadził. Jego

asystenci czuli się w lotniczych mundurach wyraźnie niekomfortowo, byli w dodatku w większości starzy i jacyś... nietypowi. Trzech z nich szwargotało między sobą po mongolsku, czwarty, też skośnooki, obracał w dłoniach coś, co wyglądało na różaniec. Z najnormalniejszym z nich, łysym, przygarbionym naukowcem, Nielubowowi udało się raz przez chwilę porozmawiać, gdy Siewierin był akurat zajęty czymś innym. I okazało się, że łysol to żaden inżynier, ale wyciągnięty z Syberii profesorek, który jeszcze za cara badał na zsyłce obyczaje Jakutów. Coś próbował Nielubowowi tłumaczyć, że niby ludzie zawsze się łączą w plemiona – czy siedzą w lesie, czy w nowoczesnej centrali kosmodromu, ale pilot nie dał wiary temu bełkotowi. To wszystko musiał być kolejny rodzaj testu. I być może go oblał, i nie polecą teraz w kosmos ani nawet nie zostanie pierwszym zmiennikiem, właśnie dlatego, że dał się nabrać i zagadał do łysola.

Ech, partia słusznie obawiała się imperialistycznych szpiegów, ale czasem jej działania kontrwywiadowcze potrafiły przyprawić o ból głowy. Łatwiej zrozumieć fizykę raketową niż gry łowców szpiegów. Człowiek nigdy nie wie, co jest słusznym działaniem, co przypadkowym spotkaniem, a co prowokacją.

Kiedy Gagarin z Titowem poszli przebrać się w kombinezony, osamotniony Nielubow przysiadł na fotelu możliwie najdalszym od wesołej gromadki Siewierina. Wręcz odwrócił się od nich plecami. Sięgnął po leżący na stole notatnik i spróbował się skupić na wyrysowanych w nim koślawie wzorach. Po charakterze pisma poznał, że to praca jednego z najznamienitszych konstruktorów – Iwanowskiego. Uśmiechnął się krzywo. Oleg nie powinien tak beztrosko porzucać swojego notatnika byle gdzie. Niby to kosmodrom, wszyscy tu zostali sprawdzeni tysiące razy, ale wiadomo – wróg czuwa. A jeszcze bardziej czuwają służby, które za taką niedbałość mogłyby narobić Iwanowskiemu przykrości. Gdyby udało im się znaleźć kogoś na jego miejsce. Jako szef mechaników Iwanowski był wręcz niezastąpiony.

– Czemu siedzicie tak osobno, towarzyszu? – odezwał się ktoś za jego plecami.

Nielubow zerwał się na równe nogi, odwrócił. No tak, ta podła świnia Siewierin. Mruży te swoje węzowe oczka, a we łbie kręcą mu się już pewnie oskarżenia i donosiki. Jaki tam z niego lotnik! Zwyczajny żandarm i tyle! A mało kogo Nielubow

darzył równą pogardą jak żandarmów. Niby to żołnierze, ale zawsze siedzą na tyłach i tylko kombinują, jak by tu zaszkodzić prawdziwym frontowcom.

– To ostatecznie spokojne chwile przed odlotem, towarzyszu pułkowniku – odpowiedział, jak miał nadzieję, spokojnie. I nawet lekko się uśmiechnął. – Cisza przed burzą. Pomyślałem, że przygotuję się w ciszy. Na razie żadnej roboty tu dla mnie nie ma.

– Człowiek radziecki, zwłaszcza żołnierz, zawsze jest w pracy – odparł surowo Siewierin. – No ale nie przyszedłem was strofować, towarzyszu. Zaciekawiliście mnie. Rozmawialiście z profesorem Grodzickim, prawda? Zainteresowała was nasza praca.

– Och, to tak dla zabicia czasu – zbagatelizował Nielubow. Czego chce od niego to bydłę? – Ja jestem człowiek prosty, serdeczny. Stał profesor samotny, to zagadałem.

– To się chwali! – huknął niespodziewanie Siewierin i wykrzywił gębę w czymś, co w jego mniemaniu miało być uśmiechem. – Zwróciliście moją uwagę, towarzyszu. Kto wie, może jeszcze popracujemy razem? A teraz miałbym do was małą prośbę...

Nielubow nie miał wyjścia. Zapewnił, że z ochotą spełni każde życzenie pułkownika. A gdy słuchał następnych słów Siewierina, zdębiał. Czyżby ten gad robił sobie z niego żarty? Pułkownik powtórzył jednak swoją prośbę dwa razy. A potem udał, że dopiero teraz dojrzał notatnik Iwanowskiego, który pilot cały czas trzymał w ręce.

– Oj, to chyba naszego szefa mechaników! – zawołał. – Lepiej mu go zaniosę!

Prawie wyrwał notatnik z ręki Nielubowa. Pognał z nim śmiesznym truchtem ku Iwanowskiemu, coś tam do niego gadał po cichu, a oczy mechanika robiły się większe i większe. Nielubow dałby wiele, żeby usłyszeć, co mówili między sobą ci dwaj. Iwanowski był wyraźnie niezadowolony, protestował. Pułkownik zmarszczył groźnie brwi, podniósł na chwilę głos, dzięki czemu dało się słyszeć, że to rozkazy prosto z Kremla. Iwanowski zwiesił głowę, odszedł.

A ledwie parę minut później okazało się, że jest problem, awaria. Akurat Gagarin

z Titowem wychodzili, już gotowi do startu, w kombinezonach i w hełmach na głowach. Nielubow ruszył ku nim, jak nakazywały protokoły. Gdyby Gagarin zasnął, zastąpiłby go gotowy do lotu Titow, Nielubow był tylko zbędnym ozdobnikiem.

– Co się dzieje? – zapytał Gagarin, widząc zamieszanie.

– Przy sprawdzaniu hermetyczności czujnik na włączniku nie wydał żądanego sygnału. – Korolow pojawił się przy nich, jakby wyrósł spod ziemi. – Oleg ze swoimi już tam pędzą. Oby to nie było nic poważnego, lot trzeba by odwołać, a każda godzina cenna.

Prawda, przecież Amerykanie spieszyli się z własnym programem, by wyprzedzić radziecki. Tu gra szła o honor już nawet nie Korolowa i kraju, ale całego bloku komunistycznego. Tamci może wcześniej zbudowali bombę atomową, ale to obywatel Związku Radzieckiego musi być pierwszym, który wyruszy w kosmos.

– Patrzcie, jakie zuchy! – cieszył się Korolow. – Trzydzieści nakrętek odkręcili i przykręcili z powrotem w dwie minuty!

– I jeszcze domalowali jakąś linię łączącą je wszystkie... – zdziwił się Nielubow. – Po co to?

Powtórzone testy wykazały, że wszystko gra, włącznik wyregulowano, jego szczelność nie budziła wątpliwości. Kosmonauci mogli spokojnie ruszyć ku trapowi wiodącemu do kapsuły, w której Gagarin miał odbyć swoją podróż. Statek usadowiony na długiej na trzydzieści trzy metry rakiecie, pierwotnie będącej jednym z pierwszych pocisków balistycznych armii radzieckiej, miał zapewnić bezpieczeństwo na czas całej podróży. Gdy stanęli przed włącznikiem, Nielubow uznał, że spełni „prośbę” Siewierina. Położył Gagarinowi rękę na ramieniu.

– Ejże! – zawołał. – Tak polecisz do gwiazd?

– Co ci nie pasuje? – warknął Titow. – Znowu jakieś głupoty?

– Głupoty? – udał oburzenie Nielubow. – Jak możecie, towarzyszu?! Spójrzcie na Jurija. Ma lecieć w gołym hełmie? Ludzie muszą od pierwszego spojrzenia wiedzieć, że on nasz. Trzeba tu napisać: „ZSRR”!

– Prawda – stropił się Gagarin. – Przydałoby się. Ale nie ma już czasu wracać.

A ołówkiem nic nie będzie widać.

– Mam sposób! – zawołał wesoło Nielubow, choć w duchu aż ścierpł. Prędko wyjął z kieszeni munduru scyzoryk, nakłuł palec i krwią napisał na hełmie Gagarina „СССР”. – No i teraz jest, czerwony jak sztandar! Leć, bracie!

Jak tylko Gagarin zapakował się do statku, Nielubow z Titowem wrócili między inżynierów. Siewierin skinął pilotom głową. Titow odwrócił wzrok. Nie zdążyli nawet zająć wyznaczonych dla nich miejsc, gdy zaczęło się odliczanie. Kiedy rakieta stanęła w ogniu, Nielubow zacisnął pięści. „Żeby się nic nie stało!” – modlił się w duchu. „Żeby poszła! Żeby nic złego się nie stało!”

Zerknął na Titowa i spostrzegł, że tamten porusza niemo ustami. Jakby też się modlił.

Wostok unosił się na kolumnie ognia zaskakująco powoli, jakby niechętnie. Przewyciężył jednak niemoc i ruszył ku niebu. Inżynierowie odliczali na głos, zegary wskazywały cenne sekundy, a Korolow prawie krzyczał, że wszystko się zgadza, wszystko o czasie. Do sto pięćdziesiątej szóstej sekundy, kiedy silnik powinien był zgasnąć, a wciąż pracował. Słup ognia niósł wostoka odrobinę za długo.

– Poleciał za wysoko! – jęknął Iwanowski.

– Jest na orbicie, wszystko gra! Ściągniemy go, damy radę! – Korolow otarł nerwowo pot z czoła. – Sukces, towarzysze!

Pierwsze słowa, jakie zdołał wydobyć z siebie Gagarin, urwały się, radio rzeziło, krztusiło się. Ale okrzyk: „Jak tu pięknie!” wybrzmiał z całą mocą. Nagle ludzie poderwali się z miejsc, klaskali, klepali się po plecach, padali sobie w ramiona. Nielubow także się zorientował, że ściska się z Titowem. Obaj mieli łzy w oczach.

Dopiero gdy pierwszy entuzjazm opadł, znowu usłyszeli głos pierwszego człowieka w kosmosie.

– Czy on... śpiewa? – zdumiał się Iwanowski.

Rzeczywiście, Gagarin śpiewał. Oblatywał Ziemię dookoła, kierując się, zgodnie z planem, nad Pacyfik. I nad całą Ziemią miał zabrzmieć jego śpiew.

Nie wiedzieć czemu, tknięty nagłym impulsem, Nielubow obejrzał się na

Siewierina. Pułkownik uśmiechał się szeroko i chyba po raz pierwszy szczerze. Zorientował się, że pilot patrzy na niego. Mrugnął do niego. A potem sam zaczął podśpiewywać pod nosem.

I tak na niebie i na Ziemi zabrzmiały słowa tej samej pieśni:

*Родина слышит, Родина знает,
Что её сын на дороге встречает,
Как ты сквозь тучи путь пробиваешь.
Сколько бы чёрная буря ни злилась,
Что б ни случилось,
Будь непреклонным, товарищ,
Будь непреклонным, товарищ!**

24 października 1961 roku, godzina 10.33, Waszyngton DC, Biały Dom

Robert McNamara, sekretarz obrony USA, polewał twarz zimną wodą. Długo wpatrywał się w swoje zmęczone i nienaturalnie szare odbicie w lustrze. Po raz kolejny zastanawiał się, czy jest odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. Wątpliwość nie wynikała z jego skromności. Dysponując wyjątkowym darem analitycznym, doskonale rozumiał otaczający go świat. Miał świadomość, że decyzje, jakie wkrótce zapadną z jego udziałem, zmienią historię. Bo właśnie teraz wraz z Kennedym i jego ekipą stali w obliczu nuklearnej zagłady.

Sowieci wysoko zawiesili poprzeczkę. Od początku kadencji młodego prezydenta za każdym razem zwiększali presję, by odkroić odrobinę większy kawałek światowego tortu zwanego strefą wpływów. Najpierw kryzys berliński, potem triumf z Gagarinem, a teraz to. Kuba, Castro i rakiety z głowicami nuklearnymi pod amerykańskim nosem. Kubę w tej chwili Biały Dom przegrywał. Katastrofalna w skutkach decyzja o użyciu siły wobec rewolucyjnego reżimu i inwazji w Zatoce Świń okazała się spektakularną porażką wojskową.

Za Zatokę Świń McNamara winił słusznie tylko samego siebie. Nie tyle nie obalił wrogiego Ameryce reżimu gnieźdzącego się tuż u jej bram, ile wepchnął go w gorący niedźwiedzi uścisk Sowietów.

Zdawał sobie sprawę, że na więcej błędów już nie może sobie pozwolić. Dlatego gdy kwadrans wcześniej prezydent zapytał go w czasie niekończących się obrad ExComu, czy US Navy posiada odpowiednie procedury, by odpowiedzieć na sowieckie próby przełamania blokady, musiał poprosić o chwilę przerwy. Chciał spojrzeć w odbicie w lustrze i po raz setny zapytać sam siebie, czy jest gotów na to, co trzeba będzie zrobić. Wierzył, że nadto twarda, wojownicza postawa w starciu z ZSRR doprowadzi świat do zagłady. Jednak ustępstwa wobec ZSRR musiały zakończyć się klęską demokracji. Musieli znaleźć z prezydentem złoty środek, ale Rosjanie cisnęli, tak cholernie cisnęli!

Kiedy prezydent dowiedział się, że Sowieci instalują na Kubie wyrzutnie rakiet z głowicami nuklearnymi wymierzone w amerykańskie miasta, musieli szybko podjąć decyzję, jak zareagować. Wbrew twardogłowym generałom prącym do otwartej konfrontacji wybrali – wydawać by się mogło – najlepsze rozwiązanie. Całkowitą morską blokadę wyspy.

Prezydent wysłał na Morze Karaibskie flotę stu osiemdziesięciu okrętów, włączając w to lotniskowce zapewniające parasol ochronny z powietrza. Odsyłali sowieckie statki z bronią i sprzętem z kwitkiem do Matuszki Rosji. Mieli jednego arcyważnego asa w rękawie. Rosyjskiego zdrajcę w GRU, agenta „Hero”, który wyjawiał im, że mimo buńczucznych pokrzykiwań sowieckiego genseka ZSRR nie jest gotowy do wojny, a arsenałem raketowym znacznie ustępuje Ameryce. Po jaką więc cholere te ruskie ćwoki wysłały cztery okręty podwodne klasy Foxtrot w kierunku Kuby? Ciekawe, czy wiedzieli, że są obserwowani od momentu wypłynięcia na północny Atlantyk. System SOSUS zdał egzamin znakomicie.

McNamara starannie wytarł mokrą twarz czystym białym ręcznikiem i założył okulary. W szafce obok umywalki leżał jego mały czarny grzebień i stała buteleczka olejku do włosów. Wszyscy pracownicy prezydenckiej administracji korzystający z tej łazienki wiedzieli, do kogo należą te akcesoria. Nikt bardziej nie dbał o wygląd fryzury niż McNamara. Po raz setny dziś gładko zaczesał do tyłu ciemne włosy i wyrównał nieskazitelny przedziałek po lewej stronie.

Kiedy Kennedy formował swój gabinet w styczniu 1961 roku, dał McNamarze

wybór: albo handel, albo Pentagon. „Wybrałem wojnę” – pomyślał McNamara. Nie bez powodu.

Otworzył drzwi i poszedł powiedzieć prezydentowi, co zrobić. Rosyjskie foxtroty trzeba wytropić i zmusić do wypłynięcia na powierzchnię, obrzuciwszy je ćwiczebnymi bombami głębinowymi. Pociski te nie mogły zrobić im krzywdy, ale za to robiły bardzo dużo hałasu. To powinno przyciągnąć ich uwagę. Zrozumieją, że są bez szans.

27 października 1961 roku, godzina 21.45, Morze Karaibskie, wody międzynarodowe niedaleko Kuby, ok. 100 metrów pod powierzchnią. B-59, radziecka łódź podwodna typu Foxtrot

Kapitan Walery Sawicki nie wiedział wielu rzeczy. Rosjanie nie zdawali sobie sprawy z istnienia systemu sonarowego SOSUS, zdolnego do wykrycia ich okrętu. Kapitan łodzi podwodnej B-59 nie miał pojęcia, że jego obecność na Morzu Karaibskim nie jest dla Amerykanów tajemnicą. Najpierw byli bez ustanku śledzeni, o czym wiedzieli, ponieważ czujniki sygnalizowały użycie wrogich sonarów. Trzeci zastępca kapitana i jednocześnie oficer polityczny Iwan Masliennikow był głęboko przekonany, że w związku z tym w sztabie operacji Anadyr amerykańscy imperialiści mają ulokowanego i dobrze zakonspirowanego szpiega, który bezustannie zdradza ich pozycję amerykańskiej flocie.

No i proszę, zaraz po przekroczeniu linii bezprawnej blokady zaczęła ich tropić amerykańska grupa *hunter-killers* z lotniskowcem USS Randolph na czele. Masliennikow nie omieszkał dzielić się podejrzeniami z kapitanem Sawickim. A ten, mimo że był człowiekiem rozsądnym, pozwolił, by ziarna zwątpienia w radzieckie dowództwo zasiano w jego umyśle. Grunt miały podatny. Drogę z radzieckiej bazy w zatoce Sajda Guba B-59 na Morze Karaibskie przebył w zanurzeniu i na chrapach, a radzieckie foxtroty należały do najlepszych konwencjonalnych łodzi podwodnych na świecie. „Jakim cudem Amerykanie nas znaleźli?” – pytał sam siebie.

Sawicki nie wiedział, że inni kapitanowie foxtrotów zadawali sobie dokładnie to samo pytanie. Nie wiedział również, że reszta została wytropiona i zmuszona do

wypłynięcia na powierzchnię, a radzieckie dowództwo wydało poszczególnym jednostkom rozkaz powrotu do domu. Kapitan Sawicki z uporem trzymał swoją łódź w zanurzeniu od stu do sześćdziesięciu metrów pod powierzchnią. Dokonał awaryjnego zanurzenia prawie dobę temu, kiedy namierzył ich wrogi samolot S-2 Tracker i obrzucił czterema ćwiczebnymi bombami głębinowymi.

Sytuacja statku i jego załogi stała się krytyczna. Z każdą minutą rósł poziom dwutlenku węgla wewnątrz łodzi, zmniejszał się tym samym poziom tlenu i załoga powoli zaczynała się dusić. Uczucie duszenia się wzmagала bardzo wysoka temperatura i wszyscy członkowie załogi byli skrajnie wyczerpani. Baterie B-59 były na wykończeniu i wymagały natychmiastowego naładowania, a w tym celu należałoby się wynurzyć. Dwanaście godzin temu do akcji weszły amerykańskie niszczyciele. Z jednego najpierw obrzucono ich granatami, ponownie dając sygnał do wynurzenia się.

Kapitan Sawicki nie wiedział najważniejszego – czy na powierzchni toczy się wojna. Bał się, że kiedy wypłynie, zostanie wraz z załogą pojmany i aresztowany. Jego frustracja rosła z czasem, bo w zanurzeniu nie mógł się połączyć z dowództwem. Osiągnęła apogeum, gdy drugi z niszczycieli zaczął bombardować okręt pociskami ćwiczebnymi. Przerazona załoga była pewna, że została zaatakowana, ponieważ huk pocisków był przeraźliwy, a wstrząsy – trudne do wytrzymania.

Szef sztabu eskadry kapitan Wasilij Archipow liczył po cichu te bomby. Na razie doliczył się czterech i w duchu, mimo że był zagorzałym komunistą wykluczającym z zasady obecność Boga w świecie, modlił się, by nie było ich więcej. Widział zmęczenie i desperację kapitana Sawickiego, strach załogi. Sam ledwo się trzymał na nogach. Jego modły nie zostały jednak wysłuchane. Piąty pocisk nie tylko wybuchł. Ekspłodował bezpośrednio na kadłubie B-59. Zgodnie z założeniem McNamary nie wyrządził okrętowi żadnej – nawet najmniejszej – krzywdy, ale dla wyczerpanego rosyjskiego kapitana miarka się przebrała.

Sawicki nie wytrzymał i huknął pięścią w metalowy stół, przy którym zwykł studiować mapy.

– Może tam, na górze, zaczęła się wojna, podczas gdy my tutaj fikamy koziołki! Teraz ich rozwalimy. Sami zginiemy, ale ich wszystkich zatopimy. Nie przyniesiemy wstydu naszej marynarce.

Kapitan wezwał komandora porucznika Walerego Bratiszkę i rozkazał mu uzbroić torpedę.

Wtedy w sprawę wmieszał się Wasilij Archipow, który mimo skrajnego wyczerpania nie był gotów na atomową apokalipsę.

– Towarzyszu kapitanie, proszę się uspokoić i natychmiast odwołać rozkaz. – Wstrzymał ruchem ręki komandora porucznika Bratiszkę. – Nie mamy polecenia z dowództwa, żeby rozpocząć atak nuklearny.

– A co, jeśli nie ma już dowództwa? Wrogowie czają się nad naszymi głowami i bezlitośnie bombardują radziecką łódź podwodną. Nie będę patrzył na to beczynnienie! Nie pozwolę, by uszło im to na sucho!

Archipow podniósł uspokajająco ręce. Musiał wpłynąć na kapitana, by ten zmienił decyzję. Wiedział, że od tego zależą losy świata. Był również przekonany, że Amerykanie nie chcą zrobić im krzywdy. Tylko jak przekonać o tym Sawickiego?

– Zgadzam się z wami, towarzyszu kapitanie, ale jest pan rozsądnym człowiekiem, dobrym komunistą i MUSI pan rozumieć, że atak nuklearny doprowadzi do nieodwracalnych konsekwencji. W tej sytuacji naszą dumę musimy schować do kieszeni.

Sawicki dalej był wściekły, ale powoli para zaczynała z niego uchodzić. Archipow argumentował dalej:

– Amerykanie do tej pory wystrzelili w nas serią nie większą niż pięciu pocisków. Dają nam do zrozumienia zgodnie z regułą wojny na morzu: nie chcą nam zrobić krzywdy, chcą naszego wynurzenia.

Sawicki upierał się dalej:

– No oczywiście, że chcą wynurzenia. No bo jak inaczej mogliby wziąć nas w niewolę i zająć B-59? Nigdy na to nie pozwolę.

Archipow musiał sięgnąć po argument ostateczny:

– Dobrze, skoro nie chce pan, towarzyszu kapitanie, wysłuchać racjonalnych

argumentów, jestem zmuszony wydać panu rozkaz. Zabraniam odpalenia torped. To rozkaz. Mówię jako szef sztabu eskadry łodzi podwodnych 4 Dywizji Floty Północnej.

Archipow wydał rozkaz spokojnie. Cedził słowa. Miał szczerą nadzieję, że ten spokój w końcu wpłynie na kapitana. Po części miał rację. Ale nie do końca.

– Owszem, jest towarzysz szefem sztabu – odpowiedział kpiąco Sawicki. – Moim przełożonym we flocie. Ale na moim okręcie według wytycznych dowództwa podlega pan moim rozkazom.

Archipow uśmiechnął się lekko:

– Skoro mowa o wytycznych dowództwa, to przypomnę, towarzyszu kapitanie – tu zwrócił się do komandora porucznika Bratiszki oraz oficera politycznego Masliennikowa – że odpalenie torpedy z ładunkiem nuklearnym powinno być zatwierdzone przez trzech oficerów jednomyślnie. Towarzysza kapitana, mnie oraz was, towarzyszu Masliennikow.

Sawicki w końcu ochłonął, ale był ciekaw:

– Co wy na to, towarzyszu politruku?

Masliennikow wpatrywał się to w jednego kapitana, to w drugiego. Partia nauczyła go, by być twardym.

– Jebać imperialistów – oświadczył.

Archipow wstrzymał oddech. Teraz naprawdę zaczął się bać. Ku jego uldze Sawicki jednak zmienił zdanie.

– Towarzyszu komandorze, poruczniku Bratiszko, proszę anulować poprzedni rozkaz. Jeśli Amerykanie nie chcą nas skrzywdzić, to nie będzie szóstej bomby.

Admirał Wasilij Archipow znów zaczął się modlić.

* * *

W.H. Morgan, kapitan amerykańskiego niszczyciela USS Cony, też nie wiedział bardzo ważnej rzeczy. Że na pokładach tropionych przez nich czterech radzieckich okrętów podwodnych znajdowały się nowoczesne torpedy T-5 uzbrojone w głowice

nuklearne. Sowieci skończyli ich testy ledwie przed rokiem, więc w ich arsenale były jak świeżutkie bułeczki w piekarni.

Gdyby wiedział to na pewno, obchodziłby się z B-59 jak ze śmierdzącym jajkiem, zamiast z dużą radością obrzucać wroga ćwiczebnymi pociskami w nadziei, że sto metrów niżej ruskie srają ze strachu. Z jednej strony podziwiał upór wrogiego kapitana. Wyobrażał sobie, że marynarze w łodzi podwodnej naprawdę nie mają już czym oddychać. Z drugiej strony dziwił mu się, bo po cholere się tak męczyć? Amerykańskie niszczyciele zabawiają się nim jak kot ze złapaną w łapy myszą. Rusek nie ma dokąd uciec, nie ma czym walczyć. Poza tym sam miałby ruszyć na eskadrę hunter-killerów?

W.H. Morgan nie miał pojęcia, że mysz to zimnokrwista, śmiertelnie niebezpieczna bestia, tyle że niepozorna. Taka ośmiornica *Hapalochlaena*.

– Cholera, ile oni już siedzą pod wodą? – zapytał electronic materials officera, odpowiedzialnego za nasłuch wrogiej jednostki.

– Dwanaście godzin, sir.

– I ostatnia bomba uderzyła w kadłub?

Żołnierz uśmiechnął się zawadiacko:

– Tak jest, sir. Musiała napędzić im niezłego stracha.

Kapitan, podobnie jak wszyscy uczestnicy tego teatru wojny, był cholernie zmęczony.

– Dobra, synu, dajmy im jeszcze do wiwatu. Są twardzi, ale my jesteśmy twardsi. Przyłóżcie im jeszcze jednym pociskiem. Widać nie dosyć ich zdopingowaliśmy do wynurzenia. Nic nam przecież nie mogą zrobić, prawda?

Towarzysze kapitana na mostku zgodnie uśmiechnęli się pod nosem.

I kiedy kilka minut później przerażony EMO krzyczał coś o torpedzie odpalonej w kierunku USS Randolph, zanim świat ogarnął wszechpotężny, niszczący ogień, wielu z nich pomyślało, że jednak coś się spieprzyło.

28 października 1961 roku, godzina 6.00, podmoskiewska dacza pierwszego sekretarza KC KPZR

Nikita Stolarow nie cierpiał budzić szefa. Pierwszy sekretarz KC KPZR Nikita Chruszczow za plecami nazywany był przez swoich najbliższych współpracowników Zosią Samosią nie bez powodu. Wszystko chciał robić sam. Oczywiście najbardziej lubił rządzić i mieć władzę. Najlepiej sam. Niestety dla szefa ochrony i jednocześnie swojego imiennika Chruszczow lubił również sam się budzić i nie cierpiał, kiedy ktoś zakłócał mu te krótkie chwile odpoczynku.

Zazwyczaj impet Chruszczowowskiego niezadowolenia Stolarow dzielnie brał na klatę, jednak nigdy nie omieszkał dać do zrozumienia sprawcom tych nieplanowanych pobudek, że są mu winni dużą przysługę. Wszyscy w otoczeniu pierwszego sekretarza zdawali sobie sprawę, że szef ochrony to człowiek mający zaraz po najbliższej rodzinie nieograniczony dostęp do głowy państwa i tak naprawdę czort jeden wie, co tam sobie szepczą do uszu. Dlatego nikt nie zadzierał z pułkownikiem Nikitą Stolarowem, nawet najwyżsi i najpotężniejsi dostojnicy Kraju Rad woleli mieć go po swojej stronie.

Teraz, siedząc na bardzo niewygodnym fotelu kierownika zmiany w kanciapie, tuż obok sypialni pierwszego sekretarza w jego daczce pod Moskwą, wpatrywał się w czerwone migające światełko telefonu. Oznaczało oczekiwanie na połączenie. Zanim podniósł słuchawkę, pomyślał o dwóch gnębiących go sprawach. Z każdym rokiem służby coraz bardziej nie cierpiał budzić szefa, ponieważ ataki niezadowolenia wraz z upływem czasu stawały się bardziej gwałtowne i nieprzewidywalnie chaotyczne. Stolarow pocieszał się, że towarzysz pierwszy sekretarz wyraźnie powtórzył na wczorajszym posiedzeniu Komitetu Obrony ZSRR, że ze względu na ostatnie wydarzenia jest dostępny dla jego członków bez względu na porę dnia i nocy. Jednak doświadczenie podpowiadało pułkownikowi, żeby nie przykładać do gadaniny pierwszego sekretarza zbyt wielkiej wagi, ponieważ i tak zazwyczaj kończyło się tylko na gadaniu. I to sprawiło, że duszę i umysł Nikity Stolarowa mrugająca lampka telefonu napełniła przez moment nieokiełznaną trwogą, no bo kto i po co, do cholery, chce budzić pierwszego sekretarza KC KPZR? Sprawa musi być naprawdę poważna. Podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Marszałek Rodion Malinowski do towarzysza pierwszego sekretarza. Pierwszy stopień, powtarzam: pierwszy stopień.

Stolarow wyćwiczonym ruchem przełączył rozmowę. Nawet go nie zdziwiło, że pierwszy sekretarz podniósł słuchawkę po jednym sygnale. Nie zadenuncjował marszałka. Gardło skutecznie ścisnęła mu przeraźliwa trwoga.

Nie mógł wiedzieć, że pierwszy sekretarz dziś nie będzie na niego zły. Chruszczowa nikt nie mógł obudzić, ponieważ w ogóle nie kładł się spać. Pierwszy sekretarz KC KPZR nie spał dobrze od dekad i doskonale wiedział dlaczego. Nikita Chruszczow panicznie się bał. Odkąd pamiętał, zawsze się bał. Najpierw tego potwora Stalina, który z lekceważeniem mówił na niego „Nikitka”. Potem Hitlera i hordy jego barbarzyńskich morderców, których zbrodni był bezpośrednim świadkiem. Zabili mu nawet syna. Zaraz po nich chorobliwie lękał się amerykańskich imperialistów i ich arsenału nuklearnego.

Pierwszy sekretarz wysłuchał raportu marszałka Malinowskiego. Wieści mroziły krew w żyłach. Radiotelegrafista z Kuby donosił o wybuchu nuklearnym na morzu. Grzyb był wyraźnie widoczny, wyspa przygotowuje się w panice na nadejście tsunami. Odłożył słuchawkę.

Malinowski postawił armie w stan najwyższej gotowości, członkowie rządu jadą na daczę, by omówić plan działania. Chyba rozpoczęła się wojna.

Chruszczow zmełł w ustach przekleństwo. Nie planował teraz wojny. Jak to się, do cholery, stało?! Przecież podpuścił tych głupkowatych Amerykanów, a potem im darował. Wczoraj już się pogodził, że nie będzie miał rakiet z głowicami atomowymi trzysta siedemdziesiąt kilometrów od Florydy, ale przecież dał jankesom pstryczka w nos i uratował nowego internacjonalistycznego druha, komunistę Fidela Castro. Bezpieczny komunista i jego utopia trzysta siedemdziesiąt kilometrów od Florydy. To są dopiero jaja. Parę godzin i taki klops. Nakazał Malinowskiemu spokój i dogłębne zbadanie sprawy. Będzie musiał od razu porozmawiać z Gromykiem. Amerykanów trzeba będzie jakoś uspokoić. Jeżeli w ogóle będą chcieli jeszcze gadać.

Paradoksalnie, kiedy zakończył rozmowę, strach go opuścił. Po raz pierwszy od

bardzo długiego czasu w końcu poczuł głęboką ulgę i odetchnął pełną piersią.

Przecież to on ostatecznie odarł Stalina z kultu i strącił z pozłacanego pamięcią piedestału w otchłań zapomnienia. Szwabów pogonił pod Stalingradem i pod Kurskiem. Dawno temu uwierzył, że zmyślona historia o wyciągniętych od niemieckiego dezertera informacjach pomogła Żukowowi wygrać tę największą pancerną bitwę świata.

Tak więc z tymi durnymi Amerykanami też sobie poradzi. I z ich pieprzonymi imperialistycznymi bombami. Ma już nawet sposób. Co prawda jeszcze nie do końca sprawdzony, być może jeszcze zawodny, ale pierwsze rezultaty okazały się bardzo zadowalające. Poza tym czy miał inny wybór?

Zatrzymał się pod drzwiami tuż przed wyjściem, bo prawie zapomniał o jednej rzeczy.

Jeszcze raz podniósł słuchawkę.

– Towarzyszu pułkowniku, połączcie mnie z Iwanem Sierowem.

Chwilę musiał poczekać. Nawet on. Ale rozumiał to, Sierow pewnie jest teraz w środku huraganu, próbując się dowiedzieć, co się stało na Karaibach. Był przecież szefem wywiadu wojskowego.

Wreszcie odebrał.

– Nic nam nie dała „zdrada” Pieńkowskiego, towarzyszu generale...

Sierow nic nie odpowiedział, tylko odchrząknął zakłopotany. Pierwszy sekretarz kontynuował:

– Zanim podacie się do dymisji, to wrzucie go do kotła. Z pełnym rytuałem. Rodziny zgodnie z umową nie ruszajcie.

Sierow potwierdził zachrypniętym, przybitym głosem, a Chruszczowowi, kiedy odkładał słuchawkę, nie wiedzieć czemu przyszła na myśl zhora każdego rosyjskiego dziecka. Baba Jaga.



Rozdział 1

2 czerwca 1964 roku, godzina 4.24 rano, gdzieś w Niemczech, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego

Kiedy Marek potknął się o niewidoczny w cieniu gęstego lasu korzeń i upadł twarzą w miękki, wilgotny mech, przez chwilę, nie dłuższą niż trzy uderzenia serca, poczuł się niemal błogo. Dobrze było leżeć. Nawet przez moment, w lesie, w ciepłą wiosenną noc. Dobrze było nie biec. Udać, że to wszystko się nie dzieje. Na sekundę.

Ale zaraz kapral Wroszyński, zwany Wroną, szarpnął go za parcianą cywilną kurtkę, aż zatrzeszczały szwy na ramionach, i niemal postawił go na nogi. O tym, że Wrona ma piekielną siłę w łapie, Marek przekonał się już trzeciego dnia po przybyciu do jednostki, gdy ustawiono ich wszystkich w dwa szeregi, od najmniejszego do największego w jednym i na odwrót w drugim, i zarządzono „lekcję boksu”. Mierzący prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu Marek sądził, że pozamiata kurdupłowatym kapralem podłogę. Zamiast tego uczył się szybować nad stolikami jadalni.

Dziesięć minut po tym, jak podano mu na obiad szczura. Wtedy sądził, że to dowcip.

– Co jest, Młody? – syknął kapral. – Straciłeś siły?

– Nawet się nie zgrzałem – warknął Marek, podniósł z ziemi pakunek, który upuścił podczas upadku, i ruszył pędem przed siebie. Musiał pokazać tym zadzierającym nosa weteranom, że jest nie gorszy od nich, chociaż do jednostki przybył dopiero przed miesiącem. Sądził wtedy, że będzie musiał jeszcze raz przerabiać wszystkie inicjacje, jakie czekały nowych, ale Pierwszy Szturmowy pod tym względem go zaskoczył. Choć dano mu odczuć, że jest niewiele wartym

żółtodziobem i będzie musiał zasłużyć na szacunek kolegów, nikt nie próbował go poniżyć. Co innego obicie mordy – to należało do szkolenia. Jednak nawet oficerowie się tutaj nie wywyższali i ćwiczili wspólnie z szeregowcami i podoficerami. A znalazło się wśród nich paru gości z niezłą historią. Taki sierżant Kaszycki, przezywany za plecami Kaszlem, który jako piętnastolatek wmówił werbunkowym w Siedlcach, że ma dwadzieścia lat, tylko marnie wygląda przez syberyjską dietę. A teraz uczył Pierwszy Szturmowy, jak przeżyć, żrąc wyłącznie dżdżownice i korę z drzew. Dla młodych komandosów był prawie jak bóg. Choć liczył już trzydzieści sześć wiosen i nie mógł mieć nadziei, że weźmie udział w akcji, trzymał się świetnie, potrafił biegać po dziesięć kilometrów dziennie, ścigając się z dwudziestolatkami, i bić się z nimi jak równy z równym. Tylko skakania na spadochronie nie lubił, a szczególnie do morza. Mało kto wiedział tyle co on o walce partyzanckiej i oszukiwaniu głodu.

– A może chcesz mi oddać pamiątkę? – kusił kapral. – Będzie ci lżej, Młody.

– Moja! – zaperzył się Marek, jeszcze mocniej zaciskając dłonie na pakunku.

Nie odzywali się więcej, by oszczędzać tlen w płucach. Biegli jak cienie, byle jak najdalej od miasta, byle ku granicy.

Wiedzieli, że są ścigani. Co pewien czas dochodziło do nich z oddali ujadanie psów, a nawet słyhać było pojedyncze strzały. Gdy zbliżali się do dróg, pochylali się, by kryć się w cieniu drzew i krzewów, a jeśli musieli taką drogę pokonać, to prędko, skokami. Bywało, że przypadali do ziemi, gdy mijały ich samochody pełne żołnierzy albo policyjne motocykle. Gdyby zostali wykryci, byłoby po nich.

Akcja miała pójść gładko: po zrzucie dotrzeć na lokalny węzeł kolejowy i wysadzić tory w miejscu, gdzie przecinały się dwie linie. Potem zryw i do lasu, ku granicy. Ledwie osiemdziesiąt kilometrów do przejścia; co to dla takich zuchów jak oni. I wszystko w cywilnych ciuchach, właściwie bez zaopatrzenia. Nawet broni im nie wydano. Mieli tylko noże.

Wszystko szło dobrze, póki nie pojawili się, zupełnie znikąd, żandarmi. Albo to był pech na skalę kosmiczną, albo ktoś sypnął, wydał grupę dywersyjną. Ładunki udało się podłożyć zgodnie z planem, ale ucieczka nie przebiegła już tak łatwo.

Żandarmi wezwali posiłki i teraz Marka z pięcioma towarzyszami ścigały i wojsko, i policja. Cywilne ubrania i to, że każdy szwargotał po niemiecku jak rodzony, nie mogły im wiele pomóc. Tym bardziej że nie mieli żadnych dokumentów.

Biegli więc, licząc, że pościgowi szybciej wysiądą płuca i nogi.

Niestety, tamci ścigali ich także samochodami i na motorach. Dywersanci słyszeli w oddali ich silniki, dlatego trzymali się z dala od dróg. W ciemnościach, między drzewami pozostawali niemal niewidoczni. A że potrafili nawet biegać po cichu, istniała szansa, że wyjdą z tego cało.

– Padnij! – rozkazał nagle półgłosem kapral i Marek rzucił się na ziemię, nie tracąc choćby sekundy na zastanowienie. Wrona mógł być sadystycznym dupkiem, ale trzeba mu było zaufać. Sukinsyn miał jakiś dodatkowy zmysł i słuch jak nietoperz.

I tym razem się nie pomylił. Po chwili także Marek usłyszał nadlatujący helikopter. Pilot trzymał maszynę nisko, szperaczami macając ziemię. Ostre białe światło liznęło plecy leżących żołnierzy, ale obserwatorzy ich nie wypatrzyli. Cienie wymieszanych z brzoźami sosen tworzyły wściekłą mozaikę, wśród której mógłby się ukryć i cały batalion, gdyby tylko leżał bez ruchu. Marek korzystał z okazji, uspokajał oddech. Miał tylko nadzieję, że nie będą musieli czekać zbyt długo. Lepiej było biec cały czas, niechby i pięćdziesiąt kilometrów, niż zbierać się po odpoczynku.

„Z twoim wzrostem i wyglądem trafisz, synku, do kompanii reprezentacyjnej” – prorokowała mu matka, gdy blady ze strachu miał w rękach kartę powołania. Ponad rok temu. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtego chłopca. Co za durny szczeniak! Nic nie wiedział o życiu.

Zamiast do kompanii reprezentacyjnej trafił do Gryfic, gdzie postanowiono zrobić z niego sapersa. Uczył go facet, który zdobywał szlify, macając glebę przed sobą bagnietem, podobno pod ostrzałem. Nadal uważał, że to najlepsza szkoła. Marek ucieszył się, kiedy po dziewięciu miesiącach szkolenia przyszedł do niego obcy porucznik w mundurze wojsk pancernych. „Zauważono, że mówicie po niemiecku, jakbyście się tam urodzili. I podobno jesteście silni i sprawni – oznajmił. – I jak

mówi wasz sierżant, niegłupi. Wygraliście parę zawodów, wykazaliście się w dowodzeniu drużyną. Mamy dla was propozycję. Przemyślcie ją dobrze”.

Nie zastanawiał się długo, gotowy dogadać się choćby z diabłem, byle zmienić przydział. Co mogło być gorsze od służenia pod szalonym saperem? To, że tamten wariat go doceniał, oznaczało tyle, że wysyłał go do najgorszych zadań.

Stracił rezon, gdy służby specjalne maglowały go przez miesiąc. Jego, rodziców, kuzynów, siostrę. Nawet nauczycieli z podstawówki. Tajniacy sprawdzali go do piątego pokolenia. Wyciągnięto historię dziadków i pradziadków. Nawet proboszczowi nie odpuszczono. Zastanawiał się, czy od tego wszystkiego nie zwariował i czy nie chcą zrobić z niego szpiega.

A teraz, gdy helikopter przelatywał nieznośnie powoli nad jego głową, a ze stanowczo zbyt bliskiej odległości dochodziło ujadanie psów, nie był pewien, czy nie powinien był jednak zaryzykować i zostać w saperach.

Tym bardziej że w Pierwszym Szturmowym też kazali mu ćwiczyć na ładunkach wybuchowych. I też pod ogniem. A do tego żreć psy i koty, nurkować w lodowatej wodzie i biegać na dystanse zabójcze nawet dla maratończyków. A jednak nigdy, do tej nocy, nie zastanawiał się, czy czerwony beret był wart tego wszystkiego. Należał do elity i jak sądził, można było za to zapłacić każdą cenę.

Jednak dotychczasowe ćwiczenia, nawet te najbardziej mordercze, były zabawą w porównaniu z tą akcją.

– Bieg! – zakomenderował Wrona, ledwie helikopter się oddalił, i natychmiast wszyscy zerwali się na nogi. I starszy szeregowy Bruno, blondyn o łagodnym spojrzeniu, kompanijny poeta, bo potrafił składać ze sobą proste rymy, i Zygmunt, ledwie o miesiąc starszy stażem od Marka, ale już zgrywający weterana. I Kicio, ponury, nienawidzący świata dwudziestoczworoletk spod Białegostoku, niezrównany mistrz walenia w gębę tak, że wystarczył jeden cios. I Topór, ustawiony gnojek o niemal wiecznie zaciętym wyrazie twarzy, a uśmiechający się jedynie krzywo i z wyższością, któremu przydział zapewnił ojciec, stary komunista z tych, co to z Berlingiem pijali gorzałę w jednym okopie. I w końcu Marek ściskający w rękach trofeum wyniesione z budynku żandarmerii, do którego włamali się tylko na chwilę,

by przycupnąć tam, gdzie nikt nie powinien ich szukać. Nakładli po gębach dwóm szkopom, związali ich, przyczaili się. A Marek zgarnął pamiątkę, bo taka nasza go fantazja. Teraz trochę żałował, ale nie wypuszczał pakunku z rąk.

Biegli aż do świtu. Wtedy Wrona kazał im się zatrzymać. Przykucnęli. Kapral sprawdził kompas.

– Na moje oko będzie jeszcze ze dwadzieścia kilometrów do granicy – ocenił. – Teraz zacznie się prawdziwa zabawa.

Niedługo potem dotarli do leśnej drogi, co Marek przyjął z ulgą. Według map powinna się znajdować właśnie tutaj, zmierzali więc we właściwym kierunku. Przyczaili się, wypuścili Bruna na zwiad. Przesadził drogę w trzech susach, po paru minutach wrócił, zameldował o zabudowaniach jakieś trzysta metrów na zachód. Zdecydowali się nadłożyć lekko drogi i je ominąć. Kapral zaklął, gdy zerknął na zegarek. Mieli mało czasu. Karą za spóźnienie byłaby paka, ale nie obyłoby się bez wstydu.

Poruszali się nadal szybko, ale ostrożniej. Częściej musieli się chować przed helikopterami, teraz krążyło ich na niebie pięć, a cienie drzew nie dawały już takiej osłony. Przez megafony nawoływano ich z powietrza, czasem po niemiecku, czasem łamaną polszczyzną. Dranie wiedzieli, z kim mieli do czynienia. Obiecywano łaskę, zapewniano o dobrym traktowaniu. A równocześnie ostrzegano, że zostali otoczeni, psy złapały już ich trop, a wojsko i pogranicznicy mają rozkaz strzelać ostrą amunicją. Że nikt im nie pomoże, bo napadając na żandarmów, zmienili się w zwykłych bandytów.

– A do tego złodziei! – dorzucił Kicio, patrząc znacząco na trofeum Marka po kolejnym przelocie helikoptera.

– Będziemy musieli zaryzykować – odezwał się Bruno. – Ci goście z psami są coraz bliżej.

– Niemcy i ich owczarki – skrzywił się Wrona. – Lata płyną, nic się nie zmienia, nie? No to biegiem!

Szczyście opuściło ich dwadzieścia minut później. Tym razem miejsce na szpicy zajmował Kicio. Wczołgał się ostrożnie na niewielki pagórek, z jego wysokości

zlustrował okolicę ukryty w kępie wyrosniętych paproci. Zbliżała się szósta rano, drzewa rzucały długie, mocne cienie, jak to o poranku. Kicio przeklął brak lornetki i pomyślał, by ruszyli na akcję praktycznie bez zaopatrzenia. To Kaszel wymyślił dla nich takie ćwiczenie. Bez broni, zaopatrzenia, bez sanitariusza i „radzia”, jak nazywali w batalionie każdego radiotelegrafistę. Cholerny staruch uwielbiał wspominać, jak to przedzierał się ku Ocie uzbrojony jedynie w ukradziony widelec o wyłamanych dwóch zębach. I zdołał za jego pomocą upolować jakiegoś zbłąkanego kota.

Zjadania kotów akurat Kicio nienawidził. Kiedy wysłano go na samodzielną misję z workiem rozmiauczanych futrzaków jako zaopatrzeniem, wypuścił wszystkie zwierzaki i żywił się korzonkami. Odsiedział za to potem pięć dni w pace, bo okazało się, że przeklęte czworonogi, jako zwierzęta przywiązane do miejsca, wróciły na teren bazy. Zapłaciły za to życiem, bo zżarł je kto inny, ale i Kiciowi nie było do śmiechu. Musiał zabić jednego, oprawić i zjeść na oczach całej kompanii, żeby dowieść, że potrafi. I był to jego pierwszy i ostatni zjedzony kot w życiu.

Zawdzięczał temu wydarzeniu swoją ksywę, ale stosunku do kotów nie zmienił. Psa zjadł bez wstępu, choć to zwykle zmierzenie się z tym przysmakiem polowej kuchni sprawiało żołnierzom najwięcej problemów. Ale koty to co innego. Zajmowały specjalne miejsce w sercu Kicia, choć sam nie wiedział dlaczego.

Z braku lornetki Kicio zdał się na własne oczy. Wiał lekki wiatr, gałęzie sosen poruszały się leniwie. Jakiś bezczelny zając przysiadł u stóp pagórka i gapił się na przyczajonego żołnierza, jakby widok człowieka wylegującego się w paprociach był nie tylko najzwyczajniejszym widokiem pod słońcem, ale też zjawiskiem bezpiecznym. Kicio sklął go w duchu, bo przybycie zwierzaka obudziło w nim głód. Nie jadł nic od zrzutu, nie było kiedy. Wypił tylko jednym haustem filiżankę kawy na posterunku żandarmerii. Potem popijali w leśnych strumieniach, prawie w biegu, i tyle. Bo żarcia przekłęty Kaszel też nie pozwolił im zabrać. Sam żarł śnieg i ziemię, więc i oni tak powinni. Cholerny staruch! Powinni go wreszcie odstawić do jakiegoś muzeum.

Dobra, uznał Kicio, spokój i cisza. Nawet zające się nie boją. Dał znak swoim, że

teren czysty, i w tym właśnie momencie szarak spłoszył się i czmychnął. Podnoszący się już z ziemi Kicio przypadł natychmiast z powrotem w paprocie. Obejrzał się za siebie. Dobrze jest, pozostali zauważyli jego ruch i też się pochowali. Tylko co spłoszyło tego przekłętego zwierzaka?

Przekonał się po chwili, gdy ledwie dziesięć–dwanaście metrów przed nim przedefilowało ośmiu żołnierzy Nationale Volksarmee w tych ich maskujących kombinezonach z kapturem, które narzucali na mundury uznawane przez niemieckich oficerów za „zbyt sowieckie”, co Kicio pamiętał ze szkolenia. Na łby pozakładali zabawnie wyglądające, ale całkiem wygodne hełmy wz. M55, mające z jednej strony odróżniać się znacząco od charakterystycznych nocników z czasów wojny, a z drugiej strony podkreślić odrębność od hełmów ZSRR. Zarówno Kicio, jak i pozostali członkowie kompanii „niemieckiej” musieli ćwiczyć w tych uniformach, podobnie zresztą jak w umundurowaniu faszystów z Zachodu i Amerykanów. Znał więc wyposażenie szkopów jak własne. Bardzo mu się nie podobało, że każdy z nich był uzbrojony w AKM, co więcej, trzymali je w rękach gotowe do strzału, a nie przerzucone przez ramię jak na zwyczajnym, bezpiecznym patrolu.

A już najmniej mu się spodobało, gdy się zorientował, że dostrzegli jego pagórek i najwyraźniej uznali go za doskonałe miejsce obserwacyjne, bo ruszyli w jego kierunku.

Wycofał się pospiesznie. Dał znak swoim, że jest źle, i czym prędzej schował się w kępie krzaków otaczających trzy zrosnięte sosny. Odruchowo dotknął rękojeści noża za pasem. Uśmiechnął się krzywo. Ciekawe, co mógłby zrobić przy jego pomocy tamtym ośmiu.

Przekłęte szkopy nie tylko wlażyły na pagórek, ale i się na nim rozsiadły! Trzeba się było ostrożnie wycofać, a potem ominąć tę lokację. Tyle że to oznaczało po pierwsze zmarnowanie czasu, a po drugie ryzyko wpadnięcia na którąś z grup pościgowych.

Kicio obejrzał się na miejsce, w którym ostatnio widział Wronę. Normalnie otoczyliby doskonale widocznych niemiaszków, przycisnęli ich i zmusili do

poddania. Nawet byłaby z tego zabawa. Ale przez kaprysy i genialne pomysły Kaszla mogli w szkopów co najwyżej porzucać szyszkami.

A jednak Wrona najwyraźniej uważał, że mają szansę, bo Kicio dostrzegł, że chłopaki postanowiły mimo wszystko otoczyć i dorwać Niemców. Poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach, i naprawdę się uśmiechnął. To było coś! W sześciu rozbroić ósemkę tamtych. Kaszel przestanie się wywyższać, jak o tym usłyszysz.

O ile im się uda. O ile przeżyją tę zabawę. Jasne, w normalnych warunkach patałachy z Nationale Volksarmee nijak nie mogłyby się równać z zuchami Pierwszego Szturmowego. Nawet gdyby między tamtymi zaplątali się weterani z Wehrmachtu. Jednak tym razem szanse nie były po stronie Polaków. Z drugiej strony, czy tak właśnie nie było podczas ostatniej wojny?

Ocecił szanse. Wrona z Młodym i Brunonem zachodzili szkopów od lewej, a Zygmunt i Topór – od prawej. Powinien się przyłączyć do tych drugich, ale jak na złość leżał prawie na wprost Niemców. Każdy jego ruch mógł ich ostrzec, przyciągnąć uwagę.

Chyba że... Właśnie tak mógłby się przydać. Odczekał, aż chłopaki osiągną pozycję po obu stronach pagórka. Ze szkopów były jednak patałachy, nic nie zobaczyły, choć sosnowy las trudno było uznać za gęsty. A przecież chłopaki nie miały na sobie maskujących mundurów, ale ubrania cywilne! Prawda, że żadne krzykliwe stroje, ale brązowe i bure bluzy, w których łatwiej było się ukryć w lesie. Mimo wszystko postawa Niemców napełniła Kicia pogardą.

Kiedy uznał, że koledzy są gotowi, podniósł się i udając, że właśnie wychodzi spomiędzy drzew, zawołał do Niemców w ich języku, z akcentem rodzzonego Bawarczyka:

– Przepraszam, chyba się zgubiłem. Którędy do Berlina?

Zerwali się na równe nogi, wycelowali w niego swoje AKM-y wszyscy, prócz jednego, najstarszego. Być może rzeczywiście mieli między sobą weterana. Ten rozglądał się na boki.

– Stój! Trzymaj ręce tak, żebym je widział! Kim jesteś?! – krzyknął najniższy,

z naramiennikiem unteroffiziera.

– Wybrałem się na grzyby – wyjaśnił Kicio, unosząc ręce nad głowę. – Chyba się zgubiłem. Myślałem, że mi pan pomoże, panie oficerze.

– Nie wiesz, że krążą tu sabotażyści? – zdenerwował się niemiecki kapral. – Wszyscy cywile powinni teraz siedzieć w domach!

– *Herr Unteroffizier*, to może być jeden z nich. – Weteran najwyraźniej myślał szybciej niż podoficer. Opuszczając lufę, obrócił się ku niemu, by wytłumaczyć mu ryzyko. Tym samym przestał na chwilę lustrować okolicę.

I to był moment, na który czekali Polacy. Wyskoczyli na Niemców z obu stron pagórka równocześnie. Kicio nie pomógł im w walce, bo zaskoczeni żołnierze puścili serie prosto przed siebie, akurat w niego. Rzucił się na ziemię, przetoczył w lewo, do swojego starego schronienia za trzema zrosniętymi sosnami. Kule rozorały pnie drzew za nim, strzępy kory posypały mu się na plecy.

– Jezu, biją ostrymi! – krzyknął, by ostrzec kolegów.

Tylko do niego strzelano podczas tej potyczki. Pozostali zbyt szybko znaleźli się przy przeciwnikach, by ci mogli użyć broni. Pierwszy Wrona, dochowując wierności szarży, trzasnął w gębę niemieckiego kaprala i zaraz zwrócił się ku następnemu szkopowi, pewny, że unteroffizier już nie wstanie. Topór rzucił się na weterana. Chwycił za AKM, szarpnął, unosząc lufę ku niebu. Niemiec nacisnął odruchowo na spust, seria poszła w niebo, siekąc po gałęziach. Topór odchylił głowę i trzasnął czołem w twarz tamtego. Zygmunt skoczył na dwóch, obalił obu na ziemię. Wczepił się w większego i tarzał z nim po ziemi. Młody próbował się popisywać kopniakiem z wyskoku, jakiego nauczyli go ostatnio trenerzy. Wyszło mu z braku wprawy średnio, sierżant Warewski, który prowadził pierwsze szkolenia, miałby dla szczeniaka wiele cierpkich słów. Niemniej podziałało.

Ponieważ Niemcy stracili zainteresowanie Kiciem, ten poderwał się, dopadł jeden z porzuconych AKM-ów, nim zdążył go podnieść właściciel. Trzasnął Niemca w gębę kolbą i zaraz przytknął lufę do łba następnego.

– Poddajcie się! – krzyknął. – Albo wszyscy zginiecie!

Niewiele w nich było żądzy walki. Tylko weteran próbował się jeszcze stawiać,

ale zrezygnował, gdy Wrona i jego potraktował swoim słynnym prawym prostym.

– Pozdejmujcie z nich mundury! – rozkazał. – Szybko! Ta kanonada ściągnie tu pościg.

Przebierali się prędko. Wahali się tylko, czy zabrać broń.

– Nie wiecie, co robicie – jęknął Unteroffizier, który ocknął się, gdy wiązali go pospiesznie z pozostałymi. – Wszystko się zmieniło! To wojna, głupcy!

– Wojnę to sobie mogą wypowiadać nasi pierwsi sekretarze, nie wy, za małe mordobicie. – Kicio zakneblował go i poklepał delikatnie po policzku. – Jak im Kreml pozwoli. Z naszej awanturki wielkiego dymu nie będzie.

– W nogi! – zakomenderował Wrona. – Broń zostawcie! Nie przegniemy aż tak.

Do granicy dotarli prawie nieniepokojeni. Raz tylko musieli się zaszyć w zaroślach, gdy przelatował nad nimi helikopter. Przy samej jednak granicy znów trzeba było się zatrzymać. Helikoptery przelatywały nad nią co dwanaście minut, a z każdego krzyczano po polsku i niemiecku, że muszą się poddać, inaczej zostaną zabici. I jeszcze że nie wiedzą, co czynią, bo wybuchła wojna, więc straż graniczna użyje ostrej amunicji.

– Wojna! – parsknął Topór. – Amerykanie przypuścili desant z Kuby? Chyba byśmy coś wiedzieli, nie?

– Zawsze tak wrzeszczą – zbagatelizował Wrona. – Dla zmyłki. Że wojna albo zagrożenie pożarowe, albo że zamieszki. Wszystko, byle cię wywabić. Jak się damy nabrać, nasi dobiorą nam się do dupy.

– Ale tędy nie przejdziemy – wtrącił się Kicio. – Od cholery wojska postawili. Trzeba będzie wodą.

– Jak ty mówisz, że wodą... – Wrona pokręcił głową. – To znaczy, że naprawdę jest kiepsko. Przejąłeś się tymi szkopami w lesie?

– Nakładliśmy po gębach sojusznikom.

– Niemcom. A ten stary to na pewno był z Wehrmachtu, jak nie gorzej.

– Ale są teraz pięć razy bardziej wkurzeni. A już wtedy szyli po nas ostrymi.

– Kaszel będzie zachwycony naszymi przygodami. Dobra, cofamy się trochę na

południe, a potem chlup do wody. Te mundury trzeba będzie gdzieś zakopać. Co się krzywisz, Młody?

– Z tym nie popływam. – Marek z żalem popatrzył na zrabowany z posterunku żandarmerii portret Waltera Ulbrichta, pierwszego sekretarza SED, niemieckiego odpowiednika PZPR. Odpakował go ze szmat, w które owinał go wcześniej dla bezpieczeństwa. – Myślałem, że dam Kaszłowi w prezencie.

– Nie porzucimy bezpieczniejszej drogi, żebyś mógł się podlizać staremu.

Zakopali mundury z dala od zabudowań razem z ramami portretu. Samą podobiznę Młody zachował, zwinął w rulon i wsadził sobie za pasek. Wrona pokręcił tylko głową, ale nic nie powiedział.

– Trochę tego pływania będzie – ostrzegł, nim weszli do wody. – Trzymamy się blisko. Jak zobaczycie, że któryś nie daje rady, płyniecie do niego. Młody, najmniej trenowałeś z pływaniem, trzymaj się blisko Kicia. On tak się boi wody, że pływa najlepiej ze wszystkich. No, do zobaczenia po drugiej stronie.

Gdy słyszeli nadlatujące helikoptery, na wszelki wypadek nurkowali, błogosławiąc w duchu szkolenie obejmujące techniki wstrzymywania oddechu. Po wynurzeniu Wrona sprawdzał, czy wszyscy są. Na brzeg, jak mieli nadzieję, polski, dotarli wyczerpani. Starczyło im sił, by doczołgać się w przybrzeżne krzewy. Tam zalegli w milczeniu. Ciszę przerwał dopiero Kicio.

– Jeśli mój podobno wodoszczelny zegarek nie kłamie, mamy tylko półtorej godziny do zbiórki – odezwał się grobowym głosem. – Czyli jesteśmy w dupie. Nie wyjdziemy z ciupy przez lata.

– Może nie. – Marek uniósł się na łokciach, rozejrzał po okolicy. – Jeśli mnie wzrok nie myli, tamten piękny ceglany budynek z wieżą to straż pożarna. Rąbniemy im wóz i zajdziemy do nas na sygnale.

– Na pełnym gazie. – Bruno się uśmiechnął. – Straży ogień się nie ima, nikt jej w drodze nie zatrzyma.

– Tylko najpierw musimy rąbnąć wóz – ostudził ich zapal Kicio. – A strażacy mogą mieć coś przeciw temu.

– Daliśmy bobu szkopom, damy i wiejskim jełopom! – nie tracił entuzjazmu

Bruno.

– W tej chwili nie dałbym bobu nawet myszy. Wrona, powiedz im.

– Kicio to baba, mały spacer i parę metrów żabką zabiły w nim bojowego ducha – ochoczo wyjaśnił Wrona. – Ale my jesteśmy prawie spóźnieni. Szeregowy Młody, udzielam wam pochwały za pomysłowość. Kradliście kiedyś samochód?

– Jakoś się nie zdarzyło.

– A Kicio kradł. To artysta w tej dziedzinie. Kicio, mistrzu, pokażesz Młodemu, jak odpalić pożyczaną brykę bez kluczyków. Zygmunt, Topór, ubezpieczacie ich. My z Brunem pozostaniemy w obwodach na wszelki wypadek.

Żadnemu ze strażaków, jak się okazało, nie postało w głowie, że ktoś może wpaść na tak absurdalnie niemoralny pomysł, by kraść ich wóz. Nie pilnował go w związku z tym nikt. Kicio jednak niczego w dziedzinie „pożyczania” samochodów Marka nie nauczył, ponieważ zapobiegawczy strażacy zostawili kluczyk w stacyjce. Zygmunt z Toporem otworzyli więc prędko bramę na oścież, wskoczyli do ruszającego z rykiem samochodu. Na ulicy Wrona z Brunem wskakiwali już do rozpędzającego się auta.

– Włącz sygnał! – polecił kapral, wychylając się niebezpiecznie ku szoferce. Trzymał się jedną ręką podczepionej z boku drabiny, a drugą uderzał w dach, by przyciągnąć uwagę kierowcy.

– Ale to zaalarmuje straż! – zaprotestował Kicio.

– Już jest zaalarmowana!

Istotnie, strażacy, krzycząc jeden przez drugiego i przeklinając na czym świat stoi, wybiegli na ulicę. Kilku próbowało ścigać żołnierzy pieszo, jednak Kicio nie dał im szans. Docisnął gaz do dechy i gnał na sygnale, drąc się, że na pewno wszyscy zginą.

Nie zginęli. Most zwodzony, jedyny łączący wyspę Wolin z lądem, był na szczęście opuszczony. Obyło się bez kolejnego pływania. Dotarli przed bramę jednostki na minutę przed południem. Tam drogę zastąpili im bynajmniej nierozbawieni wartownicy pod bronią.

– Wrona, Kicio! – rozpoznał przybyszy dowódca warty, kapral Kondracki. –

Obywatelu poruczniku! – zawołał. – Są! O czasie!

Porucznik Konaszewski najpierw zerknął na zegarek. Westchnął. Zapisał godzinę przybycia w notatniku. Dopiero potem wyszedł przed bramę, gdzie odebrał meldunek od wyczerpanego, ale bardzo zadowolonego z siebie kaprała ogłaszającego, że trzeci pluton pierwszej kompanii rozpoznania w niepełnym składzie zgodnie z rozkazem wysadził tory, nadprogramowo pobił paru żandarmów i patrol Nationale Volksarmee, by następnie bez strat przekroczyć granicę i pozyskawszy pojazd, zdołać dotrzeć do jednostki, kończąc ćwiczenia przed czasem.

– Normalnie bym was, Wroszyński, za tę kradzież opierdolił tak, że jeszcze wasze prawnuki by to wspominały – rzekł porucznik po wysłuchaniu meldunku. – Zdążyliście na czas, ale chyba pół Polski widziało, jak żeście zapierdalali do nas tym kradzionym jebaniutkiej straży wozem. A towarzysze niemieccy zdążyli do nas zadzwonić ze skargą już dwanaście razy, że jacyś polscy bandyci pobili i okradli ich żołnierzy. Uprzednio napadając na posterunek żandarmerii. I że jak znają życie, to robota naszej tajnej, o czym wam, kurwa, nie powinienem musieć przypominać, jednostki. Młody, nie szczerz się. Kicio, stul pysk, nie chcę słyszeć ani pół jebaniutkiego słowa. Normalnie bym was wszystkich zajebał biegami po polu ryżowym choćby za to, żeście przez cały ten czas jechali na pieprzonym sygnale. Ale tak się składa, że wybuchła wojna i będziecie potrzebni socjalistycznej ojczyźnie. Marsz do siebie, przebrać się w mundury i meldować się dowódcy kompanii. Zrozumiano?

– Tak jest! – zawołał odruchowo Wrona. I dopiero potem zapytał: – Wojna? A z kim?

Porucznik spojrział na niego z niepokojącą łagodnością.

– Tego nam jeszcze nie powiedzieli – odparł. – Ale jak tylko zadzwoni do mnie towarzysze Spychalski z wiadomością, niezwłocznie dam wam znać, kapralu. Odmaszerować!

* Ojczyzna słyszy, ojczyzna wie,
Co jej syn spotyka na drodze,
Jak przełamać ścieżkę przez chmury?
Nieważne, jak bardzo czarna wichura jest wściekła.
Cokolwiek się stanie,
Bądź nieugięty, towarzyszu,
Bądź nieugięty, towarzyszu!



Rozdział 2

2 czerwca, 4.30 rano, Kraków, oddział dywersyjny pułkownika Masłowa

„Cholera, a miało pójść tak łatwo!” – pułkownik Anthony Maslow był wkurzony. Każdy by był, próbując przeżyć niespodziewany ostrzał z karabinów bliżej niezidentyfikowanych funkcjonariuszy jakiejś polskiej służby. No właśnie, słowo „niespodziewany” miało tutaj kluczowe znaczenie, bo wedle informacji CIA nikogo na Wawelu tej nocy być nie powinno.

Oddział Masłowa należał do jednej z ostatnich grup dywersyjnych, jakie przerzucono na terytoria państw Układu Warszawskiego. Teoretycznie wszystkie ataki miały być zsynchronizowane, ale nawet sztabowcy zdawali sobie sprawę, że na miejscu plany może trafić szlag, bo jak zwykle u komuchów duża szansa, że nawali cokolwiek: pociąg nie dojedzie albo skończy się benzyna na stacjach bądź wyłączą prąd na obszarze połowy kraju. Albo ten lub inny dygnitarz niespodziewanie zarządzi defiladę, żeby zaimponować nowej sekretarce.

Albo, co wcale nierzadkie, informacje wywiadu okażą się równie dokładne jak prognoza pogody z miesięcznym wyprzedzeniem.

W efekcie więc synchronizację diabli wzięli i Maslow ze swoimi ludźmi wkraczał na Wawel, gdy oddziały z ZSRR już zaczynały się ewakuować. Tak w każdym razie podejrzewał, bo informacji na temat prowadzenia operacji „Korsarz” nie otrzymywał.

Co gorsza, jego własny plan ewakuacji stawał się coraz bardziej ryzykowny. Będą musieli uwijać się jak w ukropie, jeśli chcą zdążyć na spotkanie z okrętem podwodnym.

„A na dodatek ciemniaki z ambasady znowu pokpiły sprawę” – pomyślał,

zaciskając zęby, i puścił serię w stronę przeciwników. Nie liczył zbytnio na efekt. Był wyposażony jedynie w mały pistolet maszynowy uzi, nowinkę techniczną, prezent od izraelskich podkomendnych. Łatwy do ukrycia ze względu na niewielkie rozmiary, ale zabójczo skuteczny jedynie na niewielką odległość.

Napastnicy przyskrzynili go do ziemi ogniem w bramie wawelskich krużganków i musiał dać odzew, żeby za bardzo się nie zbliżyli. Dziesięć metrów od niego leżał w kałuży krwi porucznik Mosze Feldman. Od paru minut się nie ruszał, więc albo stracił przytomność, albo już nie żył. To właśnie jego najpewniej zauważył któryś z Polaków i zaczął strzelać, a może to Izraelczyk pierwszy otworzył ogień zaskoczony obecnością człowieka z bronią? Maslow nie widział tego, ponieważ podążał za Moszem obładowany drogocennym ładunkiem zrabowanym z Królewskiej Zbrojowni.

Starannie od roku planowana akcja, setki godzin ćwiczeń, sześć miesięcy szkolenia w obozie Sirkin razem z żołnierzami z izraelskiej „Jednostki”, czyli elitarnego oddziału Sajjeret Matkal – i leżał teraz rozciągnięty na bruku dziedzińca jakiegoś zapomnianego przez Boga zamczyska w pułapce bez wyjścia. I to wszystko dlatego, że ludzie z wywiadu od dekad nie mogli zinfiltrować tego małego, śmiesznego komunistycznego kraiku. W latach pięćdziesiątych CIA poniosła kilka spektakularnych porażek, a tzw. sprawa Bergu, w której polski kontrwywiad rozpruł na informacyjne atomy ośrodek szkolenia kurierów i agentów, była dla Amerykanów najbardziej upokarzająca.

„I cholera, nic się nie zmieniło. Zdechnę tu, bo paru ważniaczków z Langley znów nie doceniło Polaków” – pomyślał, rozglądając się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Postanowił, że jeśli tylko wyjdzie z tego żywy, obije tę parszywą, pewną siebie mordę rezydenta CIA w Warszawie. Poznał go w Izraelu i doskonale pamiętał, jak tamten się chwalił, że Polacy do nich do ambasady walą z informacjami od rana do wieczora, i to drzwiami i oknami.

Oczywiście w swej długiej karierze w amerykańskich jednostkach specjalnych wychodził ze znacznie gorszych opresji. Był weteranem z Merrill's Marauders, przeżył długą, morderczą kampanię na tyłach wroga w Birmie. Potem walczył

w koreańskich górach przeciwko komunistom Kim Ir Sena i hordom żółtków Mao Zedonga. Wtedy jednak był młodszy, bardziej szalony. Nie cenił swojego życia tak jak teraz. Ba, jeszcze – szlag by to trafił! – pół roku temu sobie go nie cenił. Ale wszystko się zmieniło w Izraelu, kiedy poznał Sarę. Nigdy wcześniej nie pracował z kobietami na polu walki i na początku czuł się wobec niej bardzo niekomfortowo. Wychowany w tradycyjnej polskiej rodzinie, w małym mieście Harbor Springs w stanie Michigan, z trudem akceptował to, że kobieta może być nie tylko komandosem, ale również oficerem. W nieskomplikowanym świecie pułkownika Masłowa kobieta powinna się zajmować domem, mężem i dziećmi, a nie wojować. Taką właśnie wiedzę wyssał z mlekiem matki. Sara jednak z marszu ujęła za serce doświadczonego żołnierza. Mieli ze sobą bardzo wiele wspólnego, począwszy od tego, że oboje byli potomkami polskich imigrantów w drugim pokoleniu, a skończywszy na nieposkromionej miłości do zabijania wrogów. Po tygodniu wspólnego szlifowania języka przodków na użytek misji pułkownik Anthony Maslow po raz pierwszy w swoim czterdziestoletnim życiu się zakochał. Z wzajemnością.

Dlatego był naprawdę wściekły, bo przecież misja do trzydziestej drugiej minuty przebiegała płynnie, prawie podręcznikowo. Bez problemów unieszkodliwili dwóch funkcjonariuszy straży muzealnej. Ci nie stanowili wielkiego zagrożenia, drzemiąc w kanciapach, ale Maslow nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek ryzyko. Prawie było mu żal staruszków, kiedy zaciskał pętlę garoty na ich gardłach. Szybko jednak odzegnał idiotyczne myśli: „Przecież to pieprzeni komuniści”.

Mosze błyskawicznie „rozpruwał” szklane gabloty za pomocą cyrkla z diamentem i gumowego ssawko-uchwyty, wrzucając do długich, wałkowatych wojskowych worków zrabowane eksponaty. Ten najważniejszy wsadzili ostrożnie do podłużnego metalowego pojemnika wymoszczonego miękką gąbką. Sprawnie i cicho opuścili pomieszczenia zbrojowni i przemieszczali się przez wawelskie krużganki w stronę bramy Herbowej. W dyżurce koło kraty zamykającej wejście czatował sierżant Harvey Bowman i Maslow zastanawiał się, czy on w ogóle jeszcze żyje.

Teraz pojemnik i jego zawartość ciążyła Maslowowi na plecach jak cholera. Inne eksponaty leżały wraz z Moszem Feldmanem na wawelskim bruku poza jego zasięgiem, a całą misję bardzo szybko trafiał szlag.

Pułkownik przywykł do natychmiastowego działania w trudnych sytuacjach. Przełożeni bardzo cenili jego zdolność do przetrwania w ekstremalnych warunkach, ale tu i teraz ciężko było mu się skupić. Miejskie pole walki bardzo się różni od tego w dżungli czy w górskim lesie i gdy leżał w bramie, ogarnęła go trwoga, że jakimś cudem dał się złapać w pułapkę bez wyjścia. Mógł co prawda wycofać się w wawelskie krużganki, ale stamtąd nie było drogi ucieczki poza zamek. Nawet gdyby była, to i tak nie mógłby zostawić swoich towarzyszy, nie sprawdzwszy, czy żyją. Kończył mu się czas. Polacy nie przestawali strzelać w kierunku bramy. Jednocześnie krzyczeli do siebie i z tego, co Maslow zrozumiał, przybywało ich z każdą minutą więcej i więcej, na domiar wszystkiego kazali komuś zapalić światło. W dali wyły syreny radiowozów szybko zbliżających się do miejsca walki.

„Ech, gówniana noc na śmierć!” – pomyślał Maslow. Rzeczywiście pogoda, mimo że czerwcową, była paskudna. Jeszcze nie tak dawno cieszył się, że zwałiste, czarne jak otchłań piekieł chmury zasłaniały księżyc, ułatwiając żołnierzom skradanie się w doskonałej ciemności. Teraz żałował, że nie może dostrzec na niebie ani jednej gwiazdy. Zmełł w ustach kolejne przekleństwo, przecież nie zamierzał tutaj umierać, do kurwy nędzy. Puścił kolejną serię i chyba nawet kogoś trafił, bo jeden z krzyczących Polaków najpierw umilkł, a potem zaczął się wydierać naprawdę przerażająco. Reszta wzmogła ostrzał, ale nie brnęła do przodu.

Anthony uznał, że to najlepszy moment na wycofanie się i poszukanie drogi ucieczki z krużganków w innym miejscu. W momencie, w którym się podnosił z ziemi, nad jego głową po drugiej stronie bramy rozbłysła ciężkim żółtym blaskiem ścienna lampa. Maslow odruchowo strzelił w jej kierunku, niszcząc żarówkę, ale na renesansowym dziedzińcu królewskiego zamku wcale nie zrobiło się ciemniej. Mrok rozświetlały trzy inne lampy. Dźwięk syreny radiowozu stał się ciężki do wytrzymania i Maslow z rezygnacją zrozumiał, że będzie musiał stawić czoła jeszcze większej liczbie uzbrojonych Polaków. Jakież było jego zdziwienie, kiedy

zerknąwszy zza węgła, ujrzał karetkę pogotowia zamiast radiowozu. Nowiutka sanitarka marki Nysa – N61 – wjechała od strony bramy Herbowej i z piskiem opon zatrzymała się w środku strzelaniny. Gwałtownie wycofała i wjechała tyłem, jeszcze raz wprowadzając w osłupienie strzelających żołnierzy. Boczne drzwi się otworzyły, ale zamiast sanitariuszy walczący zobaczyli ubranego na czarno człowieka oraz duży, naprawdę bardzo duży ckm przymocowany do podłogi furgonetki. Kapitan Ariel Bergman otworzył z niego ogień do czających się na wielkim wawelskim dziedzińcu polskich żołnierzy. Ci zaskoczeni, szukając w panice kryjówek, dali odetchnąć Maslowowi. Kierowca nysy przetoczył się na lewe siedzenie i otworzył drzwi.

– Pułkowniku, szybko!

Harvey! Maslow, strzelając w stronę rogatki bramy, wypadł zza węgła i pociągnął bezwładnego Moszego w stronę furgonetki.

Polacy szybko otrząsnęli się z zaskoczenia i zasypali samochód gradem kul. Maslow zdołał wtaszczyć nieprzytomnego Feldmana do środka i sam padł wyczerpany na zimną metalową podłogę nysy. Bergman nie przestawał ostrzeliwać rogatek bramy oraz wawelskich krzaków, za to Harvey wcisnął gaz i samochód gwałtownie ruszył.

– Co to, kurwa, jest?! – wrzasnął oszołomiony Maslow. Jedna z kul strzaskała szybę w drzwiach, a setki szklanych odłamków posypały się na głowy leżących.

– Plan B pułkownika Tamariego.

– Dowa Tamariego? – z niedowierzaniem spytał Maslow. Dowódca izraelskiej formacji specjalnej najwyraźniej działał za jego plecami. Mimo że najpewniej to działanie uratowało życie jemu i jego podwładnym, poczuł rosnącą złość. Przecież to była operacja amerykańska, jakim prawem szef Sajjeret Matkał nie wdrożył go w swoje plany?

Bergman skończył strzelać i zamknął drzwi furgonetki. Zjeżdżali szaleńczo z wawelskiego wzgórza, mijając niknący w mroku pomnik Kościuszki.

Maslow uświadomił sobie również, że kapitana Bergmana wcale nie miało tu być, i tym samym zapaliła mu się w myślach kolejna czerwona lampka.

– Sara?! – krzyknął.

Bergman klapnął ciężko obok pułkownika i na skutek szaleńczej jazdy Harveya o mało nie wyrzwał głową w masywną nogę ckm-u przytwierdzoną solidnymi żelaznymi nitami do podłogi.

Karabin, najnowszy model czeskiego kulometa vz. 59, był do tej nogi sprytnie przytwierdzony, tak że w momencie zamknięcia drzwi Bergman złożył go poziomo na bok.

Kapitan spojrzał dziwnie na Masłowa. Pułkownik zmierzył się z tym wzrokiem, ale się domyślił, o co chodziło. Zamiast bezzwłocznie zająć się rannym Moszem, pierwsze, co go interesowało, to nie tak dawno poznana izraelska panienka. Zabrał się więc do mierzenia pulsu bezwładnemu żołnierzowi.

– Porucznik Berkowicz ma inne zadania! – odkrzyknął w końcu Bergman.

Masłow zaklął w duchu. Więc też tu była. Zrzucił z pleców pojemnik, otworzył go i po raz pierwszy dokładnie przyjrzał się swojemu łupowi.

– To jest to? – zapytał Bergman, zerkając w jego stronę. Rozrywał skrwawione ubranie Feldmana, próbując ocenić jego rany.

Pułkownik nie odpowiedział, kiwnął tylko głową. Patrzyli na polski miecz koronacyjny. Patrzyli na Szczerbiec.

2 czerwca, 5.30, Kraków, dom kapitana MO Ksiondza

Oba natarczywe dźwięki w końcu przebiły się przez kurtynę czarnego, głębokiego snu. Najpierw był ten irytujący wysoki dzwonek telefonu, na szczęście nie na tyle natarczywy, żeby wyciągnąć świadomość kapitana Aleksandra Ksiondza z ciasnych objęć Morfeusza. Dokonało tego w ostatecznym rozrachunku brutalnie nachalne i przeciągłe walenie w drzwi.

Sięgnął ręką do nocnej szafki i pozbawił głosu rozdzwoniony telefon, podnosząc słuchawkę. Z ukrytego pod podziurkowanym czarnym plastikiem głośniczka posypały się na skacowaną głowę kapitana Ksiondza gromy. Dopiero po chwili dotarło do niego, że po drugiej stronie linii telefonicznej wydziera się na niego sam

towarzysz Lucjan Motyka, pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego partii, czyli krakowski udzielny władca i faktyczny pryncypał Ksiondza.

– Po jaką cholere ja ci załatwialem telefon, skoro w ogóle nie można się do ciebie dodzwonić?!

Olek wybulgotał coś gardłowo. Nie przypominało to żadnego znanego ludzkości słowa, ponieważ jego gardło i przełyk zmagaly się z narastającymi nudnościami. Motyka rzeczywiście zaraz po tym, jak Olek dostał przeniesienie z Warszawy, załatwił mu telefon. Na dodatek dostał numer telefoniczny 101, tak aby najważniejsi ludzie w Krakowie w razie potrzeby mogli do niego dzwonić, nie zaprzatając sobie głowy szukaniem właściwego numeru po książkach telefonicznych czy własnoręcznie pisanych notesach. Każdy szybko się przyzwyczaił, że jeśli ma się sprawę do lokalnej gwiazdy Milicji Obywatelskiej, trzeba dzwonić pod numer 101.

Ksiondz, starając się skupić na słowach dobiegających ze słuchawki, sięgnął po budzik, żeby sprawdzić, która godzina. Pewnie stary radziecki czasomierz marki Družba coś tam pokazywał, ale Olek nie był w stanie tego odczytać. Nawet nie dlatego, że był jeszcze pijany, ale dlatego, że było ciemno jak w dupie.

Zwalił się z łózka, pociągając za sobą telefon. Towarzysz pierwszy sekretarz raczej tego nie usłyszał, przejęty własną gadaniną. Kapitan odsłonił ciężkie i grube zasłony, pozwalając światłom neonów i ulicznych latarni z Pawiej rozjaśnić mrok mieszkania.

Wpół do szóstej.

No to nie pospał za długo.

Przysunął słuchawkę z powrotem do ucha. Motyka nadal krzyczał o Wawelu, imperialistach i szpiegach. Oraz o tym, że wysłał ludzi, którzy mają go tam zawieźć. Teraz.

No rzeczywiście. To najpewniej ci, którzy stali pod drzwiami i w nie walili.

Czekało na niego kilku milicjantów, z których większość kojarzył z Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej na placu Szczepańskim.

– Ta jest, towarzyszu pierwszy sekretarzu. Kawa i jadę – wybełkotał na tyle zrozumiale, że towarzysz się w końcu rozłączył. Telefon jednak nie chciał przestać

dzwonić. Ksiondz jeszcze raz podniósł słuchawkę i momentalnie wytrzeźwiał.

– Kęsek dostał. – Usłyszał znajomy, nieprzyjemnie chłodny głos. – Zrób coś z tym.

Porucznika Leszka Kęska z Biura Ochrony Rządu Olek ostatni raz widział około pierwszej w nocy. Zapamiętany obraz kumpla był bardzo zamazany i niewyraźny, za to Kęsek jawił mu się przed oczyma w trzech egzemplarzach. Wczoraj w nocy około jedenastej obaj przestali liczyć kufle. Co prawda piwo w Smoku służyło z tego, że hojnie dolewano do niego wody, i pewnie rozeszłoby się po kościach, jednak rozochocony Kęsek do każdego zamówionego kufła domawiał dwudziestkę wódki. Ksiondz nie bardzo był świadom dokładnego czasu rozstania, za to doskonale pamiętał towarzyszące mu głębokie przekonanie, że powinien wrócić tam rano i aresztować kierownika baru za chrzczenie piwa.

„Tak to jest, jak się przyjaciela nie widzi trzy lata” – pomyślał, siedząc już w milicyjnej warszawie. Właśnie mijali bar Smok. Choć ciemny w środku, wspaniały socrealistyczny neon wiszący na nowoczesnym budynku rozświetlał całą ulicę Pawią.

Z Kęskiem chodzili do szkoły w Białymstoku. Łaszewicz został w Białymstoku na stanowisku pierwszego wojewódzkiego sekretarza. Nie tylko nie utracił wpływów w Warszawie, będąc jednocześnie zastępcą członka Komitetu Centralnego PZPR, ale je wyraźnie wzmocnił. Ksiondz z dużą satysfakcją przeczytał parę tygodni temu, że jego dawny opiekun zostanie na najbliższym zjeździe w czerwcu zaproponowany na stanowisko pełnoprawnego członka Komitetu Centralnego partii i najpewniej dołączy tym samym do ścisłego kierownictwa PRL. To właśnie Łaszewicz polecił zatrudnić Kęska i Ksiondza w BOR. Olek z tej okazji nie skorzystał, bo kochał pracę śledczą i poprosił o delegację do Krakowa. Łaszewicz, choć niechętnie, przystał na prośbę swojego ulubieńca i po krótkiej rozmowie telefonicznej z towarzyszem Motyką dołączył do zespołu śledczego z polecenia pierwszego sekretarza Wojewódzkiego Komitetu PZPR w Krakowie.

Kiedy rozpędzoną warszawą na sygnale wparowali na dziedziniec wawelski, powoli zaczynało świtać. Na miejscu było ciasno, a Ksiondz miał wrażenie, że

zjechały tu chyba wszystkie radiowozy MO i karetki z województwa. Wszędzie kręcili się zdenerwowani milicjanci oraz funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Krawędź dziedzińca od katedry wawelskiej do bramy na krużganki była zatarasowana samochodami, a mundurowi z wydziału kryminalnego nikogo nieupoważnionego nie wpuszczali do środka strefy. Ksiondz przecisnął się pomiędzy autami i wszedł do niej bez problemów, rozpoznany przez kolegów z wydziału. Od razu podbiegł do niego szef, major Antoni Gaweł, i uścisnęli sobie ręce.

Olek z niedowierzaniem patrzył na dziesiątki techników kryminalistycznych uwijających się na placu.

– Co do kurwy...

– Jatka, Olek. Pieprzona jatka.

– No widzę. Szeregowy Jurek w drodze tutaj coś mi tam powiedział, ale... – Ksiondzowi zabrakło słów. Patrzył rozszerzonymi oczami na ślady krwi na bruku, dziury po kulach na fasadzie katedry oraz budynku przy bramie. Do głowy by mu nie przyszło, że ktoś mógł sobie urządzić w Krakowie, w samym sercu Wawelu, strzelaninę jak w jakimś westernie.

– ...nie spodziewałeś się, że aż tak – dokończył za niego Gaweł. Ksiondz kiwnął bez słowa głową. Ciał żadnych nie było, widocznie zabrali zabitych i rannych przed jego przyjazdem.

– Kęsek?

– Walczy o życie w szpitalu przy Kopernika. Jeszcze nie wiemy, co to było. Brutalny atak. Najprawdopodobniej rabunek, ale możliwe, że zamach.

Major wskazał na grupkę ludzi stłoczonych przy ścianie budynku. Na ziemi siedzieli ubrani w mundury funkcjonariusze BOR. Kilku paliło papierosy, inni odpowiadali na pytania zadawane przez ludzi w czarnych garniturach.

– Bezpieka przejęła śledztwo, ale towarzysz Motyka uparł się, żebyś dołączył do zespołu i interweniował osobiście w tej sprawie u ministra Wichy. Esbecy ściągnęli posiłki z całego województwa, a będzie ich jeszcze więcej.

Jakby na potwierdzenie tych słów nad ich głowami przetoczył się potężny huk dobywający się z wielkiej latającej maszyny, która zasłoniła przez chwilę niebo nad

Wawelem. Odruchowo skulili głowy pod wpływem hałasu, a wśród zgromadzonych na placu milicjantów wszczął się tumult. Nowoczesny śmigłowiec Mi-2, widać, że nowiutki, prosto z fabryki w Mielcu, dostojnie wylądował jakieś trzysta metrów od nich. Ze środka natychmiast wyskoczyło kilka postaci, które biegiem skierowały się w ich stronę. Major Gaweł ruszył im na spotkanie. Uścisnęli sobie dłonie i zamienili kilka słów, których Olek nie słyszał. Jeden z przybyłych mężczyzn podszedł do niego po chwili i również podał mu rękę.

– Dzień dobry, kapitanie, proszę za mną. Jestem kapitan Papież z Departamentu II Służby Bezpieczeństwa w Warszawie. Będę dowodził tym cyrkiem.

„Papież i Ksiondz” – pomyślał Olek w drodze do maszyny. „No to rzeczywiście zapowiada się niezły cyrk”.

„I co, do cholery, robi kontrwywiad PRL na Wawelu?”

Papież starał się przekrzyczeć hałas helikoptera:

– Postawiliśmy na nogi cały kraj, żeby złapać tych skurwieli. Właśnie dostaliśmy meldunek od naszych ludzi w terenie, że widziano podejrzaną grupę niezidentyfikowanych cudzoziemców w Kieleckiem. Tym cackiem dolecimy tam w nie dłużej niż pół godziny.

Kapitan Ksiondz podziwiał obłą, nowoczesną sylwetkę maszyny. Czytał w „Trybunie Ludu”, że niedługo ruszy ich polska produkcja, a tu proszę, już jest! Kiedy postawił nogę na stopniu, obleciał go strach. Przecież nigdy wcześniej nie leciał śmigłowcem.

2 czerwca, godzina 8.20, Wiślica, oddział GROZBA

Pośladki były idealnie opięte zielonym, maskującym materiałem munduru i kusząco wypięte ku górze. Kapitan Andrzej Swoboda, tymczasowo dowodzący oddziałem Nadzwyczajnej Grupy Rozpoznania do Zadań Bojowych i Antropologicznych (GROZBA), stanął jak wryty i wpatrywał się w nie dłuższą chwilę. Gdyby ktoś ujrzał go z boku, na pewno uznałby, że te dwie wspaniałe krągłości zahipnotyzowały biednego żołnierza na wieczność. Swoboda był jednak twardy i otrząsnął się z uroku prawie natychmiast. Jeszcze pół roku temu, zanim trafił do tej dziwnej jednostki

specjalnej, bez namysłu przyłałby w taki wyzywający tyłek. Pracował przecież jako wuefista w nowym krakowskim liceum numer piętnaście i zdarzało mu się czasem ręcznie dyscyplinować niesforne licealistki. Tym razem się powstrzymał, bowiem Swietłana nie była licealistką, tylko żołnierzem i na dodatek jego podwładną.

– Szeregowa Pawinicz, alarm bojowy. Zbiórka na zewnątrz. Natychmiast!

Dziewczyna wystrzeliła w górę, wyraźnie przestraszona, w ręce trzymała wielki pędzel. Całkowicie pochłonięta pracą nawet nie zauważyła obecności oficera. Swoboda dostrzegł fragmenty starego rysunku na ziemi i cały komplet różnego rodzaju pędzli i miotełek walających się wokół odsłoniętej części posadzki.

Swoboda mógł za to w końcu podziwiać nie tylko pośladki Swietłany, ale także całą jej sylwetkę. Niewysoka, drobna blondynka, zupełnie niepasująca do munduru. Wyobrażał ją sobie w zwiewnej sukience na słonecznej łące, a nie w mrocznej krypcie ponurej gotyckiej katedry. Powinna się bawić dmuchawcami i rozmawiać z motylami, a nie cackać się z miotełkami w zagrzebanym przez prochy czasu średniowiecznym grobowcu.

– Tak jest, *komandir*.

Szepnęła cichutko, niezbyt szczęśliwa, że musi opuścić to fascynujące miejsce. Jej piękne, pełne usta wygięły się lekko w podkówkę. Swoboda z trudem zapanował nad sobą, żeby podejść i ją przytulić, znaczy pocieszyć. „Weź ty się, chłopie, w garść” – pomyślał.

Na początku bardzo spodobał mu się pomysł, że będzie współdowodził kobietami w oddziale. Gdy ujrzał Swietłaną, zrozumiał, że zgadzając się na powrót do wojska, podjął najlepszą decyzję swojego życia. Zaraz potem kubeł zimnej wody na głowę wylał mu dowódca GROZB-y major Andrij Riebrow. Bez ogródek stwierdził, że jeśli przyłapie kogokolwiek na romansie, obłapianiu, molestowaniu, miłości, to własnoręcznie powyrywa delikwentowi jaja i nakarmi go nimi na śniadanie, a delikwentkom waginy pozaszywa drutem kolczastym. Najgorsze, że polecił Swobodzie w komunistycznym duchu obserwować i inwigilować, a w razie konieczności działać tak jak on. Zaraz potem miał nieprzyjemność poznać drugą kobietę w oddziale. Sierżant Helga Jaeshke wyglądała jak najgorszy koszmar

mężczyzny. Wysoka, krótko obcięta, płaska jak deska, umięśniona jak buldog. Pyskata i nieprzyjemna. W odróżnieniu od delikatnej, pięknej i rozświetlonej wewnętrznym ciepłem twarzy Swietłany Helga miała coś, co Swobodzie kojarzyło się z jednym tylko słowem. Pysk. Kanciasty. Rysy jak w kamieniu grubo ciosane. Za to oczy stalowe, nieustępliwe. Na dodatek była jego zastępcą, prawą ręką i salutując z krzywym uśmiechem przy pierwszym spotkaniu, stwierdziła łamanym rosyjskim, że będą ze sobą spędzać dużo czasu. To właśnie wtedy Swobodę przeszył dreszcz. Spadając z nieba do piekła, pomyślał, że ten powrót do wojska to być może jednak wcale nie taki dobry pomysł.

– Ktoś jeszcze z tobą tu jest? Brakuje mi naszych ludzi.

– Paru studentów z Krakowa – odpowiedziała Swietłana. – Docent Małecki...

Swoboda machnął ręką zniecierpliwiony.

– Chodzi mi o naszych.

– Ja jestem. – Z mroku chłodnej krypty wynurzył się cień. Dopiero po sekundzie Andrzej rozpoznał w nim porucznika Zijatbeka Karimowa. Odetchnął z ulgą, że w ogóle go rozpoznał. Dwa tygodnie zajęła mu nauka imion i nazwisk tych wszystkich dziwadł w jego oddziale. Na początku nie rozróżniał nie tylko nazwisk, ale i samych narodowości. Kazach? Azer? Czuczka? Skośni, śniadzi – jeden diabeł.

Niby miał doświadczenie. Pierwsze lata wielkiej wojny spędził na Syberii, ale tam odcięty od świata w polskiej kolonii poznał ledwie paru Tatarów mieszkających na dalekiej północy od pokoleń. Później, gdy walczył ramię w ramię z Armią Czerwoną przeciw niemieckim faszystom, zdarzało mu się spotkać Gruzina, Mongoła albo Buriata. Ale nigdy nie służył z nimi w jednym oddziale.

Karimow, wysoki, co wśród Kazachów z gór jest dosyć niezwykle, skośnooki, porucznik Armii Czerwonej, był również historykiem i jego widok tutaj Swobody nie zdziwił. Razem z Pawinicz spędzali całe dnie na stanowisku archeologicznym w podziemiach wiślickiej katedry. Porucznik bardzo aktywnie pomagał docentowi Januszowi Małeckiemu z Katedry Archeologii UJ w Krakowie konserwować i czyścić odkrytą i odsłoniętą pięć lat temu przez zespół profesora Tomaszewskiego niezwykłą posadzkę z XII wieku z biblijnym Drzewem Życia. Na posadzce tej

znajdowały się również postaci i właśnie nad nimi pracowali w tej chwili, starając się dojść, kim one są.

Swoboda nie podzielał ich zainteresowań historią. Był człowiekiem czynu i zdecydowanie bardziej lubił akcję niż ślęczenie nad książkami. Dlatego od początku zazdrościł Kazachowi czasu wspólnie spędzonego ze Swietłaną w ciemnym pomieszczeniu, ale szybko w takich chwilach przypominał sobie Riebrowa i jego błysk w oku na wspomnienie urywanych jaj. Nie miało większego znaczenia, że dowódca jest w chwili obecnej gdzieś pomiędzy Mongolią a Uzbekistanem na polowaniu – bo tak właściwie można nazwać rekrutację nowych członków GROZB-y. Właśnie w takich sytuacjach Swoboda zachowywał podwójną czujność. Chwila nieuwagi, zapomnienia i opuszczonej gardy, a po powrocie Ukraińca własne jądra na śniadanie. „Nie, dziękuję” – pomyślał, z trudem odrywając wzrok od biustu Swietłany.

„Cholera!” – nawet pieprzony workowaty mundur nie był w stanie ukryć tego, jak jej piersi były kształtne.

Już miał się odwrócić i poprowadzić dwójkę żołnierzy na dziedziniec ku światłu, gdy całym ich światem targnęła seria wybuchów. Skulili się instynktownie, a z romańskiego sklepienia krypty posypał się śmierdzący wiekuistą wilgocią pył.

Z góry po śliskich, wąskich schodach pędził ku nim kapitan Siergiej Awinow, drugi zastępca dowódcy.

– Towarzyszu kapitanie! Atakują nas!

Mało nie skręciwszy karku, Awinow wylądował u stóp zdumionych żołnierzy.

– Helga dobrała się do swojego ulubionego ckm-u i odpiera atak! Kazałem jej kontynuować! Reszta umacnia pozycje.

– Ale co? – Swoboda zgłupiał. – Kto nas atakuje?

– Wygląda na to, że Milicja Obywatelska.



Rozdział 3

2 czerwca, godzina 12.00, Dziwnów, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego

Wojna wojną, wybuchła czy tylko nią straszili, ale po akcji trzeba na powrót zrobić z siebie człowieka. To oznaczało przede wszystkim włożenie normalnego munduru. Ale że jakoś głupio wkładać mundur na brudne i cuchnące ciało, to zarówno Marek, jak i reszta drużyny poszli najpierw wziąć prysznic. Głód gnał ich w inną stronę, gdyby jednak pobiegli na stołówkę, tak jak przyjechali, najpewniej skończyłoby się zapędzeniem ich do morza przez Kaszla albo któregośkolwiek podoficera, który akurat siedziałby w stołówce. A czego jak czego, ale pływania chłopcy Wrony mieli na dzisiaj dosyć.

Woda pod prysznicem była cudna. Zimna niczym z górskiego potoku, ale czysta, odświeżająca. Marek, gdyby mu pozwolono, siedziałby pod jej strugami choćby i do nocy. Zamiast tego wybiegł spod nich ledwie po trzech minutach, przetarł energicznie krótkie włosy ręcznikiem, dopiero potem wytarł resztę ciała. Jednym uchem słuchał, jak Wrona urządza regularny opierdol Kiciowi za sytuację na leśnym pagórku. Mogli tam wszyscy źle skończyć przez to, że zapatrzył się na głupiego zająca i prawie przegapił Niemców. Zabić by ich za to nie zabili, ale coś takiego skończyłoby się wylotem ze szturmowego. A to, w przekonaniu Wrony, było nawet gorsze od śmierci.

Marek nie był pewien, czy zgadza się z kapralem. Jasne, nauczył się już czerpać dumę z przynależności do elity elit. Ba, nauczył się nawet czerpać przyjemność z wypruwania z siebie żył podczas ćwiczeń. Czuł się częścią zespołu. Ale gdyby ktoś mu powiedział, że to już koniec i może wracać do cywila, bardzo by się nie przejął. Nie szedł do wojska na ochotnika, choć nie próbował się migać. Wiadomo –

ojczyzna jest w potrzebie, zawsze. Faszyści tylko czekają, żeby Polska osłabła. Marek urodził się pod sam koniec wojny, kiedy nawet Niemcy wiedzieli, że już po nich, ale czuł się, jakby doświadczył jej na własnej skórze. Dziadków nie znał, bo rozwalili ich Niemcy. Jednych za karę za jakąś partyzancką akcję, drugich po prostu wywieźli i zabili gdzieś na robotach albo w obozie. Nikt nie wiedział, gdzie i jak. Przepadli. Ojciec zaś stracił rękę w partyzantce. Mama... Mama o wojnie nie chciała mówić wcale, ale wystarczyło tylko jej spojrzenie, żeby wiedzieć, że nie byłyby to dobre wspomnienia.

A do tego Marek stracił najlepszego kumpla, gdy tamten wlaź na łące na niemiecką minę. Pamiętał, jak stał potem pośrodku tej łąki, cały czas huczało mu w uszach i bał się choćby drgnąć. Nie reagował na wołania, najpierw innych kumpli, potem ojca. Stał, dopóki nie przyszedł po niego milicjant stawiający stopy tak ostrożnie, jakby bał się, że ziemia może się pod nim zapaść w każdej chwili. Stary już mężczyzna, który swoje w życiu i zobaczył, i przewojował, podobno straszny sukinsyn, tak mówili znajomi ojca, choć tylko szeptem, pochylił się nad Markiem, przetaił mu twarz z krwi najlepszego kumpla. „Wracamy po moich śladach” – powiedział. „Już żadnych nie widać” – odparł Marek. Milicjant odwrócił się, zaklął. To było piękne lato, trawa wyrosła bujna, mocna.

Stary milicjant, prawdziwy sukinsyn, który ponoć miał na sumieniu wielu sąsiadów, wziął Marka na ręce i wyniósł z tego pola śmierci. Po ciało rozerwanego na strzępy chłopaka nie wrócił. Musieli przyjechać saperzy. Wykopali tam jeszcze dziewięć min. Detonowali je, wcale niedaleko, dzieciaki z całej wsi zbiegły się podziwiać fajerwerki, ale wiele nie zobaczyły, bo wojsko i milicja trzymały cywilów na dystans. Jednak wyobraźni jak zwykle starczyło, by opowiadać o widowisku całymi tygodniami. Tylko Marek został w domu.

Tak, wojna skończyła się tylko na papierze. Naprawdę trwała ukryta głęboko w ludzkich sercach. A Niemcy ciągle zabijali, nawet jeśli już o tym nie wiedzieli.

Kaszal przyszedł do nich, gdy pożerali gulasz z kaszą. Po jego minie poznali, że coś jest nie tak, i nawet Wrona zamilkł, choć od powrotu nie przepuścił okazji, by się czepiać Kicia.

– Kiedy wy zabawialiście się w obijanie mordy sojusznikom – zaczął Kaszel – myśmy tu ciężko pracowali na chleb. Zrobiliśmy ćwiczenia z nocnych skoków do morza. – Zawahał się, a Marek przymknął odruchowo oczy. Jeśli czegoś się bał i nienawidził z całego serca, to właśnie tych ćwiczeń. Kiedy człowiek skacze w nocy do morza, nie widzi nic. Woda jest czarna i złudna. Żeby nie wiem jak wypatrywać oczy, to przy braku księżyca ma się pod sobą tylko ciemność. Przez cały lot towarzyszył Markowi strach, że źle wyliczy odległość, a potem nie wyplące się z linek i spadochron pociągnie go na dno związanego, niezdolnego wykonać choćby ruchu.

– Co wam będę długo gadał – zachnął się Kaszel. – Porucznikowi Kamyszewskiemu się nie udało. Chyba źle wyliczył. Szukaliśmy go dwa dni. Właśnie znaleźli ciało. Stójcie! – powstrzymał ich, bo zrywali się od stołu. – Już go do doktorów wiozą.

– Martwego? – zdziwił się Zygmunt.

– Będą sprawdzać, co go zabiło. Takeście teraz sieroty. Póki nie wyznaczą kogo na jego miejsce, ja stary się wami zajmę. Przez to cholerne zamieszanie z przenosinami.

Ledwie miesiąc wcześniej stacjonowali jeszcze w Krakowie. Nikt nie był zadowolony ani z przeprowadzki do budynków po SS w tym całym Dziwnowie na końcu świata, ani z nazwy i zaszeregowania jednostki. Wszystko miało się zmienić, ale zmieniało się zbyt powoli jak na wymagania żołnierzy. Nawet sprzęt mieli tu gorszy.

– A wojna? – zapytał Wrona.

– Prawda, że porucznik zabił się w kiepskim momencie. Ale może to tylko takie straszenie? Bo to pierwszy raz by było? Pamiętacie, jak Rosjanie i amerykańscy imperialiści celowali do siebie z okrętów naokoło Kuby? Też żeśmy wtedy myśleli, że to już wojna. A rozeszło się po kościach. No, żryjcie, chłopaki, na zdrowie. Dziś jeszcze chyba możecie sobie odpocząć. Nikt was nie pośle do akcji zaraz po takich ćwiczeniach.

Kończyli posiłek w ponurych nastrojach. Niby każdy wie, że może zginąć.

W końcu jest w wojsku, i to prawdziwym, a nie w orkiestrze dętej. Co innego jednak ginąć w walce, a co innego podczas treningu. I to jeszcze tak głupio i strasznie. Nie żeby śmierć podczas ćwiczeń nie była znana w pierwszej kompanii rozpoznania, w której skład wchodził pluton Wrony. Przecież Marek trafił do niej na miejsce chłopaka, który utonął, gdy przekraczał rzekę podczas akcji podobnej do tej, z której właśnie wrócili. Też głupio, ale jednak jakoś inaczej niż podczas zwyczajnych ćwiczeń.

– Wojna, wojna, zawsze taka sama, giną chłopcy wieczór, giną chłopcy z rana – zanucił Bruno, gdy wychodzili ze stołówki. Nikogo nie rozbawił, tylko Topór dał mu w łeb otwartą dłoń. Zaraz skoczyli na siebie i musiał ich Wrona rozdzielać. Wszyscy ruszyli mu na pomoc. Marek odciągał Bruna, dziwnie zaciekle w próbie przywalenia Toporowi. Ten zaś dał się odepchnąć i stanął z boku, uśmiechając się lekko a krzywo, po swojemu. Jakby życie stanowiło dowcip, którego puentę on jeden zna doskonale. Kto wie, może i znał. Synek sztabowej szychy mógł wiedzieć rzeczy, które dla zwyczajnych chłopaków miały zawsze pozostawać tajemnicą.

– Topór, Bruno, kurwa! – Wrona najchętniej rozwrzeszczałaby się na całe gardło, ale nie chciał przyciągać uwagi. – Zapieprzajcie po plecaki i poganiacie w pełnym oporządzeniu po ryżowym polu. Pięć razy tam i z powrotem! Kicia!

– Co?

– Ty, kurwa, też! Biegiem!

Nikt się już więcej nie odezwał, bo po co prowokować kaprała. Zwłaszcza kiedy widać, że zły jak osa. Słyszać było tylko miarowe pokrzykiwanie Bruna: „Biegam z plecakiem właśnie dlatego, że jestem twardzielem ze szturmowego”.

„Swoją drogą – dumiał Marek – ciekawe, skąd ta złość kaprała? Bo dowódca plutonu zabił się podczas ćwiczeń? A może chodzi o tę wojnę, co wybuchła albo wcale nie? Może... Czy to możliwe, że Wrona się boi i za tą złością ukrywa strach? W końcu, jak i inni, poza Kaszlem, nigdy nie walczył naprawdę. Czy to możliwe, że...”

– Młody!

– Tak jest!

– Też chcesz pobiegać?

– No nie...

– To nie myśl tyle. Widzę, jak myślisz, aż ci się z uszu dymi. Nie wkurwiał mnie tym myśleniem, co?

Marek wytrzymał tylko do chwili, gdy położył się na pryczy. Zjedli, popili, teraz mieli chwilę na sen. Tyle się nauczył przez ostatni miesiąc, żeby wiedzieć, że nie powinien go marnować. Ale jakoś sen nie chciał przyjść, a myśli nie zamierzały odejść. Przesunął palcami po swastyce, którą ktoś wyrzeźbił w ścianie tuż nad jego głową. W pierwszym odruchu chciał ją zetrzeć nawet kosztem wydłubania dziury w ścianie, ale chłopaki mu nie pozwolili. „To znak naszego zwycięstwa” – wytłumaczył mu Topór. „Pamiątka po skurwysynach, których stąd wyrzuciliśmy”.

Odziedziczyli Dziwnów po Niemcach, i to z SS, przejęli po nich koszary i resztę zabudowań, fragment lotniska. Większość swastyk wyrzeźbionych nad drzwiami nie przeżyła entuzjazmu, z jakim wyzwoliciele niszczyli wszystko, co faszystowskie. Zniknęły portrety Hitlera, wrony udające orły i swastyki. W każdym razie te wielkie, łatwe do wypatrzenia. Kilka mniejszych zostało. Na przykład te wygrawerowane na nielicznych sztućcach, które przetrwały sprawiedliwy szaber, a także kilkanaście wyżłobionych w ścianach wojskowymi bagnetami. Przyglądając się „swojej”, Marek miał nadzieję, że szwab, który ją zrobił, zdechł. Że nie odpoczywa teraz w swoim ciepłym niemieckim domku, zagryzając piwo kielbasą. Mimo to czasem się zastanawiał, kim był ten facet i co mu siedziało w głowie. Nic normalnego, z pewnością. Naokoło swastyki wydłubał dziwne kreski, Topór wytłumaczył Markowi, że to runy, stary alfabet szwabów. Podobno wierzyli, że miały magiczne moce. „Durnie” – rzucił wtedy Topór. „Żadnej magii nie ma. To jeszcze gorsze opium dla ludu niż religia”.

Topór wychował się we Wrocławiu, to mógł tak uważać, ale Marek pochodził ze wsi, w której kiedyś, przed wojną mieszało się ze sobą Polacy i Żydzi, i trochę Niemców by się też znalazło, i Ukraińców, a jakby ktoś poszukał dokładniej, to i Ormian. Ktoś wychowany w takim miejscu nie wypowiadał z przekonaniem sądów o tym, że nie ma ani Boga, ani diabłów. Marek może żadnego w życiu nie spotkał,

ale znał takich, którzy je widzieli. A w każdym razie tak mówili.

Między innymi dlatego nie zatarł ani swastyki, ani tych całych run. Kto wie, czy nie ściągnąłby tym na siebie jakiego nieszczęścia. Odwrócił się na lewy bok, tak żeby nie widzieć przeklętego znaku. I wtedy wreszcie udało mu się zasnąć. Śnił, że razem z porucznikiem Kamyszewskim spada w ciemną toń. Prawie widział morze: jako hipnotyzującą czerń; jego szum nawoływał go. Spadali w milczeniu, powietrze huczało wokół. Aż wreszcie, tuż przed uderzeniem, Kamyszewski obrócił ku Markowi niezwykle spokojną twarz i powiedział: „Co tu będziecie ze mną ginać, szeregowy. Was gdzie indziej śmierć czeka. Wstawajcie, czas ruszyć jej na spotkanie”.

– Co?! – zawołał Marek. I otworzył oczy, nim zderzyli się z wodą ciemną, lodowatą i twardą jak kamień.

– Jak to „co”?! – wrzasnął na niego Wrona. – Pobudka, szeregowy! Zbieramy się! Na cholerną wojnę!

Marek potrząsnął głową, przetaił oczy. Zerknął za drzwi otwarte na oścież za kapralem. Dniało. Trochę pospał.

– Dziwka jednak wybuchła – rzucił z leżanki obok Kicio. – I kogo pierwszego bierze do dymania?

– Pierwszy Szturmowy zawsze gotowy! – W głosie Bruna nie było słyhać entuzjazmu.



Rozdział 4

2 czerwca, godzina 8.30, pod Krakowem, grupa dywersyjna pułkownika Masłowa

Moszego Feldmana pochowali w lesie jakieś trzydzieści kilometrów od Krakowa. To był błyskawiczny pogrzeb, choć długo kopali grób, bo musiał być głęboki. Wcześniej, jeszcze w Krakowie, zmienili samochód. Na wyjeździe z miasta w stronę Częstochowy Bergman kazał Harveyowi skręcić w bramę jakiegoś ponurego zakładu. Wpuścili ich zamaskowani ludzie, ewidentnie na nich czekający. Masłow powoli się orientował, że to wcale nie jest jego operacja. „Kieł smoka” – bo taki miała kryptonim – był operacją izraelskich służb specjalnych i Masłow musiał przyznać, że przygotowali ją perfekcyjnie, lepiej niż on sam. Zamienili karetkę na czarną wołęgę z przyciemnionymi szybami i ruszyli szybko dalej. Kiedy odjeżdżali, zamaskowani ludzie podpalili nowiutką jak z fabryki nysę i rozproszyli się w ciemności. Mosze Feldman był nieprzytomny, ale jeszcze żył. W momencie, w którym wyjechali z Krakowa, ocknął się na sekundę, westchnął ciężko i skonał. Bergman sprawdził mu puls na szyi i pokręcił z rezygnacją głową, patrząc na pułkownika.

Potem, w ciemnym lesie, złożonywszy ciało żołnierza do mogiły, Bergman pomodlił się nad nią po hebrajsku w ostatnim pożegnaniu. Za to, kiedy się odwrócił, przywitał się z lufą pistoletu swojego dowódcy przytkniętą do własnego czoła.

Masłow był wkurzony.

– Potrzebuję wyjaśnień, Bergman.

– Rozumiem, pułkowniku, ale proszę schować broń i zachowywać się rozsądnie.

Masłow przez chwilę – bardzo krótką chwilę – miał ochotę walnąć kapitana na odlew w twarz i patrzeć, jak krwawi. Słyszał jednak z tego, że perfekcyjnie potrafił

panować nad swoimi emocjami oraz znosił znakomicie wszelkie uciążliwości. Głód, zimno, żar, choroba, to właśnie były tylko nic nieznaczące uciążliwości. Gorzej było z miłością. Jako że dotąd jej nie poczuł, gdy się w końcu pojawiła, dopadła go z całą mocą.

– Nie miało was tu być – syknął wściekły.

Bergman, widząc jego zdenerwowanie, cofnął się o pół kroku.

– Dowództwo mojego kraju zasugerowało, że przyda wam się nasza pomoc, pułkownik. Zdaje pan sobie sprawę, że CIA od początku ustanowienia komunistycznego reżimu w tym państwie ponosi tutaj same porażki. Mimo że alianci po wojnie dysponowali prawie dwumilionową rzeszą doskonale wyszkolonych, zaprawionych w boju żołnierzy, czyli materiału na szpiegów doskonałych, nie udało wam się zinfiltrować PRL. Nam i naszym służbom przychodzi to łatwiej, choć oczywiście również nie bez strat. Zasugerowaliśmy waszemu dowództwu, że nasza sojusznicza pomoc jest tutaj bezcenna. Zgodzili się. My mieliśmy rację i dzięki temu jesteśmy tutaj. Żywi.

– Wszystko okej, jestem bardzo wdzięczny za pomoc. Zastanawia mnie tylko, jakim cudem w drugim zespole znalazł się żołnierz, który znaleźć się tam nie powinien. To ja byłem odpowiedzialny za dobór drużyn.

– Sara Berkowicz dołączyła do drużyny w ostatnim momencie jako oficer łącznikowy i wsparcie lingwistyczne na moją osobistą prośbę. Decyzja została zaakceptowana zaraz po pana wylocie. Przykro mi.

„Cholera – pomyślał Masłow – może to i dobrze, jeśli jej drużyna wykona zadanie na północy, a ja ze swoim oddziałem tam dotrę, to będę miał sprawy pod większą kontrolą. Jasne jest, że ze mną u boku Sara będzie miała większe szanse na przeżycie”.

Bergman, widząc, że wszystko na razie zostało ustalone, ruszył w stronę drogi, zatrzymał się jednak po chwili i odwrócił do dowódcy.

– Aha, miałem przekazać panu pułkownikowi jeszcze jedną rzecz. Kod akcji: „Chata wuja Toma”.

„No i po ptakach” – pomyślał Masłow i przestał nad sobą panować.

Zamachnął się i kolbą pistoletu uderzył Bergmana w twarz, łamiąc mu nos. Na usta kapitana obficie chlusnęła krew. Harvey w szoku rzucił się pomiędzy żołnierzy, osłaniając ciałem Izraelczyka przed swoim dowódcą.

– Pułkowniku, on uratował panu życie. Czyś pan oszalał?

Brzmiało to dramatycznie, ale było prawdą. Maslow jednak nie miał najmniejszego zamiaru się opanować.

– To jest bardzo proste – wysyczał. – Jeżeli coś jej się stanie, będzie czekało cię, Bergman, coś o wiele gorszego.

Bergman usiadł na ziemi, próbując zatamować krwotok z nosa.

– Nie wiedziałem, że was coś łączy, pułkowniku – powiedział gardłowym głosem Bergman. – A nawet gdybym wiedział, i tak bym ją wybrał, ponieważ jest najlepszym specjalistą do tego zadania. Pozwala pan uczuciom przesłonić prawidłową ocenę sytuacji. To nieprofesjonalne.

Maslow rzeczywiście pozwalał uczuciom wpływać na swoje decyzje, ale do tej pory miał przekonanie, że mimo wszystko ma sytuację pod kontrolą. Niestety „Chata wuja Toma” zmienia zasady gry i tylko on o tym wiedział. Wiedział też, że czeka go najtrudniejsza decyzja w życiu, i o to był naprawdę wściekły, bo gdyby nie Bergman, na pewno byłoby mu łatwiej.

Uspokoił się i usiadł obok Bergmana na ziemi. Był ciekaw, ile szczegółów akcji jego dowództwo zdradziło do tej pory Izraelczykom.

– Czy wie pan, kapitanie, jakie zadanie ma grupa na północy?

– Doskonale pan sobie zdaje sprawę, że im mniej wiemy, tym lepiej. W razie gdybyśmy wpadli w ręce wroga, będzie szansa, że ta druga, ważniejsza misja zakończy się sukcesem.

Kapitan cały czas trzymał rękaw czarnego swetra przy twarzy. Jednak jego krawędź szybko przesiąkła krwią, której kropelki zaczęły kapać na ziemię. Uspokojony Harvey pobiegł do samochodu i po chwili przyniósł kapitanowi kawał zwiniętego w kłębek bandaża.

Ten zabrał się do owijania uszkodzonego nosa. Maslow sięgnął mu do twarzy.

– Najpierw trzeba nastawić. Czego was uczą w tym Izraelu?

Chrzątka trzasnęła delikatnie. W letni poranek jednostajnie i delikatnie szumiący bzyczeniem muszek i żuczków niczym grzmot burzowy wdarła się z nagłą wykrzyczana gardłowym falsetem wiązanka hebrajskich przekleństw.

Usatysfakcjonowany Masłow poprawił przyjacielskim klepieniem w plecy, które zabiłyby słońca.

– No – stwierdził takim tonem, jakby sobie tu gawędzili towarzysko przy piwku cały wieczór. – Komu w drogę, temu czas. Jedźmy, kapitanie.

Wstał, otrzepując z igliwia spodnie na tyłku. Wycelował palec w stronę Ariela.

– *No hard feelings. Ay?*

Bergman westchnął ciężko i z wysiłkiem wstał. „Następnym razem – pomyślał – jeśli jeszcze kiedykolwiek dane mi będzie decydować w jego strefie działania, postaram się, żeby nie było w pobliżu żadnych kobiet”.

– *Ay!* Ruszamy zgodnie z planem?

– Zgodnie z planem, na północ. Tylko przez Poznań.

2 czerwca, godzina 8.30, Wiślica, grupa pościgowa MO

– Zbliżamy się. – Głos pilota w słuchawce hełmofonu przebił się przez apokaliptyczny hałas śmigłowca.

Kapitan Ksiondz dłuższą chwilę przyglądał się siedzącemu naprzeciw Papieżowi. Wysoki, przystojny, jasnooki oficer SB nie przypominał żadnego z dwójki zbirów, z którymi przed dziesięciu laty Ksiondz miał nieprzyjemność spędzić pamiętną noc na dołku w wojewódzkiej siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku. Było to dzień przed wstąpieniem Ksiondza do służby w MO, a owe zbiry tłukły go, gdzie popadnie, w poszukiwaniu niepewnych elementów w życiorysie. Jego samego i jego rodziny do trzeciego pokolenia wstecz. Wszystko przez dziwaczne nazwisko, jak wyjaśnił mu prowadzący przesłuchanie oficer.

– Służba w Milicji Obywatelskiej wymaga nie tylko poświęcenia, ale także pewności. Pewności, że do grona elity strażników młodej demokracji ludowej nie

trafią elementy niepewne klasowo. Jakbyście się nazywali Kowal, Bednarz, Hutnik, Węgiel, a nawet Sieczka, to tej rozmowy by nie było – tłumaczył spokojnie, paląc śmierdzące papierosy bez filtra. – Owszem, wasze nazwisko jest dosyć dziwnym przejęzczeniem, więc może i pochodzi od jakiegoś szarlatana, szamana albo klechy, co z babą uciekł. Nigdy nic nie wiadomo. Jedno jest pewne: jakby był Ksiądz, to byłby klops. Ale i tak my musimy być pewni.

Wydmuchiwał Olkowi w twarz kłęby dymu. Potem nakazywał podwładnym kontynuowanie rozmowy. Ci przy poważnym wsparciu wielkich jak bochny chleba, ale twardych jak ściany antyimperialistycznych schronów atomowych łapsk zadawali Ksiondzowi ciągle te same pytania: „Czy macie w rodzinie szarlatanów od opium dla ludu, towarzyszu?”, „Czy ojciec, matka, babka, pradziad pracowali na plebanii?”, „Czy wierzycie w Boga?”, „W jakiego Boga wierzycie?”.

„Ciekawe, jakich konotacji rodzinnych szukali u Papieża” – pomyślał Olo, podśmiewując się pod nosem.

Pół godziny wcześniej w telegraficznym skrócie Papież wyjaśnił kapitanowi sytuację.

Celem zuchwałego napadu na Wawelu była królewska zbrojownia i mieszczące się tam eksponaty. Otwarta rok temu, nie była tak dobrze zabezpieczona jak królewski skarbiec. Napadu dokonano w ostatni dzień, w którym zbrojownia „gościła” Szczerbiec. Na drugi dzień miał on wrócić do swojej stałej ekspozycji.

Wszystko szło napastnikom doskonale, dopóki nie natknęli się na wracających nad ranem oficerów BOR. Ci prędko uczyli się rozpoznawać i reagować na zagrożenia. Rozpętała się strzelanina.

– Oficerowie ci to porucznik Kęsek i jego kolega porucznik Gadzina.

– Tak, wiem, przecież spędziliśmy wspólnie wieczór w barze Smok.

– No, raczej spędziliście noc, panie kapitanie, w tym barze. Kierownik sali zeznał, że opuściliście lokal prawie o trzeciej nad ranem.

– Aj tam! – Olo zniecierpliwiony machnął ręką. – Obaj byliśmy po pracy, a Zbychu po czterdziestoosmiodzinnej służbie miał mieć fajrant do soboty.

Papież spojrzał na niego przenikliwie, odrywając wzrok od notatek na kolanach.

– Ja, pana kapitanie, o nic nie oskarżam, trzymajmy się tylko faktów. TERAZ w odróżnieniu od WTEDY jesteśmy w pracy. Bądźmy profesjonalistami.

– Nie wiem, kiedy opuściliśmy lokal. Byliśmy pijani. Dlatego mówię, że „wieczór”, bo pamiętam, kurwa, wieczór!

– No tak, to wszystko wyjaśnia – zgryźliwie odparł Papież.

– Ale to prawda z fajrantem. Porucznicy Kęsek i Gadzina, podobnie jak innych dwunastu oficerów, zostali zmienieni przez nowy oddział o godzinie dziewiętnastej wieczorem przed feralną nocą. Kęsek i Gadzina udali się do miasta w celach... hmmm... rekreacyjnych. Siedmiu oficerów wróciło do Warszawy ostatnim ekspresem o dwudziestej dwadzieścia. Reszta pozostała na kwaterach w Zamku Królewskim, ponieważ postanowili złapać pociąg rano, żeby nie tłuc się do stolicy sześć godzin po nocy.

– Napastnicy najwyraźniej nie spodziewali się poza stałą nocną strażą innych ludzi na zamku – referował dalej. – Rzeczywiście miało tam nikogo nie być, a najciekawsze w całej tej sprawie jest to, że jednak ktoś się tam znalazł. I to nie byle kto.

– Całe Biuro Polityczne KC PZPR – podsumował Papież.

Ksiondz przełknął nerwowo ślinę. Znał doskonale plotki i miejskie legendy mówiące o tym, że na Wawelu najwyżsi dostojnicy partyjni uwielbiali odprawiać orgie obżarstwa i pijaństwa w iście bizantyjskim stylu. Ale do owych bachanaliów zazwyczaj dochodziło tuż przed zjazdem Komitetu Centralnego, kiedy cała partyjna wierchuszka non stop na widelcu mediów musiała udawać komunistyczną wstrzeźliwość i pokorną służbę socjalistycznej ojczyźnie. Przez cały tydzień. Coś mu się jednak nie zgadzało. Przecież zjazd Komitetu Centralnego odbył się w zeszłym roku.

– Owszem – potwierdził Papież. – Ale jutro zaczyna się nadzwyczajny zjazd KC PZPR.

Ksiondz osłupiał. Nie zważając na to, oficer Departamentu IV SB kontynuował:

– W związku z dzisiejszym wydarzeniem przez ostatni tydzień członkowie partii i rządu wizytowali śląskie kopalnie i huty. Na koniec wizytowali Nową Hutę. To jest

bezpośrednia przyczyna ich obecności na Wawelu, a nie jakaś plotka, o której wy, obywatelu kapitanie, zapewne myślicie i o której MY doskonale wiemy.

Teraz Ksiondz sam miał ochotę odgryźć się esbekowi gadką o profesjonalizmie. Rok temu jego ludzie dowozili na Wawel obiad z Wierzyńka. Trzema starami 27. Ale ta jego cholerna ciekawość...

– Dzisiejsze wydarzenie?

Papież spojrział na zegarek, nowiutką raketę.

– No, chyba mogę powiedzieć. Za godzinę zaczyna się powszechna mobilizacja.

Ksiondzowi mimowolnie zaczęły się trząść ręce.

– Że co?

Papież wyszczerzył kły w wilczym uśmiechu.

– Nic więcej nie wiem. – Oczywiście Olo mu nie uwierzył, ale wiedział, że jeśli ten sam nie zechce powiedzieć, to on nic więcej z niego nie wyciągnie.

– Ale co wiemy w naszej sprawie? Znowu zamach, jak w pięćdziesiątym dziewiątym? Akt wojny? Co, do cholery? I skąd, za przeproszeniem, wy w tym całym bajzlu?

– Za przeproszeniem... – prychnął Papież. – Chyba nic z tych rzeczy. Dostaliśmy cynk od naszych kolegów z innych krajów internacjonalistycznej koalicji socjalistycznej, że do podobnych napadów doszło także u nich. W Czechosłowacji zrabowano na przykład koronę Wacława. Węgry, Rumunia, Bułgaria... potwierdzone napady. Cel: regalia, najcenniejsze przedmioty kultu religijnego, najcenniejsze pamiątki kultu państwowego takie jak broń czy najstarsze zabytki piśmiennictwa.

– Od jak dawna to wiecie? Czemu nie wzmocniono ochrony Wawelu?

– Ataki zaczęły się kilka dni temu, potwierdzone zostały wczoraj, a dalej czekamy na informacje z Albanii, Jugosławii czy Chin, czyli sojuszników, których służby nie są, powiedzmy, tak bardzo chętne do współpracy z nami jak reszta. W NRD na razie cisza. Ze Związku Radzieckiego dostaliśmy histeryczną notkę od naszych kolegów z KGB, żebyśmy się nie mieszały w ich sprawy. To zawsze oznacza, że i oni mają jakieś kłopoty, o których woleliby nikogo nie informować.

Nie mieliśmy czasu na reakcję, wszystko to jest bardzo świeże.

– A sprawcy?

– Nie udało nam się dotąd złapać nikogo żywego. Ci, którzy zostali zdekonspirowani, zginęli śmiercią samobójczą. Securitate nie była w stanie zidentyfikować sprawców. Podobnie jak pozostali przy życiu świadkowie w Bułgarii. Wygląda na to, że to jest robota agentów zgniłego kapitalizmu.

– Ale Szczerbiec? Przecież imperialiści jeszcze dwa lata temu mieli go w swoich brudnych łapskach. Mogli go nam nie oddawać, do cholery!

Papież wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może wyjaśni nam to ktoś z tej podejrzanej grupy, do której lecimy.

Oficer krótko objaśnił, że wedle meldunku z posterunku MO w Wiślicy miejscowemu sołtysowi bardzo podejrzana wydała się grupa rzekomych archeologów i historyków goszcząca na plebanii w katedrze. Większość śniada, ciemnowłosa i ciemnooka, i tylko baby jakieś takie blade. Gadają w dziwacznych językach, coś jakby hebrajski. Katedrę dla postronnych zamknięto już miesiąc temu, a do środka wpuszczano tylko jakieś podejrzane wojskowe ciężarówki.

– Ściągnąłem milicyjne oddziały, skąd tylko się dało: z Chrobrzy, z Buska i Pińczowa, z Kazimierzy i Korczyna. Właśnie w Korczynie na nas czekają i stamtąd ruszamy do Wiślicy. Mamy około trzydziestu funkcjonariuszy MO i siedmiu z terenowych oddziałów SB. Z Kielc ruszyły też na pomoc pododdziały z 4 Puławskiego Pułku Zmechanizowanego. Nie zdążą na czas, ale w razie czego będą w stanie zablokować wrogowi drogi ucieczki.

Wylądowali na placu obok starego korczyńskiego kościoła. Ksiondz zaczął powoli zauważać jakąś dziwną, ulotną i niepojętą prawidłowość w ostatnich godzinach. „Gdybym wierzył w Boga, to najpewniej byłbym przekonany, że miała coś wspólnego z siłami nadnaturalnymi” – z przekąsem pomyślał milicjant. Ciekawe tylko, czy diabeł, czy anioł macza w tym palce.

Kolumna uazów 69 z uzbrojonymi w broń maszynową oddziałami milicji i SB ruszyła na północny zachód w asyście śmigłowca. Dwadzieścia minut później

kapitan Aleksander Ksiondz modlił się całym sercem do jakiegoś boga o życie, pikując ku ziemi. Czarny, smolisty dym wydobywający się z uszkodzonego silnika dusił milicjanta i zmienił piękny, słoneczny czerwcowy poranek w parujące czernią, gorące piekło. Właśnie dostali się pod ostrzał ciężkiego karabinu maszynowego wroga.

2 czerwca, godzina 8.35, Wiślica, oddział GROZBA

– Wroga?! Jakiego znowu wroga?! – wrzeszczał kapitan Swoboda, biegnąc przez plac katedralny w stronę umocnień naprędce zbudowanych tydzień temu z worków z piaskiem. Kule świstały mu koło uszu, a huk rozbijanych szyb był ciężki do zniesienia.

– Wstrzymać ogień, do cholery, wstrzymać ogień!

Awinow biegł schylony tuż za nim, Białorusinka i Kazach pozostali w krypcie na rozkaz Polaka i mieli osłaniać tyły. Bardziej chodziło o to, że nie mieli czym walczyć, ponieważ ich broń leżała bezpiecznie w pomieszczeniu „zbrojowni”, czyli małym pokoiku na plebanii. Aby się do niej dostać, należało przebiec cały plac pod ostrzałem.

W niewielkiej odległości, ale poza obszarem chronionym prowizorycznymi umocnieniami, w niebo walił słup gęstego czarnego dymu. Dwoje żołnierzy z oddziału Awinowa prowadziło ostrzał ze stanowiska ogniowego przy bramie plebanii. Kątem oka zauważył Rumuna biegnącego z karabinem snajperskim w przeciwnym kierunku.

– Nicolae! – wrzasnął. – Nie!

Rumun w odróżnieniu od strzelających go usłyszał i zatrzymał się schylony. Był w drodze do umocnionego stanowiska snajperskiego na trzecim poziomie dzwonnicy gotyckiej katedry.

„O krok od katastrofy” – pomyślał Andrzej. „Z tej wysokości powystrzelałby tych idiotów jak kaczki”.

– Potrzebuję megafonu. – Widząc zdziwione wzruszenie ramionami żołnierza, zwinął dłonie w tubę i powtórzył: – ME-GA-FON!

Rumun kiwnął głową i pobiegł do katedry.

Swoboda z Awinowem dopadli wału z worków i kryjąc się przed pociskami MO, oderwali swoich od karabinów.

– Co wy, do cholery, robicie?! – pieklił się, trzymając sierżant Helgę Jaeshke za ramiona. Ta zdziwiona zdołała tylko wydusić, że to tamci zaczęli.

– Wstrzymajcie ogień! Czy wyście ochujeli?! Do swoich strzelacie?!

Po chwili dopadł do ziemi koło nich Nicolae i podał złożoną w tubę „Trybunę Ludu”. Swoboda zauważył, że była z zeszłego tygodnia. Spojrzał na podwładnego jak na kretyna.

– Megafon? To?

– A skąd ja ci megafon, kurwać, brać? – spokojnie odparł Rumun łamanym rosyjskim. – Brać co pod ręką.

Andrzej zwinął gazetę odrobinę swobodniej i kolejny raz wrzasnął, tym razem w prowizoryczną tubę.

– Ludowe Wojsko Polskie! Przestać strzelać, idioci!!!

Usłyszał jakieś odległe krzyki i nawoływania. Strzały ustały i po chwili postanowił zerknąć zza wału.

Śmigłowiec dymił, ale mimo to pilotowi udało się bezpiecznie wylądować. Uderzył co prawda w drzewo i ogon był w opłakanym stanie, jednak z wnętrza wydostali się ludzie, krztusząc się i kaszląc. Pilot wyciągnął z kabiny gaśnicę i próbował ugasić pożar silnika. Milicjanci kryli się za tyralierą z uazów, z czego dwa dymiły podobnie jak śmigłowiec. Swoboda spojrzał z wyrzutem na Helgę.

– No co! – zaperzyła się. – Miałam w powietrze strzelać? Ja widzę, że u was to tu taki Dziki Zachód. Najpierw strzelać, potem pytać. Jak atakują, to trzeba takich kowbojów usadzić w siodłach.

– W odróżnieniu od was najpierw strzelać i najlepiej o nic nie pytać – odburknął Swoboda. – Patrzcie, ile socjalistycznego mienia zniszczone. Wstyd.

Starszemu szeregowemu Targajowi Ettuwiewiczowi Gyrgołtaginowi rzeczywiście było wstyd. Jednak modlił się z wdzięczności do Wielkiego Boga

Niedźwiedzia, że ten w ostatniej chwili zesłał mu dowódcę. Kilka sekund i wyciągnąłby zawleczkę granatu, do którego rzucania przymierzał się w ferworze walki. Straty w socjalistycznym mieniu byłyby zapewne znacznie większe, nie mówiąc już o niepoliczalnych stratach ludzkich. To właśnie Czuczka pełnił wartę na posterunku, kiedy nastąpił najazd MO. Próbował ostrzec nadjeżdżających, ale kiedy kula z pistoletu świsnęła mu koło ucha, nie namyślając się, zawołał Helgę, a ta odpowiedziała ogniem z kałasznikowa. Kiedy sierżant ustanowiła stanowisko ogniowe, rozpętało się piekło. Za to teraz z głupkowatym uśmiechem Czuczka powolutku, wstydliwie schował granat na swoje miejsce w mundurze i delikatnie ściągnął palec z zawleczki. Uffff, nikt nie zauważył.

* * *

Milicjanci stali na baczność w szeregu. Większość patrzyła tępych wzrokiem do góry lub w dal, kilku pod nogi. Żaden natomiast nie patrzył w oczy groźnym przełożonym.

– Jeszcze raz pytam – wściekły kapitan Papież aż się popluł ze złości i kropelki śliny skrzyły mu się od słońca na brodzie – który wpadł na genialny pomysł, żeby strzelać?

Oczywiście odpowiedziała mu cisza.

– Który? – podniósł głos oficer. – Jeśli mi się tu ktoś nie przyzna, to wszyscy wylądujecie na Montelupich w Krakowie.

– Jako więźniowie? – pytając cieniutkim głosikiem, na odwagę zdobył się plutonowy Jan Burek, milicjant z maleńkiego posterunku w Chrobrzy.

– Nie, jako czyściciele więziennych kibli! – Teraz Papież już wrzeszczał.

– Aha. No więc, obywatelu kapitanie, możliwe, że w całym tym antyimperialistycznym zamieszaniu całkiem przypadkiem mogłem to być ja. – Jan Burek powoli i z ociąganiem wystąpił z szeregu naprzód. Wokół dało się słyszeć jedno wielkie westchnienie ulgi.

Papież podszedł do plutonowego i z trudem zapanował nad tym, żeby go nie trzasnąć w ten chudy, zafajdany, tępy łeb. Powstrzymał się jednak i wysłuchał

wyjaśnień. Już po sekundzie zaczęły go boleć uszy.

– No bo widzicie, obywatelu kapitanie, u nas, w Kieleckiem, to rzadko zapuści się jakiś zapluty orzeł... tfu... karzeł reakcji, a i to co najwyżej tylko wrednie stonkę ziemniaczaną nam podrzuci. My tu ze spluwami codziń nie latamy, przecie to żaden Dziki Zachód. No więc ja żem trochę nieuważnie odbezpieczył pukawkę i potknąłem się, jak szeregowy Butelka gwałtownie wozem przyhamował. Może być, że wtedy pistolet som wystrzelił.

Chwilę później kapitan dołączył do gremium na plebanii.

– Pistolet som wystrzelił – wyjaśnił zgromadzonym. Ksiądz proboszcz rwał włosy ze zgryzoty, bo okna wszędzie pobite. Studenci z Krakowa na wszelki wypadek dalej kryli się w krypcie i czekali, aż inni rozwiążą kryzys. Przy stole siedzieli żołnierze Swobody oraz Ksiondz. Swietłana razem z gospożą księdza przygotowywała wszystkim gorącą herbatę. Papież najchętniej walnąłby sobie setkę wódki, bo dalej mu ręce drżały.

– Zagoniłem towarzystwo do sprzątnia. Dwóch jedzie po szklarza – uspokajał księdza proboszcza.

– Cud, że nikomu nic się nie stało – stwierdził Swoboda. Oprócz zniszczonego sprzętu, poparzonej ręki jednego z milicjantów oraz zwichniętego ramienia pilota śmigłowca rzeczywiście strat w ludziach nie było.

– Czy możemy się w końcu dowiedzieć, czemu zawdzięczamy tę obywatelską wizytę? – odezwał się po dłuższej chwili ciszy Swoboda.

Odpowiedział mu Ksiondz:

– W Krakowie doszło do zuchwałego napadu na Wawelu. Skradziono bezcenne eksponaty ze zbrojowni. Kazaliśmy szukać po kraju podejrzanych grup. Myśleliśmy, że to wy.

Zauważył, że żołnierze ze zdziwieniem na siebie popatrzyli. Było w tych spojrzeniach coś jeszcze. Konsternacja?

– W Krakowie? Przecież tam nie ma nic wartego... – Swoboda zastanowił się i zamilkł.

Awinow zwrócił się po rosyjsku do Papieża.

– Mówicie w moim języku?

– Tak, słabo piszę, ale gadam całkiem, całkiem – uśmiechnął się Papież.

– Czy ten napad na zamek był podobny do wcześniejszych u innych naszych sojuszników?

Papież zgłupiał.

– To wy o nich wiecie?

Swoboda westchnął i odpowiedział:

– Oczywiście, że wiemy. Jesteśmy *Otdielenije agenturno-opieratiwnoj razwedki dla bojowych i antropologicznych zadań (specjalnego naznaczenia)*, Nadzwyczajną Grupą Rozpoznania do Zadań Bojowych i Antropologicznych pod dowództwem połączonych sztabów Układu Warszawskiego. Po polsku wychodzi z tego skrót GROZBA. I to jakoś tak nam się wszystkim przyjęło.

Milicjanci spojrzeli z niedowierzaniem na ośmiu siedzących naprzeciw żołnierzy, przedziwną mieszankę ludzkich genomów pochodzących z terenów od Syberii aż po Konstancę.

– Możecie nie wierzyć, ale coś podobnego imperialiści mają u siebie. Dlatego tu jesteśmy. W związku z intensywną aktywnością imperialistycznych agentów co najmniej od roku mamy za zadanie strzec szczególnie cennych polskich zabytków. Nikomu nie wpadło do głowy, że w Krakowie może być coś wartego tego typu ryzykownej akcji.

– Poważnie? – jęknął Ksiondz. – Nie wpadło wam do głowy, że mogą wykraść Szczerbiec?

Porucznik Elnur Bjul-Bjul wykrzywił brzydko usta w zdziwieniu i wyjaśnił po rosyjsku z wyraźnym azerskim akcentem:

– Szczerbiec? Ten kawałek bezużytecznego żelastwa?

Milicjanci mieli zgodnie zaoponować, ale do sali wparował ksiądz proboszcz.

– Boże, Boże! – krzyknął, przeżegnawszy się. Kilkoro żołnierzy popatrzyło na niego z nieukrywanym obrzydzeniem, byli w końcu prawdziwą elitą komunizmu, dla której opium dla ludu to obcy, narzucony przez kapitalistów, wrogi abstrakt

duchowy. Zainteresowali się jednak tym, co kapłan miał do powiedzenia, a ten zwrócił się do Swobody:

– Panie kapitanie! – Usiadł przejęty naprzeciw. – Dzwonili z kurii krakowskiej, sam biskup Wojtyła! Jak prosiliście mnie, panie kapitanie, tak i ja prosiłem kurie, żeby w razie czego nas informowali. No więc stało się: w Poznaniu ukradziono miecz.

Bjul-Bjul zaklął szpetnie. Na szczęście po azersku, więc nikt go nie zrozumiał. Inaczej ksiądz znów musiałby się przeżegnać, a kilkoro żołnierzy znów чуłoby obrzydzenie.

– Miecz Świętego Piotra? – upewnił się.

Ksiądz zdziwiony przytaknął, Swoboda zerwał się na równe nogi.

– Nie ma czasu do stracenia. Trzeba ich dorwać.

Bjul-Bjul podszedł do Awinowa i Swobody.

– Cholera, ciekawe, czy wiedzieli, że tu jesteśmy. Miecz był drugi na naszej liście.

Kapitanowie wymienili spojrzenia.

– Myślę, że prędzej obstawiali, że nas tam nie ma.



Rozdział 5

3 czerwca, godzina 0.23, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego, Dziwnów

Upchnęli ich w samolocie An-12, zdziwionych nie tyle wybuchem wojny i tym, że miała się ona rozpocząć od ich akcji, ile faktem, że kazano zbierać się do akcji właśnie im. To by znaczyło, że naprawdę coś zaczęło się dziać i nawet żołnierze, którzy ledwie co wrócili z wyczerpujących ćwiczeń, musieli się zbierać do akcji. Ruszali w polskich mundurach, co też ich zdziwiło. Najbardziej sarkał na to Kicia, któremu w głowie się nie mieściło, że ćwiczył całymi miesiącami w niemieckim i amerykańskim umundurowaniu po to, by nigdy z niego nie skorzystać. Siedział pomiędzy Markiem a Zygmuntem i mamrotał litanie przekleństw, póki do samolotu nie wgramolił się Kaszel.

No i jeszcze podczas szybkiej odprawy wyszło na jaw, że wszystkie plany, by po wybuchu wojny lecieli do Danii wysadzać tam imperialistyczne rakiety, zdały się psu na budę.

– Lecimy do Danii? – zapytał Wrona, podobnie jak inni niemający pojęcia, co się szykuje, gdy przyszedli na odprawę, siedli między innymi plutonami, równie zdumionymi jak oni.

– Kto zaatakował? Nasi czy tamci? – wyrwał się z pytaniem radiotelegrafista (jak inni zwany w batalionie „radziem”) Trucht, który razem z sanitariuszem Mrużewskim dopiero co wrócił z osobnego treningu. Nie wysłano ich z drużyną do Niemiec, żeby uczyła się walczyć w okrojonym składzie, bez medyka i łącznościowca.

– Oczywiście, że tamci. – Kaszel skrzywił się, siadając obok Wrony. – Przecież nie nasza miłująca pokój socjalistyczna ojczyzna.

Wszystkie szepty umilkły, gdy na salę wszedł dowódca batalionu.

– Słuchajcie, co wiemy na teraz – rozpoczął major Czesław Mitkowski. Stał na tle wielkiej mapy Europy w pomieszczeniu, w którym, być może, podczas wojny odprawy przeprowadzali Niemcy. – Tamci uderzyli jednostkami specjalnymi. Wszędzie. Znaczący, u nas i w Związku Radzieckim, w Czechosłowacji. Chyba chcieli wywołać rewolucje. Prawdopodobnie ich armie są gotowe do ofensywy. Ale jeszcze nie ruszyły. I nasza w tym głowa, żeby już ruszyć nie zdołały. Dowódcy plutonów do mnie po rozkazy! Co do pozostałych, powodzenia! Oczekuję was tu z powrotem żywych.

Porwali się, by stanąć na baczność i zaszalutować, nim pognał dalej otoczony wianuszkami oficerów i podoficerów. Ponieważ sam wyglądał na przejętego, razem z nim przejęli się wszyscy. Wyszli na zewnątrz, odruchowo grupując się wedle plutonów, przeważnie milcząc, ale zerkając jeden na drugiego. Powyciągali papierosy, ale wiele nie mówili. Rozgadali się dopiero, gdy wrócił do nich sierżant ze zdjęciami i mapami w rękach.

– Nie lecimy do Danii – wyjaśnił im szybko. – Naszym celem są Niemcy.

– Dopiero co stamtąd wróciłem! – jęknął Kicio.

– Ty, kochanieńki, wróciłeś od naszych dobrych niemieckich towarzyszy – ofuknął go Kaszel. – A my lecimy bić faszystów. Poznacie, jaka to radość.

Kaszel, który zaczynał jeszcze w Polskim Samodzielnym Batalionie Specjalnym w 1944, coś o zabijaniu faszystów wiedział. I widać było, że nie żartował z radością. Naprawdę się palił, by postrzelać do szkopów. Zastępstwo za Kamyszewskiego spadło mu jak gwiazdka z nieba.

– Skupcie się! – warknął Wrona zły, nie tak jak zwykle, gdy czasem kapralował na pokaz, ale naprawdę.

Pochylili się, na ile mogli, nad mapą rozkładaną właśnie przez Kaszla na stoliku. Na szczęście orientowali się w niej nieźle, wykuwali mapy Niemiec na pamięć.

– Inaczej to powinno wyglądać – przyznał sierżant. – Ale psiekrwie zaskoczyły nas wszystkich. To i reagujemy szybko. Do tego byliście szkoleni, nie? No to patrzcie. Tu jest Frankfurt nad Menem. A sto trzydzieści kilometrów od niego

amerykańska baza Ramstein. Według naszych danych stacjonuje tam 86 dywizja powietrzna. Przede wszystkim jednak to wyśmienita trasa dla ich jednostek przez Ren. Mamy im to trochę utrudnić, wysadzając ten most tutaj, pod Laubenheim. Ale zanim to zrobimy, rozwalimy niemiaszkom tory, o tu, na tym moście.

– Czyli lądujemy po zachodniej stronie, wysadzamy most kolejowy, a potem zwyczajny? – upewnił się Kicio. – I zostajemy po niewłaściwej stronie Renu?

– Patrz, łązęgo, najpierw załatwiamy most kolejowy tutaj. Ten drugi jest położony ledwie pięć kilometrów dalej. Lekka przebieżka. Cała policja poleci na kolejowy, a my przebiegniemy kawałek... No chyba że słynny mistrz Kicio rąbnie jakieś autko. Co byłoby dobrze widziane przez dowódcę, czyli mnie. Rozwalamy drugi most i wracamy na ojczyzny łono. Znaczy, za linię frontu. Bo nasi ruszą niedługo po świcie.

– Prawie siedemset kilometrów – jęknął Zygmunt.

– Nie bądź defetystą! – Sierżant pogroził mu palcem. – Ledwie połowę z tego, bo socjalistyczna ojczyzna zaczyna się już u naszych szkopskich braci w NRD.

– Którzy po ostatnim wypadzie mogą nas kochać trochę mniej – skrzywił się Marek.

– Bo na pewno zapamiętali wasze wredne mordy. Myślcie o poważnych sprawach. Młody, tu masz zdjęcia tych mostów. Patrz, kolejowy: trzy przęsła. Celem jest wyłączenie go na chwilę, żeby Amerykanie nie mogli od razu przerzucić tamtędy wsparcia. Szybka robota. Z drugim tak samo. Pobierzecie, ile trzeba, materiałów wybuchowych. Tylko myśl szybko, Młody. Z tego, co rozumiem, nasi planują urządzić faszystom blitzkrieg. Ale zanim zaczną, my załatwiamy wszystko po cichu. Nie udajemy całej Armii Czerwonej. Trasa ewakuacji... Zobaczymy, jak szkopy zareagują i jak się front ułoży. Jest sugestia, żeby nie wiać prosto na wschód, bo to trasa zbyt oczywista, ale sami zobaczymy. Pytania?

– Milion – bąknął Kicio, ale po cichu, ledwie sam siebie słyszał.

– Jakie dostaniemy wsparcie? – Topór rzucił czerstwym dowcipem, ale wszyscy zgodnie zarechotali.

– Słuchajcie, chłopaki – Kaszel odczekał, aż ostatnie śmiechy ucichły. – To

będzie spacerek. Dzisiejsze szkopy to już nie to, co kiedyś. Dostali po dupach i pamiętają o tym, a Amerykanie pilnują, żeby nie mieli wojska z prawdziwego zdarzenia. Weźmiemy ich z zaskoczenia, a potem skorzystamy z chaosu i czmychniemy. Nawet nie będą wiedzieć, co w nich uderzyło. Do roboty, bo za dwadzieścia minut startujemy!

Sam zebrał się niezgrabnie, nagle wydał się Markowi jeszcze starszy i bardziej zmęczony. On, w przeciwieństwie do reszty komandosów, dokładnie wiedział, w co się pakowali. W samolocie Kaszel przysiadł na ławie prawie naprzeciwko Kicia, mrugnął do niego, po czym zagłębił się w studiowaniu mapy. Wrona zerkał mu przez ramię.

Kicio przymknął oczy. Nadal nie wyglądał na szczęśliwego. Może przez to, że musiał biegać po cholernym bagnie nazywanym nie wiadomo dlaczego „ryżowym polem”? Spał przez to krócej, a przecież nie zasłużył. Zdążył ostrzec chłopaków przed szkopami. A potem jeszcze ściągnął ogień na siebie. Zwyczajnie nie ma sprawiedliwości na świecie. Teraz też ciążył mu zasobnik załadowany sprzętem, w tym materiałami wybuchowymi, bo służył za wsparcie saperskie Młodemu. Na kolanach trzymał swoje pmK 47, w kaburze tetetkę. Spadochron ważył siedemnaście kilogramów. Kicio dziękował Bogu, że nie dołożyli mu jeszcze ważącej prawie trzynaście radiostacji R-350, z którą musiał się mordować Trucht.

Policzył do dziesięciu, nim otworzył oczy. Rozejrzał się po wnętrzu samolotu. Chłopaki wyglądały na spokojnych. Bruno oczywiście coś tam mamrotał, pewnie składał swoje durne wierszyki. Topór się uśmiechał, jakby miał iść na dziwki, a nie na wojnę. Pozer. Kiedy zobaczył, że Kicio mu się przygląda, uśmiechnął się jeszcze bardziej krzywo, wyciągając przy tym wyrazisty podbródek przed siebie, bo sądził, że wygląda wtedy twardziej. Mrużewski przeliczał jak opętany bandażę, które poupychał po kieszeniach, żeby mieć je pod ręką. Zygmunt próbował uśmiechać się na wzór Topora. A Młody...

– Ten kolejowy ma jakieś pięćset metrów długości. Założymy ładunki równocześnie, ja pod pierwszym przęsłem, ty drugim... – planował. – Ile sobie zostawimy? Dziesięć minut?

– Lont pięciominutowy pali się trzy minuty – odburknął Kicio.

– Z lontami skończyliśmy w czasach dynamitu. Masz zasobnik wyładowany plastikiem. Wiesz o tym? O zapalnikach? Pamiętasz szkolenie?

– Cholerny z ciebie saper, wiesz?

– Módl się o to. To jak? Dziesięć minut?

– Daj dwie. Co to dla nas.

– Oj, Kicio...

– Powiedz mi, czemu mamy wysadzać cholerne mosty? Nie mieliśmy się skupiać na raketach? Wiesz, żeby Amerykanie nie spopieliłi nam Polski przy pierwszym ataku. Bo braterska Armia Czerwona będzie musiała jechać przez Polskę, to najkrótsza trasa, nie? No to jakbym był amerykańskim generałem czy innym prezydentem, waliłbym w nas, ile wlezie.

– Nie wiedziałem, że zostałeś dowódcą sztabu, Kicio – wtrącił się Kaszel, nie podnosząc wzroku znad rozłożonej na kolanach mapy. – I że masz tak pięknie zaplanowane operacje na całym froncie.

– Ale głupio mówię, sierżancie?

– Kicio! – warknął Wrona. Gdyby nie siedzieli w samolocie, pewnie już kazałby mu biegać.

Kaszel uniósł uspokajająco rękę.

– Chłopcy, chłopcy – pokręcił głową. – Zawsze niższym szarżom zdaje się, że są najmądrzejsze, a od każdego awansu ubywa żołnierzowi rozumu. Co wy wiecie o sytuacji na świecie? O rozłokowaniu sił imperialistycznych? O tym, jakie sztuczki opracowali Rosjanie? Kto wysłał pierwszego człowieka w kosmos? Amerykanie? Nie, my, komuniści. Więc może nas teraz chronią przed raketami amerykańskimi nasze, z kosmosu? Kto wie? Ty, Kicio? Lecimy wysadzać mosty. A jak nam potem każą wysadzić skład amunicji, to wysadzimy. A jak powiedzą, że potem mamy wystrzelać Bundestag, to wystrzelamy. Tak jest czy nie?

– Tak jest! – zawołali.

– A jak nam każą zabezpieczyć niemieckie burdele, to co zrobimy?

- Zabezpieczymy! – odpowiedzieli.
- Ty też, Kicio?
- Ja pierwszy! Do wszystkiego, sierżancie, ale najbardziej do burdeli!
- Tak trzymać, chłopaki. A teraz stulcie pyski i dajcie pracować staremu.

Nie upilnowali języków przez całą drogę, nadzwyczaj spokojną, bo nikt do nich nie strzelał. Taka wojna nawet Kiciowi odpowiadała, zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko tak na początek. Gdy tamci może jeszcze nie wiedzą, że przegięli. Że Układ Warszawski nie boi się ich cholernych bomb.

Rzecz w tym, że Kicio się ich bał. Im więcej się dowiadywał o broni atomowej, tym bardziej był przerażony. Dlatego cieszył się, że do zadań Pierwszego Szturmowego miało należeć neutralizowanie rakiet balistycznych, naprowadzanie bombowców na ich cel. A tu masz, lecą wysadzać mosty. Mógł sobie Kaszel gadać, co chce, ale jak tylko Armia Czerwona ruszy, Amerykanie odpalą rakiety. Kicio tak właśnie by zrobił. I wszystkie koty w Polsce wyparują. Koty, dziewczyny i rodzice Kicia.

Tak się zamyślił, nakręcając się własną złością, że przegapił większą część podróży. Nagle światło w samolocie zmieniło się na żółte i Wrona poderwał się, by odsunąć właz. Zanim się Kicio zorientował, stał już z chłopakami w szeregu.

Światło zmieniło się na niebieskie i po tym nie było już czasu na myślenie. Przed Kiciem skakał Bruno. Coś tam krzyknął i zniknął w ciemnościach. Sekunda przerwy, klepięcie w ramię i Kicio następny. Rozłożył ręce i nogi, tworząc z siebie wielkiego iksa na wolne otwarcie. I w dół, w ciemność. Pod sobą, lekko na prawo zobaczył światła miasta. To pewnie Frankfurt nad Menem. Ciemny pas między nim a mniejszym miastem to pewnie Ren. Pieprzony Ren z pieprzonymi mostami. Wysadzą je, pewnie, że tak.

Zasobnik ciągnął Kicię w dół. Odliczał, nie zwracając na to uwagi. Dziesięć, dziewięć... Gdy doszedł do zera, Kicio uwolnił czasę. Rozkwitła nad nim półokrągła, ciemna, piękna. Szarpnęło, ziemia przestała gnać ku Kiciowi w zawrotnym tempie. Odetchnął. I wtedy właśnie przypomniał sobie, co gnębiło go przez całą drogę.

„Jasna cholera, przecież ja jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem!”

Podobnie jak wszyscy z wyjątkiem Kaszla. Czy dadzą radę, gdy przyjdzie co do czego?

Zasobnik stuknął o ziemię, Kicio ugiął nogi, wylądował jak mistrz, lepiej niż na ćwiczeniach. Może chodziło o to, że nikt nie patrzył? Zwijał linki, rozglądając się na boki. Gdzie są chłopaki? Czy wszystkie wolne zasobniki wylądowały, jak trzeba?

Odliczali w ciemnościach. Dobrze, są wszyscy! Teraz zasobniki. Z amunicją, z materiałami wybuchowymi, z cholerną ciężką radiostacją dla zestresowanego radzia...

– Linki zasobnika z żarciem zaplątały się w jedwab – meldował Wrona. – Jebnęło, sierżancie, że nie ma co zbierać. Puszki wyglądają jak placki. A huk było słychać chyba i w Berlinie.

Dziwne, Kicio nic nie słyszał.

– Zakopujemy spadochrony? – zapytał.

– Prędko. Ten uszkodzony zasobnik zamaskujcie nimi od góry, podsypcie ziemią. – Sierżant zerknął na zegarek. – Druga. Dobra godzina, chłopaki. Zaczynamy tę wojnę!



Rozdział 6

3 czerwca, godzina 11.00, Wewelsburg, RFN

Smutny, cichy mężczyzna po czterdziestce, w skórzanej kurtce, kiedyś zapewne brązowej, teraz poprzecieranej i połatanej tak, że straciła jednolity kolor, snuł się zamkowymi korytarzami, ze znużeniem wczytując się w ulotkę mającą zastąpić mu przewodnik. Dowiedział się z niej, że zamek wzniesiono w latach 1603–1609 i jest on jedną z ostatnich takich istniejących budowli na planie trójkąta. Poczytał o biskupach z Paderborn, dla których zamek był przeznaczony, a nawet dowiedział się wiele o stylu renesansowym w niemieckiej architekturze.

Tylko o SS i ześwirowaniu Himmlera było w ulotce niewiele.

Zerkał czasem przez okna na dolinę Alme, rozświetloną pięknie o tej porze, na czerwone dachy domów miasta Büren, doskonale widoczne z zamkowego wzgórza, i dumał nad tym, co też robili wszyscy ci sympatyczni mieszkańcy, gdy szaleni chłopcy Himmlera składali w piwnicach zamku ofiary z ludzi. O ile legendy na ten temat nie kłamały. Czemu miałyby kłamać, mężczyzna nie wiedział. Do SS nie przyjmowano sympatycznych ludzi. A szaleńcze mistyczne bzdury, jakimi bombardowano im łby, nie poprawiały sytuacji. To nie przypadek, że podczas wojny tych drani rozwalali na miejscu nie tylko Rosjanie, ale także znacznie mniej popędliwi w tych kwestiach Amerykanie.

Wyglądał więc przez okna, przypatrywał się zdjęciom zawieszonym na ścianach, wczytywał w tablice informacyjne. Poświęcał uwagę wszystkiemu, tylko nie dwóm kobietom także zwiedzającym zamek. Tak się jakoś złożyło, że przybyły na Wewelsburg niedługo po nim. To raczej one dreptały jego śladami, a nie on ich, ale to on pilnie dbał, by nie oddalały się od niego.

One również na niego nie patrzyły. Rozmawiały ze sobą po angielsku, ale z amerykańskim akcentem. Ponieważ znał ten język, zdołał wyłapać kilka zdań. Kobiet nie interesowali biskupi, a i renesans tak sobie. Były za to zafascynowane historią ostatnich trzydziestu lat.

Młodsza, wysoka brunetka, miała pięćdziesiąt lat. Zaczynała od badań nad haitańskim voodoo, ale podczas wojny, wspólnie ze starszą i niższą koleżanką, której i teraz towarzyszyła, zajęła się kwestią morale niemieckiej armii. I choć posiadała już wówczas tytuł doktora antropologii, zdobyty zresztą w Londynie u profesora Malinowskiego, jej badania nie miały wiele wspólnego z pracą naukową. Obie amerykańskie turystki, sprawiające sympatyczne wrażenie, pracowały wtedy dla OSS. A gdy po wojnie przekształciło się ono w CIA, nadal wykonywały dla niego zlecenia. Podobno odeszły ze służby w latach pięćdziesiątych, ale mężczyzna w wytartej skórzanej kurtce wiedział, że Amerykanie znowu je zaktywizowali. Podobnie jak całe cholerne SfAA.

A ponieważ kiedy w 1941 roku powoływano Stowarzyszenie Antropologii Stosowanej, miało to związek z szykowaniem się przez USA do wojny, przełożeni mężczyzny w przetartej kurtce uznali całą sprawę za interesującą. Chętnie by się z nimi zgodził, gdyby tylko wiedział, o co im naprawdę, u licha, chodzi. Może po prostu ujawniła się jego stara dobra siostra paranoja, ale zaczynał podejrzewać, że cała ta akcja, włącznie z powołaniem Zespołu Camelot, miała na celu złapanie „Piątego”. Po świeżej ucieczce Philby’ego starcy z gromadzącego informacje pozyskiwane od wszystkich pozostałych służb JIC dostali szału, przekonani, że oprócz Philby’ego, Macleana, Burgessa i Blunta musiał dla Sowietów szpiegować ktoś jeszcze, ktoś, kto na przykład był na tyle mocny, by pomóc Philby’emu uciec, choć MI6 miało go już na widelcu. Paranoja JIC udzieliła się wszystkim i tak MI5, jak i MI6 ganiały za własnymi cieniami, wypatrując zdrajców.

„Ciekawe, co by z nimi zrobili” – zastanawiał się mężczyzna w wytartej kurtce. Przecież po zdemaskowaniu Philby’ego nawet go nie zamknęli. Zdecydowanie Rosjanie byli pod tym względem znacznie bardziej praktyczni.

I wtedy właśnie, w samym środku tego szaleństwa, pułkownik Cross wezwał go

do siebie, żeby poinformować o zaszczytnej przeniesieniu z Wydziału F do Zespołu Camelot. Nie miało to najmniejszego sensu, ponieważ z jednostki zajmującej się kontrolowaniem komunistów przenoszono go do zespołu, którego celem było nic innego jak szpiegowanie największych sojuszników. Prawda, że sojuszników ciągle jeszcze obrażonych na synów Albionu za podrzucenie im sowieckich szpiegów do Programu Manhattan i zdegradowanych głębokością infiltracji brytyjskiego wywiadu przez KGB i GRU. Sojuszników, którzy nie przekazywali Brytyjczykom informacji, jeśli naprawdę nie musieli. Ale wciąż sojuszników.

„Widzę, że jesteś zdumiony, John” – oznajmił wtedy pułkownik, siwiejący elegancki mężczyzna w typie Montgomery’ego. „Ale zapewniono mnie, że nadajesz się do tej roboty jak mało kto. Pracowałeś w B1A, nieprawdaż?”

Tak, John zajmował się kiedyś prowadzeniem podwójnych agentów. Ze strachu co dzień miał wtedy biegunkę. Przeniesienie do Wydziału F powitał jak zbawienie.

„No właśnie” – ucieszył się pułkownik. „Do tego masz doświadczenie bojowe, przeszedłeś szkolenie dywersyjne, prawda? Znasz niemiecki, rosyjski, polski...” – przy tym ostatnim zawiesił głos. Nie musiał dodawać nic w stylu: „Jasne, John, nazywasz się teraz Stonebridge, bo przyjąłeś nazwisko żony i oczywiście zostałeś wiernym poddanym Królowej, oddałeś niebagatelne zasługi Koronie, ale wszyscy pamiętamy, że tak naprawdę jesteś Polakiem, który tylko wyjątkowym fuksem nie skończył jako barman w podrzędnej spelunie albo wykwalifikowany drwal na Syberii. Więc stul pysk, John, i grzecznie rób, co ci każemy. Miałeś cholernie dużo szczęścia i nie jesteśmy pewni, czy na nie zasłużyłeś”.

Cross wymienił wszystkie zasługi Johna, by oznajmić mu następnie, że odsuwają go na boczny tor. Bo czym innym mogło być działanie w Zespole Camelot?

Kiedy pierwszy raz zapoznawał się z materiałami, pomyślał, że w JIC i zarządzie MI5 muszą stroić sobie z niego żarty. Oto okazało się, że Amerykanie przeprowadzają coraz więcej operacji na terenach Imperium, nie tylko w koloniach, ale i w samym sercu: w Anglii. To oczywiście nic nowego, jankesi szarogęsili się już od czasów wojny. A kiedy w latach pięćdziesiątych odkryli, jak bardzo zinfiltrowany przez Sowietów był brytyjski wywiad, przestali sprawiać choćby pozory.

Zachowywali się, jakby chcieli objąć kontrolę nad Bliskim Wschodem, nie inaczej postępowali w Europie. Rzecz więc nie w tym, że rozpychali się w tradycyjnych brytyjskich strefach wpływów, ale w tym, po co robili to tym razem.

John przerzucał dokumenty, a jego zdumienie rosło i rosło. Czego tam nie było! Stowarzyszenie Thule skupiające germańskich mistyków jeszcze przed wojną, akta Rudolfa von Sebottendorfa, który zwariował na punkcie okultyzmu i Zakonu Thule mającego ponoć czcić szatana. John czytał o tym, jak Sebottendorf uciekł po rozwiązaniu Thule do Turcji, gdzie też poświęcił się szukaniu jakichś starożytnych zaginionych miast. I kiedy już kapitan John Stonebridge, niegdysiejszy cichociemny Jan Kowalak, był pewien, że nic go nie zdziwi, dowiedział się z akt o matematyku Krafcie, który przewidział zamach na Hitlera i w ministerstwie propagandy opracowywał dla Goebbelsa przepowiednie Nostradamusa, i o Eriku Hanussenie – astrologu, hipnotyzerze i chiromancie przepowiadającym Hitlerowi zwycięstwa. Z rosnącym niedowierzaniem czytał o bułgarskiej mistyczce Babie Wandze, którą, jak się właśnie dowiedział, w 1962 roku próbowali uprowadzić amerykańscy komandosi. Bo sojusznicy, najpotężniejsi obecnie obrońcy świata Zachodu, najwyraźniej zwariowali. Jak w latach czterdziestych walczyli z Rosjanami o to, kto więcej zagarnie dla siebie niemieckich speców od rakiet i broni atomowej, a po wojnie urządzali z Rosjanami strzelaniny o dzieła sztuki, tak teraz zaczęli wyciągać spod ziemi zapomnianych niemieckich mistyków. Podobno wysłali małą armię do Argentyny, żeby porywała stamtąd przyczajonych w dżungli emerytowanych hitlerowców, co omal nie doprowadziło do poważnego kryzysu z Izraelem, który też posyłał tam swoje komanda, ale w trochę innych celach. Amerykański wywiad od kilku lat werbował szamanów, kapłanów i jasnowidzów, a ostatnio zaczął nawet przekupywać brytyjskich historyków specjalizujących się w historii starożytnej i średniowiecznej Wysp Brytyjskich. A do tego uruchomił starą siatkę antropologów pracujących dla nich podczas wojny.

Wszystko to, zdaniem Johna, nie miało najmniejszego sensu. Dlatego uznał, że stał się ofiarą prowokacji; być może obiektem kolejnej akcji, której celem miało być znalezienie mitycznego „Piątego” paczki z Cambridge – ostatniego wysoko

postawionego w strukturach wywiadu ruskiego szpiega. Tym bardziej że do Zespołu Camelot oprócz niego przydzielono głównie podobny do Johna niepewny element. Dwóch Hindusów, jakiegoś chudego milczka, który ponoć pracował ze słynnym „Jimem” Skardonem, i Serbkę mającą być oficjalnie „asystentką” pułkownika Crossa. Johnowi nie podobał się szczególnie wychowanek Skardona, najsłynniejszego w Anglii łowcy szpiegów. Jego obecność tylko potwierdzała podejrzenia, że cała ta akcja to pic na wodę.

Jednak musiał przyznać, że Amerykanie rzeczywiście robili wszystkie te dziwne rzeczy. Dlatego gdy się dowiedział, że Margaret Mead i Rhoda Métraux, dwie weteranki OSS i CIA, przyjeżdżają do Niemiec Zachodnich, by zwiedzać zamek będący niegdyś sercem zakonu SS, uznał, że wybierze się na wycieczkę ich tropem. Tak naprawdę nie wiedział dlaczego. Oficjalnie, zgodnie z regułą trzech mil oznaczającą, że MI5 trzyma się z dala od wszystkiego, co dzieje się powyżej trzech mil od granicy Imperium, powinien był to zostawić chłopakom z MI6. Chciał się jednak przekonać na własne oczy, że najbliższy sojusznik istotnie zwariował.

Wiele się nie dowiedział. Wysoka Métraux i nieco korpulentna Mead zachowywały się, jakby faktycznie chciały uzupełniać swoje badania o kulturowych podłożach wojny, a w szczególności o roli rytuałów w budowaniu morale armii. Jakież miejsce nadawało się do tego lepiej niż Wewelsburg, w którym Himmler budował swój zakon SS, opierając się na mistycznych bredniach? Żadna z pań nie wyglądała przy tym, jakby miała lada chwila rzucić się z łopatami w poszukiwaniu zaginionych pierścieni poległych esesmanów, które zniknęły pod koniec wojny. Nie próbowały też na kustoszach muzeum wymusić wpuszczenia do piwnic, w których wedle legend naziści mieli chłeptać krew prosto z obciętych głów ofiar. Nic z tych rzeczy. Spacerowały niespiesznie, wymieniając naukowe uwagi.

John wyniósł z tego wyjazdu jedynie przekonanie, że akcje Amerykanów też stanowiły zasłonę dymną dla jakichś rzeczywistych działań. Czyli jak zwykle. Brytyjczycy powołali zbędną jednostkę mającą oficjalnie śledzić wyjątkowo głupią zasłonę dymną jankesów, a w rzeczywistości stanowiącą kolejną pułapkę na sowieckie myszy. Po co Amerykanie się wygłupiali, John nie wiedział. Może

jajogłowi ze Stanów znaleźli sposób na naciągnięcie Wuja Sama na dodatkowe dotacje dla nauki, a w MI5 albo JIC ktoś uznał to za na tyle ważne, by powołać osobny zespół? To by, zdaniem Johna, nawet pasowało do klimatu ostatnich lat. Naciągacze mogli zbijać prawdziwe fortuny na głupocie rządzących, którzy nijak nie potrafili się odnajdywać w nowej rzeczywistości. Oficjalnie powinien był się dowiedzieć jak najwięcej o amerykańskiej operacji, której nadali w zespole kryptonim „Rabusie grobów”, a tak naprawdę musiał kombinować, jak nie podpaść Crossowi i jego wytresowanemu przez Skardona bulterierowi. Zwyczajna sytuacja w wywiadzie, gdzie dziewięćdziesiąt procent energii zużywa się na próby wyprowadzenia w pole tak rzeczywistych, jak i wydumanych przeciwników, sojuszników, a nawet własnych rządów.

Zszedł za Amerykankami do pobliskiej restauracyjki prowadzonej przez Niemca tak rumianego i jowialnego, że z pewnością będącego agentem jakiejś tajnej służby. Usiadł przy stoliku plecami do nich, uważając jednak, by nie stracić ich sylwetek w odbiciu w oknie. Zamówił kielbasy i piwo. I wcale się nie zdziwił, gdy przysiadł się do niego kurdupel, którego gęba migąła mu między innymi przechodniami od dwóch dni. Odkąd wylądował w Düsseldorfie.

– John, przyjacielu! – zawołał radośnie przybysz, poklepując go po ramieniu. – Sto lat cię nie widziałem!

– Dokładnie to czterdzieści sześć lat. Mniej więcej tyle, ile żyję. Nie licząc oczywiście dnia wczorajszego, gdy gapileś się na mnie na lotnisku.

– Żarciki, co? Za to cię kocham, chłopie! Dla mnie też piwo – zwrócił się do jowialnego kelnera, który podbiegł natychmiast do ich stolika, zapewniając po niemiecku, że tak pysznej kielbasy jak tutaj nie skosztują nigdzie indziej na świecie. John, pamiętający jeszcze smaki z dzieciństwa we Lwowie, zachował dla siebie opinię na ten temat. Nie będzie wywoływał polsko-niemieckiej wojny o kielbasę.

Tym bardziej że jest teraz Anglikiem.

– No jasne, że trochę ci się przypatruję – kurdupel nieznacznie ściszył głos. – Bo pobłądziłeś, kolego. Büren to nieco dalej niż trzy mile od granic Imperium. Wiem, że wam, chłopakom z MI5, te wszystkie odległości czasem się mylą. Zwłaszcza

w kontynentalnych miarach. Dlatego przyszedłem pomóc. Grasujesz w moim ogródku, kolego.

– Jestem na urlopie.

– No to uważaj, żebyś się nie przepracował, spędzając wakacje na dreptaniu za dwiema babciami z CIA. Opowiesz mi coś o nich?

– Ta wyższa to...

– To wasze poczucie wyższości... Zawsze zakładacie, że jesteśmy głupsi od was. Powiedz mi, kolego, co one tu robią.

– Najwyraźniej zwiedzają.

– To ja do ciebie z sercem...

– Nie, czekaj. Poważnie mówię. Łażą po zamku i robią notatki. Przez te dwa dni nie nawiązały kontaktu choćby z taksówkarzem. Nawet samochód wypożyczyły. Nie widziałem, żeby rozmawiały z kimkolwiek poza sobą.

– Ale to jedne z tych aktywowanych antropolożek, tak? No nie rób takiej miny, przecież wiemy o Zespole Camelot. Myślisz, że od kogo dostajecie informacje o aktywności sojuszników za granicą?

– Od JIC.

– Bardzo zabawne. Powiesz mi coś jeszcze. Ale tego, czego nie wiem. Bo widzisz, odkąd się zorientowaliśmy, że za nimi łazisz, też za nimi łazimy.

– Zauważyłem.

– No i...

– Chcesz wiedzieć, czym dokładnie zajmuje się Camelot, zagadaj do mojego szefa.

– Taki z ciebie kolega? Szkoda. Myślałem, że porozmawiamy sobie niezobowiązująco jak John z Johnem... No tak, nie przedstawiłem się. John Dougling jestem.

– Miło mi cię poznać, John. Powiem ci niezobowiązująco, jak John Johnowi, że... – Urwał. W odbiciu na szybie zobaczył, że do Amerykanek podeszła kobieta w średnim wieku, nieco tęgawa blondynka. Cokolwiek im powiedziała, obie zerwały

się na równe nogi i pospiesznie ruszyły w kierunku wyjścia.

– No to mamy pierwszy kontakt! – Skinął głową Douglingowi.

Ten obejrzał się przez ramię.

– Zatem one już wiedzą – mruknął. – Skoro tak, to czas i na nas, kolego.

A właściwie na ciebie.

– Wiedzą? Co masz na myśli?

– Tak naprawdę nie przysłali mnie tu pogadać. Dostaliśmy wiadomość od waszych. Masz zabierać dupę z Niemiec, póki to jeszcze możliwe, i zwiewać do domu. Odwiozę cię do Düsseldorfu. Masz samolot za cztery godziny.

– Póki to jeszcze możliwe? Co się stało?

– Tak całkiem to nie wiemy. Ale nasi kochani sojusznicy rozpętali prawdziwe piekło jakimiś akcjami po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Cokolwiek zrobili, tak wkurzyli Rosjan, że ci ogłosili powszechną mobilizację. Możliwe, że zaczynamy trzecią wojnę światową, kolego. Stęskniłeś się za strzelaniem? Bo mam wrażenie, że czasy zasad o niezabijaniu się nawzajem przez szpiegów mogły właśnie dobiec końca.



Rozdział 7

3 czerwca, godzina 3.12, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego, okolice Laubenheim

– Kocham braci Czechosłowaków, choć jeszcze bardziej siostry Czechosłowaczki – mruzczał Kicio, odkruszając z bryły produkowanego w Czechosłowacji semtexu ilości niezbędne do wysadzenia mostu na Renie. Związał je w dłoniach i lepił niczym plastelinę. Wspólnie z Markiem doszli do wniosku, że choć dobrze byłoby obrócić w perzynę solidne przęsła, to zabraknie im materiału wybuchowego, by zrobić to ze stuprocentową pewnością. W każdym razie jeśli chcą wysadzić także drugi most. Zamiast tego podłożą więc semtex między przęsłami, dzięki czemu tory i tak trafi szlag.

Knuli tak, jadąc na pace ciężarówki do przewozu mleka, którą Kicio z właściwą sobie maestrią zwinął spod mleczarni. Puste baniaki trochę się tłukły, zostawili je jednak, ponieważ osłaniały ich przed wzrokiem potencjalnych przechodniów. W szoferce usadowili się Kaszel z Toporem. Wrona oznajmił, że podziękuje za wygodę, bo z oczu nie spuści reszty plutonu. Na wszelki wypadek.

Ponieważ cały czas patrzył przy tym na Kicia, ten obruszył się oczywiście, ale nic nie powiedział. Skąd brała się u Wrony niechęć czy może tylko podejrzliwość w stosunku do Kicia, nie wiedział w oddziale nikt. Pogodzono się z nią, jak godzić się należy z kapryсами pogody bądź nieuchronnością śmierci. Może po prostu tak musiało być, że w każdym plutonie znajdował się ktoś, kto podpadał kapralowi?

– Czechosłowaczki prawie jak rodaczki – zgodził się Bruno. – Smakują jak miód i czekolada, chociaż każda śmiesznie gada.

– Gdzieś kiedyś na pewno znajdzie się zastosowanie dla tego twojego rymowania – ofuknął go Wrona. – Ale nie dziś. Stulić pyski! Jeszcze ktoś usłyszy,

jak gadacie po polsku, durnie!

– Mów mi jak dziecku, mogę i po niemiecku – zapalił się do pomysłu Bruno, ale Wrona kazał mu zamknąć jadaczkę, pojechali więc dalej w ciszy, nie licząc pobrzękiwania baniaków.

Obawiali się, że most będzie strzeżony jak wszystkie mosty po tej lepszej, bo czerwonej stronie żelaznej kurtyny. Słyszeli wprawdzie na szkoleniach, że imperialiści pogłupieli od kapitalizmu i wydaje im się, że są bezpieczni, ale jakoś trudno było w to uwierzyć. A tu proszę – faktycznie, strategicznie ważny most kolejowy w środku kraju stał goły i niestrzeżony. Za to oświetlony został niczym choinka, co na początku było przydatne, bo z oddali widać było, że nikt go nie pilnuje. Jednak oświetlenie przestawało być sojusznikiem, gdy trzeba było wejść na most i podłożyć ładunki.

– Od góry tego nie zrobimy – zdecydował Kaszel. – Widać wszystko na paręset metrów i bez lornetki. A ja bym się bardzo zdziwił, gdybym zobaczył, jak w środku nocy jacyś kretyńscy łażą po moście kolejowym. Może bym nawet zadzwonił po milicję, żeby ich pogoniła. Podchodzimy od dołu.

– Woda? – Kiciem aż zatrzęsło.

– Słyszałem, że z ciebie najlepszy pływak w oddziale.

– W całym batalionie, sierżancie. Ale mokry wolniej myślę. Zakładanie ładunków trzęsącymi się z zimna rękami to taki sobie pomysł. A jeszcze słyszałem, że Ren porywisty i zdrażliwy.

Wrona gotów był się sprzeczać, ale Kaszel podszedł do sprawy z wyrozumiałością.

– Zobaczycie, jak robiliśmy to za moich czasów – ucieszył się.

Najpierw próbowali szukać łodzi w pobliżu, ale gdy przez jakiś czas żadnej nie znaleźli, sierżant podsunął im inny pomysł. Ostrożnie i po cichu rozłożyli fragmenty drewnianych płotów otaczających okoliczne domy. Poszło im sprawnie, bo o trzeciej w nocy ludzie śpią jeszcze mocno, wystarczy tylko nie narobić wiele hałasu. Omijali domy z psimi budami, choć i tak oszczekało ich kilka burków. Kryli się wtedy, gdzie kto mógł. Przeczekiwali. Wyglądało jednak na to, że w tej okolicy nikt nie

przejmował się psimi alarmami.

Z części płotów zbili trzy małe tratwy i na nich dwaj saperzy z towarzyszącym im jako wsparcie Toporem podpłynęli do mostu. Wrona i Kaszel obserwowali ich postępy przez lornetki, ukryci w przybrzeżnych szuwarach. Bruno siedział w szoferce ciężarówki, gotów w każdej chwili odpalić silnik. Zygmunt z Mrużewskim obstawiali prawą stronę mostu, a Trucht zabezpieczał drogę od strony miasta. Przydałoby się wsparcie do takiej akcji, ale batalion ciągle dopiero zagospodarowywał nową siedzibę. Paru chłopaków jak na złość było na przepustkach. A choć na wypadek wojny planowano uzupełniać skład rekrutami, ci jeszcze nie dotarli.

O ile naprawdę ogłoszono powszechną mobilizację.

– Kicio oczywiście spóźniony. – Wrona zaklął pod nosem.

– Ledwie sekundę – zbagatelizował Kaszel. – Coś ty taki na niego cięty?

– Sam nie wiem. Jakoś mnie wkurwia. Może przez te koty? Może dlatego, że za dużo myśli?

– Myślałem, że to Młody.

– Młody też. Ale on wie, że lepiej zachować to dla siebie. A Kicio nie dość, że myśli, to jeszcze gada. Też za dużo. Pewnie teraz też gada do siebie.

Nie mylił się. Kicio modlił się cicho do wszystkich Matek Boskich, jakie tylko spotkał w życiu, czyli do Częstochowskiej jako chyba najważniejszej i do tej w błękitnym płaszczu, którą widywał jako dziecko co niedziela w kościele, i jeszcze do tych pięciu z kapliczek po drodze do szkoły. Modlił się, żeby szkopy ich nie nakryły, żeby zapalnik nie zdetonował ładunku zbyt szybko, żeby najlepiej nikt nie zauważył, że ten cały most wyleciał w powietrze, i w ogóle żeby nikt nie zauważył, że wybuchła wojna. Póki Kicio z chłopakami nie przedostaną się do swoich. Tylko o to, żeby Wrona go po wszystkim nie opieprzył, się nie modlił, bo wiedział, że taki cud jest niemożliwy i dla Matki Boskiej, i nawet dla jej Syna.

Kiedy kończył zakładać ostatni ładunek, uświadomił sobie, że przegapił w modlitwach prośbę, żeby żaden cholerny pociąg nie przejeżdżał, kiedy on jeszcze wisi na moście, pod torami. Marek dał już znać błysnięciem latarki o światełku

przesłoniętym zielonym filtrem, że skończył. Wedle planu mieli teraz wspiąć się na tory i zwiewać nimi do ciężarówki, bo tak szybciej. Nadjeżdżający stanowczo zbyt szybko pociąg oznaczał zmianę planów.

Kicio wetknął ostatni detonator. Ten pięciominutowy. Zdążą?

Z dołu, ze swojej tratwy Topór machał latarką jak szalony. Też usłyszał pociąg. Pewnie już szczał pod siebie, wyobrażając sobie, jak cała ta konstrukcja wali mu się na głupi łeb. Kawałki mostu, a razem z nimi lokomotywa ze wszystkimi wagonami.

I wtedy właśnie opuszczający się po przęśle Kicio zmarł. Na sekundę. Może dwie. Ale wystarczyło, by Wrona sklął go, na czym świat stoi.

– Co ten dureń robi? – syknął.

– Kiedyś, w czterdziestym czwartym też podkładałem ładunki pod most kolejowy. – Kaszel nie odrywał oczu od lornetki. – I też usłyszałem nadjeżdżający pociąg.

– I co? Też sparaliżowało cię ze strachu?

– Nie. Też pomyślałem, że to może być pasażerski.

Spojrzeni po sobie i Kaszel pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział Wrony tak przerażonego. Kapral zbladł jak śmierć, w oczach zabłysł mu ten dziwny rodzaj strachu, który nie dotyczy lęku przed własną śmiercią, lecz przed odpowiedzialnością za śmierć innych. W tym przypadku najgorszą z możliwych.

– Tak właśnie wygląda wojna, chłopcze – powiedział, jak miał nadzieję, uspokajająco i wrócił do obserwacji mostu. – Pospiesz się, Kicia! – szepnął, jakby żołnierz mógł go usłyszeć.

Wydawało się, że tak właśnie się stało, bo saper otrząsnął się i pospiesznie zszedł w dół. Zeskoczył do wody, tuż obok tratwy. Wspiął się na nią. Prychnął. Zaczął pospiesznie wiosłować w stronę brzegu zamienioną w wiosło sztachetą. Topór podwójnym rozbłyskiem latarki dał znać, że gotowe. Strzegący mostu Zygmunt z Mrużewskim poderwali się z kryjówek i wciąż pochyleni wiali w kierunku ciężarówki.

– Szybciej! Szybciej! – wściekał się Wrona, obserwując postępy płynących.

Niestety, prowizoryczne tratwy z płotu to nie śmigłe łodzie, a sztachety to nie

wiosła. W dodatku prąd Renu naprawdę był silny i bezwzględny.

– Znosi ich – sapnął Kaszel. – I nie zdążą.

– Pociąg! – Wrona z trudem stłumił okrzyk. – Chyba towarowy! Jezu! Towarowy!

Nie pomyślał, że nawet towarowe ktoś musi prowadzić, albo się tym nie przejął. Kolej to też służba mundurowa, a każdy w mundurze musi zdawać sobie sprawę z ryzyka.

– Tylko nie zacznij podskakiwać z radości. – Albo Kaszel miał lepszy wzrok, albo nie dał się porwać entuzjazmowi. – To cysterny. Jak to dupnie...

Eksplozja zagłuszyła jego dalsze słowa. Kicio z Markiem założyli cztery ładunki i wszystkie eksplodowały równocześnie. W chwili, gdy lokomotywa docierała już na drugą stronę mostu, ale wszystkie jej wagony były już na nim. Pod wpływem wybuchów tory początkowo wygięły się ku górze. Siła eksplozji podrzuciła obłe wagony, pociąg zaczął się od tego składać i jak przewidywali wszyscy, spadłby może do rzeki, gdyby tylko wiózł coś bezpiecznego.

Wystarczyło, że jedna z przewożących gaz cystern wybuchła, a pozostałe dołączyły do niej w łańcuchu eksplozji, które rozświetliły niebo nad Renem. Nic już nie mogło uratować mostu, saperzy mogliby być dumni ze swego dzieła, gdyby tylko mieli czas na dumę. Rozpaczliwie walczyli o życie. Nie tracili czasu na odwracanie się, by zobaczyć, co się stało. Machali wiosłami z całych sił, walcząc z upartą rzeką. Wokół nich spadały strzępy i torowiska, i cystern, fragmenty drewna i metalu, śruby z torowiska wyrzucane wybuchami cystern zmieniały się w rozpedzone pociski. Dwa trafiły w tratwę Topora, jeden strzaskał wiosło w jego dłoni. Żołnierz przez chwilę wpatrywał się ze zdumieniem w strzęp wiosła, jeszcze nie zwracał uwagi na drzazgi, które utkwily mu w dłoni.

Potem zaczął gorączkowo wiosłować rękami. Pozostali dwaj wzięli z niego przykład, dłonie okazały się w tej sytuacji lepsze od sztachet. Kicio nawet zaczął machać za tratwę nogami, byle tylko przyspieszyć. Nagle coś większego trafiło w jego tratwę, rozbijając ją na strzępy. Zniknął natychmiast pod wodą.

– Kicio! – Płynący obok niego Marek zauważył, co się stało. – Topór! Kicio

przepadł!

Topór albo nie słyszał, albo uznał, że przepadanie podczas wojny należy do żołnierskiej doli. Skupiony wyłącznie na tym, by dotrzeć do brzegu, parł przed siebie ślepy na wszystko. Marek sklął go za to. Wychylił się za tratwę, nikogo jednak nie widział, choć ogień wzniecony przez cysterny wciąż płonął.

– Kicio! – zawołał, we własnym mniemaniu półgłosem, jednak ogłuszony przez wybuchy darł się na całe gardło. – Kicio!

Jakby wywołał ducha. Parskając i przeklinając, Kicio wypłynął spod wody tuż obok niego. Uchwycił się tratwy, przechylił ją, przez co Marek omal nie wpadł do wody.

– Zabili mnie! – wrzasnął Kicio. – Spieprzajmy stąd, zanim zrobią to znowu!

We dwóch lepiej radzili sobie z nurtem, choć i tak ich znosiło. Gdy zbliżali się do Topora, który wyraźnie przegrywał z nurtem, zawołali na niego. Znów nie usłyszał. Kicio rzucił weń kawałkiem sztachety. Podziałało. Udało im się zbliżyć tratwy, Topór zeskoczył ze swojej, chwycił się wspólnej. I choć ta omal od tego nie zatonała, udało mu się skierować ją w stronę brzegu zamiast na sam środek rzeki, dokąd znosił ich prąd.

Nie byli jednak w stanie dopłynąć do brzegu w umówionym miejscu. Wylądowali dobre paręset metrów dalej.

– Zgodnie z zasadami powinni nas zostawić – wysapał Topór. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, że jego prawa dłoń przypomina jeża. – Jezu – jęknął. – Boli!

Jakiś cień padł na ich twarze. Podnieśli głowy.

– Co się stało? – zapytał ktoś po niemiecku, wskazując na most.

Dopiero teraz się na niego obejrzeni. Rozerwało go na strzępy. Wciąż coś płonęło na strzępach torów, ogniem zajęły się nawet szuwary i drzewa po obu stronach rzeki. To zdecydowanie były większe fajerwerki, niż mogli sobie wymarzyć.

Ściągną tu wojsko, policję i straż pożarną z całej okolicy. Może nawet helikoptery.

– Rosjanie zrzucili bombę atomową – odpowiedział, jękając się, Kicio. –

Uciekaj!

– Co? Kim jesteś? Czy byłeś w pociągu?

Więcej nie zdążył zapytać. Ktoś uderzył go w tył głowy. Wrona.

– Szukamy was od kwadransa! – wydarł się na nich. – Będziecie się tu tak wylegiwać? Zostawilibyśmy was, żebyście się sami przedzierali do kraju. Powinniśmy tak zrobić!

– Ale mamy jeszcze jeden most do wysadzenia, nie? – Kicio podniósł się z ziemi i pochylił nad Markiem, by pomóc mu wstać.

– Jak zwykle, za dużo myślisz i za dużo gadasz, Kicio. Ale tym razem masz rację. Zbierać dupy i do wozu! Nie będziemy tu podziwiać fajerwerków do rana!

– Ale udane, co? – odezwał się Marek.

– Udane? To miała być cicha operacja, a wy, niemoty, ściągniecie nam na głowy całą US Army!



Rozdział 8

Dwa dni wcześniej, 1 czerwca, pustynia Gobi, Mongolia

Upał był trudny do zniesienia. Mimo że lato dopiero się zaczynało, żar lał się z nieba bez umiaru. Damdinowi Nyamdorjowi to nie przeszkadzało. Żar pustyni, bezdech tropików, lodowata zima Antarktyki nie były w stanie odciągnąć go od zagrzebanych w ziemi przed milionami lat artefaktów: kości prassaków, pozostałości po wielkich jaszczurach wymarłych z nie do końca znanych przyczyn.

Odziany w zieloną szatę ochronną spędzał na kolanach dni, tygodnie, miesiące i w końcu lata, grzebiąc miniaturowymi drewnianymi narzędziami pomiędzy milionami ziaren piasku. Pchała go potrzeba ciągłego odkrywania, niczym niezaspokojona żądza wiedzy o rzeczach minionych.

Oczywiście najbardziej pociągały go skarby, ale za poszukiwanie skarbów nikt nie płaci złamanego tugrika. Dinozaury z Gobi to zupełnie inna sprawa. Kiedy zespół amerykańskich paleontologów Roya Andrewsa rozpoczął jako pierwszy badania pustyni ponad czterdzieści lat temu, nikt nawet nie przypuszczał, że – jak się szybko okaże – jest ona jednym z największych rezerwuarów szczątków prassaków oraz prehistorycznych gadów. Andrews odnalazł pierwsze w historii w pełni zachowane jaja dinozaura, a po nim na ten kawał suchego piachu i twardego, szarobrazowego piaskowca zwały się dziesiątki nowych ekspedycji, głównie radzieckich i chińskich.

Damdin brał w wielu z nich udział, ponieważ potrzebował funduszy na to, co radowało jego niespokojne serce najbardziej. Bezowocne poszukiwanie skarbów historii oraz to, co można z dużą dozą pewności uznać już za obsesję, czyli pogoń za grobowcem Dżyngis-chana.

Od roku jednak utknął tutaj, na Gobi, wraz z trzydziestoma innymi badaczami pod kierownictwem doktor Zofii Kielan-Jaworowskiej. Utknął to może nieodpowiednie słowo, bowiem to był rok niezwykłych odkryć i pracy dającej wiele satysfakcji pomimo trudów i znojów związanych z życiem w ekstremalnie trudnym środowisku. Szefowa wyprawy, czterdziestoletnia Polka z Warszawy, okazała się jednak fantastycznym naukowcem i niestrudzonym badaczem. Bardzo szybko zaczęli gromadzić tony zagrzebanych w piasku i piaskowcu skamielin stworzeń żyjących tu przed milionami lat, w takich ilościach i bogactwie jak nikt przed nimi.

Damdin od tygodnia ślęczał nad doskonale zachowaną czaszką dinozaura. Wyglądał na nieznanego dotąd rodzaj, ale mógł należeć do rodziny zauropodów albo diplodoków. Z pierwszych obserwacji uzębienia wynikało, że paleobiolodzy mieli do czynienia z roślinożercą o dużych rozmiarach. Zofia wysunęła nawet sugestie, że mogli znaleźć tytanozaura, ale jak z rozbawieniem skonstatowała: to ocenią potomni, którzy będą się nad tymi tonami kości głowić przez następne stulecia. Niestety dieta tego gada tak naprawdę na razie pozostawała w sferze domysłów, ponieważ znaleziono jedynie czaszkę.

Damdin Nyamdorj nie zwrócił uwagi na huk silnika śmigłowca, który zagłuszył pustynną ciszę i wdarł się w nią jak bardzo nachalny intruz. Ze szkłem powiększającym w ręku i okrągłym pędzlem odkrywał trzeci ząb w czaszce, całkowicie skupiony na znalezisku. Gdzieś z tyłu głowy zanotował niezwykły hałas, ale od razu pomyślał, że to w końcu obiecane zapasy z Ułan Bator.

Ale to nie były zapasy. No, może nie przede wszystkim zapasy. Ze śmigłowca zeskoczyło dwóch ludzi i udało się w stronę obozu, a piloci otworzyli luki i zaczęli wyciągać skrzynie z wszelkim dobrem. Damdin kompletnie nie zwrócił uwagi, że szybko znaleźli doktor Kielan-Jaworską i wzięli ją na dłuższą rozmowę. Nie zobaczył ich już do końca dnia.

Wieczorem, kiedy prawie cały zespół siedział przy ciepłych ogniskach, dwaj kucharze pichcili stawę, a ktoś próbował piec świeży chleb nad ogniem, dwaj mężczyźni i doktor Zofia w końcu dołączyli do reszty. Damdin nareszcie mógł skupić na nich uwagę i jakież było jego zdziwienie, kiedy i oni zwrócili się właśnie

do niego:

– Damdin, ci towarzysze są do ciebie, usiądźmy przy ognisku obok – powiedziała jego szefowa, wskazując obcych.

Teraz dopiero Mongoł uświadomił sobie, że jeden z nich był żołnierzem. Kilkoro jego kolegów opuściło małe ognisko na uboczu, robiąc im miejsce do rozmowy. W świetle ognia Damdin mógł się dokładniej przyjrzeć przybyłym. Jeden w mundurze z dystynkcjami majora Armii Czerwonej był wysokim, jasnowłosym mężczyzną w średnim wieku. Miał typową słowiańską urodę, jaką Damdin często widywał u kolegów, z którymi wcześniej pracował podczas radzieckich wypraw naukowych oraz oczywiście podczas studiów w Moskwie. Tym, co zwracało uwagę na majora, były jego nedorzecznie bujne, niesforne, czarne brwi nad jasnoniebieskimi oczami. Dodawały jego twarzy surowości i władczej powagi.

Drugi z przybyszów przede wszystkim przykuwał uwagę niecodziennym ubiorem. Z daleka wyglądał jak muzułmański imam, odziany w szerokie białe szarawary i białą koszulę. Na wierzch narzuconą miał abaję, ale nie zwyczajowo czarną, tylko ciemnozieloną. Damdin ze zdziwieniem zauważył naszyte na niej dystynkcje oficerskie porucznika, podobnie jak na kwadratowym duppi, tradycyjnym uzbeckim nakryciu głowy mężczyzny. Zamiast normalnych ozdobnych haftów czapka miała emblemat czerwonej gwiazdy. Mundur? Damdin zgłupiał. Imam w Armii Czerwonej? Poszaleli kompletnie w tym ZSRR? Rozmowę zaczęła Zofia.

– Damdin, poznaj panów majora Andrija Riebrowa oraz porucznika Batyra Bej Uldaszewa z armii radzieckiej. Powodem, dla którego tu się zjawili, byłam ja. Ale już nie jestem. – Uśmiechnęła się lekko, jakby z przekąsem. – Teraz najważniejszy jesteś ty.

Nyamdorj zauważył jeszcze coś. Na rękawie żołnierzy naszyty był emblemat rodzaju wojsk, jakiego Mongoł nigdy nie widział. Trudno byłoby zeń w ogóle wywnioskować, czym ci żołnierze się zajmują. Czerwona komunistyczna gwiazda z wpisanym w nią niedźwiedziem. Czyżby Rosjanie wykazali się w końcu poczuciem humoru i przyjęli symbol zwierzęcia, do którego porównywano ich na Zachodzie? To byłoby coś niebywałego. Jak powtarzał mu ojciec: „Rosjanin

zartujący na trzeźwo to niebezpieczny Rosjanin”.

Riebrov jakby czytał mu w myślach. Damdin słuchał uważnie, choć wcale wiele więcej nie zrozumiał.

– Jestem dowódcą specjalnej jednostki powołanej do życia kilka miesięcy temu – tłumaczył Ukrainiec. – Nazywamy ją Nadzwyczajną Grupą Rozpoznania do Zadań Bojowych i Antropologicznych. Mój oddział operuje na terenie PRL. Podoba nam się polski akronim, dlatego w skrócie sami siebie nazywamy GROZBA. Ale to tak między nami. – Riebrov uśmiechnął się niewesoło i zwrócił do doktor Zofii Kielan-Jaworowskiej: – Rzeczywiście, moja misja na początku zakładała werbunek pani doktor. Jej sława odkrywcy w ciągu ostatniego roku rozeszła się po świecie. Naukowiec taki jak pani stanowiłby ostatni fragment naszej wojskowej układanki w oddziale. Pani doktor jednak nam odmówiła. I choć generalnie Armii Czerwonej się nie odmawia, charakter GROZB-y zakłada zarówno pełną swobodę działania, jak i całkowitą dobrowolność służby. Jesteśmy wyjątkowi, bo opieramy się na pasjach oraz głębokich przekonaniach naszych żołnierzy.

Damdin był coraz bardziej zdumiony. Wywód żołnierza kontynuowała Zofia:

– No cóż, ja swoją przygodę z wojskiem skończyłam w powstaniu warszawskim dwadzieścia lat temu i nie wyobrażam sobie kolejnej wojny ani mojego w niej udziału. Poza tym mam robotę tutaj. – Zatoczyła ręką wkoło. – Tu leżą moi towarzysze na polu walki z zapomnieniem. Muszę ich odkopać, i to jak najwięcej. Poleciłam im ciebie, Damdin. Z żalem, bo jesteś moim najlepszym paleontologiem. I prawdę mówiąc, wolałabym cię zatrzymać.

– Jest pan również archeologiem po moskiewskim Uniwersytecie Łomonosowa, a mimo wszystko służył pan w armii mongolskiej, choć jako absolwent radzieckiego uniwersytetu nie musiał pan, co z mojego punktu widzenia oznacza, że nie boi się pan służby w imieniu socjalistycznego wyższego dobra – wtrącił prędko Ukrainiec. Posłał przy tym Polce mało przyjazne spojrzenie. Najwyraźniej jego zdolność do przyjmowania odmów miała swoje granice.

Damdin zastanawiał się, czy tamten wie, że nie socjalistyczne wyższe dobro pchnęło go w objęcia mongolskiej ludowej armii, ale chęć przyłączenia się do

wyprawy organizowanej w poszukiwaniu skarbów Dżyngis-chana. Na samym końcu swego panowania ówczesny komunistyczny władca Mongolii Chorlogijn Czobjalsan, owładnięty panmongolskim chorobliwym nacjonalizmem, zaangażował wojsko w celu odnalezienia artefaktów z okresu największej potęgi państwa Dżyngis-chana, tak bardzo potrzebnych, by wzmocnić historycznie i propagandowo podwaliny istnienia Mongolskiej Republiki Ludowej. Po jego śmierci w 1952 roku projekt upadł, a Damdin zwolniony ze służby w stopniu starszego szeregowca zmuszony był zainteresować się zawodowo paleobiologią.

– Przylecieliśmy z Buchary, gdzie dołączył do oddziału podporucznik Uldaszew – kontynuował Riebrow. – Dwa dni temu był jedynie imamem w medresie Mir-i Arab w Bucharze i bardzo utalentowanym nauczycielem historii islamu oraz konstytucji ZSRR. Jesteśmy teraz tu i podobnie jak jemu, wam, towarzyszu, proponuję udział w tej przygodzie.

Oszołomiony propozycją Damdin spytał niepewnie:

– Przygodzie? A dokąd mielibyśmy pojechać?

– Najpierw do Ułan Bator, potem do Kaliningradu, a potem do reszty mojego oddziału w Polsce.

– To rzeczywiście przygoda, bardzo daleka przygoda – jęknął niezdecydowanie Damdin. Nie bardzo wiedział, czego miałyby szukać w Polsce. Dinozaurów? Pewnie mieli jakieś, ale nie było ich tyle, ile na Gobi. Śladów Dżyngis-chana? Jego synowie zapędzili się i tam, bijąc chrześcijańskich rycerzy, jak bijali wszystkich innych. Ale sam Temudżyn nigdy do Polski nie dotarł. Z drugiej strony, jeśli odmówi... On nie był sławnym polskim naukowcem, ale byłym żołnierzem, obywatelem Związku Radzieckiego.

Riebrow wytoczył ostatnie działa, zatarł ręce, tak jakby decyzja już została podjęta:

– Cieszę się, że będziemy razem pracować, poruczniku Nyamdorj! Proszę podomykać wszystkie sprawy tutaj, wyspać się, spakować i o świcie ruszamy.

Damdin osłupiał. Kolejny raz. Powtórzył też za majorem i stwierdził w duchu, że przez tego człowieka zamienia się w jakąś ludzką papugę.

– Poruczniku?

Riebrow jakby czekał na pytanie:

– Oczywiście. W jednostce specjalnego przeznaczenia takiej jak ta żołnierze z wyższym wykształceniem wchodzą od razu do służby ze stopniem młodszego oficera. Ci, którzy służą lub służyli w armii, dostają dodatkową belkę. Lub gwiazdkę – dodał.

– Czy mogę się zastanowić? – spytał Damdin, mimo że praktycznie podjął już decyzję na tak. – To naprawdę zaskakująca i niezwykła propozycja.

– Nie. Czas nas goni. Dodam, towarzyszu, że choć Armia Czerwona jest bardzo wyrozumiała, to dwukrotnej odmowy z pewnością tolerować nie będzie.

Damdin wstał znad ogniska, żeby odejść i się spakować. Zanim opuścił miejsce spotkania, zatrzymał się i odwrócił.

– Towarzyszu dowódco...

Riebrow popatrzył na niego.

– Czym GROZBA się zajmuje? Nawet o to nie zapytałem.

Riebrow chwilę milczał.

– Zajmujemy się, towarzyszu poruczniku, skarbami. Nie tylko tymi, które ukryte głęboko gdzieś czekają na odnalezienie, ale i tymi, które mamy chronić przed imperialistycznymi wrogami, oraz tymi, które w interesie naszej komunistycznej ojczyzny powinny się znaleźć u nas. Mamy zrobić wszystko, by wyrwać je z łapczywych imperialistycznych szponów.

W sercu świeżo mianowanego porucznika Nyamdorja zapłonął ogień.

3 czerwca, godzina 13.00, szosa pomiędzy Łodzią a Warszawą, grupa dywersyjna pułkownika Masłowa

Tym razem pułkownik Anthony Masłow nie mógł mieć do nikogo pretensji. Jeśli ktokolwiek mógł przewidzieć wojnę, to i tak nie był w stanie wyobrazić sobie tego, co ona w praktyce oznacza. Tuż po zaskakującym ogłoszeniu mobilizacji wojennej, o czym Masłow i jego ludzie dowiedzieli się dzięki nadawanym co piętnaście minut

radiowym komunikatom, wpadli w wir wojennej zawieruchy. Chaos, komunikacyjny zator i niska przepustowość polskich dróg, wzmocnione kontrole milicyjne i wojskowe skutecznie opóźniły jazdę i sprawiły, że podróż do Poznania nie miała już najmniejszego sensu. Po kolejnej godzinie w korku na jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi drodze, przepuszczając kolumnę bojowych wozów piechoty, Masłow podjął decyzję:

– Myślę, że nie zdążymy połączyć się z oddziałem w Poznaniu i musimy jak najszybciej dostać się do punktu wyjścia.

Bergman się z nim zgodził:

– Tym bardziej że nie wiemy, czy poznańska akcja zakończyła się sukcesem...

Masłow nie mógł być tego pewny, nie miał z nimi żadnego kontaktu, ze względu na wysoką jakość służb pelengacyjnych w PRL woleli nie ryzykować komunikacji radiowej.

Punktem ewakuacji była plaża na północny wschód od Koszalina, a w razie jakichś kłopotów oddziały miały się połączyć w Bunkrach Mielno, starym pruskiej kompleksie w nadbałtyckim pasie leśnym. Następnie wspólnymi siłami mieli się przedostać na plażę Mielenko i stamtąd ewakuować.

Świetnie to wyglądało w teorii, ale w praktyce czekała ich droga przez mękę. Masłow i jego ludzie zorientowali się, że pomimo dopiero co ogłoszonej mobilizacji przygotowania wojenne musiały trwać znacznie dłużej. Ilość sprzętu transportowanego na zachodnią granicę była naprawdę ogromna. Pułkownik żałował, że nie miał ze sobą aparatu fotograficznego, ponieważ informacje dla jego przełożonych z drogi na północ mogłyby być bezcenne. Jednak aparat szpiegowski był kolejnym przedmiotem, którego postanowiono nie zabierać ze względu na wysokie ryzyko dekonspiracji.

Przebycie trzystu kilometrów na wysokość Warszawy zajęło im cały dzień. Im dalej docierali na północ, tym było gorzej. Zwiększała się systematycznie częstość kontroli, ale rosła też liczba żołnierzy sunących powoli w kolumnach ze sprzętem zmechanizowanym na zachód.

Ludzi Masłowa sprawdzano wielokrotnie, ale na szczęście wywiad zaopatrzył

ich w dobre papiery. Pułkownik miał dokumenty dyrektora technicznego Huty Katowice oraz delegację na branżowy zjazd partyjny w Warszawie. Po przekroczeniu linii Warszawy posługiwał się kolejną delegacją, tym razem na spotkanie z importerem stali z Bułgarii w Gdańsku. Bergman, doskonale mówiący po polsku, spisywał się świetnie na punktach kontrolnych, a Maslow z podziwem skonstatował, że jego Izraelczyk dysponuje znakomitymi zdolnościami aktorskimi. Jako kierowca wielkiej szychy i jego asystenta Bergman za każdym razem urządzał żołnierzom coraz bardziej karczemne i wulgarne awantury. Nic to specjalnie nie dawało, jeżeli chodzi o czas podróży, ale za to nikt specjalnie się ich nie czepiał, nie mówiąc o jakiegokolwiek próbie dokładniejszej kontroli. Wieczorem znaleźli się gdzieś pomiędzy Warszawą a Łodzią i zrozumieli, że jeśli niczego nie wymyślą, to utkną tu na dobre.

Sznur samochodów i ciężarówek ciągnął się kilometrami, a przejeżdżający tam i z powrotem żołnierze w terenowych uazach odmawiali udzielenia informacji cywilom, niechby i najlepiej sytuowanym.

– Musimy stać niedaleko wojskowego korytarza transportowego – stwierdził Bergman.

– Ktoś musi się dowiedzieć, co się dzieje i jakie mamy szanse stąd ruszyć.

Zgłosił się szybko mający dosyć dusznego samochodu i twardej tylnej kanapy Harvey, który wyskoczył i pognał do przodu. Nie było go długo, a wrócił w niewesołym nastroju.

– Potężna kolumna, tysiące żołnierzy – zameldował. – Nie ma szans na przejście.

– Wojska polskie czy sowieckie?

Pytanie Maslowa miało swoją logikę. Jeśli wojsko polskie, można byłoby spróbować objechać Warszawę od wschodu. Harvey zrozumiał i bez słowa pokręcił głową.

– Sowieckie też są. Poruszają się wolno, ponieważ mają sprzęt do przeprawy wodnej. Na pewno idą następni, też ze wschodu.

– Szlag! Musimy jakoś przedostać się przez korytarz – jęknął pułkownik.

– Przecinają go żołnierze... – Harvey nie dopowiedział sugestii.

Maslow uśmiechnął się pod nosem. Bergman zwrócił uwagę, że był to uśmiech drapieżnika.

Opuścili wołgę i ruszyli na polowanie. Nikt nie mówił, że będzie łatwo, droga była pełna pojazdów i wkurzonych, zdezorientowanych ludzi. A ta zwierzyna musiała zostać upolowana, tak by nikt tego nie zauważył. Mieli szczęście, bo zwierzyna po dwóch godzinach marszu w lesie znalazła ich sama. Szli w kierunku jakiejś wsi, gdzie ponoć można było znaleźć PKS do Warszawy. Poinformował o tym Bergmana jadący z rodziną na wczasy nad morze nauczyciel chemii z Częstochowy. Też brał pod uwagę pozostawienie samochodu i powrót do domu, ale w końcu nie zdecydował się zostawić swojego wartburga, na którego pracował i odkładał pięć lat. Maslow z drużyną zeszli na wschód na wąską asfaltową drogę przez las. Po dwóch kilometrach zza ich pleców nadjechał patrol żandarmerii wojskowej. Czterech żołnierzy ZW w nowiutkim zielonym uazie. Zwierzyna.

3 czerwca, godzina 13.15, Wiślica, oddział GROZBA

Śmigłowiec nie nadawał się do użytku. Przynajmniej do czasu naprawy.

– Przejmujemy sprawę kradzieży skarbów – zdecydował Swoboda nieco wcześniej. Prowadzili negocjacje na dziedzińcu katedralnym. Papież się wzruszył.

– I niby jak macie zamiar dostać się na północ? Rozwaliliście nam śmigłowiec.

– Ściągnijcie nam nowy – rozkazał Awinow, rozbawiając Papieża prawie do łez.

– Chłopaki, przejmujecie sprawę? Radźcie sobie sami. To cacko to najnowszy model Mi-2, miał wejść do produkcji dopiero za dwa lata, ale jak widać, trudne czasy, więc i wysiłek większy. – Zaśmiał się niewesoło. – Mój szef po prostu zajebie was za tę sytuację. A minister z MSW powywiesza was za jaja, ale najpierw obetnie wam pensje w twardej walucie, do końca życia się nie wypłacicie.

Awinow ze Swobodą wymienili groźne spojrzenia. Pora usadzić tego cwaniaka.

– To wyście nas zaatakowali, to raz. Dwa, jesteśmy bezpośrednio pod rozkazami KC KPZR i mamy pełnomocnictwa pełnego współdziałania ze strony każdej służby, każdego obywatela i każdego wojska na terenie państw sojuszniczych Układu Warszawskiego. Przewodniczący KC pierdnie i głowa waszego szefa leci jak stąd do

Berlina. Czy to jest jasne, towarzyszu kapitanie? Nie mówiąc o jakimkolwiek ministrze czy nawet prezydencie. – Awinow potrafił być bardzo nieprzyjemny w przedstawianiu swoich racji.

– Dobra. Dajcie te pełnomocnictwa – warknął Papież.

Kapitanowie znów wymienili spojrzenia. Tym razem pełne zdumienia.

– Pełnomocnictwa ma nasz dowódca... – stwierdzili. Sami wydawali się zaskoczeni tym, co mówią.

Ksiondz przysłuchiwał się z ciekawością tej wymianie uprzejmości. Milczał, bo jego strona była wyraźnie w defensywie, ale teraz wyczuł krew.

– A to wy jeszcze macie dowódcę? A gdzie on teraz jest?

– Przecież mówiłem, że jestem pełniącym obowiązki – bronił się Swoboda. – Myślicie, że nasi radzieccy sojusznicy powierzyliby dowództwo jednostki specjalnej KC KPZR Polakowi?

Nie musiał widzieć kpiącej miny Awinowa, sam się złapał na tym, jak fatalnie to brzmiało.

– Major Andrij Riebrow jest na misji rekrutacyjnej – odpowiedział spokojnie kapitan, spoglądając na zegarek. – W tej chwili powinien właśnie lądować w Kaliningradzie, a wraca z Mongolii albo z Buchary. To nie ma znaczenia – zachnął się niecierpliwie na koniec.

Ksiondz nie ustępował:

– Czyli pełnomocnictwa latają gdzieś razem z nim? Trzeba będzie poczekać...

Swoboda miał właśnie wybuchnąć i kazać im iść daleko tam, gdzie słońce nie dochodzi, ale Ksiondz rzucił mu koło ratunkowe.

– Chyba że – nastąpiła chwila dramatycznego milczenia – weźmiecie nas ze sobą i pozwolicie naszym ludziom brać udział w śledztwie.

Papież, który chwilę wcześniej zrozumiał, dokąd zmierza Ksiondz, z aprobatą pokiwał głową.

Wściekli żołnierze nie mieli czasu na odpowiedź, bo z plebanii wybiegł ksiądz proboszcz, wyraźnie poruszony.

– Kapitanie Papież, dzwoni minister. Boże, Boże, najpierw biskup, a teraz minister. Zbytek łaski na mą biedną głowę...

Papież, nie dokończywszy słuchać tego biadolenia, pognał do budynku, by po chwili wrócić. Na twarzy gościł mu szeroki uśmiech.

– Złapaliśmy ich!

Wszyscy zdębieli.

– Kogo?

– Czwórkę szpiegów z mieczem Świętego Piotra. Trójka mężczyzn i kobieta. Utknęli pod Piłą w związku z przerzutem naszego wojska na Zachód. Próbowali zastawić zasadzkę na patrol MO, prawie im się udało, ale jeden z milicjantów, były wojskowy, uszedł z życiem. Wezwał posiłki, wojsko i lokalny oddział SB z Piły. Wróg został otoczony, a w krótkiej walce zginęło troje naszych i dwójka wrogów. Kobieta wyszła z tego bez szwanku, a mężczyzna jest ranny.

– Towarzyszu kapitanie – Swoboda zwrócił się oficjalnie do Awinowa – proszę dać naszym ludziom rozkaz do przygotowania się do wymarszu.

– Towarzyszu kapitanie, proszę załatwić nam śmigłowiec. Lecicie z nami.

Ksiondz niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

– Tak, wy też, kapitanie Ksiondz – wycedził znudzony kapitan pełniący obowiązki dowódcy.



Rozdział 9

3 czerwca, godzina 3.40, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego, okolice Laubenheim

Kicio upierał się, że wywiad zaważył sprawę. Bo przecież, do cholery, to żadna sztuka sprawdzić rozkład jazdy na moście, który został przeznaczony do wysadzenia. Zwłaszcza że nie mogła to być decyzja z ostatniej chwili. Takie rzeczy planuje się z wyprzedzeniem!

Wrona widocznie tym razem przyznawał mu rację, bo milczał. Siedzieli na pace niezawodnej ciężarówce mleczarza. Puste bańki pobrzękiwały jak wcześniej. Topór krzywił się, gdy Mrużewski wyciągał mu drzazgi z łapy, ale milczał.

– Prawie trafili cię w rękę – kręcił głową sanitariusz. – Zanim cię opatrzę, muszę powymować te kolce, a to potrwa wieki. Trzymaj lepiej latarkę, radziu – zwrócił się do radiotelegrafisty. – Ledwie co tu widzę!

– Masz może pięć minut – odezwał się wreszcie Wrona, co Marek przyjął z ulgą, bo milczenie kaprała napawało go niepokojem. – Jak dojedziemy do mostu, nie będziemy czekać, aż skończysz operację.

– To może ja pójdę w osłonie, a Topór niech czuwa przy moście? – zgłosił się Zygmunt. – Świeży jestem, nic nie zrobiłem.

– Idź – zgodził się Wrona. – A ty, Kicio, stul wreszcie pysk.

Ostatnie zdanie zabrzmiało może zbyt słabo jak na możliwości kaprała, ale wszystkim dodało otuchy.

– Stulę. Ale powinni byli sprawdzić. To mógł być osobowy.

– O trzeciej w nocy rzadko jeżdżą – pocieszył go Marek. – Może chcieli zrobić nam niespodziankę?

– Pierdolę taką niespodziankę – odezwał się Topór. – Omal nas tam, kurwa, nie zabiło. Nadal coś tam wybucha!

Obejrzeni się wszyscy w kierunku zniszczonego mostu. Choć odjechali ze trzy kilometry, łuna była doskonale widoczna. Możliwe, że wykonali właśnie najbardziej widowiskową akcję dywersyjną w historii. Niezupełnie na tym im zależało.

– Z drugiej strony to chyba lepiej, nie? – Marek spróbował dodać ducha kolegom. – Teraz mogą myśleć, że to jakaś awaria tego pociągu, co wybuchł, a nie nasz semtex. Dzięki temu nadal nie wiedzą, że tu jesteśmy.

– Te skurwysyny z wywiadu mogły tak to sobie zaplanować – zgodził się Kicio. – I to całkiem do nich podobne, że nic nam nie powiedzieli!

– Dureń z ciebie, Kicio – roześmiał się Wrona. – Niby jak mieli to zaplanować bez nas tak co do minuty? Gdyby kazali nam tu być na konkretną godzinę, to tak. Ale skoro nic nam nie powiedzieli, to musi być przypadek.

– Już ja tych gnoi znam! – uparł się Kicio. – Słyszałem od takiej jednej...

Nie dowiedzieli się, co usłyszał i od kogo, bo samochód zahamował gwałtownie.

– Koniec luksusów! – Kaszel wychylił się z szoferki. – Od teraz walimy pieszo. Młody, Kicio znowu wodą. Topór...

– Zygmunt za Topora – zameldował Wrona. – Topór z Mrużewskim przy osłonie mostu. Radzio na wylocie ulicy.

– Bruno go zmieni – zdecydował sierżant. – Radzia chcę mieć przy sobie, żeby meldował centrali, jak tylko wysadzimy most. Słyszałeś, szeregowy? Od razu rozkładaj sprzęt.

– Tak jest!

– Co do was, towarzysze saperzy, nikt nie wymaga, żebyście tu odpieprzyli taką samą Hiroszimę. Ma jebnąć i tyle. Zwijajcie się. Jeszcze straż tędy nie jedzie, ale może się pojawić w każdej chwili. Straż i policja.

Tym razem nawet Kicio ani myślał pyskować. Pognali z Markiem i Zygmuntem, jakby się paliło. Nie podchodzili od wody, nie było czasu. Most, podobnie jak poprzedni, był niestrzeżony, ale oświetlony. Spojrzeli po sobie, przywiązali liny do balustrady, obwiązali się drugimi końcami w pasie i hopla za most, piętnaście

metrów od siebie.

– Na razie czysto – meldował Zygmunt z karabinem przerzuconym przez plecy, oparty o barierki niemal nonszalancko. Zapalił papierosa i rozglądał się, jakby czekał na pannę, co nie było strategią specjalnie wyrafinowaną i przemyślaną, jako że zbliżała się trzecia trzydzieści w nocy, a pięć kilometrów po obu stronach rzeki szalał pożar.

Nikt mu nie odpowiedział. Mrużewski cały czas operował Topora, starając się rozglądać przy tym na wszystkie strony. Topór robił się coraz bledszy, ale też lustrował okolicę. Kaszel na przemian obserwował przez lornetkę sytuację przy resztkach mostu kolejowego i drugi brzeg rzeki. Wrona klął. W tej chwili na Truchta, który rozkładał spokojnie, jakby zupełnie bez pośpiechu, radiostację R-350 zdolną zapewnić łączność nawet z Dziwnowem.

– Nienawidzę przekłętogo czekania – wściekał się Wrona. – Radziu, kurwa, nie robisz tutaj pieprzonego dzieła sztuki. To nie konkurs.

– Ja to wiem. – Trucht jak z wystudowanym spokojem pieścił swój kochany sprzęt, tak i odpowiadał spokojnie, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób tylko bardziej rozjusza kaprala. – Ale to nie jest za przeproszeniem KBK, kapralu. Tu trzeba delikatnie, z uczuciem. Jesteśmy paręset kilometrów od naszych. Pójdziemy na fali odbitej, ale to i tak wymaga ładnego poproszenia mojej kochanej panny, żeby zatańczyła, jak chcę...

– Radziu?

– Tak, kapralu?

– Ja cię bardzo uprzejmie proszę, zamknij mordę i pospiesz się, kurwa. Bo nasi już skończyli z pierwszymi ładunkami i zasuważą z drugimi.

Istotnie, Marek z Kiciem wspięli się na powrót na most i opuścili po jego drugiej stronie, dwadzieścia metrów dalej.

– W trzy minuty się uwinęli. – Trucht gwizdnął z podziwem, ani trochę nie przyspieszając własnej roboty. – Fachury.

– Ktoś nadjeżdża – rzucił Kaszel. – Ktoś, kto mruga kogutami na dachu. Trzy pojazdy. Jeden większy, to może być straż. I dwa mniejsze.

Zygmunt też je zauważył.

– Siedzicie pod mostem! – zawołał i prędko zdjął beret, ukrył go za pasem. Teraz udawał, że oczu nie może oderwać od łuny nad tym, co pozostało z mostu kolejowego. – Jadą tu jakieś gnojki pod kogutami.

Podczepieni pod mostem, kończący podkładanie drugich ładunków Marek i Kicio wymienili spojrzenia. Co było robić, wstrzymali dopięcie zapalników. Oddanie sprawie nie obejmowało wysadzania się razem z mostem.

Światła nadjeżdżających samochodów rosły i objęły wreszcie postać Zygmunta, który starał się równocześnie udawać zafascynowanie pożarem i tak opierać o barierkę mostu, żeby ukrywać i swój karabin, i przynajmniej jedną z podwieszonych lin.

– Radziu – szepnął obserwujący to wszystko przez lornetkę Kaszel – weź złóż te anteny, co?

Trucht tylko spojrzał z wyrzutem na Wronę, ale rozkaz wykonał. Wrona natomiast na wszelki wypadek odbezpieczył karabin.

– Niech przejadą – mrucał do siebie, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos. – Spieszą się do pożaru. Niech przejadą, sukinsyny.

Straż przejechała, podobnie jak pierwszy samochód policyjny. Ale drugi wyłapał już obecność mężczyzny na moście i zwolnił. Ani Wrona, ani Kaszel nie usłyszeli, o co pytali policjanci ani co im odpowiedział Zygmunt. Kapral zerknął na ukryte w krzakach wsparcie. Teraz nie miał jak im wydać rozkazu. Wprawdzie dwa pozostałe wozy oddalały się w stronę resztek mostu kolejowego, ale jeśli teraz chłopaki otworzą ogień, raczej to zauważą. Wszystko zależało od Zygmunta.

A ten uśmiechał się szeroko, kiwał głową, machał rękami w stronę płonącego mostu i całą swoją postawą zapewniał o byciu praworządnym frycem kochającym naród i kiełbasy. Na szczęście światła radiowozu skierowane były naprzód, toteż policjanci nie dostrzegli, że mężczyzna stojący na prawo od nich ma na sobie mundur. Możliwe zresztą, że byli zbyt zdenerwowani, by dostrzegać takie szczegóły. Jakąkolwiek bajkę wcisnął im Zygmunt, uwierzyli w nią. Odjechali.

Wrona otarł pot z czoła. Zerknął na Radzia.

- Co się gapisz? – warknął.
- Mam rozkładać anteny z powrotem?
- Rozkładaj!

Osiem minut później migoczące koguty straży pożarnej i policji zniknęły już zupełnie na tle pożaru, a Kicio z Markiem wyleźli spod mostu. Uciekali z niego, jakby znowu spodziewali się zobaczyć nadjeżdżający pociąg, a ich panika udzieliła się zespołowi osłony. Ledwie wskoczyli na pakę ciężarówki, a już Kicio zaczął z całych sił walić w dach szoferki.

- Jedź! Jedź! – darł się. – Pierwszy ładunek jebnie za półtorej minuty!

Siedzącemu za kierownicą Brunonowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Ruszył tak gwałtownie, że siedzący na pace powpadali na siebie. Wrona prawie grzmotnął głową o radiostację. Podparł się w ostatniej chwili. Niestety przesunął przy okazji jedną z anten. Trucht syknął poirytowany.

- Co nas zatrzymało? Co to było? – zapytał Kicio.
- Straż pożarna i policja. Zbyłem ich.
- A co im powiedziałaś? – zainteresował się Wrona.
- Że jestem ze straży sąsiedzkiej i pilnuję mostu na wypadek ataku komunistycznych dywersantów.
- A co to jest straż sąsiedzka? – zdumiał się Marek.
- Ty, Młody, za mało czytasz imperialistycznych gazet z naszej biblioteki – nadał się Wrona. – Tam wszystko stoi. Straż sąsiedzka to jest...

Eksplozja pierwszych ładunków nie pozwoliła mu dokończyć zdania. Odruchowo skulili się za mizerną osłoną ciężarówki. A potem po pierwszych eksplodowały drugie, a trzy sekundy później trzecie i ostatnie.

- Zawracaj – rozkazał Brunonowi Kaszel. – Musimy ocenić zniszczenia.

Pierwsze z przęseł szlag trafił. Most zawisł na środkowym i niestety całkiem nieźle wyglądał z drugiej strony Renu. Ale za to od strony, z której obserwowali go żołnierze, zupełnie nie nadawał się do użytku.

- Teraz to już na pewno nie pomyślą, że to wypadek – podsumował Kicio, gdy

odjeżdżali. – A jeśli zapamiętali wredną gębę Zygmunta, będziemy musieli go zabić, żeby nas ten pysk niezapomniany nie zdradził.

– Kicio... – jęknął Wrona.

– Już stulam pysk, kapralu.

– Jestem ci wdzięczny na wieki. Radzio, melduj, że zadanie wykonane, i czekamy na instrukcje. Na razie spadamy.

Powinno ich cieszyć to zwycięstwo, ale milczeli, niepewni, co będzie dalej. Sanitariusz nadal niestrudzenie wyjmował drzazgi z ręki Topora, Trucht starał się nadać wiadomość, a Wrona łypał spode łba na Kicia. Ten milczał, co wszystkim wydawało się wyjątkowo złowrogie.

Milczenie przerwał Marek:

– Nie wiem, co to ta straż sąsiedzka – odezwał się wpatrzony w przestrzeń za samochodem. – Ale mam nadzieję, że coś jak komitet partii. Wiecie, żeby na samo brzmienie nazwy wszyscy trzęśli portkami.

– Bo co? – rzucił podejrzliwie Wrona.

– Bo te samochody z kogutami na dachach jadą teraz za nami. Posłusznie melduję, obywatelu kapralu. I zbliżają się szybko.



Rozdział 10

3 czerwca, godzina 12.16, RFN, szosa na Düsseldorf

Dwaj Johnowie jechali w stronę Düsseldorfu nowiutkim popielatym oplem kadettem tak szybko, jak tylko się dało, w związku z czym strzałka szybkościomierza często dochodziła do magicznych stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Stonebridge miał nadzieję, że nie pozieleniał na twarzy, gdy samochód wchodził z piskiem opon w kolejne zakręty.

– U was się tak nie jeździ, co? – rzucił bardzo zadowolony z siebie agent MI6.

– Spróbowałbyś urządzić taki rajd po Londynie...

– Bo wy, chłopaki zza biurka, jesteście tak naprawdę bandą analityków. Wiem, ty jesteś trochę inny, wahałeś proch podczas wojny. Ale większość z waszych woli czytać raporty, niż uczestniczyć w prawdziwej akcji. U nas pracuje się inaczej.

– Wiem, czytałem Fleminga.

– Zgrywus z ciebie, co? Ze mnie też żaden Connery... Widziałeś film?

– Widziałem. Dobra komedia.

– Dobra komedia – zgodził się Dougling. – Ale to prawda, że my częściej... No, nie uczestniczymy w strzelaninach i obce agentki stanowczo zbyt często przypominają te twoje pięćdziesiątlatki, a nie seksbomby, ale...

– Czeka! – przerwał mu tknięty nagłą myślą Stonebridge. – Zatrzymaj się!

– Tu? Chłopie, to autostrada!

– No to zjedź na pobocze!

– Pęcherz masz za mały? To pewnie od siedzenia za biurkiem. W terenie musisz...

– Zjedź, do cholery! Możliwe, że spieprzyliśmy sprawę!

Agent MI6 spowaźniał. Zerknął w lusterko, zwolnił i wreszcie zatrzymał się na poboczu.

– Gadaj! – rzucił.

– Te dwie baby z CIA. – Stonebridge sam jeszcze nie był pewien, dokąd poprowadzą go świeżo przebudzone podejrzenia. Analizował na szybko, na głos. – Przyjechały do Niemiec, żeby włączyć się po Wewelsburgu, tak? Nie wiemy po co. Ile wiesz o Rabusiach Grobów?

– Możesz mi wierzyć, że MI6 jest znakomicie poinformowane i...

– To nie czas na gierki. Ile wiecie?

– Że banda jankeskich idiotów bada legendy. Szukają jasnowidzów jak Adolf podczas wojny. Reaktywowali tych wszystkich etnografów, profesorków, którzy podczas wojny dyktowali im i nam, jak podgryzać szkopów i żółtków, jak zwiększać morale w armii. Tyle wiemy.

– Dobra. No to pomyśl. Jankesi szykują jakieś akcje na terenie wroga. Nie wiemy, o co chodzi, tak?

– Teraz ty ze mną nie pogrywaj.

– Powiedzmy, że nie wiemy. Urządzają takie akcje dywersyjne, że Sowietci dostali szału i teraz wszyscy się boją, że z zimnej wojny zrobi się gorąca.

– Nadal nie rozumiem...

– Czy Amerykanie to durnie, John?

– Może nie rozumiesz, że dla nas w imperium to ciągle zbuntowane kolonie, którym trochę za bardzo urosło ego i...

– Zapytam tak: czy w CIA pracują wyłącznie kretyni?

– Nie. Nie wyłącznie.

– Więc czy CIA wysłałoby swoje doświadczone agentki blisko potencjalnej linii frontu, żeby pozwiedzały sobie nazistowski zamek? W czasie kiedy armia albo nawet oni sami szykują wielką awanturę ledwie paręset kilometrów dalej?

– Szlag! – Dougling ruszył z miejsca. Silnik ryknął, za samochodem roztrąbiły się klaksony zirytowanych iście nieniemiecką pogardą dla przepisów, gdy opel wbił

się w ruch na autostradzie, nie przejmując się kierowcami za sobą.

Agent MI6 docisnął pedał gazu.

– Najbliższy zjazd za dwa kilometry – mruknął. – Trzymaj się, analityku! Trzymaj się i mów dalej.

– Nie mam już wiele do powiedzenia. – Stonebridge przymknął na moment oczy, gdy Dougling, najwyraźniej niespełniony rajdowiec, podjął próbę wyprzedzenia wielkiej ciężarówki mercedesa, nie zwracając uwagi na to, że właśnie to samo próbuje zrobić rozpędzony kierowca fiata. Ledwie się zmieścili. Tylko dlatego, że fiat zahamował gwałtownie, zatańczył na jezdni i omal nie roztrzaskał się o barierki. – Musiały przyjechać tam po coś. Zwlekały, bo wiedziały, że mają ogon...

– Bo wy, urzędaszy, nic nie wiecie o śledzeniu.

– Jeśli ja ciebie nie przegapiłem, to one pewnie też nie. Dam głowę, że wiedziały o tych akcjach dywersyjnych.

– I wiedziały, że kiedy my się dowiemy, zerwiemy się, jakby nam się ogony zapaliły. – Dougling wziął zjazd z autostrady tak ostro, że otarli się o pobocze.

– Masz tu radio? Żeby kogoś zawiadomić?

– Nikogo bliżej od nas nie ma. A blokady nie urządzimy. Nie po to, żeby łapać sojuszników. Gdyby to był ktokolwiek poza Amerykanami...

Stonebridge rozumiał. Po Projekcie Manhattan i czwórce z Cambridge wywiad brytyjski nie chciał dodatkowo zadrażniać sytuacji z poirytowanym sojusznikiem. Największym, jakiego miało rozsypujące się imperium, a kto wie, czy nie jedynym, który rzeczywiście się liczył.

– No to musimy zdążyć – jęknął, rozumiejąc, co to oznacza.

Dougling nie zdejmował nogi z pedału gazu ani przez moment. A mimo to i tak nie zdążyli.

Wpadli na spokojne zwykłe ulice Büren, trąbiąc jak szaleni. Przechodnie uciekali im dosłownie spod kół, zbyt zdumieni, by choćby zaprotestować. Dougling już nawet nie ścinał niektórych zakrętów, po prostu jechał po chodnikach. Na zamkowe wzgórze wjechali, nie zwalniając, choć silnik już lekko zaczynał rzeźić, nie został

przygotowany do tak ekstremalnej jazdy. Stonebridge odruchowo zasłonił oczy, gdy Dougling stanowczo zbyt późno rozpoczął hamowanie. Zatrzymali się o włos od zamkowej bramy.

– Nie powinna być opuszczona – warknął agent MI6, wysiadając z wozu.

– A strażnik w stróżówce nie powinien być związany i zakneblowany – Stonebridge wskazał wypatrującego ich przez okno siwego mężczyznę w zamkowym uniformie.

Nie pomogli mu. Wbiegli przez furtę na wyłożoną kocimi łbami ścieżkę wiodącą ku dziedzińcowi. Przebiegli pędem przez kamienny most i zatrzymali się tuż za nim, przypadając do ścian, by ukryć się w ich cieniu.

Czterech mężczyzn przed nimi ugięło się pod ciężarem wielkiej, na oko niewiele młodszej od zamku skrzyni. Opatrzono ją znakiem czarnego orła trzymającego w szponach wieniec ze swastyką. Starali się zapakować ją do samochodu udającego karetkę, zaparkowanego na środku dziedzińca.

– Bierzmy ich, póki nikogo innego nie ma! – zdecydował i nie czekając na odpowiedź kolegi, wyrwał się do przodu.

– James Bond – zgrzytnął zębami Stonebridge, niechętnie podążając za partnerem. – Prawdziwy, niech cię szlag, Connery!

Kimkolwiek byli tragarze, okazali się zbyt zaskoczeni, a może zmęczeni, by zareagować. Pierwszy dopadł ich Dougling. Pchnął najbliższego, a ten z okrzykiem zaskoczenia, który zmienił się zaraz w okrzyk bólu, upuścił skrzynię prosto na swoją stopę. Drugi z mężczyzn zachwiał się pod nagle zmienionym ciężarem, a nim złapał równowagę, Dougling dopadł i jego. Ciosem w szczękę godnym agenta rodem z filmu odrzucił tamtego o dobre dwa metry. Teraz już cała część skrzyni gruchnęła na ziemię. Pozostali dwaj mężczyźni otrząsnęli się z zaskoczenia. Jeden na tyle, by sięgnąć do tyłu, za pas. Dougling jednak nie dał mu czasu na wyciągnięcie broni. Przeskoczył przez skrzynię, prześlizgując się po jej wieku i wykorzystując rozpęd, kopnął tamtego w brzuch.

Stonebridge musiał kończyć po nim robotę. Najpierw bardzo nieprzyjemnie zapoznał ze swoją pięścią nos mężczyzny starającego się wydobyć uwięzioną pod

skrzynią stopę. Niemiły trzask świadczył o złamanej kości. Zaatakowany poleciał do tyłu, odruchowo chwytając się za twarz. Stonebridge nie tracił już na niego czasu. Gnał ku podnoszącemu się z ziemi i wyciągającemu pistolet facetowi, którego Dougling potraktował ciosem w szczękę. Zignorował odgłosy szamotaniny za sobą, choć zarejestrował, że ten ze złamanym nosem wzywa pomocy. Pozostawało mieć nadzieję, że jedyną kawalerią, na jaką mogą liczyć jankesi, są nobliwe antropolożki.

Kopnął z całej siły dłoń powstającego. Pistolet wypadł z niej i potoczył się po bruku. Amerykanin zaklął i zaraz stęknął głucho, gdy Stonebridge uderzył go obcasem lewej nogi w mostek. Nie poprawiał kopniakiem w gębę. Nie miał nic do Amerykanów. To była zwyczajna praca.

Pobiegł za to w stronę porzuconego pistoletu. I prawie udało mu się go dopaść.

– Nie radziłabym – powiedziała Margaret Mead tym swoim profesorskim głosem, jakby zwracała się do studenta.

Stonebridge zerknął przez ramię. Jeśli to ona trzymałaby broń, mógłby zaryzykować.

Niestety profesor antropologii, a przy okazji oddana agentka CIA niknęła w cieniu dwóch olbrzymów w czarnych golfach. Byli tak wielcy, że schmeissery w ich rękach wyglądały prawie jak zabawki.

Dwaj inni właśnie unieszkodliwiali Douglina. Najwyraźniej nie spodobało im się, jak potraktował ich kumpli, bo uśpili agenta MI6 ciosem kolby w głowę. A potem jeden z tragarzy oddał uczucia całej czwórki, kopiąc już nieprzytomnego agenta.

– To nie było potrzebne – zganiła go Mead. – Ładujcie skrzynię, nim zjawi się jeszcze ktoś.

Przeklinając pod nosem, spełnili rozkaz. Ten ze złamanym nosem obdarzył Stonebridge'a długim, pełnym żalu spojrzeniem.

– Czytałem pani prace – zaryzykował John, demonstracyjnie oddalając się od pistoletu. Faceci ze schmeisserami nie odrywali od niego oczu. – Bardzo interesujące. Chętnie zrozumiałbym, co panią tutaj przyciągnęło.

– Ta skrzynia? – uśmiechnęła się Mead. – To po prostu dokumenty SS. Powinny

być raczej w naszych niż niemieckich rękach. Niemcy... Oni tak się zaangażowali w zawstydzenie niedawną przeszłością, że pewnie spaliliby to, gdyby znaleźli. Z poczucia głębokiego wstydu, oczywiście.

– W tych innych miejscach, które zaatakowaliście, też są po prostu dokumenty SS, pani profesor?

– Johnie... Mogę tak mówić? Dziękuję. Proszę, nie wtrącajcie się w tę akcję. Nie rozumiecie, co naprawdę się dzieje.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo chciałbym zrozumieć.

Przekrzywiła lekko głowę. Uśmiechnęła się. Podeszła do niego, ignorując ostrzegawczy syk ochroniarzy, a nawet „Margaret!” rzucone przez Métraux. Lufy schmeisserów uniosły się znacząco. Stonebridge nawet nie myślał, aby choć drgnąć. Zresztą co miałyby zrobić? Wziąć Mead jako zakładniczkę? Może w MI6 tak się przejęli powieściami Fleminga, że zaczęli stosować metody wymyślonych agentów, ale MI5 nie działało w ten sposób.

Pomijając oczywiście to, że takie potraktowanie kobiety nie byłoby w dobrym stylu. Stonebridge w niczym nie przypominał gentlemana, ale w imię zasad starał się za takiego uchodzić.

– Drogi sojuszniku, ta nazwa, którą nam nadaliście, Rabusie Grobów, niezwykle nas ubawiła. Jeśli coś wam, z Zespołu Camelot, się udało, to to na pewno. Ale niewiele więcej. Odpuście. W swoim czasie wszystko zrozumiecie. Ale teraz... Zdaję sobie sprawę, że trudno tego słuchać, ale macie w swoim zespole co najmniej dwóch sowieckich agentów. Jak więc możemy wam coś powiedzieć?

– Skąd pani wie, że nie jestem jednym z nich?

– Nie wiem. Ale jest pan Polakiem. A nikt na świecie nienawidzi Sowietów bardziej niż wy. Niech pan uważa na siebie, John. Chętnie porozmawiam kiedyś z panem o antropologii i o profesorze Malinowskim... Znał go pan, prawda?

– Zbyt słabo, niestety.

– Odpowiedź godna prawdziwego agenta. Proszę się zająć przyjacielem, chyba wraca do siebie. Na nas już pora. Proponuję, by i panowie nie zwlekali. Tutaj szybko może się zrobić nieprzyjemnie.

– Ma pani na myśli zamek? Niemcy? Europę?

– Obawiam się – odparła, odchodząc, chyba szczerze zasmucona – że cały świat.

Do widzenia, Johnie.



Rozdział 11

3 czerwca, godzina 3.50, okolice Laubenheim, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego

Czymkolwiek jechała policja, samochody na sygnale bez trudu doganiały starą ciężarówkę mleczarza.

– To chyba te same gliny – ocenił Wrona, przyglądając im się przez lornetkę. – Dwa wozy. Dojdą nas.

– No to ich rozwalimy. – Topór próbował poderwać się na nogi, ale wciąż opatrujący mu rękę Mrużewski go powstrzymał.

– To tylko gliny – zaprotestował sanitariusz. – Nic nam nie zrobili.

– Mów za siebie! – Topór uniósł zakrwawioną rękę.

– To też nie oni.

– Jak meldunek? – zapytał Wrona.

– Poszedł – oświadczył Trucht. – Takie to szybko idą.

Ich radiostacja nadawała przede wszystkim meldunki telegraficzne. Jeśli przygotowali je wcześniej, wystarczyło je nadać. Radio na wszelki wypadek zabrał ze sobą trzy: o niepowodzeniu akcji, o jej powodzeniu i częściowym powodzeniu.

– Dostałeś potwierdzenie?

– Jeszcze nie.

– Szlag.

– Na pewno dostali. Wysłałem o czasie, więc doszło.

– Dobra, zwijaj sprzęt. Wszyscy na podłogę. Rozpłaszczyc się tak, żeby was nawet Pan Bóg nie zobaczył. Nie wychylać się bez rozkazu. I żadnego otwierania ognia bez rozkazu. Zrozumiano? Topór?

– Tak jest – mruknął Topór, rozplaszczając się na podłodze między baniakami. – Przecież to Niemcy... – marudził. – Co to za wojna ma być...?

– Stul pysk, żołnierzu! Coście się wszyscy w Kicia pozamieniali? Cisza ma być!

Trzęsące się na pace baniaki zapewniały im pewną osłonę, kiedy policyjne samochody mijają ich w pełnym pędzie. Z drugiego przez okno wychylił się policjant, krzyżąc, że mają zjechać na pobocze i się zatrzymać. Jeszcze nie świtało, w ciemnościach nie zobaczył więc, że kierowca ciężarówki i jego pasażer w szoferce mają na sobie mundury obcej armii.

Markowi spodobał się rozkaz kaprała. Zaczęła się wojna, jasne, ale cieszył się, że nie musi strzelać do Bogu ducha winnych ludzi, niechby i szkopów. Pytanie, czy Kaszel miał podobny pomysł na rozegranie tego kłopotu. Nie zdążyli pogadać z Wroną. A Kaszel miał swoje prywatne porachunki z Niemcami.

Okazało się jednak, że sierżant ufał swojemu kapralowi. Zdjął już wcześniej beret, wychylił łeb z szoferki i wykrzyczał po niemiecku, że oczywiście, panie policjancie, już się zatrzymujemy. Wbrew temu, co mówił, odjechali jeszcze paręnaście metrów, byle oddalić się od zabudowań. Dopiero wtedy ciężarówka zjechała na pobocze i się zatrzymała.

Niemcy nie byli głupi. Czy coś podejrzewali, czy dochowywali wierności procedurom, zatrzymali się tak, by uniemożliwić ciężarówce ucieczkę. Jeden zielony opel kapitan blokował ją z przodu, a drugi zajechał jej drogę od tyłu. Wysiadali, opierając dłonie na rozpiętych kaburach. Eksplozja drugiego mostu sprawiła, że stali się czujni.

Ale było ich tylko czterech, a za całe uzbrojenie służyły im pistolety.

– Co tu robicie w środku nocy? – zapytał jeden z policjantów, podchodząc do szoferki od strony kierowcy.

– Jaka to noc? – obruszył się Kaszel. – Już prawie czwarta! Po mleko trzeba jechać z samego rana, żeby obywatele byli zadowoleni!

Zerknął w lusterko i zobaczył, że od tyłu dwaj inni policjanci podchodzą do paki. W ostrym świetle reflektorów policyjnego opla baniaki rzucały mocne cienie, dzięki czemu żołnierze wciąż jeszcze pozostawali w ukryciu.

– I tak pędzicie z mlekiem jak najdalej od miasta? – nie ustępował policjant.

– Bańki jeszcze puste, panie oficerze – udał zdumienie Kaszel, odtwarzając w pamięci mapę okolicy. – Dopiero jedziemy po mleko do Ginsheim.

– Do Ginsheim? Tam nie ma żadnej mleczarni.

– Ale rozlewnia jest, panie oficerze. – Znów zerknął w lusterko. Gliniarze z tyłu ustawili się jeden za drugim. Jeden sięgał ku pace, drugi stał parę kroków za nim.

– I nic nie widzieliście? Żadnego wybuchu? Tak po prostu jedziecie po mleko?

– Właśnie dlatego, że widziałem wybuch, jadę od niego jak najdalej – odparł Kaszel. – Swoje widziałem, swoje odsłużyłem i nie chcę już nic takiego oglądać.

Policjant skinął głową. To rozumiał. Wyglądał na faceta około pięćdziesiątki, też pewnie swoje widział i odsłużył. I też nie lubił tamtych wspomnień. Kto wie, może i nawiązaliby nic porozumienia, ale Wrona nie zamierzał dłużej czekać.

– Teraz! – zawołał i żołnierze poderwali się na nogi.

Niemcy mogli sądzić, że byli gotowi, bo trzymali dłonie na kolbach pistoletów, ale gdy Polacy wycelowali w nich lufy swoich kałasznikowów, nie wykonali najmniejszego gestu. Kaszel uśmiechnął się do starszego policjanta niemal przepaszająco, gdy wycelował do niego ze swojej tetetki. Bruno wyszczerzył się znacznie paskudniej, celując do „swojego” Niemca.

– Zygmunt, Młody! – rzucił Wrona i to wystarczyło. Dwaj żołnierze zeskoczyli z paki, szybko rozbroili Niemców wciąż zeszywniałych pod lufami pozostałych.

– Piękna parabelka – gwizdnął Marek, podziwiając walthera P1. – Zdobyczna, moja!

– Wszędzie bym cię poznał po tym zacięciu do szabru! – parsknął Kicio. – A weź jedną i dla mnie!

– Pierwsze zdobycze należą się dowódcom – ostudził ich zapał Wrona.

– Ja już mam komplet – roześmiał się Kaszel. – Choć starszych modeli...

Ustawili Niemców z rękami na karkach wzdłuż ciężarówki, od strony pobocza. Pilnowali ich Bruno z Zygmuntem. Kicio pobiegł do wozów, by wyłączyć światła i koguty, które mogłyby przyciągać uwagę.

– Co z nimi zrobimy, sierżancie? – zapytał Wrona szczęśliwy, że to nie on musi brać na siebie odpowiedzialność za decyzję.

– Jak ich rozwalimy, to nic nie powiedzą – rzucił wciąż siedzący na pace Topór.

– Stul pysk, szeregowy – odruchowo ofuknął go Wrona. – Trochę racji ma – dodał szeptem.

Kaszel nie zastanawiał się długo. Dwadzieścia lat wcześniej nie byłoby o czym gadać. Pociągnęliby po szwabach serią i tyle. A kto wie, może i za miesiąc zrobi tak samo. Ale choć nigdy nie zamierzał wybaczać im tego, co zrobili, trochę wody w Wiśle już upłynęło i nie był tak skłonny do szybkiego zabijania jak kiedyś. I nie bardzo miał ochotę zaczynać pierwszą prawdziwą akcję chłopaków od zbrodni wojennej.

Małej satysfakcji jednak sobie nie odmówił.

– Wy byście nas rozwalili – odezwał się do starszego policjanta. – A my was puścimy.

– Seria w plecy? – Tamten nie uwierzył.

– Tak to robiłeś podczas wojny? Nie jesteśmy wami. Wyskakujcie z mundurów.

– To hańba! Wbrew wszystkim zasadom!

– To wojna, szkopie. Przeżyjesz. Może tylko się przeziębisz. Wyskakujcie z ciuchów, no już!

Rozbierali się niechętnie, tym bardziej że na oczach coraz szerzej uśmiechających się żołnierzy.

– Jest ich czterech, nas dziewięciu – mruknął Wrona. – Wszyscy się nie przebierzemy.

– Starczy na tych, którzy siądą z przodu pięknych samochodzików, które dali nam w prezencie. Trochę nimi pojeździmy.

– Dokąd?

Kaszel nie odpowiedział, tylko znacząco skinął głową w stronę Niemców. Wrona zrozumiał.

– Kicio, Młody, Bruno i Trucht – zdecydował. – Wy najbardziej przypominacie

tych germańskich najeźdźców. Wskakujcie w ich ciuchy. Reszta pakuje się na tylne siedzenia. Teraz my pojeździmy trochę na sygnale.

– Wiecie, co robicie? – zapytał jeszcze starszy Niemiec, gdy już związanych upchnęli ich na pakę ciężarówki. Kaszel szykował się właśnie, by zakneblować ostatniego. – Znowu wojna?

– Ja tylko wykonuję rozkazy – znów nie oparł się pokusie sierżant. – Wojny wywołują więksi od nas. My tylko w nich giniemy. No, kładź się.

Odjechali ciężarówką między drzewa, zaparkowali ją tam, z boku drogi, prawie niewidoczną z szosy. Niemcy na razie siedzieli cicho. Najwyraźniej nie chcieli prowokować.

Do samochodu, w którym ulokowali się Marek z Kiciem, wsiadł też z tyłu Wrona.

– Przypilnuję cię, Kicio – mruknął, zajmując miejsce przy drzwiach, obok Mrużewskiego. Trzeci na tylnym siedzeniu gniótł się Zygmunt. – Sierżanta puszczaamy pierwszego. Odpalacie sygnał, a później ile Bozia dała. Jak się uda, na sygnale nikt nie będzie chciał nas zatrzymywać. Jak z paliwem.

– Ten nasz zatankowany do połowy – zameldował Kicio. – Odessałbym z ciężarówki, ale tam już też resztką została. Jak jedziemy?

– Kaszel nas poprowadzi. Walimy na Frankfurt nad Menem, ale miniemy miasto od północy. Niby najprostsza jest droga do braci Czechosłowaków, ale tak sobie myślę, że na taki pomysł może wpaść i NATO, jeśli będzie nas ścigać.

Marek skinął głową. Odpalił silnik. Szukał przez chwilę włącznika syreny. Chociaż podczas szkoleń wiele uczyli się o imperialistycznych wojskach, a nawet policji, nikt nie omawiał z nimi obsługi radiowozu.

– Tutaj – wybawił go z kłopotu Kicio, stukając przełącznik na desce rozdzielczej. – Zupełnie jak na tej akcji ćwiczebnej, nie? Znowu jedziemy z przytupem, na sygnale!

– Stul pysk, Kicio – stęknął odruchowo Wrona, przykładając głowę do oparcia siedzenia. – My się tu z tyłu trochę kimniemy. Budźcie nas za pół godziny. A jakby się nic nie działo, to za całą godzinę.

Gnali nieniepokojeni, nawet gdy już wstał świt. Ledwie słońce liznęło horyzont, zniknęła nareszcie krwawa łuna znad Renu. Marek odetchnął wtedy z ulgą. Odnosił wrażenie, że póki pożar tlił się na horyzoncie, to jakby czyhało na nich nieszczęście.

Pojawiły się pierwsze samochody, początkowo większość jechała w tym samym kierunku, potem zaczęło się to zmieniać. Coraz więcej samochodów zmierzało raczej ze wschodu na zachód niż odwrotnie. Około godziny dziesiątej Kaszel dał znać światłami, że muszą się zatrzymać.

– Pociągniemy na tym baku może z dziesięć kilometrów – ocenił, podchodząc do radiowozu Marka. – A wy?

– Coś koło tego. Porzucamy?

– Nie, to ciągle za dobra przykrywka. Widziałem znak, że za pięć kilometrów powinna być stacja. Zjedziemy, zatankujemy i w drogę. Sprawdźcie portfele tych gliniarzy, ile macie marek.

Wrócił do swojego radiowozu i ruszyli. Marka zdziwiła skwaszona mina sierżanta. Nie podobało mu się tankowanie? No jasne, jest małe ryzyko. Ale jeśli uwiną się szybko, a z samochodów wyjdą tylko oni w niemieckich mundurach, może się udać.

Poszło jak z płatka. Obsługa stacji nawet życzyła policjantom dobrej drogi, choć próbowała wypytywać ich o niepokojące wieści ze wschodu, o podobno zbombardowane mosty na Renie.

– To tylko pociąg z gazem się wykoleił – uspokajał Marek. – Nie ma powodu do obaw.

Odjechali czym prędzej, nim ktoś zainteresował się żołnierzami w polskich mundurach skupionymi na tylnych siedzeniach.

– Za dobrze nam idzie – mruknął nieco później Kicio, gdy zamieniał się z Markiem miejscem przy kierownicy. – Jak po maśle, kurczę.

– Jakby Wrona nie spał, chybaby cię teraz zastrzelił – Marek uśmiechnął się krzywo. – Jak po maśle? Omal nie zginęliśmy pod tamtym mostem. A potem ścigała nas policja.

– Ani nikt do nas nie strzelał, ani myśmy do nikogo nie strzelali – nie zgodził się

Kicio.

– A nie o to chodzi w naszych akcjach? Żeby załatwić wszystko cicho i szybko?

– Niby o to. Ale jakoś dziwnie się czuję. Wiesz, co mnie niepokoi? Cały czas rozglądam się, szukając atomowych grzybków. Któraś ze stron powinna już jebnąć, jeśli wojna się zaczęła, nie?

– Do tego nikomu się nie spieszy – zbagatelizował Marek. – Jak użyje atomówki jedna strona, to druga prędko odpowie. I zostanie pogorzelnisko.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – mruknął Kicio, ale bez wielkiej wiary.

Prawie im się udało. Samochody ustępowały im miejsca, nikt ich nie zatrzymywał, choć minęli kilka patroli drogowych. Kicio nasłuchiwał cały czas wieści na policyjnym radiu. Już zauważono ich zniknięcie. Wywoływano ich, ale nie odpowiadali. Ogłoszono w związku z tym alarm, ale nikt nie szukał ich w drodze do czeskiej granicy. Nie znaleziono też, jeśli wierzyć policyjnej radiostacji, związanych na ciężarówce policjantów.

Na ile mógł się zorientować z przechwytywanych meldunków, panował chaos. Marek spisywał wszystko do policyjnego notatnika, który znalazł w kieszeni munduru. Policjanci rozmawiali ze sobą przez radio o innych wysadzonych mostach, ataku na bazę Ramstein i wysadzeniu znacznych zapasów paliwa i amunicji, o zerwanych liniach telefonicznych i telegraficznych. Jedni utrzymywali, że zaczęła się inwazja, inni, że to tylko ćwiczenia. Każdy wypatrywał wybuchów atomowych, ale nikt żadnego nie zauważył.

Wszystkie te informacje mogły się okazać przydatne – o dyslokacji sił policyjnych i zauważanych przez policjantów ruchach wojsk, czy to niemieckich, czy to amerykańskich. Marek notował je pilnie, ale cała ta czujność i ciekawość nie przygotowała go na to, co nastąpiło, gdy z Würzburga wyjechał prosto przed nich czołg z amerykańskimi oznaczeniami, blokując całą drogę. Kicio nacisnął z całych sił na hamulec, starając się uniknąć zderzenia z równie rozpaczliwie hamującym radiowozem sierżanta. Ostatecznie szarpnął za ręczny, a oplem obróciło dwa razy wokół własnej osi i zatelepało nieznośnie pasażerami. Ale na czołg nie wpadli.

Zdecydowanie gorzej poszło kierującemu pierwszym radiowozem Brunonowi,

który wprawdzie niemal wyhamował, ale i tak stuknął w gąsienicę czołgu. Pasy utrzymały go w siedzeniu. Szarpnęło tylko, poleciał do przodu, ale zaraz pasy pociągnęły go z powrotem. Jęknął. Zamarł niezdolny do jakiegokolwiek reakcji i patrzył tylko, jak zielona maska wozu faluje przed nim, wygina się i zbliża ku niemu gwałtowną falą. I nagle zamarła.

– Chyba żyjemy – westchnął.

I wtedy wieżyczka czołgu zaczęła się powoli obracać, kierując lufę w jego stronę. A zza czołgu wybiegli żołnierze w amerykańskich mundurach. I wszyscy, zapewne kierowani odruchem, sięgnęli po przerzucone przez ramiona karabiny.



Rozdział 12

3 czerwca, godzina 19.00, pod Piłą, oddział GROZBA

Początek nie był wcale łatwy, ponieważ mieli kilka godzin opóźnienia. Papieżowi udało się ściągnąć helikopter, i to nie z Warszawy, ale prosto z fabryki w Mielcu. Razem z maszyną przylecieli mechanicy, aby zająć się uszkodzonym przez ostrzał śmigłowcem. Widząc zdziwione miny inżynierów, kapitan Awinow zastanawiał się nad całą sytuacją. Przeszło mu przez myśl, że może trzeba by tych inżynierów zlikwidować, kiedy naprawią już maszynę. Po cholere mają rozsiewać plotki po całym kraju? A będą to robić. Ostrzelany przez dziwne wojska milicyjny śmigłowiec na środku kościelnego placu na jakimś kieleckim zadupiu – gdyby do takiej sytuacji doszło na przykład pod Astrachaniem albo pod, powiedzmy, Smoleńskiem, tacy delikwenci na sto procent nie mieliby szans na przeżycie następnego dnia.

„Niestety, jesteśmy w Polsce” – pomyślał z żalem. „Może i kiedyś dościgną nas w rozwoju, ale jeszcze nie teraz”.

Mordercze zapędy Awinowa przydały się na miejscu, gdy dotarli do Piły. Zapakowani w najnowocześniejszy śmigłowiec Mi-2, pachnący jeszcze świeżą farbą i spawanym metalem, ruszyli z kopyta i pędząc z szybkością przelotową prawie sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, dotarli do oddalonej o pięćset kilometrów Piły w trzy godziny. Tylko raz tuż przed Warszawą musieli lądować. Pilot otrzymał rozkaz przepuszczenia eskadry uzbrojonych śmigłowców w korytarzu powietrznym przecinającym ich trajektorię lotu. Przez pół godziny czekali w napięciu, aby w końcu zostać świadkami pięknego i groźnego spektaklu – setki nowoczesnych maszyn, uzbrojonych w ciężkie karabiny i wyrzutnie rakiet, z impetem trajkoczących śmigieł przewalały się przed ich oknami. Swoboda nigdy nie widział takiej ilości latającej broni i serce podeszło mu do gardła. Właśnie zdał sobie sprawę, że to się

dzieje naprawdę. To, czyli wojna, kolejna w jego życiu. Jednocześnie czuł dumę, bo widział pokaz potęgi i siły Ludowego Wojska Polskiego i był przekonany, że zmiotą z powierzchni ziemi imperialistyczne świnię.

„Do tego pokazu pasowałaby jakaś monumentalna muzyka” – pomyślał. „Bach, Mozart?”

Nie znał się zbyt dobrze na muzyce, ale w czasie kilkuletniej kariery jako wuefista w XV liceum w Krakowie zaprzyjaźnił się z Antkiem Cieślakiem, młodym nauczycielem muzyki. Ten wpadał do niego do kantorka na kielicha w swoje okienka. Wspólnie podziwiali zgrabne pośladki licealistek, a jeśli okienko przedłużało się na dwie lekcje, a kielich spod stołu napełniał się zbyt często, Antek w profesjonalnym uniesieniu przynosił gramofon, żeby katować kolegę płytami z muzyką. Najczęściej paskudnym kapitalistycznym jazzem. Czasem operą, czasem Czajkowskim, Wagnerem...

„Noooo... – skonstatował wreszcie. – Wagner by tu bardzo pasował!”

Kapitan Ksiondz spędził wymuszoną przerwę w podróży na wnikliwej obserwacji dziwnego oddziału obcokrajowców. Dziewięcioro żołnierzy GROZB-y stanowiło barwną kompanię. I to dosłownie, ponieważ każdy z nich miał praktycznie inny kolor skóry. Śniadzi, ciemnowłosi i czarnoocy kaukascy żołnierze kontrastowali z bladymi blond kobietami. Te między sobą również się różniły. Helga, wysoka, muskularna i krótko obcięta, stanowiłaby ideał dla faszystowskich miłośników nadludzi. Choć może i nie, ponieważ jej oczy nie były niebieskie, ich kolor najbardziej zbliżony był do koloru ciemnego piwa. Swietłana – drobna i zwiewna – zamyślona pływała w zbyt dużym mundurze. I chyba jako jedyna zupełnie nie pasowała do jakiegokolwiek oddziału żołnierzy. Turkmen, Kazach i Azer mogliby być jednej narodowości dla obcego człowieka patrzącego na nich z boku, choć Kazach miał bardziej skośne oczy niż pozostali. Czukcza był interesujący. Drobny, niski, skośnooki. Pasował Ksiondzowi do jego wyobrażenia o Eskimosach. Wiedział ze szkoły, że istniało między nimi pokrewieństwo. Kapitanowie wydawali się do siebie podobni, wysocy, w zbliżonym wieku, mogli być potraktowani jak bracia. Robili nawet podobnie skwaszone miny, gdy coś nie

szło po ich myśli. Rumun jak Rumun, średniego wzrostu, ciemny, ale o jaśniejszej karnacji niż kaukascy towarzysze. Ksiondz zwrócił uwagę na jego wielkie jak bochen chleba łąpska.

Kiedy eskadra śmigłowców znikła w oddali, dostali pozwolenie na kontynuowanie lotu. Swoboda z ciekawością oglądał, co się dzieje na dole pod nimi. Cieszył się, że lecą śmigłowcem, ponieważ gdyby przyszło im podróżować samolotem, nic by nie widzieli.

Im dalej na północ i na wschód, tym więcej wojska widzieli. Potężna fala zielonych ludzi, ciężkiego sprzętu bojowego, kolumny transportu raketowego, ciągi wozów pelengacyjnych, pozatykane transportami wojskowymi arterie kolejowe. Na wagonach spod zakrytych siatką maskującą sprzętów od czasu do czasu wyglądały niesfornie groźnymi oczyma niezakryte lufy artylerii. Przelatując nad rzekami, byli świadkami tego, jak wojskowi inżynierowie sprawnie ustanawiali pontonowe przeprawy na rzekach, żeby jak najszybciej odkorkować zatkane mosty.

– Ciekawe, czy atakujemy, czy przemieszczamy się na zachód w celu wzmocnienia obrony – zapytał sam siebie Ksiondz. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jest w hełmofonie i wszyscy go słyszeli, ponieważ Swoboda mu odpowiedział:

– To się niedługo okaże.

Wylądowali w jednostce wojsk lądowych w Pile. Panował tu niesamowity chaos, ponieważ żołnierze szykowali się do wymarszu. Część garnizonu składała się z poborowych, dlatego nie do końca składnie im tu wszystko szło. Ba, pobór trwał w momencie lądowania maszyny, na środku placu apelowego pracowała komisja przy prowizorycznym długim stole, a kolejka młodych, w większości wystraszonych mężczyzn wiła się aż do baraków wojskowych.

Na szczęście na miejscu sprawnie pracowała grupa Wydziału IV Służby Bezpieczeństwa. Jej dowódca, młody porucznik z delegatury w Poznaniu, poprowadził przybyłych do wojskowego namiotu na uboczu. Swoboda zauważył, że musiał to być namiot stołowy, zanim zamienił się w twierdzę przesłuchań. Twierdzę, ponieważ była doskonale strzeżona przez liczny, uzbrojony po zęby oddział MO

oraz ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy SB.

– Wojsko na początku chciało nam zabrać jeńców, ale udało się ich przekonać, że to nasza sprawa. Zginęli przecież funkcjonariusze MO – opowiadał porucznik w drodze do namiotu. – Na szczęście wojskowi mają teraz mnóstwo swoich problemów i zgodzili się, żebyśmy ich przesłuchali.

– Z wojskiem, myślę, dalibyśmy sobie radę – powiedział Awinow, a porucznik dopiero teraz zdał sobie sprawę, że prowadzi do jeńców oprócz swoich przełożonych innych wojskowych, i zamknął buzię na kłódkę.

– Udało wam się uzyskać jakieś informacje? – zapytał Papież.

– Jeszcze nie, ale nie mamy śledczych z prawdziwego zdarzenia. Ściągamy ich z Warszawy.

„Śledczy z prawdziwego zdarzenia” – pomyślał Ksiondz. „Specjaliści od przesłuchań, zakapiory takie jak te z UB sprzed dekady”. Pamiętał, że po nocy spędzonej z nimi na poważnie myślał o zmianie nazwiska na rodowe matki: Ryś.

Helga popatrzyła z politowaniem na plecy pędzącego przed nią oficera kontrwywiadu.

– Specjaliści właśnie przylecieli. Reszta nie będzie potrzebna.

Jeńcy nie byli w najlepszym stanie. Przywiązani do krzeseł, poobijani. Młody, ciemnowłosy mężczyzna był ranny. Brudny bandaż opasujący jego lewe ramię był przesiąknięty krwią kapiącą na podłogę. Kobieta patrzyła z ukrywanym niepokojem na towarzysza. Na jej pięknej twarzy pałętał się grymas bólu i wściekłości.

Swoboda kazał wszystkim opuścić namiot. Pozostać mieli jedynie członkowie oddziału GROZBA. Papież i Ksiondz zgłosili veto.

– Razem do końca, taka była umowa.

Swoboda westchnął.

– Dobra, sami tego chcieliście – zgodził się szybko. – Gyrgołtagin, Muchatow, Karimow i Bjul-Bjul, przejmijcie i zabezpieczcie odzyskane przedmioty. Wicie, co jest najważniejsze.

Z pospiesznego raportu milicjantów w czasie lotu dowiedzieli się, że miecz

Świętego Piotra pozostał nietknięty, natomiast uszkodzeniu uległo parę kielichów mszalnych i bogato zdobionych pojemników na eucharystię. Przedmioty mszalne zostały zabrane, pewnie by zmylić śledczych, że chodziło o zwykłą kradzież.

Swoboda wskazał Swietlanę.

– Ty też, szeregowo. – Pokazał jej wyjście. – Wrócisz, jak będzie potrzebne leczenie.

Awinow sarknął złośliwie. „Cholerny Polaczek, kawaler się znalazł”.

Swoboda tego nie zauważył albo widzieć nie chciał.

– Helga, zajmij się nimi.

Awinow się zdziwił.

– Helga? A ja?

– Ty na razie popatrzysz.

Helga ochotczo zabrała się do pracy. Najpierw przycisnęła mężczyznę, ale ten szybko tracił przytomność. Postrzał na ramieniu dawał mu się solidnie we znaki.

Potem zajęła się kobietą. I tu odniosła pierwszy sukces, choć nie w pełni świadomie. Po dosyć intensywnym przesłuchaniu dotyczącym tego, kim jest i skąd, a także gdzie jest Szczerbiec, kobieta straciła przytomność. Wylana na nią lodowata woda nie do końca ją otrzeźwiła, ale kobieta w malignie wykrzyknęła jakieś słowa w nieznanym języku. Helga zastygła niczym kamienny posąg.

– Hebrajski – syknęła.

– O, to prawie rodaczki – kpiąco zagaił Awinow i zwrócił się do Swobody: – To co? Intensyfikujemy przesłuchanie? Wiemy już, że to Mossad, może jakiś gwałcik? Coś tej naszej żydowskiej Niemrze nie idzie zbyt dobrze.

Swoboda popatrzył na niego z politowaniem.

– A ty co, wiking jesteś? Aaaa, nie. – Jakby nagle sobie przypomniał. – Rdzenny ruski z Leningradu.

Awinow wykrzywił się wściekle.

– To był, kurwa, żart...

Swoboda nie znał się na takich dowcipach.

Helga podeszła do nich i rzuciła:

– Dawajcie mi tu Czukcę i wypierdolicie wszystkich.

Awinow popatrzył na nią groźnie.

– A odkąd, sierżancie, wy tu wydajecie rozkazy?

Helga hardo spojrzała mu w oczy.

– To nie rozkaz, kapitanie. To gorąca prośba.

Miał już coś odpowiedzieć, ale Swoboda uciął dyskusję:

– Jesteś pewna?

Sierżant Jaeshke kiwnęła głową bez słowa.

Swoboda zatoczył ramieniem koło w stronę wyjścia z namiotu.

– Wyjazd! – krótko krzyknął. – Wszyscy!

Papież próbował oponować, ale przestał, ujrawszy dzikie oczy Niemki. Wyszli na zewnątrz ogrzać się w słońcu, a Swoboda podszedł do Czukcy.

– Helga cię potrzebuje.

Targaj Ettuwiewicz Gyrgołtagin skinął w milczeniu głową i poszedł do namiotu. Swoboda zauważył w oddali kuchnię polową, którą najpewniej wyciągnięto z nieszczęsnego namiotu.

– Ciekawe, czy znajdziemy tam prawdziwą wojskową grochówkę. Nic od rana nie jadłem. Jesteście głodni? – zwrócił się do wszystkich.

Papież podziwiał jego spokój. Przywołał ręką młodego porucznika.

– Skocz no do kuchni i załatw nam, co tam macie najlepszego.

Po mniej więcej godzinie z namiotu wyszli Czukcza i Helga. Podszedłszy do reszty oddziału, Niemka złożyła raport:

– Nazywa się Sara Berkowicz i jest oficerem Sajjeret Matkał. Reszta to Amerykanie. Szczerbiec jest w rękach drugiego oddziału, a jego akcja miała tak naprawdę nas od nich odciągnąć. Udałoby im się, ponieważ mieli dużą przewagę czasu i nikt ich w tym mobilizacyjnym zamieszaniu nie ścigał. Ale kij ma dwa końce i utknęli w Ujściu. Jednostka Inżynieryjna LWP kładła przejście pontonowe na Noteci. Zrobił się z tego ogromny i paskudny zator, przeszkoda niemożliwa do

przebycia w planowanym czasie. Wpadli w panikę i popełnili błąd.

– Gdzie jest drugi oddział?

– Nie wiedzą – zameldował Gyrgołtagin. – Ale udało mi się uzyskać informacje o tym, gdzie mieli się spotkać. Mamy krótkie okienko czasowe. Dzisiaj o trzeciej w nocy się zamyka.

Swoboda wyglądał na bardzo zadowolonego, z kolei Awinow miał kwaśną minę.

– Dobra, szeregowo Pawinicz, zajmij się jeńcami. Nabijemy ich na haczyk i muszą ładnie wyglądać na wędce. Lecimy złowić grubą rybę.

Zanim rozeszli się do swoich zadań, Papież podszedł do dwójki żołnierzy GROZB-y.

– Cholera, jak wam się udało w tak krótkim czasie złamać oficera Mossadu? – zapytał pełen podziwu, choć przerażało go to, w jakim stanie znajduje się kobieta w tym namiocie.

Czukcza spojrział mu w oczy, powodując lekki dreszcz niepokoju u kapitana.

– Umieć rozmawiać ze zwierzętami – powiedział cicho. – Tylko muszę wiedzieć, w jakim języku się porozumiewają.

Kapitan Papież uznał to za dziwny żart.

4 czerwca, godzina 3.00, Koszalińskie, grupa dywersyjna pułkownika Masłowa

W Koszalińskie dotarli wieczorem. Zostało im parę godzin do zamknięcia okna i Masłow czuł głęboką satysfakcję, bo myślał, że ta droga będzie znacznie trudniejsza. Tym razem chaos jednak im sprzyjał. W porównaniu ze zwykłymi samochodami i transportem ciężarowym ich mały terenowy uaz sprytnie omijał duże zatory i nikt ich w praktyce nie zatrzymywał. Służby zajęte swoimi sprawami nie zwracały uwagi na innych. Wjechawszy w granice województwa koszalińskiego, kiedy nadarzyła się okazja, profilaktycznie zmienili samochód na taki sam, tylko z rejestracjami koszalińskimi. Zatrzymali patrol ŻW, niby w celu wymiany informacji, i zastrzelili niczego niepodejrzewających żołnierzy z bliska, w odróżnieniu od poprzednich, których uśmiercili błyskawicznie gołymi rękami,

skręcając im karki. Tamtych pochowali w płytkim grobie, mając pewność, że nikt go nie odkryje przynajmniej przez kilka dni. Tych wsadzili do poprzedniego uaza i podpalili, wysadziwszy zbiornik z paliwem. Odjechali szybko, mając nadzieję, że nikt przez te parę godzin potrzebnych im jak woda rybnie nie połączy w jedną całość wydarzeń z ich udziałem.

Koszalin stanowił na ich drodze ostatnią trudną przeszkodę. Miasto było zawałone wojskiem i gdy tylko wjechali, postanowili natychmiast zawrócić, aby nie prowokować niepotrzebnych zagrożeń.

– Koszalin stanowi ważną lokalizację dla wojska, to punkt tranzytowy na zachód, część korytarza transportowego do Szczecina. Przekroczmy go i przyczajmy się gdzieś bezpiecznie – zasugerował Bergman.

Maslow zgodził się z nim i korytarz przekroczyli na wysokości Nowych Balic. Koło Tatowa podjęli kolejną decyzję. Uznali, że mundury nie będą im już potrzebne, podobnie jak uaz. Zepchnęli go więc do małego, dzikiego jeziora, pozostawiając sobie w torbach tylko suchy prowiant i broń oraz dokumenty. Zagłębili się w gęsty, ciemny las i zrobili małe prowizoryczne obozowisko.

– Prześpiemy się tu kilka godzin. W nocy spróbujemy się połączyć z drugim oddziałem dywersyjnym, jeżeli jego dowódca pułkownik James Hatfield doprowadził swoich ludzi do miejsca spotkania. Ja zbuduję nam schronienie, a wy, kapitanie Bergman, zajmijcie się podróbką dokumentów.

Ariel naprędce wycinał z legitymacji wojskowych zdjęcia żołnierzy. Już raz to robił, wymieniając dokumenty w lesie ze zwykłych dowodów na wojskowe. Teraz znów je wstawiał do dowodów, ale innych niż za pierwszym razem. Nie bardzo wierzył w możliwość przekonania jakiegokolwiek patrolu, że mają do czynienia z turystami grzybiarzami w środku wojskowej mobilizacji, ale może da im to trochę czasu, żeby mogli pierwsi zaatakować potencjalnych sprawdzających.

Budując niski szałas z liści i suchych gałęzi, Maslow w końcu poczuł się jak w domu.



Rozdział 13

3 czerwca, godzina 16.42, RFN, szosa na Düsseldorf

Tym razem prowadził Stonebridge. Dougling, wciąż jeszcze trochę zamroczony, siedział obok kierowcy. Spod prowizorycznego opatrunku ciekła mu krew. Meldował przez radio o tym, co ich spotkało. Z odpowiedzi wyszczekiwanym z radioodbiornika wynikało, że kimkolwiek był rozmówca rannego agenta, daleki był od zadowolenia. Na szczęście gniew rozkładał się po równo między agentów, którzy przekroczyli swoje kompetencje, zdradzieckich sojuszników i cholernych Sowietów, którzy zachowują się, jakby świat się kończył.

– Mamy się zbierać do Düsseldorfu – zakończył Dougling. – Nikt nie wie, co się dzieje. Amerykanie wysłali oddziały dywersyjne na prawie cały Układ Warszawski i Rosjanie dostali szału. W Berlinie dzieje się coś paskudnego, a w całych Niemczech Zachodnich wybuchają strzelaniny. Ktoś donosi nawet o bombie atomowej pod Frankfurtem.

– Raczej byśmy to zauważyli.

– Jeśli chodzi o mnie, to widziałem i z pięć atomówek, gdy tamten mnie walnął. Co było potem? Tobie nie przywalili.

– Bo wiedzą, że jako agent MI5 nie bawię się w filmowego szpiega i można ze mną rozsądnie porozmawiać.

– I dużo się z tej rozmowy dowiedziałeś?

Niebezpieczne pytanie. Po pierwsze, Mead twierdziła, że w Zespole Camelot było dwóch – co najmniej dwóch – sowieckich szpiegów. O jednym Stonebridge wiedział. Ale kim był drugi? Co gorsza, jeśli Amerykanie o tym wiedzieli, to sami musieli mieć w zespole wtyki. Nie wyglądało to dobrze, zważywszy że Camelot

składał się z sześciu osób. Połowa z zespołu to obcy agenci?

I kto był kim?

– Dowiedziałem się, że zdaniem naszych amerykańskich koleżanek cały nasz wywiad to rosyjscy szpiedzy. Więc nie warto nam nic mówić.

– To by się zgadzało – mruknął Dougling. A gdy Stonebridge posłał mu zdziwione spojrzenie, szybko dodał: – Że nam nie ufają, dranie.

– Powinniśmy tam wrócić – zmienił temat Stonebridge. – Zbadać to miejsce. Zabezpieczyć ślady.

– Byłeś wcześniej gliną?

– Tylko żołnierzem. Może tam coś zostało?

– Tym zajmie się niemiecka policja. Od nich wyciągniemy potem informacje. Nie ma nas tu tyłu, żeby odwalać za nich robotę. Pozwólmy się wykazać niemieckim sojusznikom. Bywają bardzo skrupulatni.

– Niemieccy sojusznicy – powtórzył Stonebridge i uśmiechnął się mimo woli. – Myślałby kto, że wojna skończyła się sto lat temu.

– Grunt, że to my wygraliśmy – roześmiał się Dougling. – A lata... Pod pewnymi względami było to dawniej niż sto lat temu. Dopiero co z ruskimi biliśmy szkopów, teraz ze szkopami bijemy ruskich. Albo innych szkopów. Świat się zmienia.

– To może za dziesięć lat z ruskimi będziemy bić jankesów?

– Jak dla mnie to wcale nie taka zła perspektywa. – Dougling pomasaował obolałą głowę. – W każdym razie dziś. O ile będzie komu się bić. Jeśli nasi drodzy sojusznicy faktycznie rozpoczęli, to tym razem może wspólnie z Iwanem spopielać całą ziemię.

Dojechali na lotnisko tylko po to, by się dowiedzieć, że tego dnia nigdzie już nie polecą. Wojsko przejęło nawet część cywilnych samolotów, niektóre loty zostały odwołane. Na wszystkie pozostałe dawno wykupiono bilety. Dougling próbował użyć swoich kontaktów, ale wszędzie otrzymywał te same odpowiedzi: „Zadzwoń jutro”.

– Znasz dobry hotel w Düsseldorfie? – poddał się wreszcie Stonebridge.

– Z wolnym pokojem? W tym szaleństwie? Podejrzewam, że nawet wolne miejsca pod mostem kosztują dziś majątek. Zawiozę cię do naszego lokalu dla przerzutów. Skoro mogli tam spać uciekinierzy z NRD, ty też dasz radę.

– Tych parę lat w Londynie trochę mnie rozpieściło.

– Spodoba ci się. Zobaczysz.

Nie spodobało. Mieszkanie było ciasne, niekoniecznie przytulne i – jak mógł z powodzeniem założyć – pełne pluskiew tego rodzaju, na jakie nie działają detergenty. Miało jednak przyzwoicie wyposażoną łazienkę i niedrogą jadłodajnię naprzeciwko. I bezpieczny, wedle zapewnień Douglina, telefon. Mogło to znaczyć, że rozmowy podsłuchiwać będzie tylko MI6, albo niekoniecznie. Jeśli jankesi mieli rację co do stanu bezpieczeństwa brytyjskiego wywiadu.

– Tu cię zostawię – pożegnał się Douling. – Moi ludzie próbują zdobyć dla ciebie lot na jutro. Ale nie zaszkodzi, jeśli uruchomisz własne kontakty. Ja muszę wziąć kąpiel i pokazać się mojej pani.

– Masz tu dziewczynę?

– Niemkę. Chudą i cycatą, a przy tym cholernie zaborczą. Jeśli nie melduję się jej codziennie, urządza mi awanturę.

– Dla kogo pracuje?

– Dla Lufthansy. Wiem, co kombinujesz, ale przestań. Sprawdziliśmy ją na trzydzieści sposobów. Nawet ja jej nie zwerbowałem.

– W takim razie: dobrej zabawy.

– Odpocznij. Wpadnę do ciebie rano. Powiedzmy około dziesiątej.

Stonebridge zwalczył pokusę, by wskoczyć pod prysznic. Usiadł przy telefonie, wybrał numer centrali, poprosił o połączenie z Londynem.

– Kwaciarnia Słodka Penny – odezwał się pułkownik Cross po trzecim sygnale.

– Z tej strony wyrodna córka Jenny, szefowo – zgłosił się Stonebridge, jak zwykle rozbawiony całą tą konspiracją, którą brał za jeszcze jeden z dowcipów szefa.

– Znowu sobie pokpiwasz, synu.

– Nie ja jeden, drogi kwiaciarczy. Możemy mówić otwartym tekstem, sir. Pod słuchują nas tylko chłopcy i dziewczyny z bratniego zakonu.

– I tak już wiem, co nawywiłłeś, chłopcze. Niepotrzebnie się tam pchałeś. Zwłaszcza że chyba faktycznie zaczęło się tu małe zamieszanie. Wracaj jak najszybciej.

– W tym rzecz, sir. Tutaj to małe zamieszanie przypomina burdel na kółkach. Będę potrzebował wsparcia, żeby w ogóle się stąd wydostać. Wygląda na to, że wszyscy inni też chcą to zrobić.

– Zobaczymy, co damy radę zrobić. Potrzebujemy cię tutaj, chłopcze.

– Ja też tęsknię, sir.

– Nie powinieneś być wyjeżdżać. Podaj mi swój numer. Zadzwoń do ciebie jutro do godziny dziewiątej. Nie ruszaj się do tego czasu z domu.

– Ani mi to w głowie, sir – zapewnił Stonebridge, po czym rozłączył się, wziął najdłuższy prysznic w życiu (nie licząc tego po powrocie z Polski pod koniec 1944) i wyszedł coś zjeść do baru naprzeciwko. Wgapił się tam beczelnie we wszystkie ładne dziewczyny, które wybrały ten sam lokal, ale czy był zbyt zmęczony, czy zbyt trafnie wybrał ubranie, by wyglądać jak absolutny przeciętniak, dość, że nie osiągnął sukcesu. Pomyślał, że najwyraźniej podrywanie ślicznotek należy zostawić Bondowi. I dobrze, czuł się zbyt skonany, by zaspokoić w łóżku kogokolwiek.

W mieszkaniu znalazł lodówkę, a w niej piwo i whisky. Po zastanowieniu wybrał to drugie. Upił ledwie łyk, skrzywił się. Czemu nie dawali uciekinierom z NRD wódki? Do niej byli pewnie bardziej przyzwyczajeni. Chyba że chodziło o to, aby posmakować nowego, lepszego świata.

Tym razem wybrał numer do żony.

– John, kochanie? – Nie brzmiała jak przejęta Penelopa zdruzgotana tym, że kolacja, którą przygotowała dla swego Odysa, już wystygła. Cóż, poznali się z Anną, gdy podczas wojny służyła w łączności. Nim wpadli na siebie na pogrzebie kolejnego zestrzelonego lotnika, zdołała pochować już trzech. Przywykła do tego, że jej mężczyźni nie wracają do domu. I nie gotowała kolacji, za co John żywił do niej głęboką wdzięczność. Anna miała wiele zalet, ale gotowała mniej więcej równie

dobrze, jak Luftwaffe pływało.

– Wygląda na to, że będę musiał zostać w pracy nieco dłużej, najdroższa. Zdaje się, że wrócę jutro.

– To coś poważnego?

– Mamy tu... – uśmiechnął się mimowolnie, przypominając sobie słowa Crossa – ...małe zamieszanie.

– Czasami słucham radia, John. I też pracowałam dla tej samej firmy.

„Właściwie nawet dla dwóch tych samych firm” – pomyślał.

– Wszystko w porządku, najdroższa. Jutro powinienem być w domu. Dobrej nocy.

– Dobranoc, skarbie. Będę czekać.

Odłożyła słuchawkę, a Stonebridge z ulgą opróżnił szklanekę. Zdjął buty i marynarkę. Cisnął nią na oparcie krzesła, trafił. Rzucił się na łóżko, położył na plecach, zakładając ręce pod głowę. Ujrzał biały niegdyś, obecnie poszarzały od dymu papierosowego sufit pełen plam i pęknięć. Przez chwilę po prostu się weń wpatrywał, pozwalając mózgowi odprężyć się podczas wyszukiwania wśród nich znajomych kształtów. Odnalazł łeb goryla, Murzynkę o wielkim biuście i plamę przypominającą Polskę taką, jaką była, zanim sojusznicy pokroili ją na mniejsze kawałki.

No dobrze, pomyślmy. Dwóch rosyjskich agentów i co najmniej jeden amerykański w zespole. Siebie wykreślił z listy, wiedział, kim jest. Kto pozostawał? Danica Ohmucević, Serbka, która prysnęła z ukochanej ojczyzny, jak Stonebridge ze swojej. Jakoś tak się złożyło, że gdy Jugosławia pozbyła się Niemców, pozbyła się i Danicy. Oficjalnie dlatego, że dziewczyna bardziej identyfikowała się z brytyjskim stylem życia niż z ideologią komunistyczną. Tak w każdym razie zeznała, a MI5 nie znalazło dowodów na to, że mogło być inaczej. Znając metody swoich kolegów, Stonebridge wiedział, że starania z ich strony były, delikatnie rzecz ujmując, nieadekwatne. Anglicy odbierali tylko przedstawiony przez kandydata życiorys i sprawdzali, czy wszystkie dane w nim zawarte się zgadzają. Niby procedury miały się zmienić po odkryciu paczki z Cambridge, ale wciąż brakowało na to pieniędzy,

a co za tym idzie – ludzi. Zatem Danica mogła równie dobrze zapalać afektem do wujka Stalina i porzucić Tite, bo drogi dwóch komunistycznych dyktatorów szybko się rozeszły. Mogła też pracować dla Tity. Kto, jeśli nie ona? Hindusi? Podejrzany mógł być starszy, Boman Kashyap, który trafił na pół roku do japońskiej niewoli. A to było często początkiem drogi, która kończyła się w Indyjskiej Armii Narodowej walczącej po stronie Japonii, a przeciw Anglikom. Boman oficjalnie z niewoli uciekł, ale kto wie, jak było naprawdę. Był jeszcze Stuart Briggs, wychowanek Skardona. To by było nawet zabawne, gdyby dziedzic najlepszego łowcy szpiegów sam okazał się obcym agentem. Ale na co można by skusić kogoś takiego? Skardon wydawał się być dlań bogiem? Nie, ruscy nie wchodzili tu raczej w grę. Ale Amerykanie...? To mogłoby nawet być możliwe. Na przykład rozczarowany sytuacją w służbach Imperium mógłby spróbować skuteczniejszej drogi. Stonebridge wciągnął Briggsa na czoło listy podejrzanych. Zaraz obok Danicy, tej ślicznej brunetki o oczach jakby namalowanych przez bizantyjskich mozaistów. Nie da się ukryć, że owinęła sobie pułkownika wokół palca. Staruszek Cross miał na jej punkcie bzika.

A sam Cross? Nie, jego trzeba było wykluczyć. Za nic w świecie nie zniżyłby się do zdradzenia kraju dla zbuntowanej kolonii. Czy mógł pracować dla Rosjan? To już bardziej prawdopodobne, choć trudno byłoby sobie wyobrazić, z jakich powodów. Bo przecież nie z ideowych. Wszyscy brytyjscy władcy razem wzięci nie byli ani w połowie takimi monarchistami jak Cross. Nie, on pozostanie wierny do końca. Co nie znaczy, że nie podaje wszystkiego na tacy Sowietom zaślepiony przez Danicę.

Trzeba się będzie przyjrzeć tej pannie po powrocie do Londynu. Pasowałaby do Rosjan. Z kolei jeśli Kashyap był w INA, to być może Amerykanie dorwali się do jego teczki, gdy przejęli dokumenty japońskiego wywiadu.

Inna sprawa, czy Mead mogła być tak nieostrożna? W chwili triumfu kto wie. Swoją drogą, co było w tej cholernej skrzyni?

Nie pamiętał, kiedy zasnął. O ósmej obudził go telefon od Crossa.

– Jestem gotowy, sir. Kiedy lecę?

– Na razie nic ci nie zorganizujemy. Musisz się wybrać do Kilonii.

– Do Kilonii, sir?

– Ten cały Dougling cię zawiezie. To będzie połączona operacja.

– Operacja, sir?

– Wygląda na to, że mamy tam jankesa, o którym Amerykanie nie wiedzą.

Przesłuchacie go, póki żyje. Z tego, co słyszałem, jest z nim nie najlepiej.



Rozdział 14

4 czerwca, godzina 11.23, RFN, szosa na Butzbach, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego

Gdyby ktokolwiek kiedykolwiek zmusił Marka do zmierzenia się z jego największym problemem, a właściwie do odkrycia, co owym największym problemem jest, młody saper musiałby przyznać, że przyczyną większości jego kłopotów, ale także źródłem co ważniejszych decyzji jest to, że wierzył w możliwość uratowania swego przyjaciela z dzieciństwa w chwili, gdy ten wylatywał w powietrze na zapomnianej niemieckiej minie.

No dobrze, nie w tej konkretnej chwili, ale dosłownie ułamek sekundy wcześniej, gdy w jakiś sposób stało się dla Marka jasne, że nieostrożne postawienie stopy na tym właśnie kawałku łąki, w którym czaiła się rdzewiejąca śmierć, zakończyć się musi eksplozją i krwawym rozbryzgiem. Piotrek jeszcze żył. Teoretycznie, bo to, co właśnie zaczęło się dziać, było nieodwracalne. Ogień wybuchał już pod stopami jeszcze roześmianego chłopca, ale na razie był tylko iskrą, mgnieniem zamkniętym w wieczności, jaką jest śmierć drapiąca nas długimi palcami po ramieniu albo chwytająca za kostkę tonącą wśród bujnych traw.

Kłopot w tym, że Marek – o czym był przekonany – zdołał zobaczyć to, co trwało krócej niż mgnienie mgnienia oka. Ów strzęp chwili, w którym iskra zmieniła się w krwawą eksplozję, w której rozerwane kawałki i kawałtka konającej tkanki, która jeszcze tak niedawno była Piotrkim, rozsypały się po całej okolicy, w tym także po Marku: jego twarzy, ramionach, włosach, odsłoniętych kolanach i rozchylonych ustach. Wszyscy sądzili, że zamarł tam porażony strachem i grozą. Strachem, ponieważ bał się choćby drgnąć, by nie obudzić następnego z przyczajonych pod ziemią potworów. Grozą, gdyż zamarł z krwią i fragmentem

ciała przyjaciela w ustach. Spływała ku nim ślina, otaczała je i uprowadzała w głąb ciała Marka.

Była to jakaś forma prawdy bądź może jej część. Marek bał się ruszyć i przejmowała go grozą owa krwawa, kanibalistyczna komunia, której doświadczenie w pewnym stopniu sobie uświadamiał. Inna jednak część prawdy wyglądała tak, że stał tam pełen poczucia winy, ale równocześnie i nadziei, ponieważ pamiętał ową część sekundy, której nie powinien był pamiętać, ową iskrę, której jego oko nie powinno być zdolne dojrzeć. Wyrzucał sobie, że gdyby zareagował szybciej – a wierzył, że byłby w stanie to zrobić – zdołałby uratować Piotrka. To jego wina. Nadzieja wynikała z tego, że z całych sił starał się cofnąć czas, aby wszystko to wydarzyło się ponownie, tym razem jednak inaczej.

Nigdy więcej nie przytrafiło mu się coś podobnego. Ale nigdy później nie zetknął się z tak gwałtowną śmiercią. Jeśli więc myślał z nadzieją o wojsku i o wojnie, to właśnie dlatego, że jakaś część jego osobowości, ukryta i zawstydzająca, pragnęła doświadczyć ponownie tej niezwykłej chwili, gdy czas zwolnił tak mocno, że niemal się zatrzymał.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Podczas żadnych ćwiczeń – czy dotyczyły rozbijania min i podkładania bomb, czy skoków ze spadochronem bądź walki wręcz. Niektóre z nich bywały przerażające, inne powodowały zdenerwowanie na granicy paniki, zawsze jednak czegoś w nich brakowało. I gdyby Marek miał czas zastanowić się, przeanalizować to, co nastąpiło na niemieckiej drodze, odkryłby może, że brakujący element stanowiła troska o kogoś innego niż on sam.

Kiedy więc niespodziewanie drogę zajechał im czołg typu M60 Patton, a samochód wiozący sierżanta Kaszła wbił się weń, Kicio zaś rozpaczliwie walczył o zapanowanie nad własnym radiowozem, czas zaczął zwalniać dla Marka, choć ten jeszcze tego nie zauważył. Jednocześnie starał się wspierać Kicia i analizował wydarzenia.

Ważące ponad pięćdziesiąt siedem ton monstrum również hamowało, jego kierowcy wydawali się równie zaskoczeni jak polscy żołnierze. W każdym razie siedzący u szczytu wieżyczki w otwartym włazie obserwator, a może dowódca

krzyczał coś wyraźnie przestraszony. Czołg się zatrzymał, radiowóz sierżanta uderzył weń, ale słabiej, niż można się było obawiać. Rozległ się huk miażdżonego metalu, to karoseria opla kapitana poddawała się nieubłaganej fizyce i absorbowowała energię uderzenia, wyginając maskę wozu na kształt morskich fal rysowanych ręką dziecka. Zaskoczeni amerykańscy żołnierze, którzy do tej pory maszerowali za czołgiem, nie wiedzieli, co się stało, ale zgodnie z wyszkoleniem woleli przyjąć, że zostali zaatakowani, zdjęli więc prędko karabiny przewieszane dotąd na ramionach. Kilku ruszyło przed czołg, by rozpoznać zagrożenie. Czołg zaś zaczął, śmiesznie powoli, obracać wieżyczkę zakończoną działem kalibru 105 milimetrów. Nie mogło ono nic zrobić wbitemu w czołgową gąsienicę radiowozowi, ale nie miałyby żadnych problemów z zamianą następnego w kulę ognia. Tego, w którym siedział Marek zaczynający rozumieć, że trafiła mu się szansa odkupienia winy. Bo znów postrzegał czas, jakby ten zwolnił specjalnie dla niego.

Wszystko było dla niego oczywiste.

– Osłaniaj mnie, Kicio – rzucił, jak mu się wydawało, niewyraźnie.

Z plecaka ukrytego między nogami pod przednim fotelem wyciągnął prędko dwa granaty. Amerykanie już rozpoznali policyjne radiowozy. Nieco ich to skonfundowało. Mimo to, gdy Marek wypadł ze swojego, dwóch z nich wycelowało w niego karabiny. Uniósł dłonie, tak by nie zobaczyli ukrytych w nich granatów przeciwpiechotnych. Zaczął powtarzać po niemiecku: *Polizei! Polizei!*, aż słowa te dotarły do nich połączone z obrazem jego zielonego munduru niemieckiej policji. Opuścili lufy, a wtedy on zaczął na nich krzyczeć, domagając się wyjaśnień. Może nie mówili po niemiecku, może on krzyczał nieco zbyt bełkotliwie, ale obejrzeli się na mężczyznę w wieżyczce czołgu. Oficera. Możliwe, że dowódcę.

„Jezu, niech Kicio mnie osłania, niech chłopaki się połapią i okażą wystarczająco szybcy” – pomyślał Marek w tej dziwnej, rozciągniętej w nieskończoność chwili między życiem a śmiercią, pogodzeniem się z losem a zabijaniem.

Refleksja, że jeszcze nikogo nie zabił, nie w ten sposób, bo przecież odpowiadała za śmierć maszynisty wysadzonego pociągu, ale to było zabicie nie wprost, wspólne, uczynione z Kiciem, rozbłysła i zgasła w chwili, gdy Marek dał potężnego susa, by

wskoczyć na wysoki pancierz czołgu, wyższy niż odpowiadające mu modele radzieckie, o czym Marek wiedział, bo się o tym uczył. Ta wysokość miała być wadą w walce z radzieckimi czołgami, w tym jednak wypadku mogła uratować amerykańskiej załodze życie. Oparł stopę na wciąż drgającej gąsienicy, odbił od niej. Wspiął się na pancierz, starając się prędko wejść na wieżyczkę, gdzie zaskoczony oficer obracał się właśnie w jego stronę. Coś mówił zdziwiony, bo ciągle brał Marka za niemieckiego policjanta. Możliwe, że domagał się, by cholerny szwab zabierał się z jego pieprzonego czołgu.

Piechociarze zareagowali szybciej. Znów wycelowali w Marka. I wtedy zagrał zdobywczy walther Kicia. Raz, drugi, trzeci, czwarty. Znali tę broń, trenowali na niej, tak jak na innych pistoletach i karabinach używanych przez NATO. I trudno było nie trafić z tej odległości do nieruchomych, zaskoczonych celów. Wtedy jednak już wszyscy Amerykanie przełamali zaskoczenie, że strzelają do nich niemieccy gliniarze, i otworzyli ogień.

Ale Marek był już u celu. Najpierw trzasnął oficera w głowę, trzymany w prawej pięści granat nadał mu siły i pędu. Facet się zachwiał, zwiotczał, oczy mu się zamgliły. Marek wepchnął go prędko do wnętrza czołgu, nie zwracając uwagi na grzechoczące wokół niego pociski. Odbezpieczył jeden granat, cisnął do środka. Odbezpieczył drugi, posłał śladem pierwszego. A potem prędko zatrzasnął właz i zeskoczył z czołgu do swoich. Wylądował, przetoczył się, by osłabić pęd.

I czas znów miał do niego dostęp. Wszystko przyspieszyło.

Czołg jakby drgnął, jakby beknął. Zatrząsał się. Wewnątrz ginęli ludzie: od nagłej zmiany ciśnienia wewnątrz maszyny, od odłamków granatów, od ognia. I to Marek ich zabił. Czterech, przypomniał sobie. Załoga M60 Patton liczyła czterech ludzi.

Zorientował się, że ktoś do niego strzela, więc przypadł do ziemi i odpełzł, byle dalej od czołgu. Cholerstwo mogło zaraz wybuchnąć, w końcu w środku było całkiem sporo amunicji i benzyny. I rzeczywiście, patton zatrząsał się od kolejnej eksplozji, prawie podskoczył w miejscu, jednak jeszcze nie działo się nic szczególnie widowiskowego. Dopiero po kolejnej sekundzie eksplozja dosłownie rozniosła go na strzępy. Odłamki metalu fruwały na wszystkie strony, prawie jak

wtedy, gdy wybuchał pociąg. Wieżyczka wystrzeliła na metr, dwa w górę, opadła na zniszczonego opla kapitana, z którego na szczęście zdążyli już uciec wszyscy pasażerowie. Marek pomyślał, że to jeszcze nie koniec. Ponieważ karabin zostawił w radiowozie, podnosząc się z ziemi, wyszarpnął z kabury walthera. Rozejrzał się w poszukiwaniu celu, ale nie było już do kogo strzelać.

– To musiał być pluton wsparcia. – Głos Kaszla docierał do Marka jakby z oddali, przez zasłonę dziwnego, przytłumionego huk. – Rany boskie, chłopcze, coś ty tu zrobił? W życiu nie widziałem czegoś takiego!

Chwycił Marka za ramiona, potrząsnął nim.

Marek nie wiedział, co odpowiedzieć. Jak wytłumaczyć, że musiał spłacić dług z dzieciństwa, wykorzystać tę dziwną umiejętność sprawiającą, że czas wokół niego zwalniał i nic się nie liczyło.

– To było najbardziej szalone pokurwienieństwo ze wszystkich szalonych pokurwienieństw – przyłączył się do gratulacji Kicio.

Także pozostali dopadli Marka, poklepywali go po plecach, gratulowali mu i dziękowali za uratowanie życia.

Wszyscy oprócz Zygmunta. On nadal siedział na tylnym siedzeniu radiowozu i ani myślał za cokolwiek dziękować czy czegokolwiek gratulować. Jeśli Marek w pierwszej chwili poczuł złość z powodu tej czarnej niewdzięczności, minęła mu ona natychmiast, gdy zrozumiał, jak bardzo bezsilny był Zygmunt. Kula wwierciała mu się w czaszkę dokładnie w samym środku czoła. Rozorała ją, wyrwała dziurę, przez którą uciekło życie. Prędko, może bez bólu.

– Sierzancie, Zygmunt! – szepnął Marek. Tak naprawdę tylko mu się wydawało, że szepnął, a naprawdę, wciąż ogłuszony, wyryczał tę szarżę i to imię. Uświadomił sobie, że wcale nie spłacił długu. Może nigdy nie miał go spłacić.

– Padł w mundurze szwabskiego gliny – skrzywił się Wrona. – Głupio tak. Ale musimy się zbierać, chłopaki. Jesteśmy w samym środku terytorium wroga, a ta zabawa była na pewno słyszana całe kilometry stąd. Nie wspominając o tych tutaj – wskazał na samochody rozjeżdżające się w panice na wszystkie strony. – Już oni zaraz wszystkim o tym rozpowiedzą.

– Może to i dobrze – mruknął sierżant, pochylając się nad Zygmuntem. – To wszystko Niemcy. A co widzieli? Amerykanów strzelających do niemieckiej policji. Narobi to trochę zamieszania. Ale musimy się zbierać.

Zostawili więc Zygmunta w podziurawionym kulami samochodzie i pobiegli jak najdalej od miasta, w stronę lasu. Gnali, ile sił w nogach, byle dotrzeć do drzew. Minęła ósma rano. Przelali pierwszą krew, zabili pierwszych wrogów, ale i stracili jednego ze swoich.

Przed wszystkim jednak z lisów podkradających się do kurnika zmienili się w zwierzynę łowną.



Rozdział 15

4 czerwca, 3.40, Mielno, oddział GROZBA

Noc była ciemna, pochmurna. Chłodna jak na tę porę roku. Cały wieczór czaili się w Bunkrach Mielno i Swoboda zaczynał odczuwać znużenie. Co prawda procedura połączenia wrogich oddziałów zakładała kontakt tylko w nocy, ale we dnie też musieli zachować czujność, ponieważ kryjówka mogła być pod obserwacją wroga. Jeden nieostrożny ruch i nieprzyjaciel mógł się spłoszyć na dobre. Przez pierwsze kilka godzin zasadzki służbę pełnili Awinow, Gyrgołtagin i Rumun Nicolae Hagi, natomiast Izraelka była cały czas na muszce Rosjanina, a on się postarał, by rozumiała, że wystarczy najmniejszy błąd i zginie na miejscu z kulą w głowie. Ranny Amerykanin pozostał w Pile i przetransportowano go do Warszawy, bo wspólnie uznali, że nie nadaje się do służby ze względu na stan zdrowia. Swoboda pomyślał, że facet pewnie zginie w esbeckim więzieniu albo, jak będzie miał szczęście, wymieni się go na któregoś z pechowych swoich. Zaczęła się wojna, więc jeńców po obu stronach nie zabraknie.

Papież i Ksiondz prowadzili dyskretne działania obserwacyjne z dala od miejsca zasadzki. Ze względu na mobilizację pełne turystów nadbałtyckie kurorty stały puste i ciche, więc Służba Bezpieczeństwa miała ułatwione zadanie w wypatrywaniu obcych, podejrzanych typów. Jednak nic niezwykłego się nie stało. Wypatrzyli tylko paru podpitych mężczyzn, niektórzy skończyli w izbie wytrzeźwień.

Swoboda trzymał wartę razem z Helgą oraz Turkmenem, podporucznikiem Tolkunbekiem Muchatowem. Dowódca oddziału, nieobecny w tej chwili, zachwalał inżyniera jako niezastąpionego w kwestiach technicznych. Jędrak był przekonany, że Muchatow to taki drugi Adam Słodowy, kiedy jednak pokazał mu uszkodzony helikopter, Muchatow gwałtownie pomachał rękoma i ze sto razy powtórzył: *niet*,

niet, niet. Kapitan postanowił więc poczekać na dowódcę, aby ten zagospodarował rzekome talenty techniczne Turkmena. Jako że czerwonoarmista był wysoki, silny i całkiem nieźle strzelał z kałasznikowa, Swoboda postanowił wykorzystać go do prostszych zadań, takich jak urządzenie zasadzki na sprawców napadu tysiąclecia na przykład.

Helga także nie oddalała się od Sary. Podobnie jak Awinow, trzymała ją cały czas na muszce. W odróżnieniu od niego cicho z kobietą rozmawiała. Swoboda przysłuchiwał im się mimochodem. Początkowo miał problem z rozróżnieniem języka. Myślał, że to niemiecki, ale mowa, jakiej używały, odbiegała od języka, który liznął, pełniąc służbę w wojskach okupacyjnych w Berlinie zaraz po wojnie. Dopiero po chwili zrozumiał, że używały jidysz.

Helga dręczyła swoją ofiarę pytaniami, dlaczego służy dla kapitalistycznych, imperialistycznych świń i wieprzów.

– Prawdziwi Żydzi nie jedzą wieprzowiny – szydziła.

Sara prychnęła i odwzajemniła uprzejmości:

– Co ty wiesz o prawdziwych Żydach, czerwona szmato.

Helga miała wielką ochotę przywalić jej kolbą pistoletu w głowę i nawet się zamachnęła, jednak ostrzegawczy syk dowódcy osadził krewką Niemkę na miejscu.

– Mój ojciec jest Żydem, imperialistyczna dziwko. Wiem wiele o prawdziwych Żydach.

Sara zaśmiała się bezgłośnie i wypluła jej słowa z pogardą w twarz:

– Gównu wiesz. Prawdziwy Żyd jest Żydem po matce.

Niemka nie wytrzymała:

– To właśnie takie faszystowskie, imperialistyczne gnoje jak wy ją zabiły!

Mimo skrępowanych rąk Sara próbowała się odwrócić i splunąć Heldze w twarz. Trafiała w lewe ramię. Swoboda w końcu uznał, że powinien interweniować. Przez ostatnie chwile czuł się jak widz przed jednym z telewizyjnych teleturniejów na to, kto bardziej obelżywie zbluzga przeciwnika. Nie znał oczywiście jidysz, ale przekleństwa po niemiecku rozumiał doskonale.

Wstał i wymierzył Sarze siarczysty policzek, po czym warknął:

– Jej matkę – wskazał na Helgę i powiedział po polsku – najpierw zgwałcili, a potem zatłukli kolbami karabinów gestapowcy. Ojciec przeszedł piekło obozu Sachsenhausen, ale przeżył wojnę. Ona doskonale wie, co to Żyd.

Teraz wskazał Sarę i zwrócił się do Helgi po rosyjsku, czyli w języku, w którym rozmawiali w oddziale GROZBA:

– Z kolei jej rodzice wyszli razem z Markiem Edelmanem z getta warszawskiego w 1943 roku. Naprawdę ciężko nazwać ich dziecko nazistowskim gnojem. Okażcie trochę szacunku dla swoich przodków, skoro dla siebie samych nie możecie.

Kobiety zamilkły urażone.

Wtedy w lesie zapaliło się światełko. Trzy razy, krótko.

Swoboda zamarł, a potem przywarł do betonowej podłogi i wyciągnął krótkofalówkę.

– Cholera! Są tu, sukinsyny!

Awinow czekał przy radiu na sygnał pół kilometra od niego, w ośrodku wczasowym katowickiej spółdzielni pracy „Jutrzenka”.

Grupa dywersyjna pułkownika Masłowa

Przyczaili się w gęstwinie, na długo zanim zapadł mrok. Z daleka obserwowali kryjówkę, szukając śladów obecności swoich żołnierzy. Cierpliwie i metodycznie przeczesywali lornetkami teren wokół bunkrów. Masłowowi czasem wydawało się, że wewnątrz ciężkich betonowych budowli zauważa na mgnienie oka jakiś ulotny, trudny do wychwycenia ruch. Spostrzegł też, że nieopodal bunkrów, w piachu i igliwiu sterczą nienaturalne wyrzuszenia.

„To mogą być zamaskowane pontony” – pomyślał. Właściwie okręt podwodny zanurzony nieopodal brzegu powinien był czekać na ich sygnał, ale może tamtym się spieszyło? Nie mógł ich za to winić. Sam też chciał jak najszybciej zabierać się w cholerę z komunistycznego raję.

Poczekał do zmroku, prowadząc intensywną obserwację. Do godziny

dwudziestej pierwszej nic się nie zmieniło.

Pozostały im dwie godziny do zamknięcia okna.

– Ruszamy! – rozkazał Harveyowi i Bergmanowi. Czuł się dużo lżej niż podczas całej podróży z południa, ponieważ zanim opuścili przez nikogo nieniepokojeni swój obóz w lesie dziesięć kilometrów stąd, pozbyli się wszystkich niepotrzebnych rzeczy. Teraz miał tylko broń zabraną żołnierzom ZW oraz przymocowany na plecach łup z Krakowa, miecz koronacyjny, ciężki jak cholera.

Trzy krótkie sygnały latarką. Dziesięć sekund na odpowiedź.

– Jest – szepnął z radością w głosie Harvey, dostrzegając odpowiedź. Trzy długie i dwa krótkie.

„Okej” – pomyślał pułkownik. Ruszyli skuleni w stronę bunkrów. Mieli do przebycia dwieście metrów. Kolejny sygnał. Dwa długie i cztery krótkie. Taka sama odpowiedź. Zostało niecałe sto metrów.

Dopadli drzew przed bunkrami w kilkanaście sekund. Ostatni checkpoint. Dwa krótkie i jedno długie. Ze środkowego bunkra zabłysło światło latarki, trzy krótkie i dwa długie. Z tej odległości Maslow mógł zauważyć w świetle latarki zarys zamaskowanej twarzy mężczyzny. Wszystko grało.

– Pułkowniku Hatfield? – zawołał cicho Maslow.

Z bunkra, z którego sygnalizowano mu do tej pory, dobiegł kobiecy krzyk:

– Tony, ucie...

Urwał go huk wystrzału. Przez ułamek sekundy w rozbłysku pistoletowego wybuchu ujrzał jej twarz. Po raz ostatni, bo zanim krwawe światło zgasło, głowa jego ukochanej roztrzaskała się na milion drobnych kawałków. Ujrzał w tym bunkrze coś jeszcze, twarz, której miał nie zapomnieć do końca życia. Kobieca, pomalowana maskującą farbą, zimna i bezduszna jak niemiecka stal.

Wrzasnął z wściekłości i ostrzelał otwór bunkra. Nieprzyjaciel nie tylko odpowiedział ogniem, ale i wyrzucił w ich stronę granaty.

Harvey miał pecha, granat wybuchł mu tuż pod nogami i zginął w sekundę rozszarpany odłamkami. Pułkownik i Bergman byli szybsi i zdołali się wycofać.

– To pułapka – wrzasnął do Izraelity Maslow, mimo że ten już doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Mieli szczęście, że było ciemno, bo ogień prowadzony z bunkra był uciążliwy, ale mało efektywny, natomiast z drugiej strony nieprzyjaciół pozostawił im wolną drogę ucieczki. Mieli do przebycia półtora kilometra na plażę w Mielenku.

Biegli w ciszy przez kilkadziesiąt metrów, nasłuchując kanonady za sobą. Maslow doszedł do siebie. Zaczął się zastanawiać, czy to już czas uruchomić kod „Chata wuja Toma”, i postanowił to zrobić, zanim będą się przebijać na plażę. „Chata wuja Toma” oznaczała w praktyce „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”. Mimo że amerykańskie dowództwo operacji specjalnych zgodziło się na pomoc Izraelczyków, misja była na tyle wrażliwa, że Maslow dostał rozkaz likwidacji wszystkich świadków, nawet tych z sojuszniczej armii. Dlatego był tak wkurzony na Bergmana, że ten, włączając Sarę do misji, praktycznie wydał na nią wyrok śmierci. Do samego końca nie był pewien, czy i jak by go wykonał. Kobieta z bunkra uwolniła go od ciężaru koszmarnie trudnej decyzji i życia z jej efektami. Nie było mu z tym lżej, ale przynajmniej miał ręce czyste, a w sercu obok odczucia przejmującej straty kiełkowało coś jeszcze. Nienawiść. Znajdzie to babsko i je wykończy, suka będzie umierała długo i w cierpieniu. Najpierw jednak musiał się pozbyć świadka i wyjść z zasadzki cało. Biegając w stronę plaży, dogonił młodego Bergmana i nie zatrzymując się, wymierzył w plecy Izraelczyka lufę zdobycznego kałasznikowa. Puścił serię i zabił na miejscu niepodjęwającego zdrady żołnierza.

„To ofiara w imię wyższego dobra – uspokajał sam siebie – przyjdzie jeszcze czas, że za wszystko zapłacą pieprzeni komuniści!”

Przebycie półtora kilometra w forsownym truchcie zajęło mu sześć minut. Amerykańska łódź podwodna czekała na nich już od piętnastej, wynurzona i gotowa do przyjęcia żołnierzy. Na nieszczęście dla Masłowa od pięciu minut odpierała też atak śmigłowca SB z Ksiondem i Papieżem na pokładzie. Oddziały MO i SB z Kołobrzegu i Koszalina bezskutecznie ostrzeliwały okręt podwodny. Amerykanie mieli zdecydowaną przewagę siły ognia. Okręt podwodny typu Tench ostrzeliwał plażę dwoma karabinami maszynowymi i odpierał atak śmigłowca

czterdziestomilimetrowym działkiem lotniczym. Dwie stosedemdziesiątki pozostawały bezczynne.

W momencie, w którym czterdziestka w końcu skutecznie trafiła ogon milicyjnego śmigłowca, ten sam pilot, który dobiegł temu cudem uratował maszynę spod radzieckiego ostrzału w Wiślicy, dokonał kolejnego cudu, bezpiecznie lądując z nosem w wydmach.

Maslow dojrzał, że z okrętu wysłano ku niemu ponton. Dobrze. Ruszył biegiem w stronę morza i wtedy sytuacja potwornie się skomplikowała. Ktoś zaczął strzelać z tyłu. Jeden z pocisków musnął łydkę pułkownika. Zapiekł, runął na ziemię. Obejrzał się za siebie. „Jasna cholera, to ci z bunkra!” Jednak zdołali ich wytropić. Co gorsza, wezwali też pomoc. Nagle ciszę przecięły huczące, metodyczne strzały z ciężkiej broni. Zza cypla wypływał, tnąc w maksymalnym pośpiechu fale, polski ścigacz torpedowy. Dranie pomyślały o wszystkim. Okręcik jeszcze dobrze nie zajął pozycji, a już walił ze wszystkiego, co miał: w okręt podwodny i plażę.

Maslow poderwał się z piasku, lecz nagle BUM! – pocisk z kutra trafił ledwie trzy metry od niego, podmuch odrzucił pułkownika, wyrwał mu karabin z ręki i zerwał etui z mieczem przewieszane przez plecy, rozrywając je przy tym. Ostrze rozbłysło od ognia. Uderzyło w piach i BUM! – następny pocisk trafił w pobliżu, rozbryzgując piasek i powodując fontannę. Oszołomiony pułkownik odczołgiwał się ku brzegowi morza. Obejrzał się za Szczerbcem, spróbował po niego sięgnąć, ale seria wystrzelona przez kogoś ze ścigających odcięła go od zdobyczy. Trudno, czasem trzeba się pogodzić z klęską i ratować życie.

Zerwał się do biegu, przeciął ostatnie metry chłodnej piaszczystej plaży i wbił się z impetem do morza. Nie miał wcale tak daleko do pontonu, kiedy gumowe poszycie przecięła seria z karabinu. Dwóch marynarzy dosłownie zostało rozerwanych na pół, trzeci zdążył chyba wskoczyć do morza. Maslow zaklął, teraz czekała go dwustumetrowa przeprawa w zimnej słonej wodzie. Trudno, da radę, musi dać. Nie zginie tutaj. Nie póki żyje ta dziwka, która zamordowała Sarę.

Minął ciało nieprzytomnego marynarza. Wiedziony dziwnym odruchem zgarnął nieszczęśnika i pociągnął go za sobą. Niech tam, w końcu swojak i płynął mu na

pomoc. I nie zostało daleko do tego cholernego okrętu. Oby poczekali!

Od wschodu na odsiecz leciała eskadra śmigłowców bojowych uzbrojonych w rakiety powietrze–ziemia. Na czele leciał ten z majorem Andrijem Riebrowem i jego dwójką nowych ludzi, a na morzu rozpętało się piekło. Mimo to pułkownikowi udało się dotrzeć do okrętu podwodnego, choć ten już szykował się do zanurzenia. Marynarze z ochotą wciągnęli na pokład rannego, którego im podsunął. Kilka sekund później wyciągnęli ręce, by pomóc dostać się na pokład i Maslowowi. Jednak w warunkach wojennych kilka sekund może decydować o wszystkim. Któryś z pocisków wybuchł zbyt blisko. Pokład się zakołysał, Maslow stawiający już na nim jedną nogę ześlizgnął się i wpadł z powrotem do wody. Machając rozpaczliwie rękami, wypłynął na powierzchnię, a wtedy tuż obok wybuchł drugi pocisk. Ogłuszony, na wpół oślepiiony nie wiedział już, gdzie się znajduje okręt i dokąd on płynie. Walczył tylko o to, by nie dać się wciągnąć w toń. I powoli przegrywał.

4 czerwca, godzina 10.00, Szczecin

Kapitanowie Ksiondz i Papież leżeli w tej samej sali. Jeden ze wstrząśnieniem mózgu i złamaną nogą, a drugi ze złamaną ręką i również problemem z głową. Wokół nich zebrała się GROZBA.

Swoboda przedstawił dowódcę.

– To jak, mamy już teraz waszą zgodę na użycie śmigłowca? – Mrugnął do nich. – Dobrze walczyliście – dodał. – Trochę tu poleżycie, a potem co? Wracacie na południe kraju?

Ksiondz jęknął, próbując się przewrócić na drugi bok.

– Tak, wracam do Krakowa. A wy?

Riebrow pokiwał przecząco głową.

– Właśnie dostaliśmy nowe zadanie. Tajne.

Papież westchnął ciężko.

– A jakżeby inaczej?



Rozdział 16

4–5 czerwca, RFN, Kilonia

Do Kilonii Stonebridge i Dougling przebijali się cały dzień. Żaden z nich nie ukrywał irytacji. Najwyraźniej ich misja nie okazała się na tyle ważna, by wysłać po nich samolot albo helikopter. Sunęli więc oplem Douglinga. Agent MI6 nie wyciskał tym razem siódmych potów z wozu, nie miał jak. Nawet autostrady na trasie wschód–zachód bywały miejscami zapchane. Wieści o zaostrzeniu konfliktu zdążyły się już rozejść i wystarczająco wiele osób doszło do wniosku, że nie ma ochoty zmieniać się w atomową parę, by utrudnić przejazd. Do tego co i rusz musieli się zatrzymywać, by przepuszczać wojskowe transporty. Stonebridge próbował dopatrzeć się sensu w ich ruchach, ale niezbyt mu to wychodziło. Wydawały się ciągnąć we wszystkie strony świata, choć więcej czołgów gnało na wschód.

– Przewagi totalitaryzmów. W takim Układzie Warszawskim pewnie już zabroniono obywatelom korzystać z samochodów i drogi mają przejezdne – perorował Dougling. – Ruscy u siebie dużo mocniej kontrolują sytuację. Tam o wojnie dowiedzą się pewnie po jej zakończeniu. Albo w chwili, gdy zaczną im na głowę spadać atomówki.

– Myślisz, że tak jest wszędzie? – Stonebridge wskazał zator na skrzyżowaniu, do którego się zbliżali. Przy tak wzmożonym ruchu i nerwowości kierowców nie mogło się obyć bez wypadków. Policjanci uwijali się, jak mogli, by rozładować zator, ale nawet oni byli podenerwowani. I niezbyt dobrze radzili sobie z narastającym zniecierpliwieniem i gniewem tłumu.

– Tu chyba jest najgorzej. – Dougling skrzywił się, hamując. Wyglądało na to, że znów utknęli na dłużej. – Niemcy zdają sobie sprawę, że są autostradą na zachód.

I że w razie czego wszyscy będą tutaj celować atomówkami, żeby powstrzymać jedną lub drugą armię.

– Tu i w Polskę – mruknął Stonebridge. – Cholerne uwarunkowania geopolityczne. A my nadal nic nie wiemy.

– W Polsce te biedne sukinsyny nie będą nawet mogły uciec. Raz, że nic nie wiedzą, dwa, że jeśli nawet się dowiedzą, to ruscy po prostu rozjadą ich czołgami. Przepraszam, stary, ale tak to wygląda. Naprawdę łatwiej jest prowadzić wojnę, kiedy jesteś draniem.

„Na wojnie nie ma dobrych” – pomyślał Stonebridge, ale zachował tę myśl dla siebie. Skinął tylko koledze głową. „A my i tak zawsze mamy pod górkę. Z której strony nie nadchodziłaby wojna, możemy mieć pewność, że się po nas przejedzie”.

Gdy dotarli do Kilonii, zapadła już noc. Podjechali przed szpital, ale tam żadna siła nie była w stanie przekonać lekarzy, by choćby wpuścili ich do środka. Nawet rozbita głowa Douglina nie pomogła, odesłano ich na pogotowie. Pacjenci śpią, odpoczywają, nie można ich niepokoić. Johnowie woleli nie awanturować się zbyt mocno, bo w pobliżu kręciło się sporo amerykańskich żołnierzy, nierzadko żandarmów. Po co mieli wiedzieć, że dwóch brytyjskich agentów jest zainteresowanych szpitalem?

– Tu też mamy lokal. – Dougling się wreszcie poddał. – To nie takie luksusy jak w Düsseldorfie, ale jakoś damy radę do rana.

Na miejscu każdy zadzwonił do swojego przełożonego, składając krótki meldunek. Gdy Cross zżymał się na opóźnienia, Stonebridge przypomniał mu, że pokonanie samochodem ponad pięciuset kilometrów w kraju szykującym się do wojny stanowi prawdziwe wyzwanie. „Gdybyśmy tylko mieli do dyspozycji helikopter” – pozwolił sobie na wyrzut. „Można odnieść wrażenie, że MI5 nie traktuje Zespołu Camelot wystarczająco poważnie”. Cross zamilkł na moment, po czym zapewnił nieco obrażonym tonem, że jeszcze pokaże, na co go stać.

Przetrwali, grając w karty i popijając koniak. Starali się słuchać radia, ale wyglądało na to, że wszystkie dostępne stacje są równie zagubione jak oni. Podawano dziesiątki wzajemnie sprzecznych wiadomości. Według jednych z nich

wojna trwała już na całego, według innych wcale do niej nie doszło.

– Jeśli wybuchła wojna, to jaki sens ma nasza misja? – zadumał się Dougling, tasując karty po kolejnej przegranej w pokera. Zaczynało mu już brakować zapalek zastępujących pieniądze i chyba dlatego robił się marudny. – Gonimy za bandą antropologów zbierających być może kompromitujące materiały, kiedy czerwoni podsyłają czołgi pod nasze granice.

– Ty nie wiesz, ja nie wiem. – Stonebridge upił łyk koniaku. Może lokal był gorszy niż w Düsseldorfie, ale alkohol mieli w nim lepszy. – Żaden z nas nie ma pełnego obrazu sytuacji. Robimy swoje, bo co więcej możemy?

– No właśnie... co? – skrzywił się Dougling.

W innych warunkach, uświadomił sobie Polak, taki sfrustrowany agent to wspaniała okazja do rekrutacji przez obcy wywiad. O ile Dougling nie gra, żeby sprawdzić lojalność kolegi z MI5. Rzeczywiście, co za głupia sytuacja! Siedzą o może kilkadziesiąt kilometrów od linii frontu, sprawdzają się nawzajem albo i nie, a na drugi dzień przesłuchają jakiegoś marynarza w sprawie misji, w której sens żaden z nich nie wierzył.

Kładli się spać dobrze po północy. I wtedy właśnie radio podało, że w Berlinie NRD wspierane przez Sowietów rozpoczęło atak na zachodnią część miasta, a z przygranicznych posterunków płyną wieści o bombardowaniach.

– A my siedzimy obok portu i wojskowego lotniska – zauważył Dougling.

– Może ruscy nie uznają ich za na tyle ważne, by przywalić tu atomówką?

– Myślisz? Jezu! Atomówki! Dzięki za przypomnienie, stary, teraz nie zmrużę oka do rana.

Pięć minut później spał już jak dziecko. W przeciwieństwie do niego Stonebridge długo przewracał się z boku na bok. Wciąż nie potrafił przestać analizować swojej sytuacji. Niestety, w żadnej z wypracowywanych wersji nie wyglądała ona dobrze.

Rankiem zerwali się do szpitala skoro świt, bez śniadania. Na miejscu potrzebowali chwili, by przystosować się do nowej sytuacji. Panował chaos. Przybywało ofiar wypadków drogowych, ale przywożono już także pierwszych rannych żołnierzy, amerykańskich i niemieckich. Na korytarzach zaczynało się już

szarogęści wojsko wprowadzające procedury przewidziane na wypadek konfliktu. Pomiędzy mundurami Bundeswehry można było dostrzec też amerykańskie. Nie było w tym nic dziwnego, bo Niemcy Zachodnie i tak były ochraniane właśnie przez Amerykanów, a nie dochodzącą do pół miliona żołnierzy Bundeswehrę, podlegającą całej masie ograniczeń. Niemniej Stonebridge poczuł narastający niepokój. Już poprzedniego dnia nie podobali mu się amerykańscy żołnierze kręcący się po okolicy. Agenci mieli tu przyjechać właśnie po to, żeby porozmawiać z informatorem pod nieobecność jankesów.

Jego podejrzenia się potwierdziły, gdy na drugim piętrze pod drzwiami, za którymi miał się znajdować informator, zastali dwóch wielkich funkcjonariuszy Military Police.

– Już są – jęknął Dougling. – I wyglądają poważnie.

– Na nich nie zrobią wrażenia nasze legitymacje. – Stonebridge odciągnął partnera, nim zdążyli zwrócić uwagę strażników. Udali głębokie zainteresowanie tablicą przedstawiającą plan szpitala.

– Moglibyśmy im nakłaść po gębach...

– Obu? W tym tłumie? Niezauważenie? John, wiem, że chcesz przyłożyć jakiemuś jankesowi, ale nie tu, nie dziś. Nie ma szans.

– To co? Nie mam, cholera, żadnych amerykańskich mundurów na podorędziu. Tu nikogo nie miało być! Chyba że się przyczaimy na tych jankesów, których tylu uwija się na parterze, i...

– Nikomu nie będę dawał po mordzie, żeby kraść jego mundur. Jezu, ile razy oglądałeś *Doktora No*? Fleming to u was teraz lektura obowiązkowa?

– Mam z nimi rachunki do wyrównania.

– Musielibyśmy pobić jakiegoś generała, żeby te sztywniaki nas wpuściły. Łatwiej będzie się przebrać za lekarzy. To znaczy mnie będzie łatwiej, bo ty z tą opuchniętą gębą nadajesz się tylko na pacjenta.

– Wy z MI5 zawsze coś wymyślicie, żeby nas wystawić.

– Wy z MI6 przeglądacie się czasem w lustrze? Wyglądasz, jakbyś zderzył się z czołgiem. Dobra, zobacz, tu jest gabinet doktora Strossmauera. Chirurg. Nada się.

To piętro niżej.

Gdy ruszyli korytarzem w kierunku schodów, Stonebridge wypatrywał pielęgniarki na tyle młodej, by jego legitymacja mogła zrobić na niej wrażenie. Zdawał sobie sprawę, że zazwyczaj pielęgniarki należały do najtwardszych typów ludzkich, przygotowanych, by stawiać czoła najbardziej natrętnym, najgłupszym, a czasem agresywnym pacjentom bądź ich rodzinom. Nawet te najmłodsze posiadały niebagatelną wprawę w radzeniu sobie z ludźmi. Zwykle jednak ludzie przyzwyczajeni do pracy w ścisłej hierarchii służbowej przyjmują, że jeśli ktoś odpowiednio stanowczo wydaje im polecenie, to znaczy, że ma do tego prawo. Z możliwie niedoświadczoną pielęgniarką powinno się udać.

„Zresztą – pomyślał – to przecież Niemcy. Jeśli tylko będę na nich wrzeszczeć odpowiednio głośno, uznają, że jestem generałem albo nowym Führerem”.

Przywołał wspomnienia, gdy w mundurze SS wchodził do sztabu w Poznaniu, żeby ukraść stamtąd listę współpracowników i informatorów. Trzeba tylko wyglądać jak człowiek, który nie zna przeszkód i jest u siebie, a nikt nie odważy się go zaczepić.

Oczywiście, wtedy miał na sobie właściwy mundur i świetnie podrobione dokumenty. Tu został mu tylko tupet.

Wypatrzył właściwą, jak mu się wydawało, dziewczynę tuż przed samymi schodami. Szczupła, niezbyt wysoka, ale i niemąła (całe szczęście, te małe to zwykle pełne energii twardzielki, nie dają sobie w kaszę dmuchać) blondynka o nieco przestraszonym spojrzeniu. Wydawała się zagubiona w tłumie obcych. Niby znajdowała się na własnym terytorium, ale przybycie tylu wojskowych i groźba wojny sprawiły, że nawet oswojone, znajome miejsca wydawały jej się obce. Była zbyt młoda, by pełnić służbę podczas ostatniej wojny, to wszystko było dla niej nowością. Chwycił ją za ramię, przyciągnął ku sobie. Jej bladoniebieskie oczy się rozszerzyły, gdy podniosła głowę, by na niego spojrzeć. Dobrze, nie zjeżyła się, nie przyjęła odruchowej postawy obronnej.

– Sostro – odezwał się Stonebridge po niemiecku – proszę natychmiast wezwać doktora Strossmauera do jego gabinetu. Liczy się każda chwila.

– Chodzi o pana kolegę? To chyba nic groźnego, sama mogę go opatrzyć.

– Mojego kolegę chętnie pani powierzę. Chodzi o coś znacznie poważniejszego. Sprawę najwyższej wagi organizacyjnej. Wie pani, co się zbliża.

– Ja...

– Znakomicie. Musi pani natychmiast wezwać doktora. Nieważne, gdzie teraz jest i co robi.

– Ja właściwie nie jestem pewna, gdzie teraz się znajduje...

– Ale jest w szpitalu?

– Sądzę, że tak. Ale...

– Macie tu chyba jakiś radiowęzeł. Niech go pani wezwie w ten sposób. Będę czekał pod jego gabinetem. Proszę już ruszać, tu każda sekunda się liczy!

Odwrócił się i odszedł. Podejrzewał, że obejrzała się za nim, ale nie dał jej okazji do kolejnego kontaktu wzrokowego. Zmierzał stanowczym krokiem na schody jak człowiek pewien, że nikt nie ośmieli się nie wykonać jego polecenia.

Dougling ruszył za nim.

– Robiłeś to już kiedyś? – zapytał.

– Czytałeś moje akta.

– Czytałem. O akcji w Poznaniu. I o wcześniejszej w Paryżu. Ale dopiero teraz uwierzyłem. Tam też po prostu wszedłeś między szkopów i darłeś na nich mordę?

– To czasem najlepszy sposób. Co ty robiłeś podczas wojny?

– Biegałem za sympatykami Adolfa po Londynie. Nic ekscytującego, o ile właśnie nie spadały ci na głowę bomby. Chciałem, żeby wysłali mnie w teren, ale jakoś się nie złożyło.

– Nie masz czego żałować. Tam nie było jak na filmach. Zero romantyzmu, głównie strach i wściekłość. Dziewczyny... One zawsze znajdą sposób, by zachować urodę, ale niełatwo o to, gdy wszystko jest na kartki i jeśli masz szczęście, to zjadasz na obiad placki z łupin ziemniaczanych. Nie wspominam tych czasów dobrze.

– Za mało czasu minęło, żebyśmy je dobrze wspominali – zgodził się Dougling. – Ciągle pamiętamy, że wojna to głównie strach, ból i strata.

– W tym nadzieja.

– Słucham?

– Wiesz, dzisiejszymi generałami są faceci, którzy podczas wojny gryźli piach i kulili się w okopach jako majorzy i pułkownicy. Oni też pamiętają, jak srali w gacie ze strachu. Podejrzewam, że nie spieszy im się do wojny. Kiedy do władzy dojdzie pokolenie, które nie przelewało własnej krwi, wtedy będziemy mieć przechlapane.

– Nie doceniasz głupoty i ambicji polityków. – Dougling pokręcił głową. – Oni najszybciej zapominają o stratach. Dla nich to statystyka.

Czekali na Strossmauera dobrych dziesięć minut po tym, jak głośniki na korytarzu rozszczękały się, wzywając go do gabinetu. Gdy wreszcie się pojawił, od razu można było po nim poznać irytację. Przepychał się przez tłum, krzywiąc się ze złości.

– To panowie na mnie czekają? – zapytał, nie wyciągając ręki na powitanie. – Co to za pilna sprawa? Nie jestem ordynatorem, żeby zawracać mi głowę organizacją! Panuje zupełny chaos!

– Porozmawiajmy w gabinecie. – Stonebridge ustąpił mu miejsca.

Strossmauer, mniej więcej wzrostu agenta MI5, ale starszy, posiwiący i w drucianych okularach, sarkał niezycliwie na temat przeklętych biurokratów, ale posłuchał. On na pewno pamiętał wojnę i nawyk posłuszeństwa wobec reprezentanta władzy wszedł mu w krew. Polak zastanawiał się, co też dobry pan doktor mógł robić w czasach Adolfa. Chirurdzy z pewnością byli przydatni w armii.

– Proszę. – Lekarz ustąpił miejsca w progu. – Nalegam na pośpiech. Nawet nie zdają sobie panowie sprawy, ile mamy teraz do załatwienia! O co chodzi?

Odruchowo skierował się do biurka. A gdy odwrócił się do Stonebridge'a plecami, ten prędko zacisnął ramię na jego szyi. Doktorek szarpnął się wprawdzie, ale przyduszany nie był w stanie wzywać pomocy. Zresztą Dougling dopadł go natychmiast i zasłonił usta dłonią. Oczekali, aż Strossmauer zwiotczeje, i przenieśli go na leżankę ustawioną zaraz obok biurka. Prędko zdjęli mu fartuch z podpiętym identyfikatorem, a następnie położyli głowę Strossmauera na poduszce,

nakryli pledem. Wyglądał jak jeden z tych wyczerpanych lekarzy, którzy łapią każdą wolną chwilę między dyżurami na sen. Stonebridge zdjął mu na wszelki wypadek także okulary.

– Będziesz musiał z nim tu zostać – uprzedził Douglina.

– Wiedziałem, że to powiesz. Zamkniemy się od środka, a jakby się obudził, uspię go. A ty się uwijaj. I wróc po mnie. Z dobrą opowieścią. Bo nie ma mowy, żebyś zachował wszystko dla siebie.

– Jesteśmy starymi kumplami – uspokoił go Stonebridge, naciągając fartuch. Złożone okulary wsadził do kieszeni na piersi. Przeszukiwał biurko, póki nie znalazł teczki ze zdjęciami rentgenowskimi. Wepchnął do niej kilka kartek opisujących stan jakichś pacjentów. Na szyję założył słuchawki, które odnalazł w szufladzie biurka. Nie był pewien, czy chirurdzy w ogóle ich używają, to raczej narzędzie internistów. Ale ze słuchawkami na szyi każdy wygląda bardziej poważnie. No dobra, bardziej gotowy nie będzie.

Szedł korytarzem, jakby ten korytarz należał do niego. Niektórzy wręcz ustępowali mu z drogi. Wbiegł po schodach i ruszył dziarsko ku pokojowi strzeżonemu przez Amerykanów. Rozłożył przed sobą teczkę, udając, że jest zaczytany w opisujących stan pacjentów kartach, z których niewiele rozumiał. Tym razem nawet nie zwracał uwagi na otaczających go ludzi. Rozstępowali się przed nim niczym woda opływająca skałę. Udał, że nie zauważa strażników, i po prostu skręcił w drzwi, których strzegli. Powstrzymali go, gdy kładł rękę na klamce.

– Co to jest?! – zawołał po niemiecku, udając zaskoczenie. – Co się dzieje?

Po tym, jak wymienili spojrzenia, zorientował się, że nie byli mistrzami niemieckiego. Wyglądali na nie więcej niż dwadzieścia trzy, może dwadzieścia pięć lat. Wojnę znali więc głównie z opowieści rodziców i z filmów. Pozostawało mieć nadzieję, że żaden z ich ojców nie zginął. Albo że z pochodzenia nie byli Żydami lub Polakami. Uraz do Niemców mógłby wiele popsuć.

– Panowie – przeszedł na angielski, pamiętając, by zabarwić go nieco nieprzesadnym akcentem niemieckim. – Idę do pacjenta.

– On już był badany – odpowiedział z ulgą, że może rozmawiać w znanym

języku, ten wyższy, kapral.

– Tak, wiem. Przez internistę. Ja jestem chirurgiem. – Machnął im przed oczami identyfikatorem. – Wiecie, co jest temu człowiekowi, który tam leży?

– Jest ranny...

– To prawda, młodzieńcze. Jest ranny. Jest wyziębiony od pobytu w wodzie – improwizował, widząc, że ci dwaj nie mają większego pojęcia o stanie pacjenta niż on sam. – Do tego ma poparzenia, rany cięte i obrażenia wewnętrzne. – Tym razem otworzył przed nimi teczkę ze zdjęciami rentgenowskimi i podetknął je prosto pod nos kaprała. Na chwilę. – Wiecie, co to znaczy? Że po mnie przyjdzie tu jeszcze anestezjolog... – Przywołał w pamięci listę gabinetów z planu szpitala. – A także pulmonolog, angiolog, a nawet nefrolog! A kto wie, czy nie okulista! Bo dermatolog na pewno. A dlaczego? Bo tak działa szpital. Dbamy o pacjentów. A ten... – Machnął ręką, odepchnął kaprała i otworzył drzwi. Zatrzymał się w nich i wkładając okulary, powiedział jeszcze: – Zawiadamiajcie, kogo chcecie, o moim przybyciu. I najlepiej wpiszcie w grafik wszystkich lekarzy, o których wam mówiłem. A ja muszę teraz sprawdzić, czy temu pacjentowi żebra nie przebiły jeszcze płuc i czy w ogóle da się uratować jego nogi!

Zatrzasnął im drzwi przed nosem i prędko podbiegł do łóżka, na którym mężczyzna, na oko nie więcej niż dwudziestopięcioletni, wpatrywał się w niego z przerażeniem.

– Moje nogi, doktorze? – zapytał. – Chcecie uciąć moje nogi? Nie pozwolę ucinać moich cholernych nóg!

Mówił nieco bełkotliwie, toteż Stonebridge najpierw sprawdził jego oczy. W kieszeni fartucha znalazł małą lekarską latarkę. Błysnął nią po zwężonych źrenicach. Zareagowały słabo i z opóźnieniem.

– Napchali cię morfiną, co, chłopcze? – tym razem zaryzykował z amerykańskim akcentem. Jedyńm, jaki trochę mu wychodził.

– Pan jest z Teksasu, doktorze?

– Tak jest. Major Wayne. Przesłał mnie tu wasz dowódca, po znajomości, żebym się wami zajął.

– Pierdoła Frank? Ale on nas wszystkich nienawidzi...

– Stary, dobry Frank, he, he. Nigdy nie ujawnia uczuć. Jest twoim dowódcą, chłopcze! Dba o swoich ludzi!

– Pierdoła Frank? Ale on nas...

– Dobrze, już dobrze. Muszę obejrzyć twoje nogi. – Stonebridge odchylił kołdrę, mając nadzieję, że ranny ma na sobie przynajmniej bieliznę.

– Jezu! Moje nogi! Niech mi pan nie ucina nóg, doktorze!

– Zrobię wszystko, żeby je uratować, chłopcze. Ale muszę wiedzieć, co się stało. Jak doszło do tych obrażeń.

– Jakich obrażeń? Ja tylko dostałem po żebrach! I trochę mnie podtopiło... Jezu Chryste, chcecie mi odciąć nogi!

Nie było rady. Facet był gotów tymi krzykami zaalarmować strażników. Stonebridge walnął go otwartą dłonią w pysk. Raz i drugi.

– Jesteście baba czy żołnierz? – warknął. – Przyszedłem tu ratować wasze cholerne nogi. Niemcy chcą je ciąć, ale my Amerykanie musimy się trzymać razem, tak? Więc przysięgam wam, że was uratuję przed piłą. Ale muszę wszystko wiedzieć. Jak to się stało! Gadajcie, do cholery, wasze nogi od tego zależą!

– Przysięga pan, doktorze? Niech pan przysięgnie.

– Na moje dzieci. Mów, chłopcze.

– To było... Ja nie wiem... Nie mogę mówić o misji...

– Nie chcę słuchać o waszej misji! Ani słowa o tym. To jest wojsko, do cholery! Mówcie tylko o tym, jak zostaliście ranni!

I ranny mówił długo, bełkotliwie, gubiąc wątki. A Stonebridge'owi robiło się od jego opowieści „zdziwniej i zdziwniej”. W chwili gdy bełkot zaczął przypominać senne majaki, Stonebridge zerknął na zegarek. Siedział tu już jedenaście minut. To właściwie granica bezpieczeństwa. Wstał, poklepał rannego po ramieniu.

– Śpij dobrze, chłopcze. Nie martw się o swoje nogi. Nic im nie będzie.

– Jest... pan... pewien...?

Jasne, że był pewien. Miały tylko lekkie zadrapania.

– Uratuję cię. Przysięgam. Śpij.

Na to właśnie pożegnanie zajrzeli do środka strażnicy.

– Dziękuję, doktorze – stęknął na ich oczach ranny i zasnął.

– Żyje – uspokoił żołnierzy Stonebridge. – Zdaje się, że uda nam się uratować jego nogi!

Minął ich, krocząc z dumą. Za progiem odwrócił się jeszcze, by zapewnić ich, że dziękuje im za ich pracę. Po czym odszedł tym samym krokiem, którym przyszedł: nieprzesadnie szybkim, ale pewnym siebie i stanowczym. Cały czas udając zaczytanie w dokumentach. Dopiero gdy zszedł piętro niżej, przyspieszył kroku. Gdy stanął przed drzwiami gabinetu Strossmauera, udał, że szuka klucza po kieszeniach, w rzeczywistości zastukał trzy razy.

– Hasło? – szepnął Dougling od wewnątrz.

– To ja, Sean Connery. Bardzo śmieszne – rzucił, wchodząc do środka. Prędko zdjął z siebie fartuch, rozłożył go na oparciu fotela za biurkiem. – Jak nasz podopieczny?

– Musiałem pomóc mu zasnąć drugi raz. Dowiedziałeś się czegoś?

– Sam nie wiem. Brzmiało to dziwnie. Opowiem ci po drodze. Spadajmy stąd jak najszybciej.

Odłożył okulary na biurko i wyszli. Zamknęli drzwi, klucz zostawili w drzwiach. Stonebridge zastanawiał się przez chwilę, czy go w nich nie złamać. Pomogłoby to pewnie wytłumaczyć się lekarzowi, ale diabli wiedzą, na ile już zaszkodzili jego pacjentom. „Przecież to Niemcy” – szepnął w nim jakiś głos. Nie odpowiedział mu, że nic się nie zmieniło i zarazem zmieniło się wszystko. Wczorajsi wrogowie byli sojusznikami, wczorajsi sojusznicy...

Odpędził te myśli.

– Co teraz? – zapytał. – Będziemy wracać samochodem? Znowu stracimy cały dzień.

– Mają tu wojskowe lotnisko. Tym razem coś dla nas zorganizuję. Myślisz, że mogę zadzwonić z recepcji?

– Sądzę, że powinniśmy się stąd zbierać jak najszybciej.

Trwało to dłuższą chwilę, nim znaleźli budkę telefoniczną. Pierwsza stała wprawdzie tuż obok szpitala, ale nie działała. Przekonali się, że nie należała do wyjątków, gdy odwiedzili drugą i trzecią.

– Zwyczajna procedura – ocenił Stonebridge. – Wyłączają nasze linie telefoniczne, żeby pogłębić chaos. Powinniśmy iść na policję.

– W porządku, ale najpierw powiesz mi wreszcie, czego się dowiedziałeś. Tak na wszelki wypadek, gdyby któryś z nas tu utknął. Patrz, tam jest knajpka. Siądziemy, pogadamy, napijemy się zimnego piwa.

Stonebridge szukał sposobu, by wymigać się od tej rozmowy, ale żaden nie przyszedł mu do głowy. Może poza niejasnym przecuciem, że powinni wiać jak najdalej stąd, tak od szpitala przejętego przez amerykańskich sojuszników, jak i w ogóle z Niemiec. Bo jeśli wybuchła wojna, to lada moment z nieba mogły zacząć spadać bomby. Możliwe, że Dougling miał rację i coś mu się stanie. Informacje by wtedy przepadły.

Czuł się też zobowiązany wobec drugiego Johna. Nie tylko zebrał on więcej ciosów podczas tej awantury, w którą się uwikłali, ale także trzymał się w tle, pozwalając koledze grać pierwsze skrzypce.

Knajpa była pełna ludzi, tak Niemców, jak i Amerykanów, tych drugich w mundurach. Wszyscy krzyczeli na siebie nawzajem, wymieniając najbardziej niesamowite plotki. Stonebridge wsłuchiwał się w nie przez chwilę, starając się wyłapać z gwaru przydatne informacje, ale wszystko brzmiało dla niego jak bełkot. Amerykańscy żołnierze nie wydawali się lepiej zorientowani od niemieckich cywilów. Jak to podczas wojny, głównodowodzący trzymali karty przy orderach, być może nie zdawali sobie sprawy, że przyczyniają się do poczucia zagubienia własnych ludzi.

– Tam. – Dougling dostrzegł wolne miejsce. – Przy oknie! Leć je szybko zajmij, a ja pobiegnę zamówić coś do picia i może do żarcia.

Stonebridge zdążył przed trzema amerykańskimi piechociarzami. Wyglądali, jakby zamierzali powalczyć o swoje, ale najrozsądniejszy z nich odpuścił. Może nie

spodobał mu się uśmiech Polaka, a może dostrzegł biegnącego już ku towarzyszowi broni Douglinga. A ten, niosący po kufle piwa w ręce, za sprawą poobijanej, pełnej wielobarwnych sińców gęby wyglądał jak zawodowy zakapior. I też szczyrzył się wyjątkowo paskudnie.

– Zaraz przyniosą nam kotleciki jagnięce – oświadczył, stawiając ciężkie kufle na blacie. – Z ziemniaczkami i kapustą. A ci trzej czego chcieli?

– Podejrzewam, że tego samego co i my.

Unieśli kufle do toastu.

– Żebyśmy to przeżyli – zaproponował Dougling.

– Za to wypiję.

Stonebridge pociągnął łyk. Długi, zimny. Smak był nieco gorzkawy, ale lekki. Jeśli coś Niemcom wychodziło, to z pewnością produkcja piwa. Pomyślał z żalem, że jeśli zajmą ich Sowieci, to pewnie znacjonalizują nawet najdrobniejsze browary i doskonale niemieckie piwo zacznie przypominać wodę.

– Nie kombinuj tyle, tylko gadaj – ponaglił go Dougling. – Czego się dowiedziałeś?

– Chłopak był z okrętu podwodnego. Wysłali ich, żeby odebrali z Polski grupę dywersyjną. Kryptonim: „Pradziad”.

– Pewnie jedną z tych, co zaszalały?

– Jedną z tych, choć marynarz nic nie wiedział o pozostałych. Wypłynęli z portu w Danii, zbliżyli się do polskich wybrzeży, czekali na sygnał. Gdy go dostali, wynurzyli się. Mieli tylko wysłać ponton po ekipę, a wylądowali w samym środku bitwy. Ich dywersantów ktoś ścigał.

– Ktoś?

– Pamiętaj, że rozmawiałem z chłopakiem naćpanym morfiną. Nie wiedział kto. Znajdował się w załodze pontonu. Wsiedli do niego, a gdy zbliżali się do brzegu, wybuchła strzelanina. Zdaje się, że byli tam pogranicznicy, milicja, może wojsko. Trochę bredził.

Wspomniał słowa marynarza: „Wielka, śmiejąca się baba, prawdziwa wiedźma,

waliła do nas z km-u. A potem...”.

– Bredził?

– O kulach ognia, szalonej czerwonoarmistce.

– Kulach ognia?

– Zawrócili, ale zanim dotarli na okręt, pojawił się polski kuter torpedowy. Ostrzelali ich ze wszystkich luf. Stąd kule ognia.

– Kutry torpedowe nie mają aż takich dział.

– Ale mają torpedy. A żołnierze pod ostrzałem mają cholernie bogatą wyobraźnię. Okręt podwodny zanurkował, nim ci z pontonu zdążyli wrócić na pokład. Nie miał innego wyjścia, jeśli chciał podjąć równą walkę. Chłopaki bujali się na falach, aż kuter zaczął dymić. Wtedy poszła po nich seria z lądu. Dwóch zginęło na miejscu, trzeci, nasz informator, wpadł do wody i stracił przytomność. Obudził się w szpitalu.

– I tyle? Nie wiedział, co mieli wywieźć?

– To zwykły marynarz. Zresztą wiesz, jak jest. Pewnie nawet kapitan tego okrętu nie wiedział.

– Pewnie nie – zgodził się Dougling, popatrywał jednak na Stonebridge’a podejrzliwie. Ten przypomniał sobie słowa marynarza: „...i wtedy ten wielki facet wyciągnął, rozumie pan, doktorze, miecz. Miecz! A ten aż zalsnił. Od ognia zalsnił. I jak on go wbił w piach, to wszystko wybuchło”. – To wszystko, co ci powiedział?

– Nie przeprowadziliśmy wzorcowej klubowej konwersacji.

– Gdy do mnie wtedy przyszedłeś, miałeś dziwny wyraz twarzy. Dlatego pytam.

– Rozmawiałem z naćpanym, wpółprzytomnym... – zaczął Stonebridge, ale przerwał. Machnął ręką. – Chcesz wiedzieć? Zdaniem tego chłopaka mieli wywieźć z Polski magiczny miecz.

– Że Excalibur? Robisz sobie jaja.

– Dlatego nie chciałem ci mówić. Słuchaj, on widział, tak mu się zdawało, że jeden z walczących wyjął nagle miecz, wbił go w piach, a wtedy cała plaża

wybuchła. Tyle przed tobą ukrywałem, takie sensacje.

– Mówisz, że był naćpany?

– Teraz naćpany, wtedy przerażony. Wszyscy tam strzelali, a połowa do niego. A on nie siedział w okopach, tylko na kawałku gumy bujającej się po falach. Równie dobrze mógłby się chować za kartką papieru. Więc nie wiem, ten kuter torpedowy mógł przywalić czymś w plażę, to i cała wybuchła. Przynajmniej dla oczu przerażonego dzieciaka na pontonie. Powtarzam, że opowiadał mi o tym naćpany morfiną.

– Ale ci wasi Rabusie Grobów kradną właśnie nie wiadomo co, prawda?

– Masz na myśli magiczne miecze?

Doubling otworzył usta, by odpowiedzieć, ale je zamknął. Pokręcił głową, zachichotał.

– Jesteśmy tak owładnięci paranoją, że uwierzymy we wszystko, co? – prychnął. – Jezu. Prawie dałem się wkręcić. Czyli co? Co o tym sądzisz?

– Margaret Mead, ta Amerykanka z Wewelsburga, faktycznie coś z niego wywoziła. Podobno dokumenty SS. To mi się wydaje całkiem prawdopodobne. Może coś podobnego kradli w Polsce, Czechosłowacji i Rosji? Słuchaj... – Stonebridge zapalił się do nowej koncepcji. – Przecież to te kraje były pod okupacją. I to nie takim mizianiem jak Francuzi, ale pod prawdziwą krwawą tyranią. SS robiło tam praktycznie, co chciało. Możliwe, że w tych krajach zostały jakieś dokumentacje, o których my nic nie wiemy, bo szkopami po wojnie jankesi i ruscy podzielili się między sobą.

– A w tych dokumentach co? Plany Wunderwaffe Adolfa?

– Albo listy kolaborantów i agentów. Ludzi, którzy teraz mogą zajmować wysokie stanowiska po obu stronach żelaznej kurtyny.

– Masz na myśli akta Odessy?

– Pasowałyby do Wewelsburga. To był święty zamek SS. Ich Camelot.

– I jankesi wywołali wojnę o akta albo złoto Himmlera? To mi nie gra, stary.

– Mnie nic tu nie gra. Błądzą po omacku. Kto zresztą powiedział, że Amerykanie

chcieli wywołać wojnę? Może Iwan zareagował bardziej nerwowo, niż ktokolwiek się spodziewał? Kto zresztą wie, co się u nich dzieje? Nie dawaliście nam znać, że pozycja Chruszczowa się chwieje. Może ktoś tam wykorzystał okazję i zorganizował przewrót?

– I w tym celu rozpętał trzecią wojnę światową? Jezu, John, nie skosztowałeś trochę tej morfiny w szpitalu?

– To stara rosyjska zagrywka: rozpętać wojnę, jak tylko zaczynają się problemy wewnętrzne. Stosują ją od carów. Pomyśl, jeśli następca Chruszczowa oznajmi, że zapobiegł trzeciej wojnie, którą ten szaleniec od walenia butami po mównicy ONZ chciał rozpętać po obrzydliwej amerykańskiej prowokacji, to wygrają wtedy na wszystkich frontach i wyjdą na miłujące pokój niedźwiedzie. Amerykanie będą musieli położyć uszy po sobie, bo dali ciała na całej linii.

Dougling zamyślił się głęboko. Upił łyk piwa i jeszcze jeden.

– To jest wszystko strasznie naciągane i trochę głupie. Chodzi mi o to, że jankesi musieliby być strasznymi kretynami. No ale z drugiej strony tytanami intelektu nie są. A wojny wybuchały częściej z głupoty rządzących niż z innych powodów. Nie mówię, że masz rację, kolego. Ale nie znamy wszystkich elementów układanki, więc nic dziwnego, że nic mi się tu nie klei.

– Pomyśl tak, John. Gdyby to była wojna, coś powinno już wybuchnąć, nie? I nie mam na myśli kawałka plaży nad Bałtykiem.

Dougling uśmiechnął się, pokiwał głową. Upił ostatni łyk piwa. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy, jak na zamówienie, w całym mieście zawyły syreny.



Rozdział 17

4 czerwca, godzina 6.00, gdzieś na wybrzeżu Bałtyku, pułkownik Masłow

Żył. Ale co to było za życie. Pełne bólu i zimna. Morze wyrzuciło go na bałtycką plażę, a poranne promienie czerwcowego słońca wybudziły z czarnej, bezsennej maligny.

Przeczołgał się z trudem na wydmy, ale udało mu się w końcu schronić w lesie, byle z daleka od jakiegokolwiek patrolu. Ostatkiem sił zadbał o przykrycie z liści i gałęzi sosnowych. Zagrzebał się w igliwiu i spał kolejną dobę.

Kiedy w końcu się obudził, pułkownik Anthony Masłow był innym człowiekiem. Najpierw zjadł ukryte w spodniach kawałki suchego mięsa, resztki po prowiancie z Krakowa. Potem ruszył na zachód w poszukiwaniu wody, którą znalazł mniej więcej po godzinie forsownego marszu w postaci niewielkiej rzeczki wpadającej do Bałtyku dwoma rozwidlonymi strumieniami. Najedzony i napojony kontynuował szybki marsz do kolejnego wodopoju. Później dowiedział się, że rzeczka nazywa się Rega, a on znajduje się sześćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym czekała na niego i jego ludzi łódź podwodna. Oznaczało to, że sam nieprzytomny przepłynął z bałtyckim prądem dwadzieścia–trzydzieści kilometrów. Zakrawało to na cud, ale Masłow nie wierzył w cuda. Wierzył za to w przeznaczenie, a od tygodnia jego przeznaczeniem było znalezienie i zabicie morderców Sary. W niewielkich wsiach nadmorskich, które mijał, dowiedział się, że ofensywa wojsk Układu Warszawskiego rozpoczęła się z impetem i Niemcy Zachodnie przechodzą właśnie radziecki blitzkrieg. Przypomniawszy sobie filmy z wojny sprzed dwudziestu pięciu lat, które oglądał, będąc młodym chłopakiem. Nazistowskie Niemcy atakujące Polskę. Tysiące uchodźców na polnych drogach, zatroskane, przerażone twarze prostych ludzi. Szczególnie starsze kobiety utrwaliły

mu się w pamięci. Wszystkie miały ten sam oszalały z rozpaczy wzrok. Wiedziały przecież, że istnieją spore szanse na to, że nigdy więcej nie zobaczą swoich ojców, mężów, synów i braci.

Dziś, pomyślał, karta po raz kolejny się odwraca. Z analiz NATO powszechnie dostępnych w Pentagonie od kilku lat wynikało posępne przekonanie, że Układ Warszawski dysponuje znacznie większym konwencjonalnym potencjałem militarnym niż Zachód. Jedynym, co powstrzymywało Sowieców przed rozpoczęciem marszu w jego kierunku, był jego odstraszący arsenał nuklearny.

I Maslow zastanawiał się bardzo intensywnie, gdzie, do kurwy nędzy, są amerykańskie bomby atomowe. Zgodnie z natowską doktryną wojenną ponad trzy czwarte kraju, w którym przeszedł tyle cierpienia w tak krótkim czasie, powinno w ciągu pierwszej doby wojny zostać praktycznie starte z powierzchni ziemi.

A wcale tak się nie stało. Chłopi dalej jeżdżą furmankami po leśnych ścieżkach nad morzem. Niemieckie kobiety za to uciekały jak najdalej od radzieckiej ofensywy na zachód. Pewnie miały te same oszalałe z rozpaczy i niepokoju oczy co Polki dwadzieścia sześć lat temu. Maslow zatrzymał mijającą go furmankę. Chłopina, który nazbierał kilogramy jagód i postanowił zawieźć je do Kamienia Pomorskiego, zgodził się zabrać go ze sobą. Spoglądał podejrzliwie na zniszczony strój pułkownika i jego poharataną twarz, ale wszelkie uwagi zachował dla siebie. Albo dla SB, jeśli zamierzał donieść na pasażera. Może należało go zabić, narzucić na siebie zdjętą z trupa kapotę, a na głowę założyć tę burą czapę, którą dałoby się nasunąć na czoło, tak by zasłoniła twarz?

– Ostrzelali nas Niemcy – spróbował wyjaśnić; wolał jednak unikać zabicia rodaka. Jeśli okaże się to konieczne, trudno. Ale może uda mu się oszczędzić poczciwinę. – Chcieli zaatakować od morza. Odparliśmy drani, ale tylko ja przeżyłem.

– Stara bieda. – Furman pokiwał głową. – A ja, widzicie, wojna czy nie, na targ jadę. Tera tam, panie, kupujom wszystko, com zebroł. Nasze chłopaki przecie muszom silnym być. Wojenka, panie, wojenka! Ale damy popalić w końcu tym reakcyjnym szkopom. Świnie szwabskie naszej zachodniej granicy nie chcom uznać,

to i w końcu popamiętajom.

Maslow przytakiwał, zgadzał się, ba, nawet piosenki poznane w Langley śpiewał. „Oka jak Wisła szeroka, Oka jak Wisła głęboka”. Dalej nie pamiętał, ale tyle wystarczyło, byle wyć głośno, donośnie i jak najbardziej fałszować.

W pewnym momencie odbił na Świnoujście. Domyślał się, że wraz z ofensywą na zachód granica z NRD praktycznie przestała istnieć.

Postanowił, korzystając z wojennej zawieruchy, za wszelką cenę prześlizgnąć się między walczącymi i dostać się do Kilonii.

4 czerwca, godzina 16.00, Kraków, oddział GROZBA

Kapitan Andrzej Swoboda coś ostatnio często się modlił. Stwierdził, że powiedzenie „jak trwoga, to do Boga” ma głęboki, sprawdzony empirycznie sens i szczególnie teraz, w czasie wojny, ów Bóg musi dostawać wyjątkową ilość modłów i zapytań.

Tym razem Jędrak do Boga wznosił modły dziękczynne. „Boże – myślał – jak dobrze, że znów udało mi się przeżyć lot An-12”. Od początku był pełen najgorszych przeczuć, kiedy dwóch wyższych oficerów GRU pojawiło się w sztabie wojsk połączonych Układu Warszawskiego w Szczecinie z nowym zadaniem dla oddziału.

Wszystko zaczęło się nie najlepiej, bowiem Rosjanie domagali się natychmiastowego przekazania im odzyskanych skarbów.

Major Riebrow uprzejmie wyjaśnił im, że skarby zostały zwrócone prawowitym właścicielom i o ile jeszcze kwestię Szczerbca mogli funkcjonariusze GRU pojąć, o tyle zwrotu miecza Świętego Piotra polskim biskupom zrozumieć już nie byli w stanie. Awantura wybuchła karczemna, a dowódca jednostki musiał interweniować na najwyższym szczeblu, żeby GRU dało GROZB-ie spokój. Osiągnął sukces, ale kolejne skarby miały być oddawane do dyspozycji Komitetu Centralnego partii. Efekt był taki, że w oddziale, którego członkowie ryzykowali życiem dla realizacji celów, których do końca nie rozumieli, doszło do podziału. Awinow stał na czele grupy wątpiących, składającej się głównie z Helgi, Rumuna i Azera. Ci twardo uważali, że odzyskane skarby winny trafiać do ZSRR

i odpowiednich ludzi. Swoboda, Czukcza i nowo przybyły Mongoł nieugięcie stali na stanowisku, że odzyskane z imperialistycznych łapsk skarby powinny wrócić do właścicieli. Osobne zaś stanowisko zajmował dowódca jednostki Riebrow, który uważał, że najważniejsze jest to, co mu rozkażą przełożeni w KC. Gdy więc dyskusje w oddziale osiągnęły poziom grożący tym, że wszyscy wezmą się za łby, Riebrow huknął, jak należy, zwyzywał od głupich sukinsynów i jeszcze durniejszych suk, po czym przypomniał wszystkim, że rację ma zawsze partia. Nastroje zaraz się od tego poprawiły, bo radziecki żołnierz niczego nie potrzebuje tak bardzo jak wskazania mu właściwego miejsca, a dowódca wie, kiedy odpowiednio nawrzeszczyć.

– Jesteśmy elitą, do cholery! – dodał na zakończenie. – Elitą elit. Więc zachowujcie się jak elita. A kogo pieprzymy?

– Wszystkich innych! – odkrzyknęli nareszcie zgodnie.

– A jak już koniecznie chcecie sobie dać po razie, to nie tu, ale u siebie w domu przy wódeczce. Tu trzymać fason!

Wkrótce wszyscy się przekonali, że odzyskanie Szczerbca było ogromnym sukcesem propagandowym PRL oraz jednostki, której członkowie, jak ich zapewniono, nawet nieobecni w czasie akcji, otrzymali nominację do najwyższego odznaczenia – orderu *Virtuti Militari*.

Za akcją związaną z mieczem Świętego Piotra orderów nie było. Była za to bardzo intymna msza w katedrze gnieźnieńskiej, odprawiana przez prymasa Stefana Wyszyńskiego. Major Riebrow rozkazał uczestniczyć w niej wszystkim członkom oddziału i mimo początkowych oporów polskiemu księdzu udało się poprowadzić modlitwę tak, by wyglądała jak dziękczynienie dla żołnierzy za ich śmiertelny trud. Na koniec Wyszyński z Batyrem Bej Uldaszewem znikli w krużgankach katedry, by odprawić ekumeniczną mszę za ofiary nadchodzącej wojny.

Kiedy funkcjonariusze GRU w końcu sobie poszli, Riebrow zrobił wszystkim krótką odprawę.

– Cieszę się, że udało wam się przejść niełatwy chrzest bojowy beze mnie. Utwierdza mnie to tylko w przekonaniu, że dokonałem dobrej decyzji co do swoich

zastępców.

Jeśli o tę kwestię chodzi, to podwładni mogli mieć nieco inne zdanie, ale po ostatniej awanturze rozsądnie uznali za stosowne zachowanie go dla siebie. Riebrow kontynuował:

– Nasi już ruszyli. Od Czechosłowacji uderzyli na Austrię, gdzie praktycznie nie napotkali oporu. Nieco ciężiej jest w faszystowskich Niemczech, gdzie trochę za dobrze pamiętają, jak odwiedziliśmy ich ostatnio, i bronią się zawzięcie. Niemniej się cofają, bo inaczej być nie może. Nasi towarzysze posuwają się naprzód prędko, ale i Amerykanom zdarza się odpowiednio szybko reagować. Dlatego czeka nas kolejna misja. Trudna. Na tyłach wroga. Jedziemy do RFN. Tam wszyscy będą przeciwko nam, a nie możemy mieć pewności, że armia będzie na czas, by przyjść nam z pomocą. Dlatego przygotowaliśmy plan ucieczki w starym dobrym stylu. Nie, towarzyszeko Jaeshke, nie we wściekłej kanonadzie. Miałem na myśli stary dobry styl akcji dywersyjnych. Po cichu i bezboleśnie. Musimy przechwycić cenny skarb, zanim Amerykanie położą na nim łapy. To powinna być łatwa robota. Wchodzimy po cichu do muzeum, na paluszkach z niego wychodzimy i zasuujemy na lotnisko jako amerykańscy eksperci, którzy ratują swoje cenne życie przed najazdem barbarii ze wschodu. Przyleci po nas jak najbardziej amerykański samolot, tyle że pilotowany przez bohaterów radzieckich pilotów. Łatwa sprawa.

Nie dostali czasu na odpoczynek. Przebrali się w przygotowane dla nich rzeczy, otrzymali też broń, którą jednak wybrał dla nich ktoś inny. I nim zdążyli się otrząsnąć, już siedzieli w samolocie ze spadochronami na plecach.

– Prawie bezwzględnie panujemy w powietrzu – pocieszał ich Riebrow. – W dodatku tam, dokąd lecimy, wedle danych wywiadu nie ma artylerii przeciwlotniczej. Imperialiści są kompletnie pogubieni, nasi dywersanci robią doskonałą robotę!

Tyły wroga okazały się dwukilometrowym przedpołem Kassel. Zrzucano ich tam na spadochronach w nocy. Na sygnał o sukcesie musieli tylko jakoś dotrzeć na lotnisko leżące około czternastu kilometrów od Kassel. Tam powinien przylecieć po nich obiecany samolot.

Zakopali spadochrony. Mieli nadzieję, że miasto będzie zaciemnione, ale nie do końca tak było. Wieści o wojnie już tu dotarły, ale chyba nie każdy jeszcze przyjął je do wiadomości. W wielu oknach paliły się światła, na szczęście na ulicach nikogo nie spotkali.

Nieustannym, monotonnym truchtem biegli przez ulice opustoszałego miasta, ale kiedy w końcu dotarli do muzeum Fridericianum, stanęli jak wryci.

Najwyraźniej Niemcy wpadli na pomysł, by chronić swoje zabytki. Może burmistrz Kassel pamiętał, że Armia Czerwona podczas ostatniej wojny interesowała się nie tylko wdziękami Niemek i sporo dzieł sztuki, zarówno rabowanych z podbitych przez Trzecią Rzeszę krajów, jak i rdzennie niemieckich, przepadło. Na dziedzińcu klasycystycznego pałacu stały ciężarówki, a robotnicy uwijali się jak mrówki, wynosząc eksponaty z galerii prosto na paki samochodów.

Plan na załatwienie sprawy po cichu przeszedł do historii. Nie było czasu na kombinowanie, nie można było dopuścić, by NATO przejęło skarb. Ku radości Helgi Riebrov rozkazał ostrzał karabinowy z biegu. Żołnierze wyszarpnęli spod kurtek czeskie skorpiony, pociągnęli seriami, na początek na pokaz. Wystarczyło. Niemieccy robotnicy rozbiegli się w poszukiwaniu kryjówek, a atakujący oddział Armii Czerwonej szybko uzyskał przewagę pozycyjną.

– Szukać mi obrazu! – wrzasnął dowódca. – Nie mamy wiele czasu, nim się opamiętają!

Przetrząsali paki ciężarówek, jak potrafili najszybciej, ale nie robili tego dość szybko. Nieliczni niemieccy policjanci, którzy nadzorowali wywóz obrazów, zaczęli się ostrzeliwać zza prowizorycznych kryjówek i choć nie kwapili się do kontrataku, Riebrov zdawał sobie sprawę, że przybycie posiłków jest tylko kwestią minut. Ale minuty mijały, a nikt nic nie znalazł.

„Cholera, musi być jeszcze w środku” – pomyślał Swoboda, zeskakując ze swojej ciężarówki. Ktoś schowany za zielonym samochodem policyjnym wychylił się, by wziąć na cel kapitana. Dwie kule świsnęły koło głowy gnającego ku budynkowi muzeum Swobody, nim Helga uciszyła śmiałka wściekłą serią.

– Swietłana, Targaj, za mną! – zawołał. – Do środka!

Wewnątrz budynku było cicho i zaskakująco spokojnie. Swoboda minął wprawdzie kilku cywilów, którzy tu właśnie szukali schronienia, ale czmychnęli na sam widok uzbrojonych ludzi. Nikomu tu nie marzyła się bohaterska śmierć.

Najcenniejszy okaz muzealny w tym mieście policja zostawiła do uratowania na koniec.

„No i dlatego właśnie uratowany nie będzie” – pomyślał Polak. „Albo raczej uratują go ci, co trzeba”.

Zdejmując niewielki obraz okutej w dziwną chustę kobiety, najwyraźniej uruchomili jakiś alarm, bo wszystko zaczęło przeraźliwie wyć. Azer i Mongoł zabrali się do wyciągania płótna z wielkich ram zdobionych złotą farbą. Szło im całkiem sprawnie, ponieważ długo ćwiczili w Szczecinie w miejscowym ratuszu ściąganie i załadunek arcydzieł socrealizmu urzędniczego miejscowych artystów. Po chwili alarm przestał wyć. Po raz pierwszy w akcji przydał się Turkmen, podporucznik Muchatow. „Historyczna chwila” – pomyślał Swoboda. „Więc jednak dowódca umie zagospodarować tego inżyniera. Szkoda tylko, że wyłączył w całym budynku prąd, bo jest ciemno jak w dupie”. Ale na taką ewentualność byli przygotowani. Błysnęły natychmiast ręczne latarki.

Wsadzili obraz do specjalnie przygotowanej tulei, a tę – na pakę pozyskanej od Niemców ciężarówce. Wszyscy usiedli wokół dzieła sztuki. Tylko Riebrow, ledwie wybiegł z muzeum, zaczął wrzeszczeć:

– Powariowaliście?! Wysiadać mi z tego złomu! Obraz na plecy, Muchatow, i wracamy, biegiem. Na lotnisko!

– Nie sądzi pan, towarzyszu majorze, że szybciej... – próbował oponować Awinow. Nie znał jeszcze dobrze swojego dowódcy i nie do końca rozumiał, że z nim dyskusji nie ma. Swoboda znał się na ludziach. Był w końcu najstarszy w oddziale i wiedział, że skończy się to chryją.

Riebrow podszedł do swego zastępcy i sklął go dosyć obelżywie. Swietłana się zaczerwieniła, a reszta nagle zaczęła szukać na niebie ptaków w celach obserwacyjno-filozoficznych.

– No... – stwierdził major, kiedy skończył mu się zasób słowny. – Skoro już

wiemy, kto tu wydaje rozkazy, to powtarzam jeszcze raz: obraz na plecach, Muchatow, i wracamy, biegiem. Na lotnisko! Ryk tego złomu ściągnąłby nam na łby całe miasto!

Oddział obiegnął lewe skrzydło pięknego klasycystycznego pałacu i zmuszony został do odwrotu, kiedy usłyszeli:

– *Hände hoch!*

Przed bramą muzeum stała całkiem nowa grupa policji niemieckiej. Uzbrojeni byli na szczęście jedynie w broń lekką, pistolety. Ale schowani za szpalerem radiowozów stanowili przeszkodę nie do pokonania.

Helga, prowadząc oddział, spostrzegła groźbę pierwsza i krzyżąc po niemiecku, zawróciła resztę. Policjanci, widząc, że napastnicy nie mają zamiaru się poddać, zaczęli strzelać.

Ziajani żołnierze dopadli ciężarówkę. Awinow nie mógł podarować sobie komentarza

– A nie mów... – Nie dokończył, bo został przez Riebrowa wepchnięty na pakę.

Swoboda usiadł za kierownicą, a dowódca usadowił się obok.

– Cholera! – krzyknął zdenerwowany Ukrainiec. – Jedź, Jędrak, musimy przebić policyjną blokadę.

Swoboda z satysfakcją zauważył, że dowódca ze swoich dwóch zastępców jego najwyraźniej lubi bardziej. Awinow siedział na pace, zgrzytając zębami. Próbował chwilę pogapić się na cycki Swietłany, ale te ukryte w sprawiającym wrażenie zbyt dużego – jak wszystkie ubrania przez nią noszone – czarnym workowatym swetrze były chwilowo niedostępne dla wyobraźni.

Ruszyli z przytupem, a Andrzej zrobił kilka kółek na placu przed budynkiem, żeby się rozpędzić.

Pierwsi najodważniejsi Niemcy czaili się za rogiem. Helga posłała w ich stronę serię z karabinu, więc się pochowali. Ciężarówka, nabrawszy prędkości, runęła na bramę i z hukiem rozdieranego metalu wyrznęła w ustawioną naprędcę policyjną blokadę. Kapitan Swoboda odwrócił się i wrzasnął:

– Trzymać się!

Wybrał szparę pomiędzy radiowozami i uderzył. Udało się przejechać, choć nie bez trudu. Policjanci rozbiegli się na wszystkie strony, ale część zachowała zimną krew i kontynuowała ostrzał. Ze strony, z której przybiegli, jechało w ich kierunku jeszcze więcej policyjnych samochodów. Swoboda kątem oka ujrzał nawet jakieś wojskowe samochody.

– Cholera – warknął Riebrow. – Robi się gorąco.

Jechali w górę pustą ulicą. Swoboda wcisnął pedał gazu do końca, ale maszyna była mocna, a nie szybka. Od wycia silnika wszystkich bolały uszy. Riebrow zobaczył przed nimi jakieś wzgórza i wskazał na nie ręką.

– Tam. Ukryjemy się w lesie.

Żołnierze, jadąc szaleńczo przez miasto, zdążyli zauważyć, że wbrew pierwszemu wrażeniu nie było ono całkowicie opuszczone. Swoboda staranowałaby nieomal dwoje starszych rowerzystów, kilkoro sklepikarzy zabudowywało deskami okna swoich sklepów, a gdzie indziej ludzie wyrzucali swoje dobra przez okna, szykując się do wyjazdu.

Las okazał się pięknym parkiem i choć dla oka stanowił radosny, pełen uroku widok, to dla żołnierzy miał bardzo niskie walory obronne. Wjechali z impetem na trawę i zaryli w niej kołami.

Tu się ich jazda skończyła, ale przynajmniej zgubili pogoń. Choć na chwilę.

Wyskoczyli z samochodu i zajęli pozycje obronne. Riebrow rozglądał się niepewnie. Swoboda spostrzegł, że park kończy się niewielkim wzgórzem, na którego szczycie jawiła się dziwaczna statua.

Awinow zaskoczył wszystkich:

– To jest park Wilhelmshöhe. Na górze jest sterta gruzu udająca średniowieczną twierdzę, a na niej pomnik Herkulesa. Niedaleko jest zamek, w którym możemy się schować.

Riebrow pokiwał głową z aprobatą, a Swoboda ze smutkiem zrozumiał, że akcje Rosjanina odbiły się od dna.

– Przyjęto do realizacji! Wykonać.

Ruszyli truchtem w stronę kaskady z kamieni. Kiedy zmęczeni dotarli na jej szczyt, pogoń na dole w końcu dotarła do ciężarówki. Policjanci zajęci ostrożnym przeszukiwaniem opuszczonej maszyny jeszcze ich nie zauważyli.

– Zaraz nas zobaczą – pogonił oddział dowódca.

– Może okopimy się tutaj? – zasugerowała Helga Jaeshke. Rzeczywiście, widok ze wzgórza był świetny, pod statuą Herkulesa znajdowały się jakby ruiny twierdzy, otwartego budynku, w którym można byłoby się schować.

Riebrow spojrzał w dół na kamienną kompozycję, która prowadziła pod nogi herosa. Normalnie płynęła tędy woda, ale najwyraźniej została wyłączona, dając tym samym atakującym z dołu miejsce na kryjówki.

– Niby na wzgórzu, ale kiepskie miejsce do obrony przez te tarasy... – ocenił. – Gdybym miał tonę amunicji i żarcie, to rzeczywiście moglibyśmy się tu przyczaić i wyłuc szwabów jednego po drugim, ale prawda jest taka, że będą mogli trzymać nas tu w szachu nie wiadomo jak długo. Znajdźmy zamek i tam się ukryjmy.

Zamek znajdował się półtora kilometra od nich, dlatego dotarli tam szybko. Piękna, bajkowa niemal budowla wyglądała na opuszczoną. Swobodzie przypominała wyniosłego pudła z wykwintnie wymodelowaną sierścią, któremu ktoś obciął ogon i zostawił na deszczu.

Obrazkowy zamek przygasł, przycupnął w cieniu, jakby czekając, aż gorsze czasy zamienią się na te lepsze. Tylko ogród wokół prezentował się świetnie.

Wejścia do zamku, przynajmniej te, które widzieli, były obwiązane łańcuchami i zamknięte na grube i chyba solidne kłódki. Awinow pospieszył do otwarcia jednych z drzwi, ale Riebrow go powstrzymał.

– Będzie widać, że ktoś się włamał. Znajdźcie jakieś niskie okno, spróbujemy się tam dostać po cichu.

Okno czekało na nich w prawym skrzydle. Było niechlujnie zabite kilkoma deskami. Turkmen szybko wydlubał gwoździe bagnetem i po chwili mogli dostać się do zamkowej kuchni. W samą porę, bo w momencie, w którym z powrotem wsadzili deski na miejsce, na dziedzińcu zamkowym zrobił się tumult. Helga pognęła do okien i wróciła z kwaśną miną.

– Policja – warknęła.

Swoboda pomyślał, że jednak trzeba się było osadzić w Herkulesie.

– I Amerykanie – dodała Helga. – Wygląda na to, że chcą tu ustanowić swoją siedzibę czy coś.

Teraz Riebrow zupełnie osłupiał.

– Amerykanie tutaj?

– Przynajmniej cztery jeepy, parę ciężarówek. Trochę ich się tu zebrało.

– No dobra, szturmem ich brać nie będziemy. – Riebrow wstał. Zaklął. – Wygląda na to, że będziemy gościć u towarzysza Herkulesa, niech to szlag.

Wracali wściekli i niespokojni, niepewni, czy policja nie obstawi mauzoleum. I rzeczywiście, kręciła się tam grupa gliniarzy. Helga natychmiast uniosła lufę karabinu, ale Riebrow położył na niej dłoń.

– Czekaj – syknął. – Teraz naprawdę nie chcemy robić hałasu.

Policjanci, gdy nie znaleźli nikogo na górze, odeszli, na miejscu zostawiając tylko dwóch ludzi. Ci pechowcy nie stanowili dla żołnierzy żadnego wyzwania. Pozostali rozstawiali wprawdzie posterunki w parku, ale oddział Riebrowa był już za ich liniami.

– Sami się stąd nie wydostaniemy – mruknął major, obserwując, jak u stóp wzgórza do policjantów dołączają amerykańscy żołnierze. Jakie licho ich tu przyniosło?

– Gyrgołtagin, znajdź no nam jakieś radio albo czarodziejską skrzynię Andersena – polecił. – Masz talent do znajdowania rzeczy, wykorzystaj go. Plan przyczajenia się i poczekania na naszych właśnie spalił na panewce. Musimy poprosić kogoś o wsparcie. Byle kogo. Łap kogoś, kto jest najbliżej, nawet jeśli to zagubiona orkiestra dęta. Muszą nam pomóc się stąd wydostać.



Rozdział 18

4 czerwca, godzina 20.16, RFN – okolice miasta Fulda, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego

Dopiero wieczorem, gdy Kaszel pozwolił im wreszcie przysiąc wśród ruin porzuconego w lesie domu, mogli przemyśleć wydarzenia tego dnia. Wcześniej po prostu biegli, byle dalej od miejsca potyczki, byle w cień drzew, z dala od głównych dróg. Zmienili kierunek ucieczki, już nie na wschód, ku czechosłowackiej granicy, ale bardziej na północ, bo nikt nie powinien się po nich spodziewać takiego wyboru. Nadłożyli więc drogi, ale mieli nadzieję, że dzięki temu ryzyko jest mniejsze.

Dwa razy przypadali do ziemi na dźwięk nadlatujących samolotów. A potem, zadzierając głowy, rozpoznawali ich kształty i odkrywali, że to bombowce Układu Warszawskiego leciały kontynuować misję, którą oni zapoczątkowali w nocy.

To radziu zaczął nagle wymiotować, gdy zatrzymali się pod ruinami domu. Topór z Markiem wysłani na zwiad podkradali się ostrożnie do ciemnej w półmroku, dziwnie nieforemnej jak na dom bryły. Pozostali zalegli przy ziemi wśród dających osłonę krzewów. I właśnie wtedy żołądek Truchta nie wytrzymał.

Marek z Toporem zamarli na odgłos rzygania. Jeśli w ruinach ktoś się czaił, coś takiego mogło przyciągnąć jego uwagę. Nie spodziewali się snajperów, prędzej bezdomnych, których – jak słyszeli – w imperialistycznych krajach było bez liku, nikt bowiem nie przejmował się tu tymi, którzy nie poradzili sobie w życiu i pozbawieni przez burżujów środków do życia lądowali na bruku. Niemniej nawet bezdomny mógłby być kłopotem, gdyby podniósł krzyk.

Las w tym miejscu był młody. Drzewa niższe od otaczających je starców miały węższe pnie i krótsze gałęzie. Być może wycięto tu drzewostan, gdy budowano dom. Możliwe jednak, że doszło do jakiejś katastrofy. Mogły o tym świadczyć fragmenty

murów, strzaskane strzępy cegieł, na które napotykali, czołgając się ku budynkowi.

Gdy podeszli naprawdę blisko, odkryli przyczynę zniszczeń. Czy w piętrowy budynek, niegdyś wygodną willę, a może bogatszą leśniczówkę, trafiła bomba, czy też ostrzelano ją z artylerii, efekt był ten sam: dach się zapadł, wschodnia ściana runęła i roślinność przejęła dom. Topór z Markiem spenetrowali i parter, i resztki piętra, nie znaleźli jednak nic poza siedliskiem zaniepokojonych aktywnością żołnierzy nietoperzy.

Zdaniem Kaszla znaleźli więc miejsce idealne. Z daleka, a nawet z góry zrujnowany dom był ledwie widoczny, a po zmroku właściwie wcale. A w razie czego nawet jego skorodowane mury dawały pewną osłonę. Pod resztkami dachu dałoby się nawet schronić przed deszczem, o ile nie okazałby się zbyt ulewny.

– Kicio, Bruno, pierwsza warta. Później ja z Toporem, Młody z Truchtem – rozdzielał zadania Wrona. – Sierżancie?

– Wezmę poranek z Mrużewskim.

– Świetnie. Radziu, łap kontakt z naszymi. Reszta: żreć, srać, spać.

Łatwo było powiedzieć „spać” po pierwszym starciu z wrogiem, gdy właśnie rozpoczęła się wojna. Jedli niewielkie, ostrożnie wydzielane porcje pospiesznie, przepijając je zimną wodą, bo o rozpaleniu choćby najmniejszego ogniska nie było oczywiście mowy.

– Ktoś widział, jak... – Marek szukał odpowiedniego słowa, takiego, które by nie zabrzmiało zbyt łzawo, ale nie tak, jakby zupełnie się tym nie przejmował – jak Zygmunt dostał?

– Ja nie – pierwszy odpowiedział Topór, a i to po dłuższej chwili, bo na początku pozostali wbili tylko wzrok w menażki. – Ja najpierw gapiłem się na ciebie. Myślałem, że zwariowałeś. A potem... – urwał. Zaciął się. Upił łyk wody, przypomniał sobie, że jest największym twardzielem w plutonie, i dokończył głosem tak pewnym siebie, że nie mógł brzmieć naturalnie. – Potem szylłem po tamtych i nie patrzyłem za siebie.

Okazało się, że wszyscy mieli podobne wspomnienia. Zdziwienie na widok szaleńczej szarży Marka, a potem skupienie na ostrzeliwaniu Amerykanów.

– Okazało się, że to nie takie trudne – ożywił się Mrużewski. – Nie że jak na strzelnicy. Ale... Porwało mnie. Was nie?

– Porwało jak cholera – zgodził się Bruno schowany na warcie w krzakach. – Bo porywa jak cholera, kiedy się na wojnie strzela.

Kaszel z Wroną, którzy wyruszyli na własny obchód okolicy, przyglądali im się zza węgła, przez szramę wyrwaną w ścianie starym pociskiem.

– To musiała być jakaś chybiona, przypadkowa bomba podczas wojny... Podczas poprzedniej wojny – oceniał Kaszel. – Nie ma śladu po ostrzale na ścianach. Nikt tu pewnie nie przychodzi od dwudziestu lat.

– Może się boją, że tu straszy – prychnął Wrona. – Nie było żadnej ścieżki przez zarośla.

Denerwował się, bo zdawał sobie sprawę, że powinien pogadać ze swoimi ludźmi po tym, co się dzisiaj wydarzyło, ale nie bardzo wiedział jak. Najchętniej opieprzyłby ich i zagonił do roboty. Zdaniem Wrony solidny wysiłek fizyczny stanowił lekarstwo na prawie wszystko. Ale w tych warunkach nie było o tym mowy. Powinien więc się z nimi i przeanalizować akcję. Kłopot w tym, że sam pamiętał ją jak przez mgłę. I wstydził się tego.

– Może się boją, że straszy – skinął głową Kaszel. – Jeśli ktoś tu zginął, mogli nie mieć głowy do chowania resztek ciał. Chodź, pójdziemy do nich. Trzeba z chłopakami pogadać.

– Jasne – bąknął kapral bez entuzjazmu. Najchętniej zostałby tu, w cieniu, w ciszy lasu. Podobały mu się szum gałęzi na lekkim wietrze, szelesty świadczące o wędrówkach drobnych gryzoni wśród krzewów i cienie pływających po niebie nietoperzy nad głową. Dziwnie było siedzieć w środku kraju wroga, w dodatku Niemiec, i czuć się prawie jak w domu.

Ruszył za Kaszlem. Żołnierze umilkli na ich widok. Po Wronie spodziewali się ochrzanu, ale co miał powiedzieć Kaszel?

Sierzant przysiadł na wyrwanym ze ściany, omszałym już kawałku gruzu. Wyjął z kieszeni myśliwską piersióweczkę, odchrząknął, pociągnął łyk. Odetchnął głęboko. A potem podał ją zaskoczonemu Wronie.

– Spisaliście się – powiedział. – Niczego innego się po was nie spodziewałem, w końcu sam was szkoliłem. Młody, dostaniesz oficjalną pochwałę za ten numer z czołgiem. A jeśli będę miał coś do powiedzenia, to i order. Reszta też dała radę. Jak wypadliście na tych amerykańców, to ani nie zipnęli. A pamiętacie miny tych szkopskich gliniarzy? – zarechotał wesoło. Dostrzegł, że przynajmniej dwóch też się uśmiechnęło. A Topór wykrzywił się po swojemu, jakby dawał do zrozumienia, że nic innego w życiu nie robił, tylko kosił imperialistycznych siepaczy.

– Młody – kontynuował sierżant – numer z czołgiem przedni. W powstaniu... – zająknął się. – No, w powstaniu też takie hece odstawiali. Ale tam działali wspólnie. Jeden leci, otwiera włącz albo go blokuje, drugi wrzuca granat. Wystarczyłby jeden, nie ma co marnować zasobów. I jak działacie we dwóch, idzie szybciej. Wróg ma mniej czasu na reakcję. Topór, podobało mi się, żeś osłaniał Młodego, zamiast walić na ślepo. Przytomny jesteś. Bruno, słyszysz mnie?

– Słyszę – odpowiedział głos z ciemności. – Czuwam na warcie, panie sierżancie.

– Co ty mi tu panujesz jak u imperialistów? – obruszył się Kaszel.

– Bo „obywatelu sierżancie” nie pasowało do rytmu. I rym by zginął.

Tym razem roześmiali się wszyscy. Już w lepszych nastrojach słuchali, jak Kaszel omawiał wszystkie elementy potyczki. Jak to on, odnosił się do własnych doświadczeń z poprzedniej wojny, wrzucał anegdoty, pokpiwał z tępoty szkopów. Sposępniali dopiero, gdy wspomniał Zygmunta.

– Tak naprawdę to tym razem nam się udało – oświadczył Kaszel. – Spisaliście się. Ale pamiętajcie, że tamci byli zaskoczeni. Młody wykorzystał element kamuflażu, wyskakując na nich w policyjnym mundurze i szwargocząc po szwabsku. To ich zatrzymało. Pamiętajcie, że to początek wojny, a zwykli poborowi jeszcze tego nie czują. Im się jeszcze wydaje, że nic się nie zmieniło. No ale jak nasi towarzysze lotnicy zbombardują im dupy, to już zaczną być rozsądniejsi. Będą najpierw strzelać, a potem pytać, bo nauczą się, że to zwiększa ich szanse na przeżycie. Zrobiliście dzisiaj wszystko, jak trzeba. Ale następnym razem będzie trudniej.

– A Zygmunt? – zapytał Marek. – Też zrobił wszystko, jak trzeba?

– Na pewno! – zaperzył się sierżant. – Przecież ja go szkolilem! Zygmunt miał pecha. To coś, o czym musicie pamiętać. Czasem kula cię złapie, choćbyś nie wiem jaki był cwany.

Popatrzył na nich i zrozumiał, że oni wciąż uważają się za nieśmiertelnych. Przeszli wiele w ciągu jednej doby. Wyszli dwa mosty, złapali w pułapkę policjantów, potem pokonali prawie dwieście kilometrów wrogiego terytorium niezauważeni. A na deser rozwalili swój pierwszy czołg i pluton jego osłony. I wszystko szło gładko. Nie licząc Zygmunta. Ale Zygmunt miał pecha, a oni należeli do urodzonych szczęściarzy. Każdy na pewno tak myślał, sierżant rozumiał to doskonale, bo żywił to samo przekonanie, kiedy był w ich wieku i gnał wyprostowany na pozycje wroga jak na jakiejś paradzie. Bo przecież jego nie mogli trafić.

Wyrosną z tego, jak i on wyrósł, i dopiero wtedy zostaną prawdziwymi żołnierzami. Ci, którzy przeżyją.

– Tyle gadania. Spać. Zrywamy się przed świtem. Radziu?

– Dostałem potwierdzenie, że otrzymali nasz meldunek. Nasi już ruszyli z ofensywą, będziemy mieli do nich bliżej. Pierwsze uderzenie poszło na Berlin, żeby odebrać jego zachodnią część faszystom. Mamy się przebijać wedle własnego rozeznania.

– Sprawdzisz jeszcze raz, przed wymarszem. Może podadzą nam nowe informacje na temat umiejscowienia naszych. Wrona? Pogadajmy.

Przysiedli w upatrzonym wcześniej miejscu, pod zachowanym fragmentem dachu, omszałym teraz, porośniętym bluszczem, na którym trzymały się niedobitki dachówek. Mogli tam rozłożyć mapę i w miarę bezpiecznie oświetlić ją latarką. Zajęli pozycje tak, by dodatkowo zasłaniać światło dla kogoś z zewnątrz.

– Z moich wyliczeń wynika, że jesteśmy gdzieś tutaj. – Kaszel wskazał na mapie miejscowość Fulda.

– Berlin pewnie nasz, więc nasi nadciągają. Może skrócą nam drogę.

– Na wojnie zawsze zakładaj najgorsze. – Kaszel podrapał się po głowie. –

Nastawiaj się na sukces, ale przy planowaniu bierz pod uwagę, że wszystko po drodze może się spieszyć.

– Ale ruszamy na Lipsk?

– Jeśli nasi nie wydadzą nam innych rozkazów, ruszymy na Lipsk. Choć bracia Czesi bliżej. Poczekamy na wieści o poranku.

Siedem godzin później, po odebraniu rozkazu przekazanego im przez Truchta, obaj mieli zdumione miny. O trzeciej w nocy sierżant pobudził żołnierzy, kazał im się zbierać do drogi i dał kwadrans na przygotowanie, łącznie ze śniadaniem składającym się z żelaznych porcji, jakie mieli przy sobie. Więcej im po utracie zasobnika z żywnością nie zostało. Tylko Truchta pogonił do radia. I teraz trochę żałował.

– Jak to Kassel? – jęknął Wrona, przypatrując się rozłożonej naprędce mapie. – Co jest w Kassel?

– Herkules – przypomniał sobie Kaszel.

– Herkules?

– Jakiś szwabski szalony hrabia czy inny książę zbudował na wzgórzu zamek, a na zamku wielki posąg Herkulesa. Zdaje się, że na wieży.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Nie wiem. Zwykle nie wiem. Teraz mi się przypomniało, jak piliśmy z radzieckimi pilotami podczas ostatniej wojny i śmiali się, że ten Herkules to dla nich najlepszy na świecie punkt nawigacyjny. Tam były jakieś fabryki, to je bombardowali. Obrócili w perzynę całe miasto, oni i Amerykanie. Ale ani jedna bomba nie spadła na zamek, bo dbali o tego Herkulesa jak o własne dziecko. Widzisz, Wrona, warto pić z sojusznikami. Nigdy nie wiesz, kiedy przyda ci się to, co usłyszysz.

– Taaa... Ale my tam chyba nie mamy zasuwać, żeby ratować jakiegoś Herkulesa?

– Mamy wesprzeć oddział dywersyjny specnazu. Bo jakoś tak wyszło, że jesteśmy najbliżej.

– Najbliżej? To pieprzone sto kilometrów stąd!

– Czyli dzień marszu – nie tracił rezonu sierżant. – A jak Kicio buchnie jakiś autobus albo inną karetkę, to nawet szybciej.

– Karetka byłaby niezła... – rozmarzył się Wrona. – Czyli Kassel – westchnął. – Ratować Herkulesa.



Rozdział 19

5 czerwca, godzina 17.20, Kilonia, RFN

Obaj Johnowie wypadli przed knajpę. Zadarli głowy na tyle szybko, żeby zobaczyć trzy odrzutowe myśliwce, które śmignęły na wschód. Nie zdążyli rozpoznać modeli.

– Szkoda tych kotlecików – westchnął Dougling, po czym, nie zastanawiając się wiele, pognął do swojego opla.

– Chodź, John! – zawołał. – Spadajmy stąd!

Stonebridge nie kazał sobie powtarzać dwa razy.

Dougling oczywiście prowadził jak wariat. Ponieważ ulica była zatłoczona podobnymi uciekinierami, skrócił drogę, wjeżdżając na chodnik. Trąbiąc przeraźliwie, minął przestraszonych przechodniów, pędem powrócił na ulicę na pasach dla pieszych i skręcił w przecznicę, która wyglądała na najmniej zakorkowaną.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Stonebridge. – Na lotnisko?

– Oszalałeś? Jeśli to prawdziwe bombardowanie, właśnie tam zrzucą większość bomb. Resztę na port.

– Jeśli mamy pecha, zrzucą tylko jedną bombę.

– Nie kracz.

Musieli się zatrzymać na skrzyżowaniu, na którym rozkraczył się amerykański transportowiec. Dougling spróbował wycofać, ale stał już za nim łańcuszek samochodów. Zaklął.

– Pieszko byłoby szybciej!

Usłyszeli huk nisko przelatujących samolotów odrzutowych. Wyskoczyli z auta, by ujrzeć klucz bombowców lecących w stronę lotniska. A za nim drugi i trzeci. Nie

było śladu po myśliwcach.

– Tupolewy – rozpoznał Dougling. – Szesnastki. No to żegnaj, nasza najszybsza droga do domu.

Jakby na potwierdzenie jego słów pierwsze bombowce wypuściły swój ładunek. Kolumny ognia wystrzeliły pod niebo w miejscu, w którym znajdowało się lotnisko. Huk eksplozji dotarł zaraz potem, nim zdążyli zasłonić uszy.

– Przynajmniej nie atomówka! – zawołał Stonebridge. Zamierzał dodać coś jeszcze, ale zabrakło mu słów, gdy zobaczył, jak z góry, spomiędzy chmur spadły trzy myśliwce, które widział wcześniej.

F-102 namierzyły drugie skrzydło rosyjskich bombowców. Zostały stworzone do takich działań. Zanurkowały ku przeciwnikowi usiłującemu ratować się manewrowaniem. Daremnie. Z trzech wystrzelonych rakiet dwie trafiły w cel. Pozostałe maszyny rozproszyły się w nadziei, że myśliwi wezmą na cel kogoś innego.

– Hurra! Górą nasi! – wrzasnął Dougling. – Oto prawdziwy triumf dobra nad złem.

– Odbiło ci?

– Może troszeczkę. To co, jedziemy do Düsseldorfu? Będzie ciężko wydostać się z tego korka, ale...

– Jedźmy na lotnisko.

– Tutaj? Nawet jeśli ruscy nie zawrócą, i tak zostały tam zgłiszcza.

– Ale centrum łączności mogło ocaleć, nie? Niech przyślą po nas helikopter. On wyląduje nawet na zniszczonym lotnisku. Ile będziemy jechać do Düsseldorfu? Cztery godziny? Tydzień? O co się założysz, że drogi teraz zakorkowane? Wszyscy będą chcieli stąd zwiewać.

– Droga prowadząca do piekła powinna być bardziej przejezdna – zgodził się niechętnie Dougling. Obaj schylili odruchowo głowy na dźwięk zbyt bliskiego wybuchu. To kolejny z zestrzelonych Tu-16 wbił się w kamienicę, ledwie parę metrów dalej, rujnując ją doszczętnie. Obaj agenci odruchowo padli na ziemię, gdy odłamki gruzu wystrzeliły na wszystkie strony. Wstając, zasłaniali usta, chmura pyłu

powstała po katastrofie rozchodziła się po okolicy, przesłaniając widok i utrudniając oddychanie. Większość tkwiących w korku kierowców opuściła swoje samochody. Jedni rzucili się ku zgliszczom, szukając ocalałych, którzy potrzebowaliby pomocy, inni uciekli, byle dalej.

Doubling chwycił Stonebridge'a za ramię i przyciągnął do siebie.

– Zapomnijmy o oplu! – zawołał. – Musimy się przedrzeć na drugą stronę skrzyżowania, tam coś sobie zorganizujemy!

Oznaczało to, że wbiegli w sam środek katastrofy. Przedzierali się między rannymi i przestraszonymi ludźmi. Jak większość zignorowali nawoływania jakiegoś zszokowanego policjanta usiłującego zapanować równocześnie nad sobą i nad spanikowanym tłumem. W górze wciąż huczały silniki odrzutowców, wszyscy w każdej chwili spodziewali się kolejnych bomb. Ktoś krzyczał z ruin zniszczonej kamienicy, gdy ją mijali. Doubling zatrzymał się wtedy na moment, ale Stonebridge pociągnął do dalej. Misja to misja. Kaszląc i potykając się o kawałki gruzu, przedarli się jednak na drugą stronę skrzyżowania, by ujrzeć, że tam sytuacja nie była wiele lepsza; ludzie też porzucali tu samochody ze strachu przed bombami.

Doubling rozejrzał się wśród porzuconych wozów. Znalazł taki, który mu odpowiadał, a w dodatku znajdował się prawie na końcu sznura zostawionych aut, dzięki czemu nie utknął.

– Skoro już musimy jechać na śmierć, zrobmy to luksusowo – oznajmił, zmierzając ku kremowemu mercedesowi 220a. – Prawdziwe cacko, proszę szanownego klienta. No i proszę, jak bardzo przydaje się małe bombardowanie. Durny właściciel ze strachu zostawił kluczyki w stacyjce.

– Ładne macie metody w MI6 – rzucił Stonebridge, starając się zapiąć pasy, gdy Doubling ruszał z miejsca. Znając już styl jeżdżenia kolegi, spodziewał się, że bez zabezpieczenia co najmniej nieźle się w ciasnym aucie poobija. – Przyznaj się, że masz lekkiego świra na punkcie samochodów.

– Kto mówi, że lekkiego? – zaprotestował Doubling. – A teraz proszę bardzo, niech kolega zobaczy, dlaczego pożyczone samochody są najlepsze!

Nie tracił czasu na próby znalezienia ścieżki między porzuconymi samochodami.

Po prostu wjeżdżał między nie, ignorując tak prawa ruchu drogowego, jak i stan karoserii mercedesa. Odsuwał swoim samochodem inne, wbijając się w ich boki, wjeżdżając w tyły.

– Gdyby to był mój samochód, chyba pękłoby mi serce – oznajmił, gdy wyjeżdżali na wolną już ulicę. – A tak ani łezki nie uronię.

Dotarli do lotniska ledwie kwadrans później. Rozbili bramę, ostatecznie rujnując wygląd pięknego wozu. Ku ich zadowoleniu wieża okazała się nietknięta. Za to płyta lotniska była w opłakanym stanie. Wciąż dopalały się na niej wraki samolotów transportowych, a nawet dwóch convairów, które nie zdążyły wystartować. Odruchowo pochyłili głowy, gdy przemknęły nad nimi trzy zwycięskie myśliwce. Ich piloci musieli teraz poszukać innego miejsca do wylądowania, na tym lotnisku mogliby się co najwyżej rozbić.

– Mam nadzieję, że zostało im wystarczająco paliwa – mruknął Dougling, odprowadzając wzrokiem odlatujące F-102. – Ale jeśli teraz Rosjanie wrócą, będziemy mogli co najwyżej porzucać w nich kamieniami.

Tym spieszniej ruszyli ku wieży. Znów zaskoczyła ich nieobecność wartowników. Weszli ostrożnie na schody i dopiero tam znaleźli dwóch nieprzytomnych żołnierzy. Stonebridge pochylił się nad jednym z nich, sprawdził puls. Z trudem dało się go wyczuć. Sięgnął ostrożnie do kabury żołnierza, znalazł w niej niemieckiego walthera, co specjalnie go nie zdziwiło. To była dobra broń i sam chętnie z niej korzystał. Obrócił się ku Douglingowi, który rozbrajał drugiego żołnierza.

Nie musieli nic mówić. Stawiając ostrożnie stopy, wspinali się po schodach aż do centrali, gdzie usłyszeli męski głos wzywający, jak im się zdało, pomocy:

– ...w dupie mam, jak bardzo jesteście zaskoczeni! Ja wykonałem swoją robotę, a teraz muszę się stąd zbierać! Przyślijcie po mnie samolot albo zapomnijcie o wszystkich informacjach, jakie udało mi się zebrać! Nie, nie grożę buntem, ty tępy bucu, mówię, że ruscy i ich cholerny specnaz depczą mi po piętach i za dwie, trzy godziny równie dobrze mogą śpiewać na gościnnych występach w KGB! Nie, do kurwy nędzy, nie grożę, że wydam tajemnice. Weź sobie wyobraź, durniu, że

wyrywają ci paznokcie, i powiedz, jakim sopranistą od tego zostaniesz. To miałem, kurwa, na myśli. Tak, czekam.

„Przynajmniej wiemy, że radio działa” – pomyślał Stonebridge.

Dał znak Douglingowi i obaj wkroczyli do wnętrza kontroli lotów. Któryś z wybuchów dosłownie zmiotł wszystkie okna i cała podłoga tonęła w szkłe. Co miało tę paskudną właściwość, że trudno było stawiać kroki bezgłośnie na takiej powierzchni. Johnom się nie udało. Zaalarmowany mężczyzna, który domagał się przysłania mu samolotu, odwrócił się błyskawicznie z pistoletem w ręce. Zamarł jednak, widząc dwie wycelowane w siebie lufy.

– Hej, ja cię znam! – zawołał na widok Stonebridge’a. – Widziałem cię w szpitalu!

– I ja ciebie – przyznał agent, przypominając sobie potężnego mężczyznę o poranionej twarzy, biegnącego przez korytarz, jakby ten należał do niego. – Co tu się stało?

– A wy co, ze Scotland Yardu? Bo po akcencie poznaję, że nakryło mnie dwóch angoli.

– A ty? – wtrącił się Dougling. – Specnaz? KGB? Wyczuwam interesującą historię.

– Słowa wam nie powiem, angole. Lepiej stąd spadajcie, nim obsługa dostanie ataku odwagi i wróci. Ja jestem wojskowym, a wy dwoma pieprzonymi cywilami. Może przyszłście tu na szaber?

– Pradziad? – zachrypiął głośnik. – Pradziad? Tu Mark Twain. Przykro mi, ale nie mamy środków, by w tej chwili ci pomóc. Masz na własną rękę za wszelką cenę przedostać się do Londynu i tam skontaktować z naszymi. Rozumiesz?

– Przyjąłem – mruknął Amerykanin. – Niech to jasny szlag!

– Pradziad? – powtórzył Stonebridge. – Interesujące. Nie zagubiłeś się ostatnio, marynarzu, na wybrzeżu Bałtyku? Po jego niewłaściwej stronie?

Oczy Amerykanina rozbłysły, a pistolet w jego dłoni drgnął.

– No, spróbuj! – ostrzegł go Dougling. Amerykanin opuścił broń.

– Coś mi się zdaje, że sporo wiecie, panowie detektywi – rzucił. – Jestem pułkownik Maslow z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Aktualnie na misji, która nieco się popieprzyła. A wy?

– MI6 – przedstawił się za obu Dougling. Stonebridge nie uznał za stosowne go skorygować. – To gadaj, co tu się stało.

– A co się miało stać? Jak się zaczęło bombardowanie, obsługa bohatersko czmychnęła do schronu. Myślałem, że uda mi się załatwić stąd podwózkę, ale czerwoni trochę mi w tym przeszkodzili. No to przynajmniej zadzwoniłem do domu. A wy, sojusznicy?

– My w podobnej sprawie – rzekł Stonebridge. – I może potrafilibyśmy ci pomóc, Pradziadku?

– Coś mi się zdaje, że nie za darmo.

– Opowiesz nam to i owo w drodze do Londynu.

Zdając się na Douglinga, wciąż trzymającego Maslowa na muszce, Stonebridge podszedł do radia. Odszukał właściwą częstotliwość, znalazł zakres, jakiego potrzebował, i wywołał kwiaciarnię Słodkiej Penny. Musiał wygłosić wywołanie trzy razy, nim wreszcie głośnik zachrypiał głosem pułkownika Crossa.

– Mój Boże, drogi chłopcze, myśleliśmy, że cię straciliśmy! – zawołał. – Podobno straszne rzeczy działy się w Kilonii!

– Możliwe, ale z dala ode mnie. Potrzebuję podwózki, pułkownika. Najlepiej od razu do Londynu.

– To, obawiam się, nie będzie możliwe. Ale... Czy ten cały Dougling nadal jest z tobą?

– Ten cały Dougling jest! – krzyknął agent MI6.

– Hmmm... Tak – zakłopotał się głos w radiu. – Skontaktuję się z jego przełożonymi, kapitanie. Może uda mi się wysłać po was helikopter. A ja już organizuję samolot z Düsseldorfu. Tamtejszego lotniska jeszcze nie zbombardowali. Gdzie wysłać po was maszynę?

– Poczekamy przy lotnisku, ale niekoniecznie na wieży.

– Spróbujemy... Czy możesz tu poczekać na odpowiedź?

– To nie byłby najlepszy pomysł, pułkowniku. Tubylcy mogą być nieco zirytowani, jeśli nas tu zastaną. Jeżeli nikt nie przyleci w ciągu trzech godzin, spróbujemy dostać się do Düsseldorfu na własną rękę.

Nie musieli kraść następnego samochodu. Nie wysiadając z mercedesa o pogiętej masce, czekali przez dwie godziny na helikopter. Gdy wreszcie wylądował, wsiedli do niego we trzech. Pilot był wyraźnie wściekły, nie podobało mu się, dokąd kazano mu lecieć, a może nie podobało mu się po kogo. Uważał zapewne, że przydałby się bardziej, pomagając ofiarom, a nie trzem niedraśniętym właściwie podejrzanym typom.

Stonebridge mu się nie dziwił. Przelatując nad Kilonią, mogli oceniać straty. Port płonął, oberwał chyba nawet bardziej niż lotnisko. Choć Rosjanie starali się nie marnować bomb na cywilne cele, kilka pocisków spadło na ulice miasta. A od nich zajęły się kolejne domy.

Maslow uparł się milczeć, dopóki nie wsiądą do samolotu. Na miejscu nie chciał oddać pistoletu, ale Stonebridge zagroził mu, że z bronią na pokład nie wsiądzie.

– Kutas z ciebie, angolu – warknął, ustępując. – Zresztą, jeśli zechcę, załatwię cię gołymi rękoma.

Ku zaskoczeniu Stonebridge'a Dougling nie wsiadł z nim do samolotu.

– Moi pewnie wolą, bym pozostał na miejscu – wyjaśnił. – Zresztą muszę się zaopiekować moją małą Gretą. Pamiętaj, co uzgodnili nasi szefowie, że podzielicie się z nami informacjami. Nie przez JIC. Jak John z Johnem, kumplu.

– Jak John z Johnem – zgodził się Stonebridge i uściskał mu dłoń.

Odlatywali starusieńkim górnopłatowym bristol bombayem, pamiętającym nie tylko czasy drugiej wojny światowej, ale nawet te ją poprzedzające. Tyle było w tym dobrego, że nikt poza nimi nie wsiadł do tego samolotu. Żadna wielka szycha nie wykorzystwała znajomości, by wymusić wpuszczenie jej na pokład. Zdaje się, że nawet jeśli ktoś spróbował, to po zobaczeniu bristola uznał, że z dwojga złego woli poczekać na Rosjan. Za to samolot wylądowano po sam sufit workami pocztowymi.

Trzęsło, gdy startowali, trzęsło, gdy lecieli. Dwa silniki hałasowały tak, że

musieli do siebie krzyczeć.

– Co to za nazwisko Maslow?! – zagał Stonebridge. – Jest pan Żydem?

– Żydem? – roześmiał się pułkownik. – Ani w kropli krwi, angolu. Skróciłem nazwisko, żeby łązgi takie jak ty potrafiły je wymówić. Mój ojciec nazywał się jeszcze Masłoszczewski. Dałbyś radę?

– Masłoszczewski – powtórzył Stonebridge najczystszą polszczyzną i roześmiał się na widok zdumionej miny pułkownika. Ten przez chwilę wyglądał na zagniewanego, ale po chwili sam się uśmiechnął, choć krzywo.

– Góra z górą! – zawołał po polsku, ale z wyraźnym amerykańskim akcentem. – No dobra, rodaku, zaczynam wierzyć, że z tobą może nie zginę.

– Zacznij gadać, panie Masłoszczewski – powiedział Stonebridge. – Taka była umowa.

Jeśli sądził, że wzruszony spotkaniem z rodakiem Maslow okaże się łatwiejszym rozmówcą, bardzo się rozczarował.



Rozdział 20

5 czerwca, godzina 6.00, RFN, okolice miasta Fulda, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego

Nie zgarnęli karetki. Znów przemykali lasami i przekraczali rzeki z dala od mostów, czujni jak zwierzyna łowna zdająca sobie sprawę, że myśliwi poszczuli już przeciw niej psy. Znowu krążyły nad nimi śmigłowce, ale nikt z nich ich nie nawoływał. Jedynie karabiny by przemówiły, gdyby któryś z obserwatorów wypatrzył ośmiu żołnierzy ukrywających się w cieniach drzew, kępach wysokich traw, a czasem i pod wodą.

Ale nikt ich nie odnalazł, a i same śmigłowce zachowywały czujność, czmychały płochliwie na byle wiadomość o nadlatujących samolotach, co do których nie było pewności, do kogo należą. W pierwszych dniach wojny Układowi Warszawskiemu, przy znakomitym udziale jednostek takich jak pluton Kaszla, udało się z pewnością jedno – zasianie chaosu.

Wsparcie „latających towarzyszy” przydało się, gdy śmigłowce prawie ich dopadły, kiedy biegli boczną wiejską drogą, nawet nie asfaltową, ale żwirową. To Topór usłyszał tnące powietrze łopaty i ostrzegł pozostałych. Dali nura w jeszcze zieloną pszenicę i przywarli do ziemi. Obserwator albo dostrzegł jakiś ruch, albo tknęło go przecucie, bo krążył nad nimi, schodząc coraz niżej. Fale powietrza rozpraszały łany pszenicy, przyginały dorastające kłosa ku ziemi. Marek nabrał już pewności, że tym razem im się nie uda. Oczywiście, byli w stanie zestrzelić śmigłowiec, zwłaszcza gdy jego pilot krążył tak blisko. On jednak z pewnością zdążyłby zawiadomić inne. A dewizą dywersantów była walka w ciszy, a nie ściąganie na siebie ognia całych sił lotniczych.

Wtedy powietrze nad nimi przeciął huk jakby pioruna. To samolot odrzutowy

przeleciał niżej, niż przewidywały przepisy, chyba że te nakazujące unikać radarów wroga. Pilot śmigłowca wyciągnął podobne do Markowych wnioski, poderwał maszynę i uciekł.

– Boją się, sukinsyny – ucieszył się Kaszel, wstając. – Wszyscy cali? No to w drogę!

Teraz błogosławili wszystkie przebieżki po polu ryżowym, marsze w pełnym oprzyrządowaniu, nocne biegi na trzydzieści albo i więcej kilometrów. Biegli jak na rekord, jakby zależały od tego losy świata. Do jakiegoś Kassel, gdzie zapędził się z niewiadomych przyczyn oddział i teraz wylądował w okrążeniu. Żaden z nich nie rozumiał natury rozkazu, który nakazał im przerwać ewakuację i gnać na złamanie karku na pomoc sojusznikom. Czy specnaz to nie takie same oddziały jak oni? A to by znaczyło, że czy odnieśli sukces, czy wpadli, muszą sobie radzić sami.

– To ruscy – prychnął pogardliwie Topór, gdy dopiero zrywali się do marszobiegu i nie zależało im jeszcze na pilnowaniu oddechu. – Po prostu są słabsi od nas i nie dają rady.

Z tym zgodzili się odruchowo wszyscy. Może poza Kaszlem, który spojrzał na Topora z wyraźną drwiną w oczach, ale cokolwiek przyszło mu wtedy do głowy, zachował to dla siebie. Marek pomyślał wtedy, że nikt w całym batalionie nie zna Rosjan tak jak sierżant. Walczył wspólnie z nimi pod koniec wojny, i to w znacznie gorszych warunkach niż oni teraz.

– Samoloty! – zawołał Kicio i znów dali nura w pszenicę. Czekali może dłużej, niż było trzeba, łapiąc nieco oddechu. Wrona poderwał ich, nim mięśnie doszły do wniosku, że to prawdziwy postój, nim odłożył się w nich kwas mlekowy. I od razu narzucił swoje ulubione, mordercze tempo.

Około południa musieli jednak odpocząć. Na wzgórzu znaleźli zagajnik, z którego było widać całą okolicę. Nie tyle przysiedli między drzewami, ile padli pod nimi. Wrona musiał chodzić pomiędzy podkomendnymi, kopać ich po żebrach, żeby wstawali, odkładali karabiny lufami do góry, ściągali plecaki, choć wielu z nich miało wrażenie, że jeśli to zrobią, przepocona bluza odejdzie im z pleców razem z kawałkami skóry. Kicio ostrzegł, że jeśli teraz zdejmie plecak, to nie ma takiej siły,

która by go zmusiła, żeby założył go z powrotem.

– Co ty pieprzysz? – Wrona uśmiechnął się blado. Widać było po nim, że i on miał dość. – Przecież wystarczy, że poproszę. Ale skoro tak się garniesz do roboty, pierwsza warta!

Zdejmowali więc plecaki, a potem siedzieli, opierając się o nie. Poczucie, że nagle wyrosły im skrzydła i wystarczy, że ledwie przebiegną parę kroków, odbiją się od ziemi, a poprzną, było miłe, dopóki nie przypominali sobie, że po niebie wciąż krążą śmigłowce. Nawet teraz widzieli w oddali małe, ciemne punkty opadające niespodziewanie ku ziemi tam, gdzie spodziewały się znaleźć wroga.

– To nie nas szukają – odezwał się Kaszel. Podczas gdy pozostałym wystarczyło, że po prostu mogli posiedzieć oparci o plecaki i pooddychać normalnie, pozwalając odpocząć umordowanym płucom, sierżant najpierw pociągnął ze swojej piersiówki bez dna, a potem wyjął mapę i rozłożył ją na kolanach. – Szperają za grupami takich jak my, bo wiedzą, że każda próbuje przebijać się do swoich. A pewnie trochę podobnych do nas było. Choć nie takich dobrych. Wrona!

– Tak jest!

– Siadaj, patrz, według moich obliczeń jesteśmy tutaj, niedaleko tego całego Schwarzenborn. To pewnie to miasteczko, tam na wschodzie. Trochę się dymi, więc albo nasi coś tam wysadzili, albo jakieś bombowce miały używanie.

– Oby to drugie.

– Też bym wolał. Tak czy owak, do Kassel zostało nam mniej niż sześćdziesiąt kilometrów. Spacerok.

– Spacerok – powtórzył Wrona. Głos zabrzmiał głucho.

– Dajmy chłopakom kwadrans na złapanie oddechu, potem ruszymy dalej. Trucht!

– Tak jest!

– Sprawdź, czy nasi nie mają dla nas nowych rozkazów. Może wiemy już coś więcej o tym specnacie? Młody!

– Tak jest!

– Pójdiesz z Kiciem na szpicy. Ty szybko myślisz, on szybko dostrzega zagrożenia. Nadacie się.

– Pchać dwóch saperów na szpicę? – Kicio musiał zaprotestować. – A jak zginiemy, to kto będzie mosty wysadzał?

– Uzupełnienia – odparł Kaszel, wcale wesoło. – Zresztą z was teraz tacy saperzy bez roboty. Zostało wam choć trochę semtexu?

– Niewiele – zgodził się Kicio. – Ale jak zechcę, to zrobię obywatelowi sierżantowi bombkę nawet z tej piersióweczki.

– Prędzej sam cię zastrzelę. Ale masz, wypij sobie. Wszyscy pociągnijcie. Młody, ty i Kicio ruszacie za dziesięć minut. Reszta pięć minut później.

Zakręcił piersiówkę i rzucił ją w stronę Kicia. Ten, zdawałoby się, sięgnął po nią zbyt wolno, ale zdążył złapać. Odkręcił, powąchał.

– Dałbym głowę, że wczoraj opróżniliśmy ją do sucha – mruknął. – Co on, pędzi ten bimber po drodze?

– Może nim szcza – zirytował się Marek. – Pijesz czy podziwiasz?

– Alkohol po takim biegu? – Wrona pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie chcesz, to nie pij – zaperzył się Kaszel. – Nie wiem, czego uczą was, młodych, ale jakiegokolwiek są te nowe wynalazki, dobry bimberek działa pozytywnie na wszystko. W każdym razie u żołnierzy, bo z babami to nie wiem. A ty jesteś żołnierz czy baba, Wrona?

– Ani jedno, ani drugie. – Wrona wyszczerzył się paskudnie. Zęby miał krzywe i wielkie. – Ja jestem, proszę obywatela sierżanta, kapral.

Pośmiali się przez chwilę, a kiedy piersióweczka wróciła z podróży po plutonie, Wrona pociągnął z niej swoją porcję.

– Co robimy, jak dotrzemy do Kassel? – zapytał.

– Wkroczymy, przejmujemy i urządzimy defiladę.

– Poważnie pytam.

– A ja poważnie odpowiadam. Zrobiliśmy tak w czterdziestym piątym w jednym mieście. Naokoło jeszcze szkopy, nas zrzuciło o dwa mosty za daleko, zasobniki

z żarciem szlag trafił. Co robić? Sprawdziliśmy jedną wieś, nie było w niej ani pół żołnierza. No to wkroczyliśmy z przytupem jako Armia Czerwona, ogłaszając, że wojna się skończyła, a zaraz przyjedzie sam Żukow, dla którego my czyścimy drogę. Ugościli nas, nakarmili. Nawet dziewczuchy chcieli dawać.

– I nie wzięliście?

– Nie, bo długo ta farsa nie mogła trwać. Spieprzaliśmy stamtąd zarekwirowanym wozem z końmi. A jak się potem okazało, za godzinę do wsi wjechał nie Żukow, tylko oddział SS. Też byli spanikowani i głodni. Bali się za nami jechać, ale rozwalili sołtysa tamtej wsi. Za zdradę. Bo nas ugościł.

– Gnoje!

– Prawda, gnoje. Ale prawda też, że i my byśmy rozwalili sołtysa polskiej wsi, jakby równie ochoczo witał SS. No, radziu, masz coś?

– Żadnych nowych wiadomości, sierżancie. Ale wysłałem zapytanie.

– Bardzo mądry z ciebie chłopak, radziu. Kurwa. Trzeba będzie wymacać to miasto. Nie wejdziemy jak na defiladzie, nie te czasy. Zaraz by ktoś zadzwonił po pomoc i przyleciałyby te cholerne śmigłowce.

– Telefony możemy uciszyć.

– Tak zrobimy. Nie ucz starego dzieci robić! Ale wystarczy, że wyślą posłańca. To nie jest mała wioska. To kawał miasta. Nie zabezpieczymy go w ośmiu.

Niedługo potem znowu ruszyli. Zbierali się mozolnie. Najpierw Marek z Kiciem, na których pozostali patrzyli z boleścią wynikającą z przekonania, że zaraz to samo czeka wszystkich.

– Nie powinienem był pić tych szczyn Kaszla – narzekał Kicio, biegnąc. – Ciśnie mnie teraz w brzuchu. I w piersi zatyka. Zawał mam.

– Zawału to by dostał Wrona, gdyby to usłyszał. No, trzym się, bracie, zbijam w lewo.

– A zbijaj, znieczuleńcu. Kiedyś mnie zabraknie i wtedy docenicie Kicia.

Marek odskoczył z dziesięć metrów w lewo. Też nie szło mu się lekko, zwłaszcza pierwsze kroki stanowiły mordęgę. Podejrzywał, że odparzył sobie stopy,

ale wolał nie zdejmować butów podczas postoju. Bał się, że więcej już by ich nie założył.

Pokonali może z dziesięć kilometrów, gdy Markowi zdało się, że słyszy psy. Przyklęknął. Zerknął w prawo, Kicio wciąż szedł.

– Kicio! – syknął. Raz, drugi. Tamten usłyszał wreszcie. Też schował się w wysokiej trawie, której nikt tutaj nie ścinał.

– Co jest? – spytał.

– Psy!

Kicio nastawił uszu. Przechylił głowę zupełnie jak pies nasłuchujący pana. Pokręcił głową. Przyłożył do ucha dłoń zwiniętą w kształt muszelki. I nagle zamarł, a po sekundzie przypadł do ziemi. Marek na wszelki wypadek wziął z niego przykład. Podczołgali się do siebie nawzajem.

– Nic nie widać przez te krzaczory, ale słyszałem. Idą ku nam.

Poślinił palec, wystawił go lekko w górę. Zaklął.

– Nigdy nie potrafiłem załapać tego sposobu – przyznał.

Marek sięgnął do ziemi, wyciągnął garść ze źdźbłami trawy. Podrzucił.

– Idziemy z wiatrem. Cofaj się do naszych, niech się przyczają. Może to jacyś pasterze?

– Jasne. Grzybiarze. Wyszli z psami poszukać niewybuchów po naszych bombardowaniach.

– Kicio!

– Przecież idę!

Gdy Kicio się odczołgał, Marek położył karabin obok siebie. Ostrożnie uniósł się na łokciach i spróbował dojrzeć coś przez lornetkę, którą otrzymał od kaprała. Niestety, Kicio miał rację, wysokie krzewy skutecznie przesłaniały mu widok. Co gorsza, schodzili akurat ze szczytu stromego wzgórza i jego krzywizna zasłaniała wszystko, co znajdowało się kilkadziesiąt metrów niżej.

Pozostawało czekać. Na wszelki wypadek wydobyl z pochwy bagnet, wbił go tuż przed sobą. Jeśli to faktycznie jakiś pasterz... Wolałby go ogłuszyć, przestraszyć

i związać jak tamtych gliniarzy. Ale psu nie da się przemówić do rozsądku. A skoro trzeba będzie go zabić, lepiej zrobić to cicho.

Teraz pożałował, że w nocy pozbył się policyjnego munduru. Był wprawdzie niewygodny, lekko ciasnawy, a do tego przypalony na rękawie po eksplozji czołgu. Jednak może udałoby się zaskoczyć pasterza, wmówić mu, że na przykład prowadzi z innymi policjantami schwytych wrogich spadochroniarzy?

Coraz wyraźniej słyszał szczekanie. I przekonał się, że szczeka wiele psów. A ich ujadanie brzmiało w jego uszach zajadle. Jakby rwały się do ataku na zwierzynę.

Usłyszał za sobą syknięcie. To Kicio wrócił.

– Ale byłyby jaja, gdybyśmy weszli w środek polowania, nie? – zachichotał.

– Co robimy?

– Siedzimy cicho. Może nas miną. Kaszel już rozstawił chłopaków. Jakby co, my bierzemy na siebie szpicę tamtych. Jeśli się da, robimy to cicho. Dźwięk strzałów mocno poniesie się tu po okolicy i dopiero będziemy mieli poważne kłopoty. Leż tu, ja się trochę odsunę.

Odczołgał się i już po chwili Marek stracił go z oczu. Dodało mu to otuchy. Skoro on nie widział Kicia, choć wiedział, gdzie on jest, jak mogli zobaczyć go tamci? Dobry humor towarzyszył mu przez jakieś pięć sekund, do chwili, gdy przypomniał sobie o psach. Ich poszczekiwanie było coraz bliżej, a on znowu odniósł wrażenie, że słyszał w ich głosach gniewne podniecenie.

Jasna cholera! Dobrze było skakać z samolotu, gdy pęd powietrza zapierał dech w piersiach, a potem gwałtowne szarpnięcie przenosiło człowieka jakby do innego świata. Dobrze było nawet szarżować na czołg z granatami w rękach, choć jego wymierzona prosto w twarz lufa wydawała się taka wielka, a człowiek czuł pewność, że zaraz armata bluzgnie ogniem, by zmienić go w krwawy ochłap. To wszystko było nic, właściwie miłe. Ale leżeć we wcale nie tak wysokiej, jak się jeszcze przed chwilą wydawało, trawie, gdy powarkiwania i poszczekiwania przeklętych niemieckich kundli zbliżały się z każdą sekundą – o, w tym nie było nic dobrego. Nic nie widział, a słuch mógł go zawodzić. Oparł dłoń na rękojeści bagnetu, zacisnął

ją na nim, lecz nie dodało mu to otuchy. Tak bardzo chciał podnieść głowę, żeby zobaczyć, co się ku niemu zbliża. Niechby to było, co najgorsze: elitarne amerykańskie oddziały ze wsparciem czołgów i samolotów. I psów. Cokolwiek, byle znane, a nie tajemnicze. I przez to straszniejsze.

Człowiek to bydlę, ale ma ręce i nogi. Jedne i drugie można złamać, uczono go, jak to robić. Człowiek bywa zawodny, może się zagapić, zdziwić, zawahać, nim pociągnie za spust, jeśli nie ma w tym wprawy. Ale pies? Pies to szczeka pełna zabójczych zębów. Niby jak je złamać? Atakuje szybciej niż człowiek, nie waha się, walczy dla stada. Prawda, uczono ich i tego, jak zabijać psy.

Ale nie tak. Nie tak, gdy leży się na ziemi, prawie w nią wgryza, żeby nie krzyczeć, a słuch kłamie, że szczekanie jest tuż, wystarczyłoby wyciągnąć rękę i złapałoby się psi pysk. To musi być blisko! Przecież leży tu już chyba pół życia!

I nagle – coś się zmieniło. Usłyszał krótkie warknięcie, a potem szczek pełen ulgi, jakby ktoś strzałę spuścił z cięciwy. Zrozumiał. Puszczono psy, a te poszły biegiem. Wydawało mu się, że słyszy uderzenia ciężkich łap o ziemię. Zbliżały się. Co robić? Zabije psa, a jego pan go zastrzeli. Ale kim jest jego pan? Och, wstać, zobaczyć! Chuj z maskowaniem, ukryciem, co one są warte przeciw psu! Wstanie, zerwie się, pociągnie serią i niech będzie, co ma być!

Nie zerwał się. Nawet nie chwycił karabinu. Usłyszał warknięcie tuż przed sobą – teraz był już pewien, że to na pewno tuż przed nim – i długi, ciemnobrązowy pysk wystrzelił spomiędzy traw prosto na niego. Pies był duży, rozpędzony, nie wyhamował. Nie tyle wbiegł na Marka, ile po nim przebiegł. Zawrócił prawie w miejscu, ale było już za późno. Marek chwycił go lewą ręką za ucho, szarpnął i wbił z rozmachem nóż z prawej, tuż za łbem. Psisko zaskowyczało smutno, raczej pisnęło, niż warknęło. Zachwiało się na nogach. Marek zrzucił je z siebie, odtoczył się na prawo, zgarniając po drodze kbk. Usłyszał, jak ktoś woła: *Schlucken?!* Pies zaskomlał jeszcze, próbował podczołgać się ku panu. Marek nie zwracał już uwagi na odgłosy wydawane przez konające zwierzę. Bardziej skupił się na innym, jakże znajomym dźwięku – odbezpieczanego karabinu. Tym razem uniósł głowę. Tuż przed sobą zobaczył piechociarza Bundeswehry, mózg podpowiedział mu, że

nazywano ich Heer. Facet miał na sobie mundur polowy, oliwkowy w brązowe łąty gdzieniegdzie przetykane zielonymi. W pierwszej chwili nie zobaczył ruszającego ku niemu Marka. Pełne rozpaczy spojrzenie skupiał na umierającym pupilu.

– *Schlucken!* – powtórzył i dopiero wtedy zorientował się, że człowiek, który zabił mu psa, musi być gdzieś w pobliżu. Za późno. Marek wyrósł tuż przed nim, lewą dłonią zasłonił mu usta, a prawą, uzbrojoną w bagnet, wbił tamtemu w pierś. Obalił go siłą impetu na ziemię, a nim gruchnęli w trawę, uderzył jeszcze dwa razy. Potem trzeci.

– *Banditen!* – krzyknął ktoś, ale nikt nie strzelał. Za to kolejne dwa psy zaskomlały żałośnie.

I Marek jęknął. Coś zraniło go w nogę. Zerknął za siebie, nie zdejmując dłoni z szarpiącego się pod nim w ostatnich drgawkach Niemca. To pies resztkami sił podczołgał się do człowieka, który mordował mu pana, i wbił zęby w łydkę mordercy. Niezbyt głęboko, nie przebił nawet skóry. Skonał jakieś dwie, trzy sekundy wcześniej, nim ducha oddał jego właściciel.

Na razie wszystko szło nieźle, ale szczęście nie mogło dopisywać ludziom Kaszla wiecznie. To nie oni skrewili, to któryś z przerażonych Niemców zaczął nagle strzelać na ślepo. Ciągnął długą, bezmyślną serią po trawie.

Skoro chłopaki nie musiały się już martwić dekonspiracją, odpowiedzieli ogniem. Celnym i śmiertelnym, bo oni doskonale widzieli, gdzie znajdował się wróg. Trzech z lewej, trzech z prawej, w łuku przypominającym klucz dzikich gęsi. Nie marnowali amunicji, bili krótko, bezlitośnie.

Tylko jeden z Niemców przeżył. Gnał w dół wzgórza w rozpaczliwej nadziei, że mu się upiecze. Zgubił, a może porzucił karabin. Być może sądził, że bezbronnego uznają za niegroźnego.

Kaszal zdjął go czystym pojedynczym strzałem.

– Kurwa – jęczał Topór, klęcząc i rzygając. Nagle zniknęła gdzieś jego poza twardziela. To było coś innego niż uczciwa właściwie walka z Amerykanami chowającymi się za czołgiem. Marek doskonale go rozumiał. Prawie żał mu było tego uciekającego szwaba. Na pewno zaś było mu żał psa. Podszedł do niego,

pogłaskał sztywniejące ciało. A potem, nie zastanawiając się, co robi, wziął je na rękę, by położyć obok zwłok jego pana. Nadal nie myśląc, odruchowo wytarł nóż o kurtkę zabitego.

– Fajne te wdzianka i dobrze byłoby je zebrać, ale nie mamy czasu – warknął Wrona. – Tę kanonadę było słychać w całej okolicy. Wypieprzamy stąd, zanim zlecą się sępy!

Dopiero teraz Kaszel pokazał im, co to znaczy prawdziwe bieganie. Były takie chwile, kiedy Marek żałował, że to nie on zginął wtedy na wzgórzu. Żaden z nich nie czuł dumy po tym starciu. Może świętowaliby zabicie szkopów, zwłaszcza że tym razem nie ponieśli strat. Ale w zabijaniu psów było coś niehonorowego.



Rozdział 21

5 czerwca, godzina 17.30, Londyn

Mały, ciasny pokoik przy Winsland Street, na piętrze, nad kwiaciarnią Słodkiej Penny, stanowił kwaterę główną Zespołu Camelot. Nie wyglądała zbyt imponująco i zdaniem Stonebridge'a jej wygląd i wyposażenie odpowiadały znaczeniu jednostki. Sześć osób mieściło się jakoś przy niewielkim, zasłanym mapami stole. Z dala od okna wciśnięto biurko dla pułkownika Crossa, a obok niego postawiono radiostację, którą musiał obsługiwać ten, kto akurat pełnił dyżur. Najczęściej osobą tą był sam Cross albo któryś z Hindusów. Stonebridge migał się od tej roboty, jak potrafił.

Teraz siedział przy stoliku, popijając kawę, wściekły jak rzadko. Ledwie wylądowali na Gatwick, a dopadła go gromada jankesów, która dosłownie porwała z jego rąk Maslowa i wywiozła, diabli wiedzą gdzie. Wszystkiemu temu przyglądał się wysłany po Stonebridge'a Dadlani oparty o star saphire'a, samochód możliwie najbardziej brytyjskiej firmy Armstrong Siddeley, którą pułkownik Cross kochał chyba nawet bardziej niż żonę i dzieci. Stonebridge'owi niezbyt przypadł do gustu obły czarny samochód z wlotem powietrza podobnym do tych montowanych w mercedesach, którymi dawniej jeździło gestapo, zachował jednak tę opinię dla siebie. Sam Cross jeździł modelem hurricane drophead coupé i uważał, że był to wóz luksusowy. I zupełnie mu nie przeszkadzało, że piętnastoletni.

„Dlatego jankesi uważają nas za durniów” – dumiał agent po drodze. „Oni używają nowoczesnych samochodów, a my stylowych. Oni po cennego agenta wysyłają cały oddział, my zblazowanego szyfranta”.

Oczywiście nie mógł się nie zastanawiać, czy to Dadlani nie zawiadomił Amerykanów.

– I jak było na kontynencie? – zagaił Cross, wchodząc nareszcie do gabinetu. Nawet ubrany po cywilnemu wyglądał jak żołnierz. Na przykład nigdy nie rozstawał się z wsuniętą pod ramię trzcinką. Stonebridge zastanawiał się czasem, jak bardzo ten stworzony do poganiania leniwych tubylców w koloniach gadżet musiał irytować hinduskich agentów.

– Strzelano do mnie, próbowano nakłnąć mi po gębie. Potem zbombardowali mnie Rosjanie. A na sam koniec służyłem amerykańskiemu wojakowi za taksówkarza. Uroczą wycieczką, dziękuję, że pan zapytał, sir.

Danica Ohmucević, siedząca jak zawsze tak, by znaleźć się obok Crossa (z drugiej strony może to on zawsze siadał obok niej?), zmarszczyła te swoje bizantyjskie brwi. Czarne oczy zabłyśły jej gniewnie. Czyli, zdaniem Stonebridge'a, nic nowego. Danica zawsze wyglądała na zagniewaną. Cokolwiek zrobił jej świat, musiało boleć.

– Sam wybrałeś się na tę przejażdżkę, John – przypomniał pułkownik. – I to niezupełnie legalnie. Jak tam, panie Mead i... zapomniałem nazwiska tej drugiej... Jakoś z francuska...

– Rhoda Métraux, sir. W naszym... to znaczy moim i Johna Douglinga z MI6 przekonaniu obie panie wiedziały, co się szykuje, i wykorzystały zamieszanie. Wykonywały taką samą akcję jak te grupy dywersyjne, takie jak ta pułkownika Masłowa. Wie pan, pułkowniku, tego faceta, którego nie zdążyliśmy porządnie przesłuchać, bo przejęli go Amerykanie. Na naszym lotnisku.

– Ciesz się, że was nie zestrzelili – rzucił Briggs, uśmiechając się lekko. – Wygląda na to, że piekielnie im zależy na zachowaniu tajemnicy.

– Zestrzelić go mogli co najwyżej Rosjanie – wtrącił się Boman Kashyap. – Z meldunków wynika, że na dziś panują w powietrzu.

– A właśnie, jak wygląda sytuacja na froncie? – skorzystał z okazji Stonebridge. – Jest w ogóle jakiś front?

– Wiemy o gromadzeniu się znacznych sił w Polsce, Czechosłowacji i NRD. Przez te kraje sunie pociąg za pociągiem, i to w takim napięciu, że tory muszą im się chyba świecić z przegrzania. Trwają walki w Berlinie, a na Bałtyku jest taki ruch,

że okręty nie muszą do siebie strzelać, bo zwyczajnie na siebie wpadają. My zatopiliśmy im jakieś kutry, oni nam okręt podwodny. No i ich komandosi powysadzali mosty w całych Niemczech Zachodnich, pozrywali linie telefoniczne i telegraficzne. A teraz bombardują to, co ocalało. No i szerzą chaos. W tym są najlepsi. Oskarżyli nas w ONZ o napaść. Chłopaki i dziewczyny z partii komunistycznych na całym świecie organizują jak nie wiecie, to strajki. I krzyczą, że łamie się ich prawa. W efekcie nikt nic nie wie. W takich Niemczech na przykład podobno amerykański czołg ostrzelał niemiecki radiowóz i zabił niemieckich policjantów. Nikt nie pyta, jak to się stało, że ci policjanci wysadzili ów czołg w powietrze. Wszyscy wrzeszczą na siebie nawzajem i robią się coraz bardziej wściekli. A takich akcji są dziesiątki.

– Dziękuję ci, Boman. – Cross zastukał niecierpliwie trzcinką o jedną z map. – Jestem pewien, że John sam przeczyta to później w raportach. Teraz chcielibyśmy wysłuchać od niego, czego w nich nie ma.

– Mead i Métraux – raportował więc Stonebridge bynajmniej niepałający chęcią do zakopania się w raportach, nie zajrzał przecież jeszcze do domu – szukały czegoś w Wewelsburgu. Mogły działać bezpieczniej, bo zamek znajduje się w naszej strefie wpływów. Coś wykopały. Podobno jakieś dokumenty SS. Z Douglingiem obstawialiśmy, że mogą to być materiały, dzięki którym CIA chwyci za jaja parę szych...

– John!

– Przepraszam, pułkowniku, jestem nieco zmęczony. Danica, wybacz mi, proszę, moje nieokrziesanie. Goryle obu akademikzek potraktowały głowę Douglinga jak piłkę. Ze mnie pani Mead raczyła tylko zażartować. Wiedzą, jakim kryptonimem opatrzyliśmy ich akcję, i czują się tym szalenie rozbawione.

– Do czegoś takiego nie powinno dojść!

– Święta racja, sir. Mead dodała także, że dowiemy się wszystkiego, gdy CIA uzna, że jesteśmy tego godni. To właściwie wszystko. Niemcy mieli wysłać na Wewelsburg policję. Dobrze byłoby dostać jej raporty.

– A Kilonia? – zapytała Danica. Jej głos kojarzył się Stonebridge'owi

z błękitnym dymem papierosowym ulatującym zwiewnie pod sufit w spelunie pełnej napalonych marynarzy. Ktoś inny mógłby nazwać go „zmysłowym”. Agent wyobrażał sobie, że tak mogła mówić Mata Hari na sekundę przed tym, jak zakołysała się na szubienicy.

– W Kilonii było interesująco. Dorwałem tam marynarza z okrętu podwodnego, który miał ewakuować zespół Masłowa.

Streścił rozmowę z rannym, obserwując, jak przyjmują te informacje. Nie oszczędził im niczego, łącznie z mieczem wysadzającym plażę. Danica uśmiechnęła się wtedy lekko, po czym pokiwała głową z aprobatą dla jego sceptycyzmu, gdy przedstawił własny komentarz. Dadlani wytrzeszczył oczy, jakby właśnie stanęła przed nim bogini Kali w całej okazałości i oświadczyła, że czas wyruszyć na łowy przeciw demonom. Briggs zachował tak kamienny wyraz twarzy, że zdaniem Stonebridge’a musiał sobie w tej chwili wyobrażać biust którejś z kochanek. Cross marszczył brwi z maestrią dowodzącą, że mógłby zrobić karierę w teatrze, a Kashyap robił notatki w swoim czarnym notesie, co chwila zerkając na mapy, jakby chciał sprawdzać dokładne koordynaty.

Jeśli któreś z nich było szpiegiem, nie dało tego po sobie poznać.

– Teraz opowiedz nam o Masłowie – polecił Cross, gdy Stonebridge zakończył opowieść o przygodach w Kilonii.

– To wredny skurczybyk, pułkownik. Jestem pewien, że cały czas sobie ze mną pogrywał. Niby przycisnąłem go trochę w tym samolocie dzięki temu, że chłopak w szpitalu sprzedał mi kryptonim „Pradziadek”. Ale co mi Masłow nawciskał kitu... Gdybyśmy go mieli tutaj, przycisnąłbym go. Cholerna szkoda, że Amerykanie...

– Nie płacz nad rozlanym mlekiem, John. Co Masłow ci powiedział?

– No cóż, przyznał, że istnieją Rabusie Grobów, choć on chyba nie znał tego kryptonimu, a ja mu go nie podpowiedziałem. Utrzymywał, że nie wie nic o Mead i jej zespole ani w ogóle o innych grupach. Jego wysłano do Polski, żeby ukraść, proszę to sobie wyobrazić, Szczerbiec.

– Sy... cy... – próbował sylabizować Cross, ale musiał się poddać. – Co, na Boga?

– Szczerbiec – Danica nie miała problemów z wymówieniem zbitki spółgłosek. – Legendarny polski miecz. Taki Excalibur.

– Tak jest – Stonebridge skinął jej z uznaniem. – Tyle że niezaginiony. No i jedną supermoc ma na pewno. Sprawia, że wrogowie wolą się zastrzelić, niż podjąć próbę wymówienia jego nazwy.

– Można dostrzec w tym pewien schemat. – Cross udał, że nie usłyszał żartu.

– Istotnie, sir – zgodził się Stonebridge. – Tu go trochę docisnąłem. No i niby się przyznał. Ale moim zdaniem wciskał mi kit.

– Pozwól, że my to ocenimy, John.

– W porządku. Według Masłowa CIA rzeczywiście przygotowała program masowej kradzieży... hm... artefaktów. Polskich, niemieckich, czeskich i słowackich, serbskich, chorwackich, ukraińskich... Z całej właściwie Europy, choć przede wszystkim z tamtej strony żelaznej kurtyny. Udało mi się wyciągnąć od niego, że w Azji i Afryce też wycinają takie numery, podobnie jak na Bliskim Wschodzie. Udałem po prostu, że doskonale o tym wiemy.

– Powiedział, po co to robią? – zapytała Danica.

– Oczywiście. Ze względów propagandowych.

– Co? – zdumiał się Briggs. – Przecież to niedorzeczne!

– Moim zdaniem masz rację. Ale słuchaj, jak Masłow to argumentował. Amerykańskie spece od propagandy załapały nareszcie, że przegrywają z Sowietami wojnę propagandową. Bo równość i zmuszenie obrzydliwych kapitalistów, żeby pracowali jak wszyscy inni, brzmią świetnie. W dodatku Stalin zdołał wmówić połowie świata, że to on pokonał Hitlera.

Cross prychnął pogardliwie. Jego zdaniem zwyciężyła Brytania. W końcu mieli jego po swojej stronie. Aha, i spitfire'y.

– Wymyślili więc parę akcji, a najbardziej spodobała im się ta, w której kradną z podbitych demoludów ich symbole narodowe. Bo wiecie, każdy z tych krajów ma co najmniej jeden swój własny rząd na uchodźstwie. Tyle że nimi mało kto się przejmuje. Dlatego amerykańscy geniusze wymyślili, że dadzą tym wszystkim premierom i prezydentom miecze, korony i co tam sobie jeszcze zażyczą z ich

skarbów narodowych. Zdaniem CIA, kiedy tylko ludy zobaczą, że wszystkie te cuda też znalazły się na emigracji, dojdą do wniosku, że ich komunistyczne rządy nie mają podstaw, by rządzić.

– I co? – Danica parsknęła śmiechem. – Polacy wywołają rewolucję dla Szczerbca, a Czesi dla korony Świętego Waclawa? Kości świętych też będą kraść?

– Toteż mówię, że łągał mi w żywe oczy. Chociaż...

– Chociaż? – pociągnął Cross i po minie pułkownika Stonebridge'a poznał, że on nie wyklucza prawdziwości takiego rozwiązania. Nieszczęsny szef Zespołu Camelot od pół roku miotał się w poszukiwaniu jakichkolwiek odpowiedzi. Być może gotów był przyjąć nawet najbardziej absurdalną.

– Historia wywiadu, wojny i propagandy to historia tysięcy głupich pomysłów – rozłożył ręce Stonebridge. – Może ktoś w Waszyngtonie zwariował i uznał, że taka głupota ma sens? Nie chce mi się w to wierzyć, ale każdy z nas słyszał o czymś porównywalnie kretyńskim.

– Ale to nie tłumaczy aktywności Rabusiów Grobów w Anglii – zauważył Kashyap.

– Czy ja wiem... – Kiedy Danica mówiła tak powoli, znaczyło to, że jej mózg intensywnie pracuje. – A Irlandia? Szkocja? Może jankesi chcą mieć na nas haka?

„Nas” – Stonebridge poczuł niespodziewanie rozbawienie. „Nas, czyli Brytyjczyków?” W sali siedzieli Serbka, Polak, dwóch przybyszów z Indii i tylko dwóch rdzennych angoli.

– Czy to wszystko, John? – zapytał Cross.

– Przygotuję szczegółowy raport, sir. Ale jeśli można, chętnie wpadłbym wcześniej do domu, żeby wziąć prysznic, zjeść coś ciepłego, pokazać żonie, że żyję. I może chwilę się zdrzemnąć.

– Myślę, że to możliwe. Jednak chciałbym mieć raport u siebie na biurku do jutra, powiedzmy do... – Teatralnie zerknął na zegarek. – Do czternastej. Wróc tu dziś o osiemnastej. Może otrzymamy nowe dane.

– Tak jest, sir.

– Ta teoria... Możliwe, że Maslow nie kłamał, jedynie nie powiedział

wszystkiego.

– Niedopowiedzenie to też rodzaj kłamstwa, sir.

– Czy wojna mogła wybuchnąć z tak błahego powodu? – wtrącił się Dadlani. – Bo Amerykanie chcieli ukraść parę zabytków? Rosjanie ruszyli armię ze względu na miecze?

– Nie rozumiecie Rosjan. – Cross pokręcił głową. – Kiedy w 1941 roku Hitler ich zaskoczył i jednym posunięciem zmiotł całą armię, wpadli w panikę. Byli pewni, że już po nich. Stalin nabawił się od tego traumy i zaraził nią wszystkich swoich generałów. Stalin nie żyje, ale jego paranoiczna doktryna przetrwała. Rosja nigdy więcej nie może dać się podobnie zaskoczyć. Plan jankesów mógł być głupi i nierealistyczny, a te ataki to drobiazgi. Ale Rosjanie na pewno je wyolbrzymili i oczyma wyobraźni zobaczyli początek wielkiej ofensywy NATO. I zareagowali, żeby nie dać się zaskoczyć.

Stonebridge musiał przyznać, że to akurat miało sens. Cała reszta wydawała mu się stekiem bzdur, jednak wykład o paranoi Rosjan brzmiał dla niego logicznie. Tym bardziej że po tamtej stronie, gdy ktoś zawiódł, tracił nie tylko stanowisko, ale i głowę.

– Ten Dougling, John... – zmienił temat Cross. – Czy można mu ufać?

– Trochę za bardzo rwie się do strzelania, sir. Moim zdaniem. Ale to równy gość.

– Ci z MI6 to wszystko kowboje. – Cross się roześmiał. – Dobrze, John, odpocznij. Widzę, że ledwie się trzymasz na nogach. Wieczorem przeanalizujemy ponownie wszystkie dane i omówimy wszystko raz jeszcze. Ale moim zdaniem możemy mieć ciekawy trop.

* * *

Londyn jeszcze nie do końca wierzył w wojnę. Rozgrywała się zbyt daleko stąd. Jakby odległości miały jeszcze znaczenie w czasach rakiet. Jednak, w przekonaniu Stonebridge'a, ludzkość nie do końca opuściła jeszcze dziewiętnaste stulecie. Choć londyńczycy na własnej skórze przekonali się, czym jest bombardowanie rakietowe, Rosja w ich wyobraźni wciąż leżała gdzieś daleko, może nawet za kołem

podbiegunowym. Rosjanie szykowali się do wojny? No cóż, będą pewnie musieli znowu przejechać przez Polskę i inne dzikie kraje, pomęczyć się z Niemcami, którzy zasłużyli na lanie po tym, co ostatnio wyprawiali. Francuzom też nie zaszkodzi trochę czołgów na ulicach, zresztą oni to lubią. A wróg jak zwykle zatrzyma się na kanale.

Jeśli czegoś się naprawdę obawiano, to broni atomowej.

Z drugiej strony rząd dbał, by nie doprowadzić obywateli do paniki. Pilnie cenzurowano wiadomości. Nie dało się ukryć, że w Niemczech Rosjanie zbombardowali porty i lotniska, póki jednak nie rozpoczęła się prawdziwa ofensywa, kto mógł, łudził się, że wojny można jeszcze uniknąć.

Tak w każdym razie wynikało z rozmowy Stonebridge'a z taksówkarzem, który odwoził go do domu.

Agent wszedł ciężko po schodach wiodących do drzwi. Dawno już nie czuł się tak zmęczony. Oczywiście uśmiechnął się, przekręcając klucz w zamku, dawno nie przeżył bombardowania. Ale nie o to chodziło, co uświadomił sobie, przekraczając próg. Od lat żył w ciągłym napięciu, ale to właśnie teraz świat radykalnie się zmieniał, a on nie mógł mieć pewności, co nastąpi dalej. Musiał rozwiązać zagadkę Rabusiów Grobów, poradzić sobie z obcą agenturą w Zespole Camelot i jeszcze przeżyć te wszystkie spiski. I może nadchodzącą inwazję...

– John? Kochanie...

Anna wyszła mu naprzeciw. Czarne włosy spływały jej na ramiona. Pocałowała go w policzek, objęła. Pachniała pomarańczą i orzechem.

– Martwiłam się – szepnęła.

– Doprawdy, nie było o co.

– Słucham radia, John. Rozmawiam z ludźmi.

Skinął głową. Czekala ich rozmowa. Chętnie posłucha o tych rozmowach.

– Jestem skonany, kotku. I cuchnę połową Europy. Muszę wziąć prysznic. Może do mnie dołączysz?

– Zbereznik. – Zachichotała, pomagając mu zdjąć marynarkę.

Odczekała, aż naprawdę się umyła, nim weszła pod prysznic. Drobna, z niewielkimi piersiami o cudownie dużych, sterczących sutkach, ciemnobrązowych i dzikich, usiadła obok niego, oparła mu głowę na ramieniu. Odkręcony do maksimum prysznic szumiał, zagłuszając, na co oboje liczyli, wszystkie podsłuchy założone w mieszkaniu, czy to przez Amerykanów, Sowietów, czy to Brytyjczyków.

– Musisz odwiedzić szewca – mimo wszystko szeptał. – Mamy więcej niż jednego kreta w zespole. Kogoś pracującego dla Rosjan, dla jankesów... Musimy wiedzieć.

– Masz podejrzenia?

– Danica i Boman. – Nie musiał dodawać nazwisk, znała je równie dobrze, jak i on. Podobnie jak teczki wszystkich członków Zespołu Camelot. – Tych dwoje pasuje mi najbardziej.

– Sprawdźmy ich. Myślisz, że Tito miesza ci się do pracy?

– Tito... – Wzruszył ramionami. – A może KGB nam kogoś podrzuciło? Robi się groźnie. Muszę wiedzieć. A ty masz coś dla mnie?

– Wojna – wyszeptała niemal czule. Uszczypnęła go przy tym w ucho. – Tym razem naprawdę, nareszcie wojna.

Powędrowała prawą dłonią w dół jego brzucha.

– Chodź – zamruczała. – Potrzebujesz tego.

Nie dało się ukryć. Po tym całym napięciu zdecydowanie jej potrzebował. Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek, nie łapczywie, raczej z pewnością doświadczonej kobiety, która doskonale zna swojego partnera; jego słabości i siły, możliwości i oczekiwania. I już pod chwili kochali się w strugach wody ukrywającej ich przed czujnością mikrofonów. Pieścili się nie jak kochankowie, lecz jak partnerzy. A Stonebridge, wdzięczny jej przecież za to powitanie, rozmarzył się, że mogło być między nimi tak jak wtedy, gdy ją poznawał; gdy jej orzechowe oczy były rozświetlone przez prawdziwe blaski, a oni brali się nawzajem gorączkowo, wściekle, napędzani pragnieniem siebie nawzajem i nienawiścią wobec świata, który wyglądał inaczej, niż powinien. Tęsknił za tym, co wrócić nie mogło, gdy byli dla siebie jeszcze trochę obcy, a ona rozkochała go w sobie i przekonała, że i jego los,

i cały świat mogą się jeszcze zmienić. Że oboje mogą odpłacić tym wszystkim sukinsynom, którzy zdradzali ich tyle razy.

Jeśli tylko pozwoli jej się poprowadzić i zgodzi się dołączyć do niej jako agent GRU.



Rozdział 22

5 czerwca, godzina 17.00, Londyn, ambasada USA

Przewieźli Masłowa samochodem z przyciemnionymi szybami. Po jego obu stronach na tylnym siedzeniu usiedli sztywniacy w prochowcach, jak z gangsterskiego filmu. Chętnie by sprawdził, czy wbijające mu się w żebra – tak od prawej, jak i od lewej – kolby to thompsony. Jednak jego komitet powitalny nie wyglądał na wesołków, więc dał sobie spokój. W ogóle się nie odzywał i nawet w końcu uciął sobie drzemkę. Ten cholerny polski angol nie dawał mu spokoju przez cały lot i pułkownik znów był zmęczony. A czuł, że musi zebrać siły przed konfrontacją z przełożonym.

Londyńska siedziba sekcji Operacji Korsarz mieściła się w stosunkowo niewielkim pomieszczeniu ambasady, oznaczonym jako „pokój numer sześć, konsultant do spraw wymiany kulturowej”. Ponuracy w prochowcach odprowadzili Masłowa pod same drzwi, ale wejść za nie musiał sam. Ledwie zastukał i usłyszał: „Wejdz, Anthony”, a jego obstawa się wycofała, prawie uciekła. Widać kultura w tych okolicach to wyjątkowo przerażająca sprawa.

Przekroczył próg i skrzywił się na widok dwóch bab dobrze po pięćdziesiątce. Reprezentowały tę część Operacji Korsarz, której nie rozumiał i nie lubił. Gromada inteligentów z uniwersytetów przyczepiła się do CIA i nie tylko wysysała z agencji kasę, ale też ostatnio miała w niej coraz więcej do powiedzenia. A żołnierze tacy jak Masłow służyli tej bandzie jajogłowych za chłopców na posyłki.

Wyprężył się na baczność przed generałem Gritzkopfem, przed którym odpowiadał. Wysoki, potężnie zbudowany weteran drugiej wojny zdobywający doświadczenie pod samym Pattonem stał nad stołem, na którym rozłożono mapy Europy i ZSRR. Masłow domyślił się, że powtykane w nie czerwone i niebieskie

chorągiewki oznaczały inne akcje Korsarza. Zdziwił się, że było ich tak wiele.

– Spoczniej, pułkowniku. Cieszę się, że widzę pana żywego. Drogie panie, to pułkownik Anthony Maslow, jeden z naszych najlepszych ludzi. Choć może teraz niezbyt to po nim widać. – Obrzucił krytycznym wzrokiem stan ubioru Masłowa. – No ale przyjeżdża do nas prosto z pola walki. Pułkowniku, to panie Margaret Mead i Rhoda Métraux z CIA. Można powiedzieć, że dla nich pracujemy.

Maslow zapewnił, że nadzwyczaj miło mu je poznać, a one odwzajemniły uprzejmość, przyglądając mu się uważnie.

– Proszę, niech pan powie, co się panu przytrafiło, pułkowniku – poprosiła Mead. – Zdaje się, że miał pan spotkanie z wywiadem brytyjskim.

– Nawciskałem im kitu, ile tylko się dało – zameldował dziarsko i zrelacjonował pokrótce tak przebieg misji, jak i rozmowę z angolami. – Muszę zaznaczyć, że dranie sporo wiedziały.

– Jak się nazywał ten agent?

– Stonebridge, proszę pani. Ale to Polak, rozpracowałem to. Ganiał przedtem po szpitalu w Kilonii w lekarskim fartuchu. Nabrał naszych chłopaków z żandarmerii. Raczej mnie tam nie widział.

– Stonebridge – powtórzyła i uśmiechnęła się lekko. – Mamy wspólnego znajomego, pułkowniku. Bardzo aktywny człowiek.

– Tak jest. W moim przekonaniu błądzi we mgle, ale jest bystry. I nie mam wątpliwości, że brytole wiedzą coraz więcej.

„Może nawet więcej niż ja” – pomyślał.

– Może się pan już więcej nie przejmować brytyjskim wywiadem, pułkowniku – wtrącił się Gritzkopf, najwyraźniej niezbyt zadowolony, że w rozmowie odsunięto go na boczny tor. – Proszę spojrzeć na mapę. Operacja Korsarz przyniosła niezłe zdobycze, ale niestety nie tylko pana grupa napotkała poważne kłopoty. Straciliśmy blisko trzydzieści procent naszych ludzi, wiele zdobyczy, niestety, przepadło. No i wygląda na to, że Iwan trochę przesadził z reakcją.

– Byłem w bombardowanej Kilonii, sir.

– Więc widział pan nową wojnę na własne oczy. A to jeszcze nic. W tej chwili

Sowietci bombardują nas nie tylko z nieba. Złożyli chyba tonę protestów do ONZ, domagają się oficjalnego potępienia USA, a nawet obłożenia sankcjami. A równocześnie z ofensywą dyplomatyczną rozpoczęli wojenną. Niech pan spojrzy na mapę. Austria jest już raczej stracona. Skierowali tam zbyt duże siły, równocześnie atakując nas dwiema armiami w Niemczech. Oni są szybcy, a my reagujemy z opóźnieniem, bo wywiad – zerknął przelotnie na kobiety – odrobinę nas zawiódł w informacjach o rosyjskiej gotowości bojowej. Do tego ich dywersanci ostro mieszają na naszych tyłach. W Ramstein wyłączyli, na szczęście tylko na jakiś czas, ponad dwadzieścia procent tamtejszej osiemdziesiątej szóstej! To prawie cholerne Pearl Harbor!

– Jakie są moje rozkazy, sir?

Gritzkopf spojrział wymownie na reprezentantki CIA.

– Może pan mówić, generale – zapewniła go Mead. – Otrzymaliśmy pozwolenie na nieco głębsze wprowadzenie pułkownika w sprawę.

– No dobra – odchrząknął Gritzkopf. – W ZSRR działa grupa, której CIA nadało kryptonim „Baba Jaga”. To taka postać z ich... – Machnął ręką. – Nieważne! Podejrzewamy, że to z ich ludźmi walczył pan w Polsce.

– Chętnie znów ich spotkam, sir. Tym razem będę lepiej przygotowany.

– Nie wątpię w pańskie motywacje, pułkowniku. Podejrzewamy, że w tej chwili jedna z grup szturmowych Baby Jagi operuje w Kassel, tak w każdym razie wynika z danych CIA.

– To pewne – tym razem głos Mead zabrzmiał bardziej stanowczo niż przyjaźnie. – Wojna to niejedyna odpowiedź Rosjan, generale. Ich komandosi robią to samo co nasi podczas Operacji Korsarz. Kradną – zawahała się – cenne materiały. Proszę mi wybaczyć, panowie, ale mimo wszystko wasz poziom dostępu jest wciąż zbyt niski, byśmy podawały szczegóły.

– Ja kradłem miecz – wtrącił Maslow. – Wciskałem brytolom kit, który ustaliliśmy, ale sam jestem ciekaw, po co kradniemy cholerne miecze.

– Podejrzewam, że wkrótce się pan dowie, pułkowniku.

– Generale – Maslow znów wyprężył się na baczność – jeśli to wszystko,

chciałbym prosić o natychmiastowe przydzielenie mnie do grupy, którą wysyłamy do Kassel. Bo... Wysyłamy coś, prawda?

– To nie będzie konieczne, pułkowniku. Za radą naszych... konsultantek przesunęliśmy tam na pomoc Niemcom już wszystko, co mieliśmy w okolicy. Panie nalegały nawet na wsparcie pancerne. I tu udało się coś zorganizować... – Gritzkopf uderzył palcem w mapę. – Oby nie ze stratą dla północnej części frontu.

– Cholernie chciałbym ich dorwać, generale!

– Baba Jaga dysponuje wieloma takimi oddziałami szturmowymi. Jeszcze będzie pan miał okazję – zapewniła Mead.

– Liczę na to!

– No dobrze... – odchrząknął generał. – Na razie niech pan doprowadzi się do ładu, pułkowniku, i trochę odpocznie. To ważne. Wkrótce przetrzucimy pana do Hiszpanii, gdzie reorganizujemy nasze grupy po zakończeniu Korsarza. Pańskie doświadczenie i zapał bardzo się przydadzą. Ale nie, jeśli będzie się pan słał na nogach.

Odmeldował się, zsalutował i ukłonił agentkom CIA. Na korytarzu czekali już na niego dwaj smutni milczkowie w prochowcach.

„Hiszpania...” – myślał. „Czy to znaczy, że tak głęboko się cofamy? A może po prostu CIA ma tam jakieś dobrze wyposażone placówki? Baba Jaga...” Doskonale znał to słowo, to postać nie z jakichś cholernych ruskich bajek, ale z polskich! Cholerni Rosjanie wszystko kradli, nawet bajki!

Nagle zmylił krok, aż jego ochroniarze sięgnęli odruchowo pod płaszcz.

– To tylko zmęczenie – zapewnił ich, uśmiechając się i kręcąc głową.

„Święty miecz polskich królów, czarownica z baśni...” – myślał intensywnie. „Co to wszystko oznacza? Muszę koniecznie porozmawiać z chłopakami z innych grup o tym, co im kazano zdobywać. Muszę wiedzieć, w co gram!”

Nie zamierzał tracić czasu w Hiszpanii. Może oberwał w pierwszej rundzie, ale pojedynek dopiero się zaczynał.



Rozdział 23

5 czerwca, godzina 19.00, Londyn, siedziba Zespołu Camelot

Stonebridge wrócił do biura wcześniej, niż planował. Anna nie traciła czasu na sentymenty. Ledwie zostawiła go pod prysznicem, prędko się ubrała i pobiegła do sklepu oferującego alkohole z całego wolnego świata. Matt Troughton, który prowadził ten wesoły sklepik, mógłby zaoferować także towar zza żelaznej kurtyny, gdyby nie bał się zdekonspirować. Był jednym z łączników GRU od pięciu lat, ideowym komunistą z entuzjazmem dokładającym swój kamyczek do lawiny, która miała ruszyć z posad bryłę świata.

John nie widział powodu, dla którego miałby siedzieć w domu sam. Gdyby mógł się przespać... Wtedy owszem, ale brakowało mu czasu na sen. Czasu i nerwów. Czuł, że ktoś w zespole na niego poluje. To mógł być Briggs marzący skrycie, by zastąpić swojego mistrza, albo amerykański agent. Paradoksalnie najniebezpieczniejszym przeciwnikiem byłby agent KGB nieświadomy, że jest ze Stonebridge'em po tej samej stronie. GRU nie spieszyło się z informowaniem KGB o swoich akcjach i agentach, a to odpłacało wojskowemu wywiadowi pięknym za nadobne. Jak to bywa chyba we wszystkich tajnych służbach świata, jedni mieli drugich za patałachów i chętniej wyciągali sobie nawzajem porażki niż sukcesy.

Wojna, nawet ta na razie raczkująca, mocno podnosiła stawkę. Wszyscy robią się teraz bardziej nerwowi, niebezpieczniejsi. Dougling miał rację, reguły się zmieniły. Dlatego przed wyjściem z domu John wyjął z sejfów służbową berettę 951R i ją przeczyścił. Schował do kabury i włożył dopasowaną marynarkę całkiem niezłe maskującą broń. Czuł się nieco śmiesznie, odwykł od broni. Dougling w jednym jeszcze się nie mylił, MI5 wolało długie rozmowy i analizy od strzelanin. A John przywykł do tego i polubił ten styl. W końcu nie miał już dwudziestu lat.

W taksówce zastanawiał się, co zrobi, gdy zdekonspiruje agenta. Amerykańskiego dobrze byłoby zwerbować, najlepiej tak, żeby nie wiedział, dla kogo pracuje. Rosyjskiego... Zlikwidować? Nie pracował dla Sowietów dlatego, że ich polubił, ale dlatego, że kogo innego nienawidził bardziej. Rosjanie przynajmniej nie udawali przyjaciół.

Odetchnął głęboko. Nie powinien myśleć o takich sprawach, nie teraz.

W biurze udał, że szykuje się do pisania raportu. Tak naprawdę wyjął z sejfu, do którego nie powinien mieć dostępu, akta Danicy i Bomana. Przeczytał je uważnie, ale nie znalazł nic nowego. Niby czego mógł się spodziewać po MI5, które wciąż ze wszystkich sił starało się wierzyć w to, co mówili mu jego ludzie? Sowietci nie ufali nikomu, a swoim najmniej, co miało sens, bo właśnie swoich nauczyli najlepiej kłamać.

Stonebridge odłożył dokumenty na miejsce, wcześniej przeglądając zawartość sejfu pułkownika. Nie znalazł nic nowego. Zabrał się w związku z tym do lektury meldunków. Walki w Berlinie, pojedynki na Bałtyku i coś, co wyglądało na próbę inwazji na Danię. I oczywiście całe mnóstwo uderzeń dywersyjnych. Gdyby nie bombardowania, można by dojść do wniosku, że Rosjanie postanowili zastosować zasadę wet za wet. Wy nam podsyłacie dywersantów? No to my wam podeślemy naszych, lepszych.

W końcu zabrał się do raportu. Niejeden raz zdarzało mu się, że myśli, które krążyły mu chaotycznie po głowie, nabierały sensu, kiedy przelewał je na papier. Jakby dłoń prowadząca pióro kierowała się własnym, znacznie bardziej zdyscyplinowanym rozumem. A może chodziło o to, że kiedy spisywał fakty, potrafił spojrzeć na nie chłodniej, obiektywniej? Czytał nie o sobie, ale o bohaterze opowieści, jakimś facecie, który był tylko bladym odbiciem Johna Stonebridge'a, pozbawionym jego wahań, ale i pragnień; dziwną maszyną do stwarzania i rozwiązywania problemów.

W trakcie pisania uświadomił sobie jedno: Maslow wcale nie wiedział tak wiele o Zespole Camelot. Gdyby zdawał sobie sprawę, że Anglicy posiadali informacje o zainteresowaniu astrologami i chiromantami, o próbie porwania bułgarskiej

jasnowidzki, musiałby wymyślić inną historię niż dowcipy o kradzieży symboli narodowych, by zdobywać rząd dusz.

Swoją drogą, skąd Camelot miał tyle wiedzy? Kto był tym cennym źródłem podrzucającym Crossowi informacje o odkopywaniu przez Amerykanów nazistowskich mistyków? Dotąd nigdy się nad tym nie zastanawiał. Sam posiadał niezłe źródła, ale przecież nie aż tak szczegółowe. Śledził przeloty amerykańskich antropologów, jeździł na ich odczyty, sprawdzał, z kim korespondowali brytyjscy naukowcy. A czasem zmieniał się w szpiega w sensacyjnym stylu i śledził podejrzanych. Bywało zaś, że...

– Takiś pilny!

Aż podskoczył. Tak się zamyślił, że przegapił przybycie Briggsa. Niech to szlag, umykała mu interesująca myśl, chyba cenna, bo prosta, a równocześnie niezwykła, jak większość dobrych rozwiązań.

– Nie chce mi się siedzieć w domu – mruknął, próbując odbudować w myślach urwany wątek.

– Nie podczas wojny, zaraz po wyprawie na front. – Briggs pokiwał głową. – Rozumiem. Podniecenie walką szybko nie opada.

Briggs wiele wiedział o podnieceniu. Miał sześć różnych kochanek w samym Londynie. Nie wiedziały o sobie nawzajem i zdaniem GRU mógł to być haczyk, na który dałoby się złapać niedoszęłego (czy na pewno?) łowcę szpiegów. Stonebridge wyśmiał ten pomysł. Gdyby postraszyć Briggsa, że zdradzi jego kochankom, jak naprawdę wyglądają jego z nimi relacje, uśmiechnąłby się, zamówił szampana i zajął miejsce w łoży, by oglądać walkę kocic. A tydzień później miałby już sześć nowych kochanek. Jeśli ktokolwiek w brytyjskim wywiadzie przypominał Bonda, to właśnie on. W każdym razie pod względem stosunku do kobiet.

– Coś w tym stylu... Słuchaj, twoim zdaniem kto z nas zdobywa dla starego najwięcej informacji?

– Jakiś zakład? – zainteresował się natychmiast Briggs. – Jakby co, to wchodzę. Jakie są stawki?

Stonebridge rozważył możliwe odpowiedzi. Wciąganie ucznia łowcy szpiegów

w rozgrywkę stanowiło niebezpieczne zagranie. Gdy jednak czasu zostało niewiele, warto zamieszać i trochę zaryzykować. Co gorsza, jeśli on będzie grał bojaźliwie, na pewno przegra ze śmielszym przeciwnikiem.

– Myślałem o czymś innym – ściszył głos. – Słuchaj, ta Mead nie tylko wiedziała, jak nasz zespół się nazywa, to jeszcze zrozumiała. Amerykanie obwąchują nas tak samo jak my ich. Ale wiedziała też, jakie mamy dla nich oznaczenia kodowe.

– Rabusie Grobów.

– To. Ono nie jest już tak powszechnie rozpoznawalne.

– Oprócz nas zna je tylko JIC...

Stonebridge nie odpowiedział, nie wykonał żadnego gestu. Pozwolił tamtemu samodzielnie dojść do właściwych wniosków.

– Mówisz, że ktoś z nas gra dla jankesów?

– Myślę tylko, że to możliwe. Znasz kogoś z naszych lepiej z jakichś wcześniejszych operacji?

– Tylko Crossa. On jest poza podejrzeniami, John. Zaraz, czy ty mi tego nie mówisz, żeby sprawdzić moją reakcję?

– Nie wierzę, że możesz być wtyką, Stuart. Chyba że Jima.

Briggs się roześmiał, zdaniem Stonebridge'a zrobił to nieco zbyt nerwowo.

– Zastanawiasz się, czy nie wsadzili mnie tu, żeby złapał piątego z Cambridge? – Mrugnął porozumiewawczo.

– Szczerze mówiąc, każdy z nas się nad tym pewnie zastanawiał, Stu. Ale nie w tym rzecz. Pomyśl. – Uznał, że jednak coś tamtemu podpowie. – Zespół powstał, żeby zbadać dziwną akcję Amerykanów. Cóż dla nich lepszego niż podrzucić nam swojego agenta, który wykaże się, wynajdując dla nas mnóstwo informacji? I to prawdziwych, ale takich, które gdy spróbujemy je połączyć, nie będą mieć wielu punktów styecznych. Rozumiesz, kawałki puzzli tak od siebie oddalone, że nie sposób z nich ułożyć całości. A samotne nie mają żadnego sensu. Mimo to z punktu widzenia ktoś taki byłby asem, może najskuteczniejszym z jego ludzi. To nie jego wina, że analitycy nie radzą sobie z dostarczanym przez niego materiałem.

– Rozumiem, co masz na myśli. Ktoś taki wkupiłby się w łaski szefa, miał dostęp...

– Więcej. Gdyby okazał się wytrawnym graczem, mógłby nawet sterować naszymi poczynaniami.

– O cholera.

– Zacząłem się zastanawiać po rozmowie z Maslowem. Podrzucał mi jakieś tropy, niby prawdziwe, ale moim zdaniem mające nas wieść na manowce. Możliwe, że manipulują nami od dawna. Dotąd sądziłem, że Rabusie Grobów to zasłona dymna dla jakiejś ważniejszej operacji. Ale Mead działała na poważnie. Więc ktoś nami manipuluje. Kto podrzuca nam najwięcej informacji, Stu?

– Boman – odpowiedział po krótkim zastanowieniu Briggs. Sprawiał wrażenie szczerze przejętego. – Danica. I... – Zawahał się. – I ty.

„No jasne, opowiedziałem ci o mojej metodzie wodzenia was za nos”.

– Boman, Danica i ja – powtórzył Stonebridge. – Hindus, Serbka i Polak. Zabawne, nie?

– Ten trop... John, będę musiał go sprawdzić. Z tobą włącznie.

„Na nic innego nie liczyłem”.

– Rób swoje, Stu. Tej rozmowy nie było – mrugnął do niego porozumiewawczo. Briggs odprężył się, uśmiechnął.

– Gdybym miał obstawiać, nie wiem, czy nie postawiłbym na ciebie, John – zażartował. – Jesteś dla nas wszystkich za cwany.

Roześmiali się obaj i gdy tak poklepywali się po plecach, weszła Danica. Zatrzymała się tuż za progiem, zmrużyła oczy, ale zaraz uśmiechnęła się serdecznie.

– Jakież dobre wieści? – zapytała, przysiadając się.

– Szukaliśmy wśród nas szpiega – wyjaśnił Stonebridge, uśmiechając się promiennie. – Stu uznał, że najlepiej nadają się ja.

– Zaraz po naszej damie i tajemniczym mędrцу ze Wschodu – sprostował Briggs. – Nie przypisuj sobie wszystkich zasług.

– Dama to pewnie Cross – odgadywała Serbka. – Bo na pewno nie ja. Kiedy

ostatni raz jakiś typ nazwał mnie damą, skończył, jęcząc w kałuży krwi. A mędrzec ze Wschodu? Chyba nie Dadlani? On chyba nawet nie był w Indiach.

– I to właśnie wydaje nam się podejrzane – zapewnił Stonebridge.

Dzięki tym żarcikom narada upłynęła im w wyjątkowo lekkiej atmosferze, choć wieści płynące ze wschodu nie napawały optymizmem. Koncentracja sił rosyjskich przy granicy postępowała, natomiast NATO miało problem, by odpowiedzieć z równą dynamiką. W teorii zgromadzone siły były zdolne do szybkiego reagowania, jednak w praktyce... Czynniki ludzkie i polityka potęgowały chaos. Prawie w każdym parlamencie znajdowała się jakaś frakcja sprzyjająca komunistom bądź przynajmniej z nimi sympatyzująca. Francuscy kolejarze uznali za stosowne ogłosić strajk właśnie w tym momencie, gdy Brytyjczycy szykowali się do przerzucenia części sił francuską koleją. Amerykanie domagali się aresztowania przywódców strajku, na co rząd Francji oznajmił, że nie zniesie mieszania się w wewnętrzne sprawy swojego kraju.

– CIA uważa, że za wszystkim stoi KGB – skomentował Cross. – Przekazałem do JIC nasze wstępne wnioski na temat Rabusiów Grobów, nie jestem jednak pewien, czy potraktowali mnie wystarczająco poważnie. Możliwe, że to ta właśnie operacja zapoczątkowała wojnę, ale teraz JIC, a nawet nasi koledzy z MI5 mają poważniejsze sprawy na głowie.

– Rozwiązują nas? – zapytał Dadlani.

– Skądże! Tak czy owak, tę sprawę należy wyjaśnić, nawet jeśli większość głównych nici prowadzących do wyjścia z tego labiryntu mamy już w rękach. Do jutra do południa czekam na wasze sprawozdania z ostatnich dwóch dni. Dziękuję.

Był wyraźnie rozczarowany. Nagle pojął to, co dla większości z nich dawno było oczywiste – że skierowano ich na boczne tory. Stonebridge uznał za ironię, że stało się to właśnie w chwili, kiedy zaczął dochodzić do wniosku, że w operacji Rabusie Grobów może chodzić coś więcej niż tylko o zabawę i robienie zasłony dymnej.

Zbierał się do wyjścia, gdy Danica podeszła do niego od tyłu, dotknęła dłonią jego ramienia.

– Porozmawiamy? – zapytała.

– Tu?

– Nie jestem Stu Briggsem, John. Nie robię nic na pokaz.

Nie zgadzał się z tym. Na przykład zdecydowanie na pokaz otworzyła teraz oczy nieco szerzej, wyduła lekko usta.

– Znam przyjemny lokal w pobliżu – zdecydował.

– Prowadź.

Barman uniósł lekko brwi, siwiejące już i bardzo krzaczaste, gdy weszli do środka. Nie zdziwił się przybyciem Stonebridge'a, ale jego towarzyszką. Zachował jednak komentarz dla siebie. Na razie. Wskazał skinieniem głowy stolik pod oknem, oddalony od większości pozostałych.

– Przyjemny lokal? – upewniła się Danica, siadając na podsuniętym przez Johna krześle.

Wnętrze było zadymione, jak przystało na brytyjskie puby, rżnięte w drewnie, kamieniu i szkłe. Z gramofonu rzeźbiła muzyka z lat czterdziestych, jakby barman albo właściciel lubili wierzyć, że wciąż znajdują się w stanie wojny z Niemcami. Ze ścian spoglądały portrety poległych lotników i spadochroniarzy.

– Wszyscy mają cię tu gdzieś, pod warunkiem że im się nie narzucasz. I przychodzi tu wiele kobiet, które prawie potrafią odwrócić od ciebie uwagę.

– Prawie... – Wyciągnęła papierosa, pozwoliła, by jej go zapalił. – Czaruję z ciebie, John. Co na to twoja żona?

– Pewnie by się z tobą nie zgodziła. Uważa, że popełniła największy błąd życia, wychodząc za ponurego typa, który nigdy nie opuszcza pracy.

– Teraz na przykład z niej wyszedłeś.

– Nieprawda.

Kelner przyniósł im dwie wódki, chociaż ich nie zamawiali.

– Wódka? – zdziwiła się Danica.

– Mają też rakiję, jeśli chcesz. To lokal dla złamanych słowiańskich serc, Danica. Żaden z chłopaków na tych zdjęciach nie urodził się na szczęśliwych wyspach. Ale paru tutaj zginęło.

– Za nich wypiję. Barman to twój znajomy?

– Stary czołgista. Ale poznaliśmy się tutaj. Nakładliśmy po pyskach marynarzom. Polubił mnie.

– Lubisz bić swoich, John?

– To byli brytyjscy marynarze.

– To teraz właśnie swoi. Nie uważasz tak?

– Twoja królowa jest moją królową. Bez dwóch zdań. Ale piechota i marynarka zawsze łąły się po pyskach. A jak chłopcy noszą inne naszywki na mundurach, to już nie są „swoi”, tylko swołocz spod innych barw. „Swoi” jesteśmy, jak idziemy razem łać szkopów albo ruskich. Ale nie po paru piwach. Tak działa wojsko, dziewczyno. Zawsze. Na wszystkich kontynentach i pod wszystkimi sztandarami.

– No tak. – Wzruszyła ramionami. – Co my, dziewczyno, możemy o tym wiedzieć?

„Całkiem sporo” – pomyślał. „Biegałaś ze stenem po bośniackich górach. Strzelałaś z niego z chłopakami i z nimi piłaś”.

Zaciągnęła się papierosem, zmrużyła oczy, czarne jak przyszłość świata. Nagle wstała, tanecznym krokiem podeszła do baru. Stonebridge wolałby się za nią nie oglądać, ale nie potrafił opanować pokusy. Kołysała biodrami wcale nie na pokaz, to był jej naturalny krok. Jakby urodziła się po to, by wodzić facetów na pokuszenie w klubach złamanych serc.

Wróciła z dwoma kieliszkami rakii.

– Miałaś rację. – Uśmiechnęła się zadowolona. – Spróbujmy.

Wypili na raz, do dna. Smakowała gruszkami. Danica odwróciła się i pomachała do barmana.

– Umówiłam się z nim, że jeśli mi posmakuje, ma nam przynosić już tylko to. Powiedz mi, John, co ty wyprawiasz?

– Nie podrywam cię, jeśli o to chodzi. Jesteś kobietą pierwszej klasy, ale moja żona urwałaby mi jaja już za sam pomysł wypicia z tobą tego jednego kieliszka.

– Wiesz, o czym mówię. Bądź poważny albo dajmy spokój tej rozmowie.

Odchylił się na oparciu krzesła. Trochę żałował, że to ona do niego podeszła, a nie Boman. Jak szybko zareagowała!

– Masz na myśli Briggsa? – zapytał.

– Mam na myśli poszczucie na mnie Briggsa.

– Nie poszczułem... Czekał, daj mi dokończyć. Ktoś z nas sypie Amerykanom, jestem tego pewny.

– I to mam być ja?

– To ma być Briggs.

– Co?

– No dobra, strzelam w ciemnościach. Ale pomyśl. Dadlani jest bardziej brytyjski od nas wszystkich. No, nie od Crossa. To młody chłopak. Jego rodzice mieszkają tu w drugim pokoleniu. Szukałem haczyka, na który mogliby go złapać Amerykanie, ale nic nie znalazłem. Cross jest poza wszelkimi podejrzeniami. Ty...

– No więc ja... – zatrzepotała rękami.

– Rozważałem to. Ale też mi się nie zgadza. Chociaż mogłabyś pracować dla Tity...

– Tego Chorwata, który zniewolił Serbię i zmienił ją w reżim komunistyczny?

– Wysłuchaj mnie, zanim dasz mi po pysku. Ale to też nie pasuje. Oboje jesteśmy w podobnej sytuacji: w przybranej ojczyźnie i z życiorysami, za które w domu najpierw zaczęliby nam wyrywać paznokcie, a dopiero potem zadawać pytania. Więc musimy się wykazać wobec królowej. Inaczej po nas.

– Uniewinniłeś się tak, że nie mogę zaprotestować, bo sama siebie wkopię. – Roześmiała się, przyjmując od kelnera dwie kolejne rakije. Tym razem w większych kieliszkach. – Zręcznie.

– Zostają Boman i Briggs.

– Boman był w japońskiej niewoli – przypomniła.

– A Amerykanie mogli przechwycić dokumenty japońskiego wywiadu i go szantażować – dokończył. – Jeśli wtedy zdradził. Ale wydaje mi się, że właśnie dlatego jest niewinny. Bo od razu byśmy go podejrzewali.

– Chyba że to właśnie jego podwójna przykrywka. – Także drugi kieliszek opróżniła jednym haustem i od razu zamachała do barmana.

„Chce mnie upić?” – zdumiał się Stonebridge. „Polaka?”

– Może być i tak – zgodził się. – Ale teraz pomyśl: Briggs. Czystej wody angol. Uczeń Skardona. Czy ktoś może być bardziej poza podejrzeniami?

– Co według naszych paranoicznych wzorców czyni go najbardziej podejrzanym. – Skinęła głową, znów zaciągnęła się papierosem, tym razem odchyliła głowę daleko w tył, by wydmuchać dym. Połowa knajpy zamarła, śledząc jej sterczące pod materiałem piersi. Niosący dwie kolejne rakije kelner zmylił krok i prawie wpadł na stolik po drodze. Nikt nie zwrócił mu uwagi, bo przy tamtym stoliku też siedzieli faceci.

– Twoje „prawie” nie działa – roześmiała się, przyjmując kieliszek, po którego krawędzi spływała uroniona kropla, i opróżniając go natychmiast. – Żadna z tych dziewczyn nie ma ze mną szans.

„Upiła się? Byłoby miło. Ale raczej tylko gra pijaną. To po to narzuciła to szybkie tempo”.

– No dobrze, Briggs – spoważniała. – Jak został szpiegiem?

– Bo służąc pod Skardonem, za dużo widział. Przekonał się, jacy z nas partacze. Więc poszedł do lepszych. On nie zdradził, nie we własnym mniemaniu. Służy Anglii najlepiej, jak potrafi. Tak sędzę.

– No dobrze. Kupuję to. – Wycelowała w Johna palec, a potem opuściła go, niby przypadkiem muskając jego dłoń. Nie cofnął ręki. – Ale co miało ci dać to poszczucie go na mnie i biednego Bomana?

– Niech zadrży. Teraz wie, że ktoś przygląda się zespołowi pod kątem zdrady. Jeśli jest winny, zrobi wszystko, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Przyniesie mi dowody w zębach. A o ile nie jesteście jankeskimi szpiegami, będzie je musiał sprokurować. Wtedy będę go miał.

– I co? Zastrzelimy go w ciemnej przystani i spuścimy ciało do Tamizy?

– Jeśli Briggs jest naprawdę amerykańskim szpiegiem, może dowiemy się od niego, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego jankesi wkładają tyle wysiłku w coś

tak bezsensownego jak kradzież skarbów narodowych albo próbę uprowadzenia bułgarskiej czarownicy.

– Zastłona dymna? Przecież wszyscy to rozumiemy. Oprócz Crossa. Choć dziś chyba nawet do niego to dotarło.

– Teoria zastłony dymnej działała całkiem nieźle, dopóki nie spotkałem Mead w Niemczech. Dopóki Amerykanie i Rosjanie nie zaczęli do siebie strzelać, a po pułkownika kierującego grupą dywersyjną nie przyjechało ośmiu agentów. Ośmiu! I wszyscy w długich prochowcach, żeby ukryć pod nimi karabiny. Byli gotowi rozpętać tam bitwę, żebym go nie zabrał. Broniliby tak kołesia urządzającego dla nas zastłonę dymną?

– Nie wspominałeś o tych karabinach na odprawie, John. – Tym razem nie było żadnego przypadku w tym, jak dotknęła jego dłoni. – To dlatego zacząłeś nosić pistolet?

– To przez Douglina. – Roześmiał się i uwolnił dłoń, odbierając od kelnera dwa nowe kieliszki. Tym razem oboje opróżnili je tylko do połowy. – Powiedział coś w tym stylu, że skoro wybuchła wojna, to szpiegowski pakt o nieagresji przestał obowiązywać. Wiesz, ten niepisany pakt.

– Ja zawsze nosiłam pistolet w torebce. Nie wierzę w żadne pakt. No dobrze, John. Może nakłamałeś mi w żywe oczy, ale potrafisz kłamać bardzo ładnie, więc miło mi się tego słuchało. Szkoda tylko, że nie uprzedziłeś mnie o wszystkim. Gdybyśmy od początku współpracowali, zagonilibyśmy Briggsa w ślepy róg raz dwa.

– Wiedziałem, że tu z tobą przyjdę, odkąd nas nakryłaś.

– I zostawiłeś mi inicjatywę, żeby się przekonać, co zrobię? Czy jestem bardziej podejrzana, bo dotknęłam twojej dłoni, John?

– Nie. Ale ja jestem dwa razy bardziej podejrzany. Chyba po prostu chciałem, żebyś to ty do mnie podeszła. Nazwij to dumą pawia.

– Chyba za dużo wypiałam. – Potrząsnęła głową i z typowo kobiecą konsekwencją opróżniła kieliszek. Odstawiła go z hukiem. – Narzuciłeś zbyt duże tempo. Będę się zbierać, zanim zrobię coś głupiego. Zapłacisz za nas oboje? Nie

chęć, żebyś pomyślał, że starałam się ciebie przekupić.

– Z przyjemnością.

– No ja myślę! – prychnęła, wstając. Pochyliła się nad Stonebridge'em, pogłaskała go dłonią po policzku. – Mam nadzieję, że się mylisz. Że to wszystko to tylko zasłona dymna. Bo jeśli nie, to nie wiem, w jak głębokim szambie tkwimy. Wiesz, ja poszłam do Crossa, bo chciałam odpocząć na tej jego bocznicy. Za długo już biegam po tych górach, John. Jestem zmęczona.

Pochyliła się jeszcze głębiej i przez chwilę pomyślał, że pocałuje go w usta. Ale ona celowała obok. Tuż obok, ale jednak.

Wraz z całą knajpą patrzył, jak odchodziła. Młodsze od niej dziewczyny parskały z pogardą, ciągnęły swoich chłopaków za brody, by patrzyli właśnie na nie. Daremnie.

Stonebridge westchnął głęboko, gdy drzwi się za nią zamknęły. Spróbował pomyśleć o Annie. Co teraz robiła? Wypytywała informatorów? Przeszukiwała teczki Zespołu Camelot w poszukiwaniu tropów, które przegapili? A może popijała koniak i czytała jeden z tych kryminałów, za którymi przepadała?

Dopił rakiję i podszedł do baru zapłacić.

– Co sądzisz? – zapytał barmana, emeryta z przedwojennej „Dwójki”, dwadzieścia lat wcześniej instruktora judo, które sam poznawał pod okiem japońskich trenerów przed wojną.

– Za ładna i za dobrze pije – ocenił. – Niebezpieczna jak cholera.

– I ja tak myślę. Dziękuję, Stefan.

– Będziesz potrzebował pomocy?

– Kto wie... – mruknął. – Kto wie.

Nie pierwszy raz zaczął się zastanawiać, kim właściwie dziś jest i co robi. Gniew sprzed lat, ten sam, który pchnął go w ramiona Anny, jeszcze w nim nie ostygł. Ale odczuwał to samo zmęczenie, o którym mówiła Danica. Nawet pragnienie zemsty na sprzymierzeńcach, którzy zostawili Polaków na łaskę wroga po tym, jak ich krew przestała być potrzebna, w końcu zaczęła się wypalać. Ale też Stonebridge znajdował się w tej sytuacji bez wyjścia. Chyba że zabiłby wszystkich, którzy

cokolwiek o nim wiedzieli, a potem sfingował własną śmierć. Tylko dokąd by uciekł? Czy istniało na świecie miejsce, w którym znalazłby spokój?

Przyłapał się na tym, że zagładę cywilizacji w atomowym rozbłysku zaczyna traktować jako lepszą alternatywę. Przynajmniej mógłby ze wszystkimi zaczynać od zera.

Stanowczo zbyt długo już biega po tych górach.



Rozdział 24

6 czerwca, godzina 00.12, Kassel, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego

– Prawda jest taka, że wszyscy czekamy na bomby – upierał się Kicio. – Wiecie, o jakich mówię.

Nie weszli do Kassel przed zmrokiem. Przyczaili się pięć kilometrów od miasta na łagodnych wzgórzach. Rosły tu dzikie jabłonie. Małe, kwaśne jabłka dowodziły, że nikt o nie nie dbał, nie musieli się więc obawiać samozwańcych sadowników. Z kolei ponad miarę rozrosłe drzewka o powykręcanych gałęziach zapewniały im osłonę z góry. Wprawdzie już od dwóch godzin nie tropiły ich wrogie śmigłowce, te odleciały w poszukiwaniu innego łupu. Może skończyło im się paliwo, a może przestraszyły się kolejnych wrogich samolotów coraz zuchwalej zapuszczających się nad niemieckie niebo.

Dokładnie obejrzelili sobie miasto przez lornetki. Wypatrzyli słynnego Herkulesa wzniesionego na szczycie wieży czegoś, co mogło udawać ruiny zamku. Patrzył na miasto z najwyższego wzgórza w okolicy, poprowadzona sztucznym nurtem rzeczka spływała zeń kaskadami, by wpaść do prawdziwej rzeki. Marek z Kiciem wdali się w dyskusję na temat sposobów powysadzania wszystkich przerzuconych przez nią mostów, wobec zdecydowanego braku ładunków wybuchowych. I od tego wszystko się zaczęło, bo w pewnym momencie Kicio oświadczył, że nic właściwie wysadzać nie ma sensu, skoro spadnie jedna bomba i wyrówna.

Miał okazję się wygadać, bo zdecydowali się nie wchodzić do miasta przed nastaniem nocy. Wrona wypatrzył posterunki czuwające przy głównej drodze, a także zabezpieczone za workami z piaskiem stanowiska karabinów maszynowych na mostach. Tu już nie było mowy o prostej akcji i całkowitym zaskoczeniu. Niemcy

szykowali się do wojny. Wprawdzie samo miasto jeszcze w pełni nią nie żyło – przechodnie wciąż chodzili po ulicach bądź pokonywali je tramwajami, nikt nie pozamykał sklepów ze strachu przed szabrownikami. Ale zrozumiano już, że to nie przelewki.

Fakt ten dostarczył Kiciowi kolejnego powodu do narzekań.

– Jak się nad tym zastanowić, to cała nasza akcja jest bez sensu. Nie powiem, pięknie żeśmy te mosty wysadzili. Zwłaszcza kolejowy. Tego już chyba nie naprawią. Ale za wcześnie. Przecież jeśli nasi ruszą dopiero jutro, a może nawet pojutrze, to Amerykanie postawią most pontonowy. Kolej wyłączyliśmy, chwała nam. Ale ciężarówki może nawet już dziś mają po czym jeździć. No dziś to może nie. Ale jutro na pewno będą miały. I dlatego...

– Zamknij jadaczkę – jęknął Topór, o ledwie sekundy uprzedzając Wronę. Kapral aż zacisnął usta zdezorientowany. Ale zaraz otworzył je ponownie, by kazać stulić pysk Toporowi.

– Kiedy mnie ta ręka ciągle boli – poskarżył się żołnierz.

– Pokaż. – Mrużewski podpełzł do niego na czworakach, bo mieli surowy zakaz wstawania, by nie przyciągać niczyjej uwagi. Nie po to przez ostatnie godziny wymykali się patrolom, by teraz wpaść, bo ktoś chciał rozprostować nogi. Odwijał powoli opatrunek. Gwizdnął. – No, paskudnie to wygląda. Wdała się gangrena. Trzeba będzie uciąć. Kicio, Marek, trzymajcie go za ramiona, a ja wyjmę piłę...

– Chyba cię Bóg opuścił! – pisnął Topór, omal nie zrywając się na równe nogi.

– Nie bój nic. – Sanitariusz przycisnął go do ziemi. Wezwani na pomoc koledzy pospieszili ochoczo. – Damy ci morfinki. A już w Polsce wprawia ci w miejsce dłoni piękny hak. Będiesz straszył rekrutów. Bo z takim hakiem z pewnością zrobią z ciebie sierżanta od musztry.

– Sierzancie! – bronił się Topór. – Niech pan im nie pozwoli!

– Lepiej stracić dłoń niż całą rękę – odparł Kaszel. – Słuchaj się sanitariusza. Włóżcie mu w gębę kawałek drewna, żeby miał na czym zagryźć zęby.

Kto wie, do czego mogłoby dojść, gdyby nie brak poczucia humoru Wrony.

– Skończcie z tymi głupotami! – warknął. – Mrużewski, weź mu zmień

opatrunek, nim faktycznie wda się gangrena. Młody, siedź pod drzewem, gdzie ci dobrze. Kicio, stul pysk.

Kicio posłusznie stulił... na pięć minut, podczas których wszyscy uważnie słuchali wymiany zdań między sierżantem a kapralem.

– Gotowi na wojnę, ale poobstawiali tylko wjazdy i wyjazdy. I mosty – wyliczał Kaszel. – Można się tam dostać na setki sposobów.

– Ale gdzie się dostać, sierżancie? Żadnych śladów walk. Żadnego podejrzanego hałasu. Nawet przez radio tamci się nie meldują. Co, będziemy przeczesywać dom po domu?

– Może jak my czekają na noc? Radziu, słuchasz?

– Włączam co piętnaście minut, sierżancie. Nic nie nadaję, tylko słucham przez pięć minut. Cisza. Ale nas nie namierzą.

– Rób tak dalej. Co mam ci powiedzieć, Wrona? Może tamci już nie żyją? Może wieczorem dostaniemy nowe rozkazy?

Więcej się już nie odzywali, co skwapliwie wykorzystał Kicio.

– Bomba – powtórzył. – Nie mówcie, że o tym nie myśleliście.

Każdy w plutonie zapewnił go, że nic a nic o tym nie myślał, odkąd wylecieli z Dziwnowa. Najpierw byli za bardzo skupieni na akcji. Potem na uciekaniu. A teraz byli zbyt zmordowani, żeby myśleć. Skoro już Kicio poruszył ten temat, rzeczywiście trudno było im odpędzić myśli o najpotężniejszej broni w historii ludzkości i o tym, czemu nikt jej jeszcze nie użył.

– Podobno Amerykanie spróbowali w 1962 roku – powiedział Topór, z satysfakcją przyglądając się śnieżnobiałemu bandażowi, którym Mrużewski owinął mu dłoń. – Dobrze to wygląda. I mniej boli.

– Przyjdź, jakby znowu zaczęła.

– I co? – zaciekawił się Kicio. – I co z tymi bombami z 1962? Ty masz dojścia, Topór, ty wiesz.

– I co? I nico. Słyszeliście, żeby coś jebło? Nasi mają takie systemy antyrakietowe, że wszystkie amerykańskie rakiety zestrzeliły. Wiem od starego.

Opowiedział mi po pijaku, jak byłem na przepustce. Imperialiści wystrzelili na nas głowice, a myśmy je wszystkie zdjęli.

– Nasi – rzekł na to Marek, nawet niespecjalnie zastanawiając się nad tym, co mówi – mają najlepsze na świecie systemy dezinformacyjne. Więc gdyby nawet coś jebło, to nikt by o tym nie wiedział.

Topór aż gwizdnął.

– To mi brzmi jak szerzenie antyustrojowej propagandy!

– Bo powiedziałem, że mamy najlepszy na świecie wydział propagandy i szpiegów?

– Bo... – Topór się zawahał. – Kręcisz, Młody.

– Stulcie, na miłość wszystkich waszych matek, pyski – głos Wrony zabrzmiał jak warkot z samej trzewi piekieł. – Widzę, że energia was roznosi. Jak wrócimy, będziecie biegać po polu ryżowym, póki wam się buty nie rozpadną, taka wasza mać!

Zamilkli więc, a kilku nawet posnęło, ale Kicio i – ku własnej irytacji – Topór nie potrafili myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że gdy już się zacznie na porządnie, gdy armie ruszą na siebie z obu stron, to ktoś w końcu zacznie miotać atomówkami. I choć obaj tak bardzo lubili się ze sobą nie zgadzać, w tej jednej sprawie niezależnie od siebie doszli do tego samego wniosku: kiedykolwiek zacznie się atomowa wymiana ciosów, ich pluton będzie pewnie siedział pośrodku celu obu stron.

– Jest sygnał – zameldował Trucht kwadrans po północy. – Słuchajcie.

Podał słuchawki Kaszlowi. Ten przyjął meldunek, kiwając głową, choć przecież rozmówca nie mógł tego słyszeć. Odpowiedzi udzielał po rosyjsku, krótkich, prowadzących się do potwierdzenia, że słyszał i że rozumie. Raz zapytał o nieprzyjaciela w pobliżu. Wreszcie rzucił: „bez odbioru” i zdjął słuchawki. Kazał budzić chłopaków.

– Jest tak – zaczął, gdy zgromadzili się wokół niego. – Siedzą tam, pod samym Herkulesem, gdzie ich podobno nikt nie szuka. Przylecieli tu nie wiem po co, bo nie mówili. Ale to coś strasznie cennego. Mamy im pomóc.

– Jak? – zapytał Marek, bo tknęło go niepokojące przeczucie.

– Na początek przedostaniemy się do nich pod osłoną nocy. To nie powinno być trudne. Resztę obgadamy na miejscu. Szczegółów nie chcieli uzgadniać, bo cholera wie, kto może nas podsłuchiwać. Zbieramy się, chłopcy. Bez kozaczenia. Żadnego strzelania. Żadnego zabijania. Mamy przejść niewidzialni jak duchy.

– A nie mogą oni do nas? – zapytał Kicio. – Też niewidzialni jak duchy?

– U nich, widzisz, dowodzi major. Więc mnie, prostemu sierżantowi, trochę trudno było mówić mu coś więcej niż „tak jest, towarzyszu”. Ale jak chcesz, Kicio, to dam ci z nim pogadać na miejscu.

Schodzili ze wzgórze powolutku, obawiając się, że potrzebują czasu, by ich umęczone nogi na powrót przyzwyczyły się do chodzenia, po tym jak odpoczywali przez cztery godziny. Pochyleni, gotowi paść na byle szelest, widok byle cienia. Tym razem wiódł ich sam sierżant. Uparł się, że musi pójść przodem, bo był najmniej zmęczony z nich wszystkich, a przy tym najbardziej doświadczony. Patrzyli na niego i na siebie i było im głupio, bo miał rację. Z jakiegoś powodu ten dobiegający czterdziestki staruch wytrzymał więcej niż oni, lepiej zniósł mordercze tempo. Że nie rozpamiętywał wciąż potyczek, zwłaszcza tej, w której musieli zabijać psy, że nie wspominał śmierci Zygmunta – było jasne. Podobne wydarzenia przeżywał już niejedną raz. I cóż z tego, że dawno, w innej wojnie. „Wszystkie wojny są takie same – mawiał przecież. – I wypalają wam pamięć o sobie w duszach na zawsze”.

Tym, czego najbardziej bał się w tej chwili Marek, było to, że zawiedzie oddział. Że przegapi wroga albo poplączą mu się zmęczone nogi i wywróci się, alarmując wroga. Bał się nawet, że może zginać, ale właśnie dlatego, że wstyd byłoby ginać, gdy pluton cię potrzebuje. To jakby zdrada umierać, gdy kumple walczą. Wyrzucał więc z głowy obrazy śmierci Zygmunta i tego przeklętego psa, który nie wiadomo po co gnał na niego, którego niepotrzebnie przeklęte szkopy przysposobiły do zabijania zamiast ścigania gumowych piłek. Wyrzucał z myśli zmęczenie i niepewność, po co właściwie idą do tego zamku z Herkulesem.

Najprościej byłoby powędrować wzdłuż rzeki, ale tam odsłonięte brzegi

oświetlały uliczne latarnie. Szli więc przez miasto, prawie jego centrum, choć omijali co szersze ulice i każdy plac, na jaki natrafiali. Przylepiali się do ścian budynków, kulili za samochodami. (Ile ci Niemcy mieli samochodów! Przecież po tym mieście pewnie nie dało się jechać w godzinach szczytu, miejsca by nie starczyło na jezdni!) Dzięki tej narzuconej przez Kaszla marszrucie Marek odkrywał, że miasto może być jak las – także pełne cieni i kryjówek.

Zgodnie z rozkazem kryli się na byle znak ludzkiej obecności. Oto jakaś parka migdałowa sięgała na ławce przy niewielkim skwerze. On jeszcze miętolił jej ciężką pierś, ale już drugą ręką zmierzał znacznie niżej. Ona zaciskała dłoń na jego ramieniu, drugą próbowała wyrwać skalp z czubka głowy. Ominęli ich ryzykownie, sunąc tuż za ich plecami po drugiej stronie żywopłotu. Dwieście metrów dalej dwóch podpitych brodaczy wspartych o siebie wędrowało zygzakiem, śpiewając coś wesołego. Tu trzeba było przeczekać, diabli wiedzą, dokąd zwiedzie pijanych powiew chwili. Przeszli, a już za chwilę zza rogu wyłonił się starszy mężczyzna z pudlem. Czarne, kudłate bydlę uniosło łeb, wciągnęło zapachy miasta i rozszczękało się, odnajdując obcych, cuchnących potem, prochem, a nierzadko krwią. Pies szarpnął się samobójczo w ich stronę, ale trzymano go na smyczy. Właściciel sklął go obelżywie, mamrocząc coś o cholernych kotach.

Chcieli przejść obok pałacu w barwie Sukiennic, skąd droga wiodłaby na zamek prosto, wzdłuż kaskad, ale tam natknęli się na policyjną zaporę. Na szczęście rozświetlały ją niebieskie rozbłyski kogutów, czerwone mrugnięcia zapór drogowych, a i białe jęczory szperaczy skierowanych jednak na wzgórze.

– Aha! – mruknął Kaszel. – Czyli coś wiedzą.

Przeszli więc dookoła. Alejkami przez park, gdzie też musieli się kryć przed patrolami żandarmerii, jednak nie wśród tyłu świateł. Ujrzeni drzewa na wzgórzu, na którego szczycie stał zamek, i skierowali się ku nim. Jednak i ta droga strzeżona była przez czterech żandarmów.

– Czekaście – zarządził Kaszel. – Starzy pokażą wam, jak się to robi. Wrona?

– Nareszcie! – ucieszył się kapral, czego nie zrozumieli, nie pojmując, w jak podłym, a zarazem morderczym był nastroju od śmierci Zygmunta. Trudno im było

to zrozumieć, szeregowcom, którzy stracili kumpla, lecz nie podkomendnego, nie „swojego człowieka”, który zginął, bo zawierzył przełożonemu, wykonując jego rozkaz.

Przypadli do ziemi, na niedawno koszoną trawę. „Cóż za daremne starania – pomyślał Marek – tak dbać o trawnik, gdy naokoło zaraz zaczną spadać bomby”. Oczu oderwać nie mogli od dwóch skradających się przeciw czterem. A przecież pewni byli rozstrzygnięcia tej nierównej walki, bo Niemcy okazali się nie dość czujni: palili papierosy, rozmawiali głośno, świecili latarkami tak, że raczej ich oślepiły, niż oświetlały okolicę. I oto gdy rozległ się niepokojący dźwięk od strony zamku, wszyscy obrócili się w tamtym kierunku, mając światłami na wszystkie strony, klnąc trochę dla dodania sobie otuchy, a trochę się z siebie śmiejąc. A za ich plecami wyrosły dwa mordercze cienie. „Proszę” – pomyślał Marek. „Sekunda, dobre pchnięcie i już jeden człowiek jest martwy. Nie trzeba zatykać mu ust, to strata czasu, tamci z przodu zaraz się ku niemu odwrócą. Więc dwa ciała padają, walcząc jeszcze o daremny oddech, jeszcze serce stara się pompować krew, naiwne! I teraz te dwa cienie, te dwie śmierci dopadają tamtych, nim się odwrócili. Tym zaciskają dłonie na ustach, tnąc ostrzami noży po gardłach. I powolutku, przytrzymać, jak przy duszeniu, ku ziemi, cios w serce dla pewności i cios w serce dla tych pierwszych. Droga otwarta”.

Przebiegli prędko pod drzewa. I dalej, na wzgórze. Nikt ich tu nie wyglądał, nie próbował zatrzymać. Ale na dziesięć metrów przed murami zamku sierżant zatrzymał się nagle i zawołał: *Jeb twoju mat’!*

Wtedy z góry spuszczone im drabinkę sznurową. Wspięli się po niej, jeden po drugim. Ostatni Kicio, bo tak zarządził Wrona. Gdy przesadził mur, pociągnął za sobą drabinkę i dopiero potem się odwrócił, by w przytłumionym świetle latarek zobaczyć tych, którym przybyli na pomoc.

– O kurwa! – nie zdołał zapanować nad sobą. – To jest specnaz?



Rozdział 25

6 czerwca, noc i poranek, Londyn

Tej nocy znów kochali się pod prysznicem, ale nie szeptali sobie czułych słówek, lecz relacjonowali dokonania. Stonebridge opowiadał o tym, jak prowokował Briggsa i Danicę, Anna tłumaczyła, czego się dowiedziała od informatorów. Wiele tego nie było. GRU, nie inaczej niż KGB, ukrywało przed swoimi szpiegami wszystko, co nie było zdaniem szefostwa niezbędne. W efekcie agenci terenowi wiedzieli czasem mniej niż zwyczajni obywatele.

– Chodzi o bomby – tłumaczyła Anna. – Tak wynika z tego, co słyszałam, z domysłów moich informatorów, z poskładanych strzępów informacji.

– Bomby?

– Zagubione amerykańskie bomby z 1961 roku. Wystrzelili je wtedy na Związek Radziecki, łajdacy. Ale żadna nie spadła.

– To bajki, legendy.

– Nie. Nie wiem. Może. Ale wszyscy o tym mówią. Amerykanie też. Nie przejęłabym się, gdyby nie te szeptki. Jeśli ludzie mówią o czymś otwarcie, to znaczy, że się nie boją. Ale jeśli szepczą... Pomyśl, kiedy został powołany twój zespół.

– Osiem miesięcy temu.

– A od kiedy działają Rabusie Grobów?

– Od... Niech mnie, od 1961 roku.

– Zaginione bomby. To ich szukają.

– To znaczy, że nie doleciały do Rosji? Spadły gdzieś po drodze i nie wybuchły?

– Nie wiem. Wiem tylko, że to jest temat, na który się milczy, o którym

w ostateczności rozmawia się najcichszym szeptem.

– Jasna cholera. Nic mi to nie mówi. Tylko namącałaś mi w głowie. A Danica?
I Boman?

– Podobało ci się, jak cię dotykała?

– To o tym mamy rozmawiać?

– Powiedz!

– Trochę tak – przyznał. – Ale to była gra. Z obu stron.

– Gra... – zachichotała. – Śledziłam ją. Gdy szła do biura, gdy wychodziła z tobą do knajpy, gdy flirtowała z tobą przy stole. Kiedy wyszła, kiedy zniknęła ci z oczu, natychmiast zrobiła się mniej pijana. Podeszła do najbliższej budki telefonicznej, zadzwoniła, rozmawiała przez minutę. Potem poszła do domu. Nie spotkała się z nikim. Podeszłam pod drzwi jej mieszkania, słuchałam. Wzięła prysznic. Długi. Wydaje ci się, że myślała wtedy o tobie?

– Na pewno. Ten telefon?

– Podpatrywałam przez lornetkę, jakie cyfry wykręca, ale zasłoniła mi dwie ostatnie. Jutro rano podzwoimy. Zobaczymy, co się trafi.

– A Boman?

– Jeszcze nie wiem. Wysłałam za nim Toma.

– No dobra. Szkoda. Czas spać.

– Nie.

– Nie? Zdziwią się, że siedzimy tyle czasu pod prysznicem.

– Pomyślą, że jesteś długodystansowcem. Źle ci z tym?

„Wręcz przeciwnie” – pomyślał. Było mu tylko głupio, że z Anną pod prysznicem cały czas myślał o Danicy. A już zupełnie dobijała go świadomość, że Anna zdawała sobie z tego sprawę i nie tylko bawiło ją jego zakłopotanie, ale jeszcze czerpała z tego podniecenie.

Rankiem przystąpili do obdzwaniania numerów. Mieli szczęście. Trafili przy czwartym podejściu. Stonebridge odłożył słuchawkę i położył dłoń na dłoni żony, przerywając jej wykręcanie następnego numeru.

- Już nie trzeba.
- Co to za numer?
- Księgarnia Ciche Miejsce.
- Żartujesz?

Pokręcił głową.

– No to trafiony! – ucieszyła się. I na użytek podsłuchu, który mieli założony w mieszkaniu, a może wcale nie, wyraziła nadzieję, że może tam właśnie znajdą najnowsze wydanie *Kubusia Puchatka*, to z nowym posłowiem, które obiecała bratanicy. Śmiała się przy każdej sylabie, a oczy błyszczały jej jak małej dziewczynce, która dostała wymarzony prezent.

Kiedy John wychodził do pracy, objęła go, pocałowała mocno, a potem zapytała czułym szeptem:

- Co z tym zrobimy?

Nie miał pojęcia.

W drodze do pracy myślał o baśni o zaginionych bombach. Podczas kryzysu kubańskiego doszło do czegoś, co obie strony bardzo chciały ukryć. Jeszcze nigdy zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie nie nabrali tak wody w usta. Dotąd starali się wykorzystywać każde potknięcie, każdą słabość przeciwnika. Nawet najmniejsza kompromitacja stanowiła dobry powód do wywołania międzynarodowej awantury.

A do tego, gdy Ameryka mówiła „białe”, Rosja natychmiast oznajmiała „czarne!”, i na odwrót. Ten jeden raz zachowali dziwną zgodność, choć dla każdego było jasne, że wzajemna wrogość przeniosła się na nowy, niebezpiecznie wysoki poziom.

Wywiad brytyjski oczywiście daremnie starał się dociec, co naprawdę się stało. A GRU nie raczyło poinformować o niczym swoich agentów. Nie wysłało nawet dyspozycji: „badajcie baśń o zaginionych bombach”. Ale bardzo interesowało się działaniami Rabusiów Grobów, nalegając przy tym, by Stonebridge pilnie śledził nie tylko amerykańskie, ale i brytyjskie postępy. I naturalnie nie powiedziało mu nic. Błądził więc jak dziecko we mgle, nie wiedząc, czego tak naprawdę szuka, i motał tropy swoim kolegom niepewny, czy przypadkiem nie naprowadza ich na

prawdziwe.

Ale centrala wydawała się zadowolona. Ciekawe, jak przyjęli meldunek o Mead i Maslowie?

W biurze Briggs mrugnął do niego porozumiewawczo, ale nic nie powiedział. Cross został wezwany na jakieś pilne zebranie, natomiast Boman i Dadlani wykazywali przedziwną aktywność, opowiadając o strzelaninie w Dakshineswar, świątyni Kali w Kalkucie. Dadlani utrzymywał, że musiał to być nowy atak Rabusiów Grobów, Boman zaś – że z pewnością w sprawę zamieszani byli muzułmanie.

Danica się spóźniała.

Kiedy Cross wreszcie przybył, nie zwrócił uwagi na jej nieobecność.

– Ruszyli – oznajmił od progu. – Zawiodły wszelkie dyplomatyczne sposoby. Rosjanie przypuścili dziś atak równocześnie na Niemcy, Austrię i Danię. Według naszych danych posuwają się jak szatani. Bronią się właściwie tylko Niemcy, bo Amerykanie poutykali z różnych dziwnych powodów. Od trzech dni dywersanci niszczyli ich zapasy ropy, amunicji, wysadzali mosty. Do tego potęgowali panikę, przez co drogi były pozapychane.

– A przewaga w powietrzu? – zapytał Briggs.

– Żeby mieć przewagę w powietrzu, trzeba mieć benzynę lotniczą. – Cross wzruszył ramionami. – A to wysadzona, a to zanieczyszczona... Podobno z tymi dywersjami działały się prawdziwe cuda.

– Czyli co? Przyjadą tu pojutrze? – zapytał Stonebridge.

– Aż tak źle nie jest. Niemcy całkiem nieźle się trzymają i wcale nie wszystkie amerykańskie wojska zostały uziemione. To na razie przegrupowanie... Przecież wiedzieliśmy, co się szykuje, więc nie próżnowaliśmy. Tyle że mamy pecha. Na przykład w Nadrenii od pięciu dni leje, powylewały rzeki, klęska żywiołowa, nie da się tamtędy jechać, a walka była szalenie trudna... Dla obu stron, ale tak się składa, że teraz to my potrzebujemy przejezdnych dróg, by przerzucać posiłki. W Ramstein doszło do wybuchu składu amunicji, choć nie zarejestrowano żadnego wrogiego ruchu w pobliżu. Świadkowie mówią, że zaczęło się od burzy i uderzenia pioruna

w tankujący samolot. Pech, panowie. Ale przecież żaden pech nie trwa wiecznie. Choć, niestety, główne siły naszych sojuszników tkwią w Wietnamie, płyną ku nam dwa lotniskowce. Takie wsparcie może odmienić losy wojny.

– O ile nie trafi w nie atomówka – podrzucił Stonebridge.

– Na miłość boską, nie bądź aż takim pesymistą, John! Przecież nie płyną jeden obok drugiego!

– Więc co z nami? – zapytał Briggs.

– Robimy swoje! – Cross dziarsko się wyprężył. – W JIC przyjęli nasze raporty z wielkim zadowoleniem. Robimy postępy, panowie! Choć oczywiście musimy się skupić na analizie powiązań Rabusiów Grobów z wojną. Przewidzieć, jak ich działania wpłyną na jej losy. Możliwe, że nawet dostaniemy paru ludzi do pomocy!

Analizowali i przewidywali do wieczora, pułkownik nie puścił ich nawet na lunch. Na drugi dzień rano miała być przygotowana szczegółowa prognoza działań Rabusiów Grobów w nadchodzących trzech tygodniach. Stonebridge sądził, że równie dobrze mogli przewidywać pogodę za trzy lata albo zaznaczać odpowiedzi na podstawie rzutów monetą.

– Nikt nie użył broni jądrowej? – zapytał nagle.

– Nie wywołuj wilka z lasu, John! – ofuknął go Cross. – Rosjanie sądzą, że pokonają nas szybko i bez wielkich strat własnych, a my nie będziemy przecież bombardować własnych sojuszników.

– Moglibyśmy zbombardować Polskę – podsunął Briggs. – Przepraszam, John, ale to najprostsza trasa dla Armii Czerwonej. Parę atomówek i nie mieliby po czym jechać.

„I niech mnie ktoś zapyta, dlaczego pracuję dla GRU” – Stonebridge uśmiechnął się pod nosem, choć szybko sobie uświadomił, że na miejscu jankesów i angoli Rosjanie nie traciliby czasu na rozmowy, tylko odpaliliby rakiety.

– To bardzo niestosowny pomysł, Stuart. – Cross zmarszczył brwi. – Broń jądrowa to akt rozpacz, ostateczny argument. Do licha, nie słyszałeś o promieniowaniu i o tym, że może przenosić je wiatr? Masz pojęcie, jak by to wpłynęło na naszą whisky?

Obaj Hindusi wymienili znaczące spojrzenia i w tej jednej chwili Stonebridge pojął, że być może w biurze wyłącznie Cross nie jest szpiegiem. Cała reszta to agenci, których stworzył swoją arogancką głupotą.

– Skoro jesteśmy przy bombach – podjął temat – czy to nie ciekawy zbieg okoliczności, że o początku aktywności Rabusiów Grobów możemy mówić od drugiej połowy 1961 roku? Jakoś niedługo po tej awanturze w pobliżu Kuby?

– To interesująca uwaga, John! – zawołał Cross, ale Stonebridge'a zainteresowała nie jego reakcja, tylko dziwny błysk w oczach Boman.

Bingo?

– Przeanalizujmy to – rozkręcał się Cross. – Amerykanie zorganizowali blokadę Kuby. Rosjanie próbowali ją przełamać. I...

– Możliwe, że chodzi o kubańskie uwarunkowania kulturowe, sir – wymyślił Boman. – Amerykanie mieli problem z rewolucją kubańską, ponieważ jej nie rozumieli. Może powołali ten swój komitet... Reaktywowali SfAA, bo dotarło do nich, że bez zbadania społeczeństwa kubańskiego i jego kultury nigdy nie obalą Castro.

– A wciągnęli niemieckich antropologów i magików, bo...? – nie zgodził się Stonebridge. – Co oni niby wiedzieli o Kubie?

– O Kubie może niewiele – nie ustępował Boman. – Ale wiele o manipulacji, tak jednostkami, jak i masami. To tylko kwestia przeniesienia metod. Wiele myślałem o tym, co powiedział ci Maslow, John. Oczywiście, próbował cię oszukać, ale mimowolnie naprowadził nas na właściwy trop. Sądzę, że Rabusie Grobów to element większej całości. Próby stworzenia mechanizmu, którego celem będzie manipulowanie opinią publiczną na całym świecie.

– Przez chiromantów?

– Czemu nie? Ile osób na świecie... tutaj, w Londynie, zaczyna lekturę codziennej gazety od horoskopu? Mówiłeś, John, że Polacy nie poszliby się bić o Szczerbiec. Poczytałem o waszej historii. Co byście zrobili, gdyby terroryści wysadzili wam Wawel? Co by zrobili muzułmanie, gdyby ktoś wysadził im Czarny

Kamień? A co zrobiłaby chrześcijańska czarna Afryka, gdyby ukazał jej się anioł? A Żydzi, gdyby ktoś podarował im Arkę Przymierza? Tak się przechwalamy bombami atomowymi, a pewnie ponad połowa ludzkości to niewolnicy przesądów.

– Punkt dla Bomana – ogłosił Briggs.

– To fascynująca teoria! – Cross aż klasnął. – Nie dziwię się, że właśnie ty na nią wpadłeś, Boman. W końcu kto wie więcej o przesądach od Hindusów? Panowie, jestem pewien, że wpadliśmy na nowy, wspaniały trop! Aż dziwne, że dopiero teraz!

„Bo nigdy wcześniej nie powiązałem Rabusiów z Kubą” – pomyślał Stonebridge. „I nie przycisnąłem Bomana do muru... Powiązaniem tego tematu z bronią atomową”.

Zastanawiał się, jak jeszcze uderzyć, by Boman zupełnie się odsłonił. Co z tego, że on był teraz przekonany, iż stary Hindus jest amerykańską wtyką. Nie miał tego jak udowodnić. Westchnął, czekało go wiele pracy. Cholerny wywiad państw cywilizowanych. W Rosji po prostu zaciągnęliby drania do piwnicy i do rana wszystko z niego wyciągnęli.

Zadzwoił telefon. Cross sięgnął po słuchawkę. Uśmiechnął się odruchowo.

– Oczywiście, moja droga – powiedział do słuchawki. Po czym wyciągnął ją w stronę Stonebridge’a. – John, twoja żona do ciebie. Zdaje się, że przecieka wam kran albo nastąpiła jakaś inna katastrofa, z którą żadna kobieta nie jest w stanie sobie poradzić.

„Potrafiłaby cię zabić łyżeczką do cukru. Na piętnaście sposobów”.

– Dziękuję, sir.

John wstał, odebrał słuchawkę od ciągle rozpromienionego pułkownika. Ponieważ Stonebridge znał ukryte znaczenie zwrotu „przeciekający kran”, było mu znacznie mniej wesoło. I wcale się nie zdziwił, kiedy usłyszał w słuchawce głos Danicy:

– Czekamy tu na ciebie obie – zaszczebotała słodko. – Nie zwlekaj.

– Zaraz będę. – Odłożył słuchawkę. – Miał pan rację, pułkowniku. Będę musiał pojechać, jeśli mnie pan zwolni, oczywiście. To powinno zająć tylko chwilę.

– Naturalnie! – Cross machnął ręką. – Bylebyś wrócił szybko!

– Oczywiście. Jeszcze tylko jeden telefon, sir.

Wykręcił numer, który znał na pamięć.

– Jednak będę potrzebował pomocy – oznajmił. – Przyda mi się też hydraulik. I może ślusarz. Mechanik samochodowy? Tak, może być.

Kiedy odkładał słuchawkę, zorientował się, że wszyscy patrzą na niego ze zdumieniem.

– To ma być naprawa kranu czy remont? – zapytał Cross.

– Wydaje mi się, że Anna narobiła nieco większego bałaganu – odparł.

Dotarł do domu taksówką w dwadzieścia minut. Zastanawiał się, czy tyle wystarczy. Rozejrzał się, nim ruszył w stronę drzwi. Wydawało mu się, że tęgiego faceta w czarnej marynarce z grubej wełny nigdy dotąd nie widział w okolicy. Przeszedł prędko przez jezdnię, wyciągając klucz. Otworzył zręcznie drzwi i przekroczył próg, starając się nie zastanawiać, co go zaraz czeka.

Był gotów i na cios, i na ból. A jednak nie było to przyjemne doświadczenie. Trafiony w tył głowy kolbą pistoletu poleciał do przodu, przed upadkiem na twarz uchronił się, podpierając się ręką. Zabolalo. Nie miał już, cholera, dwudziestu lat. Ktoś przyłożył mu zimną lufę do karku i rzucił:

– Nie wstawaj.

Ktoś inny wyjął mu prędko berettę z kabury. Wtedy ten pierwszy głos powiedział:

– Teraz możesz.

Ledwie wstał, a już pchnęli go w stronę salonu. Tam na swoim ulubionym fotelu siedziała Anna. Za nią stał jeszcze jeden typ, z podbitym okiem, podłym wyrazem twarzy i wielkim coltem w łapie.

– Przepraszam, kochanie – odezwała się Anna. – Dałam się zaskoczyć.

– No, tak źle nie było. – Danica siedząca na krześle zaraz obok Anny uśmiechała się od ucha do ucha. – Frankowi podbiła oko, a Justinowi rozkwasiała nos. Tygrysica z tej twojej żony, John.



Rozdział 26

6 czerwca, godzina 2.12, Kassel, 3 pluton 1 kompanii rozpoznania 1 Batalionu Szturmowego

– Skośni, jacyś czarni, baby... – wyliczał Kicio. – To ma być specnaz? Myślałem, że... – zawahał się. – Myślałem, że to tacy jak my.

Siedzieli we dwóch z Markiem w lewym skrzydle jakieś pół godziny po tym, jak obie grupy się spotkały i wymieniły podejrzliwymi spojrzeniami.

– Słyszałem, że u nich tak czasem bywa, międzynarodowo – odpowiedział Marek. – Rosja jest wielka jak kontynent, to mają tam ludzi różnych ras.

– Ale baby?

Na to Marek nie miał odpowiedzi. Odparł więc, jak umiał:

– Śpij już. Obudzę cię za godzinę.

Porozrzucano ich po całym „zamku”, który okazał się sztucznie wybudowanymi na szczycie wzgórza ruinami, żeby obstawić każdą część jego murów. Bo nie wiadomo, kiedy i jakimi siłami Niemcy – możliwe, że z amerykańskim wsparciem – mieli przypuścić atak. Kaszel zżymał się na takie postawienie sprawy. Jego zdaniem powinni wykorzystać nocne okoliczności oraz to, że przynajmniej jedna ścieżka była na razie wolna od strażników, i zwiewać. Radziecki major jednak nie chciał się z nim zgodzić.

– Przyślą po nas samolot – upierał się. – Po co się przebijać przez setki kilometrów, jeśli można je przelecieć?

– Gdzie wyląduje? Tu? Na pycie Herkulesa?

– Czternaście kilometrów stąd jest lotnisko.

– No to ruszajmy tam!

– Nie rozumiecie. Jest noc. Wezwaliśmy pomoc, nasi przylecą zdobyczym amerykańskim samolotem i spokojnie nas stąd wywiozą. Ale za parę godzin. Jak Niemcy przypuszczą atak i nikogo tu nie zastaną, ruszą naszym tropem. Na pewno na wszelki wypadek wzmocnią obronę lotniska. I wpadniemy.

– Więc po co wam jesteście?

Rosjanin uciekł wtedy wzrokiem. Kaszel zrozumiał, ale nadal chciał usłyszeć, żeby także jego chłopcy zrozumieli.

– Możliwe, że Niemcy też podciągną posiłki przez noc. Trzeba ich będzie od nas odciągnąć. Przypuście atak, osłonicie naszą ucieczkę i skierujecie pościg w przeciwną stronę.

Nawet Wronie zabrakło wtedy słów, by kazać się Kiciowi zamknąć, gdy ten zaczął bluzgać w odpowiedzi. Oczekali cierpliwie, aż skończy. Nawet ruscy ze specnazu. Po minach części z nich Marek zrozumiał, że też niekoniecznie im się taka sytuacja podoba. Nie aż tak, żeby zamienić się rolami. Tak głupi nie byli.

– Jednego nie rozumiem – spróbował Kaszel jeszcze raz, gdy już Kicio umilkł. – Dlaczego nie możemy odskoczyć teraz pod lotnisko, przycziąć się tam, poczekać na wasz pieprzony samolot, a w ostateczności dopiero wtedy rozpętać cyrk z uciekaniem i ściąganiem na siebie ognia, jeśli nas nakryją? Przecież i tak będziecie się musieli tam przebijać.

– Jest szansa, że nie. Mamy cywilne ciuchy i dobre papiery.

– To co tutaj robicie?

– Musieliśmy się przebijać, bo przyłapali nas na gorącym uczynku.

– Znaczą?

– Tajemnica.

Teraz to już zaklął nawet Wrona. Kaszel zgromił go spojrzeniem. A potem zwrócił się do Rosjanina:

– To wy spierdalajcie już teraz. A my tu posiedzimy, trochę was poudajemy. Postrzelamy przed świtem, takie tam. Tylko zostawcie nam amunicji, ile możecie.

Radziecki major miał tyle przyzwoitości, żeby nie udawać, że się zastanawia.

– Kim wy właściwie jesteście? – zapytał, ledwie dał swoim rozkaz do odwrotu. – Powiedziano nam, że przyjdą jacyś polscy komandosi, którzy są w pobliżu, ale to wszystko. Chciałbym wiedzieć, kto za mnie... – zawahał się. – Komu podziękować za wsparcie.

– Trzeci pluton pierwszej kompanii rozpoznania Pierwszego Batalionu Szturmowego – zameldował się Kaszel, stając na baczność i salutując.

– Pierwszy raz słyszę o takiej jednostce.

– Bo istniejemy od miesiąca. A ja jestem zastępczym dowódcą, bo właściwy utopił się trzy dni temu w Bałtyku – wyszczerzył się sierżant. – Nawet nie wiecie, towarzysze, jakie szczęście na was spadło!

– Szczęście... – Major się skrzywił. – Wszystko, co mogliśmy wam zostawić, znajdziecie tam. – Wskazał główną wieżę zamku. – Wiele tego nie ma, bo trochę tu postrzelaliśmy, ale... No nic, powodzenia, towarzysze!

I tyle go widzieli. Sprawdzili zapas amunicji, który okazał się dość mizerny. Szczęśliwie granatów było więcej. Przsiedli, rozdzielili stanowiska.

– Każda strona jest do dupy – streścił im sytuację Kaszel. – Dla nas. Od przodu mamy ich wprawdzie na widoku, ale oni też mogą się całkiem zgrabnie skradać tymi tarasami. Trochę osłony tam mają. Z pozostałych stron będą się podkradać między drzewami, jak my dzisiaj. Wzgórze nie jest strome, więc nawet nie złapią zadyszki, jak przypuszczą szturm. No dobra, z tyłu trochę stromizny jest. A potem czyste pole. To pewnie jedyna strona, której nie musimy się obawiać. Więc pewnie my będziemy tamtędy spieprzać.

– Na lotnisko? – spytał Topór.

– Taaa. W Düsseldorfie. Do samolotu Lufthansy ze zgrabniutkimi niemieckimi blondynami. Obudź się, Topór. Powtarzamy tę samą śpiewkę co dziś: przez bagna, lasami ze śmigłowcami nad głowami.

– Hej! – obruszył się Bruno. – Od rymowania jestem ja!

– No to zarymuj coś dla dodania otuchy.

– Wszystko do dupy, będą z nas trupy.

– Bardzo optymistyczne, dziękuję. Na stanowiska. Spróbujcie się trochę

przespać. Jeden śpi, drugi czuwa. I tak na zmianę. A my z kapralem pomyślimy, jak nas z tego wyciągnąć.

Spróbowali wykonać rozkaz, ale niespecjalnie im się udawało. Zwłaszcza Kiciowi.

– Mam pomysł – oznajmił.

– A już myślałem, że gorzej być nie może – jęknął Marek.

– Ale świetny – kusił Kicio. – Najlepszy na świecie. Taki życie najlepszych żołnierzy na świecie ratujący.

– Zapomnij. Nie zdezerteruję.

– Walnę cię. Jak będzie po wszystkim, walnę cię za takie gadanie. Zobacysz.

– Dobra, geniuszu taktyki. Mów, coś wymyślił.

– Jak żeśmy patrzyli na miasto przez lornetki, to na jednym fikuśnym skrzyżowaniu widzieliśmy umocnienia, nie? Siedziało tam dwóch gnojków na workach z piaskiem.

– Coś kojarzę.

– A kojarzysz piękny i lśniący od smaru karabin maszynowy, który się tam marnował?

– Chciałbyś go sobie pożyczyć, co?

– To jakieś trzy kilometry w jedną stronę.

– Raczej z pięć.

– Czyli chwilka.

– I nie wiadomo, ilu szkopów, których trzeba będzie przekonać, żeby oddali nam zabawkę.

– To na pewno patałachy.

– Wiesz, co ci powiem, Kicio? To jest tak głupie, że ma sens. Ale musimy z tym iść do Kaszla.

– Wolałbym mu zrobić niespodziankę. Wiesz, jaką będzie miał minę?

– Wolałbyś nie zobaczyć jego miny, gdy wpadnie tu z niezapowiedzianą wizytą i zobaczy, że nas nie ma. Rusz dupę, Kicio.

Perspektywa rozmowy z sierżantem najwyraźniej podobała się Kiciowi znacznie mniej niż perspektywa małego przekomarzania się z Niemcami. Powlókł się noga za nogą, a potem pozwolił przedstawić cały koncept Markowi.

– W życiu bym nie pomyślał, że właśnie ty, Kicio, zgłosisz się na ochotnika do przebieżki po całym dniu marszobiegu. – Kaszel pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ale sam pomysł mi się podoba. Tylko zostawcie karabiny.

– Mamy w szkopów rzucać szyszkami?

– Sam km będzie ciężki, a trzeba, żebyście wzięli jeszcze parę puszek z amunicją, inaczej cała ta wyprawa nie ma sensu. Więc bez karabinów będzie wam lżej. Zresztą macie jeszcze te szwabskie walthery. W razie czego użyjecie ich. W ostateczności. Bo jak zacnie się strzelanina... My wam nie pomożemy. Nim byśmy przybiegli, byłoby po wszystkim. No dobra. Ruszcie dupy, zanim się zrobi za jasno.

– Tak po prostu – mamrotał z niedowierzaniem Kicio, gdy skradali się wśród drzew ku drodze, którą przybyli. Ku ich zaskoczeniu trupy Niemców leżały w tym samym miejscu, w którym je zostawili. Nikt nie przyszedł sprawdzić, co z nimi.

– Ale wojsko – splunął Kicio. – Może po prostu wyjdźmy z zamku i ich pozagryzajmy?

– To jakieś dzieciaki. – Marek przeszukał zabitym kieszenie. Znalazł paczkę papierosów, zabrał je. – Pewnie prosto z poboru. Guzik wiedzieli o walce.

– Jak pomyślę, że siedzimy tu tylko, żeby pieprzony specnaz mógł uciec...

– Kicio, weź stul pysk.

– Awansik ci się marzy, co? Na kaprała? – zasyczał Kicio, ale zamknął się posłusznie.

Prawdę mówiąc, Marek się z nim zgadzał. Przebyli w ciągu dnia blisko sto kilometrów tylko po to, żeby dać się zabić dla uratowania jakiejś dziwacznej ekipy, która... No właśnie. Nie wiadomo, co tu robili ani jak wpadli w kłopoty.

Przecież spokojnie mogliby teraz uciec całym plutonem. Prawda, byli zmęczeni po całodniowym maratonie. Nawet tych parę godzin odpoczynku na „zamku” mogło być dla nich zbawieniem. Pod warunkiem że nie obudzą się rano otoczeni przez

dywizję pancerną.

Było już na tyle późno, że prawie nikt nie pałętał się po ulicach. Czasem jakiś domowy pies się rozszczękał, wyczuwając ich, ale jego zapał szybko gasiły przekleństwa obudzonych właścicieli. Na ławkach nie migdały się żadne parki, a wszyscy szczęśliwie pijani dotarli już do swoich domów.

– Żadnych patroli – narzekał Kicio. – Nic. Kurde, moglibyśmy podbić to miasto, po prostu zarzynając wszystkich mieszkańców w łóżkach.

Dotarli wreszcie do skrzyżowania na rogatkach. Po obu stronach drogi ułożono tam umocnienia z worków z piaskiem, oparte o ściany domów po obu stronach ulicy. Lufa km-u wystawała znad jednego z nich, celując w niebo. Obok niej mogli zobaczyć żołnierza palącego papierosa. Mówił coś do kumpla siedzącego za umocnieniami. Po drugiej stronie ulicy nie widzieli nikogo, ale nie mogli założyć, że strażników było tylko dwóch.

– Moim zdaniem po dwóch po każdej stronie – ocenił Kicio. – Jeden km ze wsparciem.

– Cholera, nie bardzo jest jak ich podejść. Z obu stron czysta droga.

– To może na beczela? Udamy pijanych. Pozataczamy się, pośpiewamy pijackie piosenki...

– A oni zrobią z nas tarcze strzeleckie. Inaczej, Kicio. Oflankujemy drani.

– To może jeszcze otoczmy ich we dwóch?

– Przecież nie musimy iść na wprost. Rozdzielimy się. Ty podejdziesz od strony parkingu. – Wskazał rząd samochodów zaparkowanych na małym placu po lewej. – Bułka z masłem, tam jest pełno drzew. Ja podczołgam się od prawej.

– Przez ten goły plac i czystą ulicę?

– Nie patrz za bardzo w tę stronę. Słuchaj, jak będziesz na parking, włamiesz się do pierwszego lepszego wozu. Zapuść silnik, wal w klakson, ile wlezie. Drzyj się, że cię rabują i mordują. To mi da czas, żeby ich dopaść. Bo nie ma siły, żeby się na ciebie nie zagapili. Dam w łeb jednemu czy drugiemu, zanim zauważą. Jak będą inni, też powinienem zdążyć poczęstować ich nożem.

– Genialny plan. Najbardziej mi się podoba, że taki cichy.

– Masz lepszy pomysł?

– Wracajmy do zamku i powiedzmy, że się nie udało. To nie będzie kłamstwo, bo jak wrócimy, to naprawdę się nie uda.

– Zasuwasz, Kicio.

Marek nie tracił czasu na odprowadzanie kolegi wzrokiem. Czołgał się własną ścieżką, rzeczywiście trudniejszą, bo całkiem odsłoniętą. Z nieznaney przyczyny żaden samochód nie zaparkował z tej strony, ulica była pusta. Może Niemcy planowali ustawić tu ciężarówki? Albo już szykowali sobie drogę do odwrotu. Jakkolwiek by było, Marek dziękował Bogu, że niemiecki strażnik okazał się nałogowym palaczem. Odpalał papierosa od papierosa, a ich ogniki z pewnością nie wpływały korzystnie na jego widzenie w ciemnościach. Do tego bez ustanku gadał o swoich podbojach miłosnych. Marek starał się go nie słuchać, trudno jest zabić kogoś, kto okazuje się po prostu jeszcze jednym młodym kretynem, takim samym jak wszyscy inni młodzi kretyni na całym świecie.

Może wystarczy, że da mu w łeb?

Stanowczo za szybko trzasnęły drzwi gdzieś na prawo. Rozbłyśły reflektory mercedesa, na szczęście nie liznęły Marka, ale przejechały po murach, gdy Kicio zawracał, aż wreszcie wystrzeliły prosto w twarze zaskoczonych wartowników. Nawet jeśli pomyśleli o dobytciu broni, odruchowo podnieśli ręce do oślepionych oczu.

Teraz!

Marek zerwał się do biegu. Wyciągnął walthera z kabury. Policzył ciemne postacie w strumieniach podjeżdżającego powoli do posterunku mercedesa. Trzy. Trzech, o ile jeden nie okazał się mądrzejszy i się gdzieś nie chowa.

Jeszcze nie słyszeli nadbiegającego Marka, ale już ocknęli się na tyle, by sięgnąć po broń. Zaraz wycelują ją w samochód.

– Stać! – Marek dobiegł na tyle blisko, by dosłownie wbić lufę walthera w krzyż najbliższego z Niemców, zdaje się, że tego palacza. – Rzuć broń! – rozkazał po niemiecku i nie wiedząc właściwie dlaczego, dodał, że są otoczeni.

Poddali się zaskakująco łatwo, wręcz ochoczo. Posłusznie położyli się na ziemi,

dali się związać i zakneblować. Kiedyś może poczują wstyd, ale teraz wyglądali na zadowolonych, że mają z głowy odpowiedzialność. Albo tak jak Marek i Kicio jeszcze dwa dni temu nikogo dotąd nie zabili i nagle odkryli, że wcale nie spieszy im się do tego doświadczenia.

Na pewno byli na tyle durni, żeby wierzyć, że napastnicy nie zabiją ich, gdy już będzie po wszystkim. Na ich szczęście napastnicy wykazali się podobną głupotą. Choć Kicio przejechał znacząco palcem po gardle. Marek pokręcił głową.

– Ty to masz jednak miękkie serce. Ciekawe, co powiesz jutro, jak ci będą do nas strzelać.

– Ci trzej raczej nie. – Pomógł Kiciowi załadować na tylne siedzenie mercedesa KM MG 1A2 i – niestety – tylko dwie puszkę amunicji. – Ci wylądują w karczerze za utratę broni.

– Ty, patrz, co oni tu mają. – Kicio schylił się po broń Niemców. – Rany boskie, co to za zabytki? – Podniósł do oczu karabin mausera pamiętający jeszcze drugą wojnę światową. Przeszukał też ich kieszenie i aż westchnął z zachwytu, gdy u jednego znalazł kanapki. – Nie dziwię się, że nie chcieli walczyć. To jakieś pospolite ruszenie, a nie prawdziwe wojsko. Coś tak zamilkł? Patrz, jakie muzeum!

– Spieprzamy, Kicio – powiedział dziwnie zmienionym głosem Marek. – Powoli, po cichu, ale spieprzamy.

– Bo co?

– Bo to! – Chwycił kolegę i wskazał mu drogę spływającą ze wzgórza za miastem. Sądząc po długim szeregu świateł, ciągnęły nią dziesiątki ciężarówek.

Przejechali przez miasto najszybciej, jak się dało, przy pracującym mocno silniku. Porzucili jednak samochód na kilometr przed zamkiem. Bali się kusić los. Wytaszczyli km na zamek.

– To wszystko jedno wielkie dziadostwo – tłumaczył Kicio sierżantowi, montując karabin od frontu, gdzie pole rażenia było największe. – Moglibyśmy tak biegać tam i z powrotem do samego rana, a te patałachy by się nie zorientowały. To jakiś cyrk!

– Może i tak. – Kaszel wydawał się poważniejszy niż zwykle. – Ale kiedy wy

wybraliście się na wycieczkę, my znów nawiązaliśmy łączność z centralą. Mamy zrobić wszystko, żeby tamci ocalili. Nawet za cenę naszego życia. Więc siedzimy tu, odwracamy uwagę i dajemy im szansę, żeby mogli skutecznie udawać ewakuujących się z ogarniętego wojną miasta niemieckich oficjeli.

– Niemieckich oficjeli? – powtórzył Kicio. – Szef ich widział? Tych skośnych Aryjczyków?

– Stul pysk, Kicio – zirytował się wreszcie Wrona. – Zamierzasz pyskować do samej śmierci?

– Spróbuję, obywatelu kapralu. Bo to, zdaje się, już całkiem niedługo.

* * *

– Ściągnęli chyba całą kompanię – ocenił Wrona, przyglądając się zbliżającym się ostrożnie do zamku żołnierzom. – Potraktowali nas poważnie. To Amerykanie. Marines.

– O nas nie wiedzą – uśmiechnął się krzywo Kaszel. – To specnaz potraktowali poważnie.

– Co oni tu robili? – Wrona nie mógł się pogodzić z tym, że zginie, nie wiedząc, o co walczy. – Widziałeś ten tajemniczy pakunek, który nieśli, jakby to było dziecko samego Chruszczowa?

– Tę tubę? Ta wielka baba sprawiała wrażenie, jakby chciała mnie zastrzelić tylko za to, że na to spojrzałem. Nie wiem, może to jakaś eksperymentalna rusznica przeciwpancerna albo model pocisku?

– Mam kuzynkę na ASP – pochwalił się niespodziewanie Wrona. – Ona w podobnych wozi obrazy. Zwinięte w rulon.

– Obraz?

– No, tak to wyglądało.

– W takim razie to musiałyby być zaginiony autoportret Adolfa. Nic innego podobnej wagi nie przychodzi mi do głowy. Patrz, Wrona, wysłali koleś z białą flagą. Chyba poszli po rozum do głowy i chcą się poddać.

Trzech żołnierzy podjechało jeepem do stóp wzgórza. Potem wspięli się ścieżką wzdłuż spływającego kaskadami strumienia. Zatrzymali się jakieś sto metrów przed zamkiem, wtedy najstarszy stopniem, choć najniższy, wydarł się przez megafon łamanym rosyjskim, że najlepiej będzie zachować rozsądek i uniknąć rozlewu krwi. Doceniają, dodał, że nie zabito żołnierzy, którym ukradziono km.

– Radziu – szepnął Kaszel – nasłuchujesz?

– Nie mam sygnału, że odlecieli.

– Chyba byśmy się nie poddali. – W głosie Wrony dało się słyszeć wzburzenie.

– Chyba rzeczywiście nie – przyznał Kaszel. Zwlekał z odpowiedzią, bo nie bardzo miał pomysł, jak jej udzielić. Nie szkolono go na dyplomata. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wysłać do Amerykanów Brunona, żeby im porymował.

Nie, to już byłaby przesada.

Wstał, by go zobaczyli. Poprawił bordowy берет. Niech się zdziwią.

– Należymy do Ósmej Kompanii Czwartej Brygady Pancерnej imienia Józefa Stalina – oświadczył po angielsku, bo męczył go ich kaleki rosyjski. – W tej chwili jedzie ku wam czterdzieści naszych czołgów ze wsparciem dwudziestu dwóch nowoczesnych wozów pancерnych i osiemnastu helikopterów bojowych. Do tego z południowego wschodu nadciąga Dwudziesta Ósma Dywizja Artylerii imienia Feliksa Dzierżyńskiego i Sto Pięćdziesiąta Dziewiąta imienia Bohaterów Stalingradu. Bardzo podoba nam się wasz apel o rozsądek, towarzysze Amerykanie. Sugerujemy wam, żebyście się poddali.

Zyskał przynajmniej parędziesiąt sekund, nim tamci pokonali konsternację.

– Bardzo zabawne, generale – odezwał się wreszcie kurdupel z megafonem. – A może marszałku? Słuchajcie, kimkolwiek jesteście, nie macie szans. Ale pozwolimy wam odejść, jeśli oddacie, coście zrabowali.

– Za nic nie oddam mojego walthera! – zaprotestował ze swojego stanowiska Kicio.

– Km-u też nie! – poparł go Marek. – Ale chętnie oddam im całą ukradzioną amunicję. Seriami.

Rzeczywiście, uświadomił sobie Kaszel, nic więcej nie kradli. Nie licząc

radiowozów, ale te zniszczyli Amerykanie.

Tyle że dla tych na dole oni byli cholernym specnazem.

– A o którą konkretnie naszą zdobycz chodzi? – zapytał. – Tyle było tego po drodze...

Znów wywołał konsternację tego na dole. Może tego też nie wiedział?

– Szkoda, że nie chcecie być rozsądni – zrezygnował z negocjacji kurdupel i zachowując tyle godności, ile zdołał, pospiesznie zszedł ze wzgórza.

A pięć minut później zaczęła się jatka.

Najpierw zagrały moździerze. Pierwsze salwy nie wstrzelały się, wyrwały nieco ziemi pod zamkiem. Następne uderzyły w mury, wgrzając się w nie stanowczo zbyt głęboko.

„To nie miał być prawdziwy zamek obronny” – przypomniał sobie Kaszel. „To tylko kupa kamieni poukładana na pokaz. I zaraz się to wszystko rozsypie”.

Na szczęście ostrzał Amerykanów też był głównie na pokaz. Większość pocisków przeniosło albo nie doniosło. Zrujnowały zadbane niemiecki park, popsuły symetrię zamkowych murów, ale nikomu nie zrobiły krzywdy.

– Idą od tyłu! – zameldował Wrona. – Dwa plutony!

Przywitali ich ostrożnym ogniem z AK 47. Trzeba było oszczędzać amunicję. Na szczęście Pierwszy Szturmowy nie jest zwyczajną piechotą, ćwiczyli strzelanie więcej niż jakiegokolwiek inne oddziały. Amerykanie musieli się wycofać, zostawiając w polu pięciu swoich. Przegrupowali się, odczekali chwilę i znów zaatakowali, tym razem z czterech stron równocześnie. Kicio z Markiem zatrzymali atak od tarasów jedną krótką serią km-u. Amerykanie przypadli do ziemi, chronili się za kamiennym podmurowaniem. Odgryzali się ogniem niemrawo, choć Kicio oszczędzał amunicję.

Kolejny atak od tyłu Bruno z Mrużewskim zatrzymali parunastoma celnymi strzałami. Gorzej było po bokach, gdzie atakujący korzystali z osłony drzew. Zirytowany Topór obrzucił tych na prawym skrzydle i w ten sposób ich spowolnił. Wrona na lewym wziął z niego przykład. Nie pchali się więcej pod ogień, ale prowadzili stały ostrzał. Niecelny, lecz irytujący.

– Piętnaście minut heroicznej obrony – podsumował Kaszel. – Trucht, jak tam?

– Cisza – oparł radiotelegrafista.

– Burza przed nami! Jadą jeepami z km-ami! – zameldował Bruno. Kaszel zaklął, przebiegł na stanowisko poety. Rzeczywiście, pięć jeepów z km-ami zamontowanymi w miejsce tylnego siedzenia zasuwało zygzakami po najłagodniejszym zboczu. Zatrzymali się poza zasięgiem skutecznego trafienia z kałasznikowa i rozpoczęli systematyczny ostrzał. Kaszel zanurkował pod osłonę, jaką dawał mur, gruz osypał mu się na głowę. Zastanawiał się, jak długo wytrzymają taki ostrzał te sztuczne ruiny.

– Możemy im się odgryźć! – zaproponował Kicio, znacząco poklepując lufę MG 1A2. I zaraz zaklął, bo Amerykanie podciągnęli pod tarasy dwa swoje km-y i z nich też zaczęli szyć. Bez wielkiego powodzenia. Bojąc się podejść zbyt blisko, dostrzelali ledwie do zamkowych murów. Jednak Kaszel zdawał sobie sprawę, że jeśli przeniesie km-a na tył, tamci podejda bliżej. Ale co innego mógł zrobić?

– Dawaj, Kicio! – polecił. – Bruno, Mrużewski, przejmujecie tarasy! Już!

Sam musiał wspomóc Wronę na lewym skrzydle, bo tam Amerykanie wzmoгли atak. Przypadł obok kaprała, wychylił się ryzykownie i pociągnął długą serią, wrzeszcząc, jakby faktycznie sam jeden chciał udawać z pół kompanii.

Dwadzieścia minut. A już wystrzelali tak z ćwierć amunicji. Za jego plecami zagrał km Kicia. Zdaniem Kaszla w tym tempie starczy mu pocisków na kolejne dziesięć minut prowadzenia ognia.

– Sierżancie! – wrzasnął Trucht. – Dotarli. Nadają z samolotu. Lecą! Udało się!

Znów rozwrzeszczały się moździerze.

– Dorwałem! Dorwałem jednego skurwysyna! – cieszył się Kicio.

– Moździerzami nas nie dojdą, ale mogą zawalić tę kupę gruzu – mruknął Wrona. – A ja mam jeszcze aż dwa granaty. Powinniśmy się stąd zabierać w cholerę.

– Tylko jak?

Strome zbocze na prawej flance dawało im jakąś szansę. I chyba tylko ono.

– Kicio, Młody, walcie, ile wlezie! – zdecydował sierżant. – Wyłączcie tyle jeepów, ile zdołacie. Bruno, wal w tych swoich, ile dasz radę. Wrona, bierzesz

pozostałych, przebijacie się prawym skrzydłem. Oflankujecie tych gnojów grzejących do nas od tyłu. Jak tylko otworzycie ogień, my spadamy. Już!

Sam bronił teraz lewego skrzydła, na którym Amerykanie robili się coraz bezczelniejsi. Przypomnieli sobie o szkoleniach, a może w końcu nauczyli się czegoś, bo kiedy połowa z nich kładła ogień osłonowy, pozostali przemykali się między drzewami, byle bliżej. Dwóch zapłaciło za to życiem, ale w końcu musieli się przebić do tymczasowej twierdzy Polaków.

Gwałtowna wymiana ognia na prawym skrzydle dała Kaszlowi znać, że Wrona z entuzjazmem przystąpił do wykonania zadania.

– Druga skrzynka! – zameldował Kicio, gdy km na chwilę zamilkł. – Ale zdjęliśmy dwa jeepy!

Kaszel zerknął na zegarek. Bronili się już trzydzieści pięć minut. Cholera, to oni powinni przygotowywać zasadzki i wyciągać kumpli z oblężenia, zamiast w nich tkwić. Jak wpakowali się w tę kabałę? Aha, zdaje się, że na ochotnika. Kurde, nic się nie zmieniło od czasów Lenino. Ale wtedy przynajmniej był gówniarzem wierzącym we własną nieśmiertelność.

Kanonada na prawym skrzydle ucichła. Wrona się przebił albo zginął. Zaraz się przekonają.

Usłyszał jęk po swojej prawej. Obejrzał się. Bruno. Poeta zwinął się wpół, pojękiwał. Próbował wstać, zapewniał, że nic mu nie jest, i przeproszał, że mu nie wyszło... Pierwszy raz, odkąd sierżant pamiętał, nie rymował.

– Młody! Tarasy! – wrzasnął Kaszel.

Marek usłyszał go jakimś cudem. Klepnął Kicia w ramię, przebiegł obok Bruna, opanował chęć, by się nad nim pochylić, pomóc. Nie było czasu. Dopadł stanowiska w ostatniej chwili. Pięciu marines już dobiegało do bramy. Nie kombinował już z oszczędzaniem amunicji, pociągnął po nich wredną, brutalną serią. Zdjął trzech. Czwarty rzucił się do ucieczki i dostałby w plecy, ale zamek karabinu Marka szczękniętą głucho. Pięknie, ostatni magazynek, a tam po schodach pewnie kowboj sady już susy najdłuższe, jak potrafi, żeby pociągnąć ich przez plecy.

– Trzeci! – cieszył się jak dziecko Kicio. – Trzeci jeep leży!

Marek minął go pędem, wrywając walthera z kabury. Odbezpieczył w biegu, wpadł na schody i prawie zderzył się z Amerykaninem. Czas zwolnił. Obaj unosili lufy nieznośnie powoli, ale droga pistoletu była krótsza. Trzy krwawe plamy wykwitły na torsie tamtego. Krzycząc, poleciał do tyłu. Czas znów przyspieszył. Marek chciał zawrócić, ale już pędzili ku niemu Kaszel z Kiciem.

– Wrona czyści przedpole! – krzyknął sierżant. – Spadamy!

– Bruno...

– Już nie porymuje. Pędem!

Wypadli z zamku, modląc się, by tamci zbyt szybko się nie zorientowali, że w twierdzy nikogo już nie ma. Wbiegli między drzewa, skręcili w prawo, gdzie Wrona kończył robotę.

– Przestraszyli się i zwiewają – zameldował. – Chyba sądzą, że to posiłki. Możemy spieprzać.

– Może samochodem? – zaproponował Kicio. – Jeden z jeepów jest chyba na chodzie. Zabiłem tylko załogę.

– Bierz go! – polecił Kaszel. – My spadamy w dół drzewami. Jak go uruchomisz, to wsiądziemy. Jak nie...

Wszyscy wiedzieli: żegnaj, Kicio.

– Młody, ty dokąd? – powstrzymał odruchowo ruszającego za kumplem Marka.

– Dam mu osłonę z tego km-u na pace, sierżancie.

– No to wal. Do zobaczenia!

Marek nie sądził dotąd, że potrafi biegać tak szybko. Choć jak przystało na najwyższego w kompanii, miał najdłuższe nogi, to biegacz był z niego średni. W szkole przegrywał na krótkich dystansach, bo zanim dobrze się rozpędził, ci niżsi już docierali do mety. Wojsko trochę to zmieniło, ale ciągle trudno było uważać go za sprintera.

A teraz... Po raz pierwszy w życiu doświadczał, co znaczy naprawdę biegać, prawie upojnie. Niemal frunął po nierównym, porośniętym śliską o tej porze trawą wzgórzu. Wydawało mu się, że dostrzega cienie Amerykanów wbiegających na

mury, że słyszy ich głosy, ale to było przecież niemożliwe, nie patrzył tam, nawet nie zerkał, bo bał się, że przez to zwolni, że byle zbędny ruch wytrąci go z tego wspaniałego rytmu.

Omiał przez to nie wpadł na Kicia mocującego się z kierownicą wozu. I omiał nie zginąć, bo Kicio odruchowo wycelował w niego zdobyczego walthera.

– Ty! – krzyknął zaskoczony. – Co tu robisz?

– Oślaniam cię.

Wskoczył na pakę, zrzucając równocześnie trupa, który wciąż opierał się o korpus browninga. Przypomniawszy sobie, co Kicio mówił wczoraj o pozostawianiu przy życiu wrogów. Wiele się może zmienić przez kilka godzin. Szarpnęło, gdy ruszyli. Marek podskoczył, a lufa km-u wyrwała pod niebo. Chwycił mocniej broń, w samą porę. Dwa ostatnie jeepy zawracały w ich stronę. Puścił krótką serię, nie licząc, że trafi. Chciał ich tylko przestraszyć, zatrzymać. Karabin szarpnął się wściekle w jego rękach. Co za bestia! Ponieważ pierwsza seria nie zniechęciła Amerykanów, wystrzelił następną.

– Nie marnuj amunicji! – ofuknął go Kicio.

Nie marnował. Musiał zniechęcić tamtych, żeby zyskać kilka sekund, gdy zatrzymają się pod zagajniczkiem, gdzie pozostali wskoczą do wozu. Gdzie i jak się pomieszczą, nie wiedział.

Kicio właściwie nie zahamował, zwolnił tylko, trąbiąc z całych sił. Wskoczyli prędko, najpierw Topór, potem Mrużewski, Wrona, Kaszel.

– A radio? – zapytał Kicio.

– Nie ma radzia – wrzasnął Wrona. – Ruszaj.

„To nie powinno tak być” – pomyślał Marek. „Że nasi giną, kiedy nie widzę”.

Nim wyjechali na ulicę, trzęsło nimi tak, że Wrona z Kaszlem, którzy raczej wisieli na samochodzie, niż w nim siedzieli, omiał nie pospadali. Nie pomagało im, że Kicio brał zakręty jak szalowiec, by uniknąć ostrzału, a to ze ścigających ich jeepów, a to zza blokad urządzanych *ad hoc* przez policję.

– Kiepsko strzelasz! – darł się na Marka. – Ja zdjąłem trzy jeepy, a ty co?

Marek nie odpowiadał. Próbował wycelować, ale wariackie manewry Kicia sprawiały, że ilekroć wydawało mu się już, iż ma któregoś ze ścigających na celowniku, cały samochód skręcał nagle niemal w miejscu albo podskakiwał gwałtownie.

W pewnym momencie zrównał się z nimi jakiś rozpędzony radiowóz. Policjant, najwyraźniej jakiś porządnie bez wyobraźni, chciał najpierw opuścić szybę, nim pośle serię z automatu. Marek wykorzystał to i gwałtownie obrócił browninga ku niemu. Tamten zbladł, gdy zobaczył wycelowaną w siebie wielką lufę. Wrzasnął przeraźliwie i jego kierowca zahamował gwałtownie. Pożytek z tego był taki, że jadący tuż za nim wojskowy jeep nie wyrobił i wbił się weń z hukiem miazdzonego metalu.

Został tylko jeden. I wataha motocyklistów przybyłych nie wiadomo skąd. I inne wozy policyjne. I, jak zorientował się Marek, śmigłowiec, który nie wali do nich z pokładowych km-ów tylko dlatego, że pędzili właśnie przez centrum miasta. Przechodnie uciekali z krzykiem albo zamierali, ze zdumieniem patrząc na niezwykle widowisko.

– Teraz patrzcie! – zaniósł się śmiechem szaleńca Kicio. Nie przestając trąbić, wjechał na plac, zrównał się z tramwajem, po czym wyprzedził go i zakręcił gwałtownie, wyprzedzając pojazd, którego motorniczy prawdopodobnie zszedł w tym momencie na zawał, próbując zahamować.

– I tak ich zgubiliśmy – cieszył się Kicio. – Zestrzel ten cholerny śmigłowiec!

Marek chętnie posłuchał. Celując w niebo, nie musiał się przejmować cywilami. Pilot chyba to zrozumiał, bo poderwał gwałtownie maszynę, widząc, że lufa browninga kieruje się ku niemu. Marek jednak nie wystrzelił, bo Kicio zmienił zdanie.

– Blokada! – rozwrzeszczał się. – Rozpieprz tę cholerną blokadę!

Dwa wozy policyjne blokowały trasę, a nie było już gdzie skręcać ani jak zawrócić.

Teraz to Marek omal nie spadł, obracając browninga tak gwałtownie, że właściwie zawisł na tyle samochodu. „Jak strzełę, odrzut mnie wyrzuci!”. Mimo to

strzelił. Potężna seria rozpruła masę jednego z samochodów, ale wiele to nie dało. Tylko skryci za nim policjanci rzucili się do ucieczki.

Sekundę, dwie później wóz eksplodował. Przód znalazł się w górze i właśnie wtedy wjechał weń rozpędzony, drący się z całych sił Kicio. Odrzucił uderzeniem opadający płonący samochód, ale wstrząs zrzuciłby Marka, gdyby ten kurczowo nie trzymał się karabinu. Widział, jak Wrona wypada z wozu prosto w płomienie i jak w ostatniej chwili wciąga go do środka Topór. Nos wstrząśniętego kaprała ominął wrak radiowozu o milimetry.

Wypadli na prostą, szeroką drogę ku granicy miasta. Chwilowo nikt ich nie ścigał, ostatni jeep wolał zostać po drugiej stronie barykady.

Za to nagle zza budynków wyskoczył śmigłowiec, ustawił się bokiem, by zapewnić strzelcowi dobrą pozycję. Tutaj, poza zabudowaniami, pilot miał już mniej skrpułów. Marek na powrót odwracał browninga, świadom, że robi to zbyt powoli, że tamten miał przewagę na starcie. I cóż, że czas znów dla niego zwolnił. Wydało mu się, że przez to widzi tylko lecące ku niemu pociski wyrrywające dziury w asfalcie na prostej, zmierzającej ku jeepowi. Wybuchwały coraz bliżej i bliżej, prawie szarpały tylny zderzak. A lufa browninga wciąż była zbyt na prawo. „Zginę” – pomyślał Marek i byłaby to prorocza myśl, gdyby Kicio nie znudził się w tej chwili prostą jazdą. Zahamował gwałtownie, na ręcznym. Pociski ze śmigłowca poszły bokiem, a Marek zdobył cenne sekundy, by wycelować wreszcie i odpowiedzieć ogniem. Wydało mu się, że trafił, ale nie dostrzegł widocznych efektów. Tyle że pilot szarpnął maszyną i znów uciekł w górę.

– Kicio, ty... – ryczał Wrona, którego tym razem siła hamowania wyrzuciła z samochodu. Szczęście, że wypadł na trawę na poboczu, nie na asfalt.

– Tam! – Kicio wskazał ruch na drugim końcu drogi. – Tam!

Czołgi. Znowu cholerne pattony. Tym razem nie jeden, ale trzy. Może kilometr przed nimi zasuwały, ile fabryka dała, prosto na nich.

– Wsiadaj! – wrzasnął Kicio na Wronę. – Uciekniemy wertepami! W las!

Usłyszeli głuchy huk, to salwę oddał pierwszy z czołgów. Pocisk przeleciał ze świstem nad ich głowami, wybuchł dobre czterdzieści metrów dalej.

– Szybciej! – poganiał Kicio kuśtykającego ku nim Wronę. – Zanim się wstrzelą! Terkot km-u od strony miasta uświadomił im, że ostatni wrogi jeep pokonał już blokadę. Także śmigłowiec zawrócił.

Kaszel zeskoczył z samochodu, pomógł Wronie, podczas gdy Marek starał się wyłączyć z walki zbliżającego się i ostrzeliwującego ich jeepa. Kicio wrzeszczał, przeklinał, wciskał klakson jak szalony, ale nie ruszył, póki nie zobaczył, jak Mrużewski z Kaszlem pomagają Wronie wsiąść na wóz. Topór wyciągał rękę ku sierżantowi, ale następny wystrzelony z czołgów pocisk trafił zbyt blisko, ledwie dziesięć metrów od zdobycznego jeepa. Podmuch pchnął Topora prosto na Kicia, który z wrażenia nacisnął pedał gazu. Odrzucony na ulicę Kaszel został z tyłu.

– Stój! Stój! – darł się Mrużewski, ale wciąż trochę oślepiiony, trochę ogłuszony Kicio nie miał pojęcia, co się dzieje, i gnał prosto, przez pobocze. Kaszel nie gonił za nimi. Machnął ręką, żeby uciekali, a sam rzucił się w krzewy po drugiej stronie drogi. Wszyscy krzyczeli i żaden nie bardzo miał głowę słuchać drugiego. Marek skupił się na jeepie i zupełnie zapomniał o śmigłowcu, który w tej właśnie chwili zawisł tuż przed nimi. Pierwsza seria poszła nad nimi, zmasakrowała asfalt na drodze. „Druga będzie celniejsza” – pomyślał Marek. A Kicio, jak nie on, tym razem nie manewrował, ale gnał prosto przed siebie.

I wtedy lotnictwo Układu Warszawskiego odwróciło kartę. Rycząc przeraźliwie, trzy myśliwce MiG-17 uzbrojone dodatkowo w bomby przemknęły nad drogą, zmieniając nadciągające czołgi w mieszaninę ognia i stali. Zawróciły, poprawiły! Wrogi śmigłowiec uznał, że lepiej będzie zniknąć. Także drugi wrogi jeep rzucił się do ucieczki.

– Wiwat nasi! – wrzasnął Mrużewski na widok czerwonych gwiazd na skrzydłach. Kolejne trzy samoloty wyłoniły się spomiędzy chmur, pędząc wprost na nich.

A do Marka coś dotarło.

Siedzieli w amerykańskim samochodzie.

Czym prędzej zeń zeskoczył.

– W nogi! – krzyczał. – Spierdalać! Oni myślą, że jesteśmy Amerykanami!

Kicio, z wrodzonym talentem do wpadania w panikę, zrozumiał. Kaszel zdołał odciągnąć Topora. Ale Mrużewski stojący wciąż na jeepie dopiero opuszczał ramiona, którymi machał na powitanie niespodziewanej odsieczy, kiedy bomba trafiła w sam środek samochodu, w mgnieniu oka zmieniając sanitariusza w krwawą miazgę, której strzępy spłonęły w ułamkach sekundy.

Marek, który widział to po swojemu, w zwolnionym tempie, wrzeszczał ze zgrozy i bezsilności, wściekły na tak głupią śmierć Mrużewskiego z ręki swoich, gdy byli o włos od ratunku. Krzyczał i krzyczał, aż coś ciężkiego i gorącego trafiło go w pierś. Poleciał do tyłu, grzmotnął głową o asfalt i świat dla niego zgasł.

* * *

Gdzie jestem?

Wydawało mu się, że powiedział to na głos, ale nikt nie zareagował. No to powtórzył, głośniej, by przyciągnąć uwagę tych rozmazanych postaci, które stały wokół niego. Pomyślał, że chyba podmuch musiał odrzucić go na trawę, bo było mu dziwnie miękko. Jakby leżał w łóżku, a nie na szosie czy może jej poboczu.

– Leż! – powstrzymała go jedna z rozmazanych postaci, chyba Kicio, sądząc po głosie. – Chłopaki! Nic mu nie jest, ocknął się!

I nagle stanęli przy nim. Kicio, Kaszel, Topór i Wrona.

– Co się stało? – wychrypiał Marek.

– Jak już towarzysze broni nas prawie pozabijali, to nas odratowali – pospieszył z wyjaśnieniem Kicio. – Front ruszył, bracie! Siedzimy w szpitalu w Lipsku i wyrywamy pielęgniarki. Niemki, ale ujdą. Wrona to nawet się chyba w takiej jednej...

– Stul pysk, Kicio!

– Co ze mną?

– Nie uwierzysz, koło zapasowe wywalone eksplozją trzasnęło cię w pierś. Płonące koło. Cud, że żyjesz, żebra masz połamane, łeb trochę rozwalony. Wstrząs mózgu też, ale z twoim mózgiem to żadna strata. Pojutrze będziesz tańcował. A nasi

już kombinują, dokąd wysłać takich zuchów jak my.

– A Mrużewski?

– Nie ma Mrużewskiego, Brunona, Zygmunta, radzia... – wyliczył Kaszel. – Siedzimy tu na dupach i czekamy na uzupełnienia. Na razie się włoką. Ale nie przyzwyczajaj się do lenistwa, Młody. Kicio ma rację, jak tylko dostaniemy uzupełnienia, wyślą nas do akcji. Porucznik Konaszewski coś tam nieoficjalnie przebąkiwał o Hiszpanii. Co się szczerzycie? Na plaże nas nie wyślą! Ofensywa idzie na razie pięknie, ale dowództwo chce znowu mieć swoich zwiadowców i dywersantów na tyłach wroga.

– Bo jesteśmy za dobrzy – nadął się Kicio. – Odnieśliśmy sukces i sztabowcy uwierzyli, że możemy wszystko. Pewnie każą nam zaraz porwać amerykańskiego prezydenta. A jeśli o mnie chodzi, to z moim najlepszym kumplem Młodym chcemy odtąd już tylko ubezpieczać szpitale. Ale tylko takie z rosyjskimi sanitariuszkami, bo te ładniejsze... A jak znam życie, to nas zaraz wyślą w jakąś niewykonalną misję do Eskimosów, gdzie trudno odróżnić babę od faceta. Bo my to normalnie jesteśmy pluton frajerów...

– Stul pysk, Kicio! – zawołali wszyscy równocześnie. I wtedy właśnie, choć bolało go w piersiach od samego śmiechu, Marek uwierzył, że jednak przeżyje. Przynajmniej do następnej akcji.



Rozdział 27

6 czerwca, godzina 3.22, Kassel, oddział GROZBA

– *Mister colonel! Mister colonel!* – Swietłana darła się jak opętana, wpadając niemal w objęcia osłupiałego amerykańskiego kapitana. – *Help! Please, help us! Soviet bandits! Soviet bandits!*

Andrzej Swoboda zastanawiał się, czy jego dowódca, rekrutując członków zespołu, specjalnie dobrał tych, którzy oprócz fachowej wiedzy, niezwykłych umiejętności i znajomości języków posiadali dodatkowo talenty aktorskie. Wcześniej w kawiarni Helga, teraz tu, pod zamkiem, Swietłana, odstawiały kino na miarę Oscarów.

Kiedy opuścili stanowisko bojowe Polaków, nie mieli za bardzo pojęcia, co zrobić. Po krótkiej naradzie postanowili wrócić do zamku i udawać ściganą przez sowieckie siły grupę muzealnych pracowników, konserwatorów sztuki i historyków. Upadła koncepcja Swobody, żeby znów zamienili się w zagubionych turystów, ponieważ wyrzucili wcześniej cały sprzęt oraz dokumenty, które miały taką maskaradę uprawdopodobnić. Mieli za to komplet dokumentów w teorii ułatwiających im skok na muzeum, który miał być cichy i bez zbędnych fajerwerków. Riebrow wyznaczył też do akcji osoby „mówiące”, czyli te, które będą z Amerykanami rozmawiać. Wszyscy w oddziale dobrze mówili po niemiecku – grupa od początku była przygotowana do działania na wrogich terytoriach blisko Polski – co było oczywiste dla ludzi mających pracować w niemieckim muzeum. W języku angielskim mówiła mniej więcej połowa oddziału, w tym sam Swoboda. Tuż przed wzruszającą i w pewnym sensie dramatyczną sceną ratowania zbiegów przed radzieckimi barbarzyńcami Riebrow nakazał oddziałowi przybrudzić i poobdzierać ubrania, upaćkać błotem twarze, porobić niektórym zadrapania

i drobne rany na odsłoniętych częściach ciała, tak żeby były widoczne na pierwszy rzut oka.

– Swietłana, pójdziesz na pierwszy ogień – powiedział dowódca. Pawinicz dzielnie podniosła głowę i kiwnęła na tak. Riebrow zdecydowanym ruchem rozdarł jej sweter, na tyle żeby było widać stanik, i walnął ją bez uprzedzenia pięścią pod oko. Dziewczyna upadła na ziemię zszokowana, mimo że uderzenie tak naprawdę nie było silne. Wstrząśnięci zachowaniem dowódcy żołnierze rzucili się jej na pomoc, ale Swoboda z Awinowem powstrzymali zdecydowanie swoich podkomendnych.

Riebrow pomógł wstać szeregowej.

– Wybacz, towarzyszeko Pawinicz, ale nie mam niestety żadnych farbek do makijażu scenicznego. Siniak musi wyglądać autentycznie.

Amerykański kapitan wpatrywał się w ten siniak pod okiem i wzbierała w nim potworna złość na kogoś, kto mógł tak potraktować to wspaniałe, kruche i niewinne stworzenie. Całkowicie utonął w głębi jej niebieskich oczu, opierających się z trudem dramatycznie wzbierającej fali łez. Kobieta drżała na całym ciele, ni to z zimna, ni to ze strachu, i z trudem dobywała słowa. Prawą ręką próbowała zaciągnąć rozdarte ubranie, bezskutecznie chcąc zasłonić czarny stanik.

Amerykanin krzyknął do kolegów, żeby znaleźli medyka, i obejmując ją, delikatnie posadził na ziemi.

W tym momencie zauważył podążającą za Swietłaną grupę obszarpańców i natychmiast zrobił się czujny, ściągnął karabin z ramion i wycelował w nich.

– Stać! – krzyknął, a ci posłusznie stanęli, podnosząc ręce.

– Nie, panie pułkowniku – wyjęczała Swietłana. Chciała udąć przerażenie, ale wcale nie musiała, ponieważ naprawdę była cholernie przestraszona. Chwyliła kapitana za mundur. – To moi koledzy z muzeum. Porwali nas bandyci.

Kapitan trochę zmiękł, ale nie opuścił karabinu, szybko zaczęli dołączać do niego koledzy z oddziału, również uzbrojeni i czujni.

– Trzymać ręce w górze! – krzyknął w ich stronę Amerykanin. – Kim jesteście?

To był sygnał do rozpoczęcia właściwej szopki. Wszyscy zaczęli biadolić

i przekrzykiwać się po niemiecku. Motywem przewodnim tej paplaniny było parę słów zrozumiałych dla każdego na całym świecie: *Banditen!*, *Museum!*, *Arbeit!*, *Anschluss!* I w końcu angielskie *Help!* Kapitan co prawda spuścił lufę i zarzucił sobie karabin na ramię, ale jego koledzy wciąż stali w gotowości bojowej.

– Kto tu dowodzi? – spytał.

Swietłana zatrzepotała ze zdziwieniem długimi rzęsami.

– Dowodzi? Ależ, panie pułkowniku – udała lekkie oburzenie – my zajmujemy się zabytkami, a nie walką. Wszyscy jesteśmy częścią jednego zespołu międzynarodowych wybitnych...

Kapitan podniósł ręce zrezygnowany.

– Okej, okej – przerwał jej. – Czy wśród tych wybitnych jest jakiś kierownik?

Z grupy zmiętych, wymęczonych postaci wyszedł niepewnie Targaj Ettuwiewicz Gyrgołtagin. Wyglądał koszmarnie, ponieważ Riebrov porządnie obił mu głowę i dorzucił parę siniaków na plecach. Oczy miał podbite, co prawda z rozdartej wargi nie lała się krew, ale jej zaschnięte resztki pozostały w kącikach ust, a na czole niczym właśnie rodzący się róg widniał wielki guz, tuż obok świeżych rozcięć. Zwrócił się do Amerykanina doskonałą angielszczyzną z lekkim śpiewnym akcentem niewiadomego pochodzenia.

– Wygląda na to, że jestem nim ja, panie pułkowniku. – Podszedł bliżej, wciąż trzymając niepewnie ręce w górze. – Docent doktor Matti Nieminen z uniwersytetu w Turku.

Kapitan wciąż uważnie przyglądał się grupie, a Czuczka kontynuował, zaśpiewując w stylu fińskim, tyle że po angielsku:

– Jesteśmy pracownikami muzeum w Kassel. Pracujemy na kontraktach przy konserwacji zbiorów w tutejszych muzeach. Dziś rano otrzymaliśmy zadanie ewakuacji zbiorów, jak najbezpieczniej i jak najszybciej. Nie zdążyliśmy, ponieważ grupa radzieckich agentów porwała nas jako zakładników.

Kapitan cały czas nie był przekonany do ich wersji.

– Grupa radzieckich agentów, he? A skąd niby wiedzieliście, że to radzieccy agenci?

Wtedy odezwał się Riebrow. Mówił po angielsku z silnym rosyjskim akcentem.

– Jestem Ukraińcem. W czterdziestym czwartym wraz z rodziną tak jak wielu z nas uciekłem przed Armią Czerwoną na Zachód. Mieszkam i pracuję w Kassel od dwudziestu lat. Jednak doskonale znam rosyjski i rozumiem, co te bydlaki mówiły.

Kapitan cofnął się o krok, a Swoboda zrozumiał, że te wyjaśnienia nie tylko nie uspokoiły podejrzliwego Amerykanina, ale na odwrót – znów zasiały w nim wątplenie. Może zastanowiło go, że mieli gotową wyczerpującą odpowiedź na każde zadawane pytanie, a może po prostu z zasady nie ufał ludziom ze Wschodu.

– A skąd w takim razie mam wiedzieć, że to nie wy...

– Na miłość boską, pułkowniku! – Helga nie wytrzymała, załamując ręce w błagalnym geście. Ona z kolei mówiła po angielsku z bardzo silnym niemieckim akcentem. Swoboda zrozumiał, że właśnie wyciągali ostatniego asa z rękawa i więcej ich nie mieli.

Niemka upadła na kolana w bezgłośnym szlochu. Zdumiony kapitan bez słowa przyglądał się temu spektaklowi.

– Porwali nas, bili, docenta doktora Nieminena nawet torturowali, a magister Schuman – wskazała dramatycznie na Swietę – próbowali nawet...

Nie skończyła, tak jakby ostatnie słowo nie mogło jej przejść przez gardło, i załkała. Białorusinka również zaczęła bezgłośnie płakać w udawanej bezsilności, pozwalając, by jedna pierś w czarnym nieprzeźroczystym staniku lekko wysunęła się spod podartego swetra, dając jednoznacznie żołnierzowi do zrozumienia, co Helga miała na myśli.

„Kurwa, ale duet!” – pomyślał Swoboda i wymienił ukradkiem pełne podziwu spojrzenie z Awinowem. Ten korzystał z okazji i gapił się beczelnie na piersi Swietłany. „O cholera! Kretyn całkiem zawali nam plan”. Na szczęście nikt nic nie zauważył, a Awinow zdołał się opanować.

– *Fuck!* – stwierdził w końcu kapitan.

Kazał swoim ludziom opuścić broń i sprawdzić dokumenty grupy. Zawołał też medyków, żeby zajęli się „pobitymi” i „wstrząśniętymi” żołnierzami GROZB-y. Wyjaśnił im również, że nie jest żadnym pułkownikiem, tylko kapitanem dowódcą

oddziału rozpoznania US Army. W pewnej chwili zatrzymał się jednak i zwrócił do „kierownika”:

– A jak udało wam się uciec?

Swoboda poczuł, jak do gardła podchodzi mu poranne śniadanie. Strach. To był w sumie najsłabszy punkt tego planu. Wymyślili go naprędce i żadna z omówionych wcześniej przyczyn nie była w pełni satysfakcjonująca.

Gyrgołtagin przełknął ślinę i zaczął wyjaśniać:

– Potrzebowali nas tylko jako zakładników, żeby wydostać się z muzeum. Znaleźli najpewniej to, czego szukali. Choć potem bili mnie, żeby się dowiedzieć, gdzie są ukryte klejnoty z kolekcji...

– Co znaleźli? – przerwał mu wyraźnie zainteresowany kapitan.

– Nie wiemy, ale mówili coś o jakimś obrazie – włączył się Riebrow. – Najcenniejszy w kolekcji jest Dürer, więc zapewne o niego chodziło, ale mogę się mylić, ponieważ nazwa nie padła.

– Więzili nas w ruinach przy Herkulesie. Udało nam się uciec, bo nie mogli walczyć na dwa fronty.

Kapitan spojrzał na nich zdziwiony.

– Na dwa fronty?

– No tak – Gyrgołtagin udawał niepewność. – Dopadła ich pogoń i szykują się do ataku. Kiedy bandyci zaczęli się ustawiać do walki, wzięliśmy nogi za pas, ale dwoje naszych kolegów, doktor Schwarzman i magister Dubois, zginęło w czasie ucieczki...

Tej wersji nie było w planach i Swoboda podziwiał swoich ludzi, którzy natychmiast jak jeden mąż spuścili wzrok i udawali głęboki smutek w efekcie improwizacji Czukczy.

– Ale... – zaczął kapitan zupełnie nieprzekonany i skulił się instynktownie. Od strony zamku zaczęła się właśnie kanonada.

Swoboda jeszcze do niedawna zastanawiał się, po jaką cholerę tak naprawdę ściągnęli jego rodaków do ratowania swoich tyłków i zostawili ich najpewniej na

śmierć. Teraz zrozumiał. W momencie, w którym kończyły się asy w rękawie, do akcji wszedł joker – pluton Pierwszego Batalionu Szturmowego.

– Jasna cholera! – krzyknął kapitan, a za jego plecami zaczął się chaos. Ktoś przybiegł od strony zamku.

– Panie kapitanie, Sowieci atakują, meldunek radiowy ze sztabu, proszę za mną.

Kapitan w końcu dał spokój podejrzeniom i zwrócił się do Czuczcy.

– Dobra – powiedział nerwowo – moi ludzie was opatrzą, nakarmią. Proszę czekać na nasz powrót, przekażę was do sztabu, tam będą wiedzieli, co z wami zrobić.

Gyrgołtagin zaprotestował:

– Panie kapitanie, to niemożliwe. Musimy się dostać jak najszybciej na lotnisko. To właśnie wasz sztab zaproponował nam ewakuację z Kassel i za godzinę miał czekać na nas amerykański samolot. Proszę sprawdzić.

To było ryzykowne. Choć rzeczywiście samolot amerykański zapewne po nich leciał, w sztabie nic o tym nie wiedzieli. Targaj liczył jednak na to, że w ferworze przygotowań do walki kapitan nie będzie miał głowy do sprawdzania ich wersji w sztabie. I miał rację. Kapitan co prawda tęsknie spojrział na Swietlanę, gotów zaopiekować się nią jeszcze po powrocie, a ta nie ułatwiła mu zadania swoim wdzięcznym, smutnym uśmiechem, zmieniającym najtwardsze serca w pulchną, rozmiękczoną uczuciem papkę. Przeważył jednak jego profesjonalizm i prosta kalkulacja: po cholere mi ta grupa cywilów w środku walki, skoro sztab już się nimi zajął?

Pospiesznie ich opatrzone i wsadzono do dwóch jeepów. Dostali od Amerykanów prowiant, który w drodze zjedli. Trochę sucharów i suszone mięso wystarczyło, żeby zaspokoić głód choć na trochę.

Na lotnisku panował niesamowity chaos. Bardzo wielu ludzi próbowało się wydostać z Kassel, a w większości byli to obcokrajowcy. Całkiem szybko rozchodziła się informacja, że Niemcy są obiektem ataku wojsk UW, dlatego kto mógł, ten starał się uciec jak najdalej od nadchodzącego koszmaru wojny.

Samolot już na nich czekał, a przemiła Ursula Meyer – jak informowała

plakietka przypięta do jej śnieżnobiałej koszuli – z obsługi lotniska bez zbędnych ceregieli poprowadziła ich na płytę lotniska. Głównym zadaniem Ursuli Meyer na dziś, podobnie jak reszty pracowników, było udroźnienie lotniczego ruchu i wysłanie w dal jak największej liczby maszyn.

Wystartowali i szybko się wznosili. W dali zobaczyli sunące w stronę miasta amerykańskie oddziały. Swobodzie zrobiło się niedobrze. Spojrzał na dowódcę, który mimo że siedział daleko, wyczuł jego niewesoły nastrój.

– Ci z Pierwszego Batalionu nie mają szans. Nie wyjdą z tego żywi! – krzyknął do Riebrowa. Ten pokręcił skupioną głową i poszedł do kokpitu lotników.

– Towarzyszu kapitanie, czy nasi są gdzieś w pobliżu? Mam na myśli nasze orły. Na dole dużo kapitalistycznego wojska i można by im dać do wiwatu.

Lotnik roześmiał się z aprobatą.

– Taaa. Trochę tu naszych lata, zaraz się dowiem, czy nie szukają jakiejś zwierzyny.

Riebrow wrócił na miejsce, by ujrzeć, jak porucznik Damdin Nyamdorj wyciąga spod swetra na plecach tubę i delikatnie wyjmuje cenny obraz. Portret Elsbeth Tucher Dürera. Mongoł skrzywił się lekko.

– I to ma być ten skarb? – sarknął. – Tylu ludzi zginęło za ten jeden świstek pomalowanego płótna?

Riebrow westchnął i zwrócił się do Helgi:

– Towarzyszka zapomniała oddać mi resztę.

Jaeshke zamarła, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi, i dopiero po chwili dotarło do niej, że nie oddała dowódcy zwitka niemieckich banknotów. Pospieszenie zaczęła przetrząsać kieszenie i wreszcie go znalazła.

– Proszę o wybaczenie, majorze, w ferworze...

– *Da, da* – przerwał jej niedbale i zaczął grzebać w banknotach. Wyciągnął ten, którego szukał, i pokazał go wszystkim. – Sam obraz na pewno jest cenny, ale dla nas skarbem nie jest. Natomiast kluczem do prawdziwego skarbu już tak.

Ujrzeni banknot dwudziestomarkowy. Widniał na nim obraz kobiety, ten sam,

który Nyamdorj właśnie z powrotem chował do tuby.

Drzwi od kokpitu się uchylły i wychynął z nich kapitan. Pokazał im uniesiony kciuk.

– Odsiecz w drodze – szepnął Swoboda.

Wszystkim zrobiło się lżej na duchu.

Smutna była jedynie Swietłana. Ogień radzieckiej rewolucji zapewne zmiecie z powierzchni ziemi tego młodziutkiego, miłego amerykańskiego kapitana, który tak ładnie się do niej uśmiechał.



Rozdział 28

6 czerwca, godzina 15.30, Londyn

– To, co zrobiliście oboje, było szalenie nierozsądne. – Danica przestała się uśmiechać, ale zachowała pogodny ton. – Prowokowałeś mnie, John, prowokowałeś Briggsa. A potem twoja żona mnie śledziła. I jeszcze zadzwoniliście do księgarni ze swojego prywatnego numeru...

To, musiał przyznać, rzeczywiście było głupie.

– Rozumiem, że chciałeś wymusić jakąś reakcję. Ale nie przewidziałeś jej efektów.

– Będziesz dalej wygłaszać przemówienie czarnego charakteru z kiepskiego kryminału czy przejdziemy do rzeczy? – zapytała Anna.

– Rzeczywiście, bez sensu całe to moje gadanie – zgodziła się Danica. – Co chcesz zrobić, John? Masz dla mnie jakąś propozycję?

– Nie zabijesz nas.

– Tu na pewno nie. Szum byłby zbyt duży, a ty podrzuciłeś Briggsowi mój trop. Bo to, że jest amerykańskim szpiegiem, to twój wymysł, prawda?

Skinął powoli głową. W myślach odliczał minuty.

– A przez chwilę uwierzyłam. Nie, John, nie zabijemy was tutaj. Ale możecie mieć na przykład wypadek samochodowy. Albo może nastąpić wybuch gazu... Tyle jest możliwości. A jedna z nich jest taka, że nikt nie musi ginąć.

– Kontynuuj.

– Jesteś Polakiem, John... Janie. Co takiego zrobili dla ciebie Anglicy? Podczas wojny zrzucili cię do Paryża, żebyś wykradł dla nich plany. Potem powtórzyli tę akcję w Warszawie, obiecując ci, że wyślą polskich spadochroniarzy, jak tylko

wybuchnie tam powstanie. Zamiast tego wysłali ich do Holandii, żeby Niemcy ich dosłownie rozstrzelali. A kiedy ty walczyłeś w powstaniu, oni dogadywali się ze Stalinem, do którego łagru cię zesłać. Ale ty uciekłeś. I przyjechałeś tu, żeby zobaczyć, jak odmawiają wam udziału w defiladzie zwycięstwa, a waszych generałów zmuszają do pracy jako mechaników samochodowych i barmanów w podrzędnych knajpach, bo nie dali choćby emerytury ludziom, którzy odbijali dla nich Europę. Czy tak było?

– Nadal nie rozumiem, czemu mi to opowiadasz.

– Bo w przeciwieństwie do tysięcy swoich rodaków ty zmądrzałeś. Ożeniłeś się z angielską dziewczyną, zmieniłeś imię i nazwisko na brytyjskie i nawet zrobiłeś coś w rodzaju kariery. Łazisz czasem do knajp dla uchodźców, żeby poczuć, jak bardzo nienawidzisz Anglików, ale na co dzień jesteś mądrym facetem. Raz zmieniłeś piórka, możesz to zrobić ponownie. Imperium zdycha, już zdechło, tylko o tym nie wie. Pracuj dla lepszych.

– A lepsi to...?

– Ja oczywiście. CIA.

– Jesteś pewna, że nie Tito?

– Josip to był piękny sen młodej dziewczyny. Miałam wtedy szesnaście lat. Dojrzałam, John, jak i ty dojrzałeś.

– I co byśmy mieli robić?

– To samo co teraz, tylko to ja byłabym szefem. Wiedziałyś więcej, mógłbyś więcej i zarabiałbyś więcej. Jedno imperium upada, drugie rośnie. Co ty na to?

– To kusząca propozycja. Ale chyba podziękuję.

– Zatem wybuch gazu – powiedziała ze smutkiem. – Szkoda. Ale najpierw będziemy musieli was trochę przesłuchać na okoliczność tego, co naprawdę wiecie.

– Chyba jednak nie – powiedział i rzucił się na podłogę, widząc kątem oka, jak „Hydraulik”, niegdysiejszy bosman na niszczycielu, zbliżył się do okna od frontu. Jeden czysty strzał z pistoletu z tłumikiem zrujnował szybę i wyraz twarzy faceta z podbitym okiem, który trzymał na muszce Annę. Ten z rozbitym nosem tylko stęknął, gdy „Mechanik Samochodowy”, stary czołgista od generała Maczka, który

potrzebował chwili, by wejść przez okno sypialni na piętrze, potraktował go ołowianą rurą. Tym samym narzędziem wyłączył z użytku ostatniego z goryli Danicy. Serbka wystrzeliła, ale spanikowana chybiła. Stonebridge, wstając, widział, jak rzuciła się do ucieczki, przemknęła zwinnie pod ramieniem „Mechanika Samochodowego” i wypadła do przedpokoju. Tam zderzyła się ze „Ślusarzem”, który obstawiał drzwi frontowe. Wykazała się refleksem i bezwzględnością, a on nie zachował uwagi. Zapłacił za to zmiażdżonymi kolanem klejnotami.

– Mój Boże, John – westchnęła Anna. – Te wszystkie podsłuchy!

Pan Stefan wpadł do mieszkania tylnymi drzwiami. Oceniał zniszczenia.

– Nie jest źle. Co z tymi łebkami? – Wskazał dwóch nieprzytomnych.

– Na razie niech żyją. Ja biegnę za naszą nową dziewczyną.

– Weź to. – Stefan wcisnął mu w rękę parabelkę. – Bo zdaje się, że dziewczyna zabrała twoją.

Podziękował, wybiegł na zewnątrz. „Hydraulik” wskazał mu ulicę, w którą wbiegła. Pognał więc za nią. Dojrzał uciekającą jakieś pięćdziesiąt metrów przed sobą. Przyspieszył. Na szczęście miał lepsze buty.

Serbka starała się uciekać w coraz węższe uliczki. Gdy zrozumiała, że John powoli, lecz nieubłaganie zmniejsza odległość między nimi, zatrzymała się i odwróciła. Wycelowała powoli, strzeliła.

Zamek beretty szczęknął. I tyle. Żadnego ognia, dymu i wylatującego pocisku.

– Przecież wiedziałem, dokąd idę. – Wycelował do niej z parabelki. – I kto na mnie czeka. Miałem jak głupi zostawić ci naładowaną broń?

– Zabijesz mnie, John?

– Jeśli nie przestaniesz kłamać, to kto wie, może. Ci trzej brysie, których przywlekłś do mojego domu, to zaufani koledzy czy pospolicci bandyci?

– Coś pomiędzy.

– Bardzo będzie ci ich żal?

– John, nie rozumiem...

– Coś wam wyjaśnię, towarzyszeko. Może nie wiemy o was dużo, o ludziach

z KGB, w końcu ukrywacie się przed nami, jak my przed wami. Ale przy całej naszej niewiedzy, kochana, wiemy, że twoja mała księgarenka nie jest kontaktem CIA.

– John. – Danica opuściła broń. Bezużyteczną czy nie, odruchowo wciąż trzymała ją wycelowaną w przeciwnika. – Kim ty właściwie jesteś?

– Major Jan Kowalak – przedstawił się. – GRU, towarzyszeko.

Nie wytrzymała. Gwałtowny spadek napięcia towarzyszącego jej od kilku dni dał o sobie znać. Zwinęła się wóół i śmiała, śmiała, aż zabrakło jej sił. Wtedy usiadła na ziemi. Lufa beretty stuknęła metalicznie o bruk. Stonebridge nie zdołał opanować uśmiechu. Po chwili śmiał się już równie głośno jak kobieta, którą ścigał.

– A Anna? – wykrztusiła Danica, gdy się nieco uspokoiła.

– Ona też. Majorem nie jest, ale w strukturach stoi wyżej.

– O Matko! To kto jest z CIA?

– Moim zdaniem Boman.

– Biedny Alex.

– Cross?

– Któż by inny. Powiedz mi, John. Co my z tym teraz zrobimy?

– Na początek nowej owocnej współpracy opowiesz mi, towarzyszeko, co naprawdę wiesz o Rabusiach Grobów i bombach zaginionych w 1961.

Natychmiast spoważniała.



Epilog

7 czerwca, godzina 21.34, Kaługa

Grigorij Nielubow spoglądał w pełne gwiazd niebo nad Kaługą. Siedział pod drewnianym domem, w którym kiedyś mieszkał sam ojciec radzieckiej kosmonautyki Konstantin Ciołkowski. Naprzeciw domku błękitniała cerkiew, obecnie służąca za siedzibę jednostki, do której Nielubow trafił po tym, jak nakładł po gębie żandarmom i wyleciał z programu kosmicznego.

Przez jakiś czas polatał z innymi chłopakami na myśliwcach, ale że upijał się na ponuro, do tego stanowczo zbyt często, i stamtąd prawie go wywalili. O jego udziale w locie pierwszego człowieka w kosmos nie wspominało w gazetach ani między ludźmi. Świat uparł się zapomnieć o Nielubowie.

Tak jak to sobie zaplanowali z Siewierinem. Niedługo po tym, jak Gagarin nie tylko szczęśliwie poleciał w kosmos, ale i z niego wrócił, a Nielubow uświadomił sobie, że miejsce w historii, które mógł zdobyć, jest już zajęte. Wysłuchał więc propozycji Siewierina, nie uwierzył w nią, ale poprosił o czas na zastanowienie.

Ścisłe tajna jednostka, w której najlepsi piloci mogliby dokonywać prawdziwych, choć supertajnych cudów. Gagarina tam nie przyjmą, bo jest zbyt sławny, ale ktoś taki jak Nielubow mógłby wiele osiągnąć. Pod warunkiem że by zniknął. Nie przypadkiem i tajemniczo, ale oficjalnie, by wszystko miało swoje odbicie w dokumentach, a imperialistyczni szpiedzy nie mogli się połapać.

Na przykład gdyby się stoczył przez to, że Gagarin wyprzedził go w wyścigu w kosmos.

Myślał nad tym całą noc. Gryzł się, wahał. A raniem zgłosił się do Siewierina i powiedział, że tak, w porządku, stoczy się, jeśli taka wola partii. Będzie chłwał ku

chwale ojczyzny i komunizmu.

„Zuch!” – oznajmił pułkownik i w nagrodę pozwolił mu nakłaść żandarmom po gębach.

Od trzech miesięcy oblatywał różne wersje odrzutowych myśliwców, przeleciał się parę razy jakiem-36 i bawił się przy tym doskonale, ale wciąż nie wiedział, jaka ma być jego prawdziwa rola. Oblatywaczem był już wcześniej i wszystkie te maszyny znał, nawet jeśli różniły się czasem kilkoma szczegółami.

A teraz, nieprzyzwoicie trzeźwiuteńki, siedział Nielubow przed domem Ciołkowskiego i gapił się w gwiazdy, które wydały mu się odległe jak nigdy dotąd, i zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Obrócił w dłoni odznakę: czerwoną gwiazdę w srebrnym kręgu, z sierpem i młotem, jak trzeba, ale z dziwną plamą pośrodku. Jakby niedźwiedziem, ale niewyraźnym.

Teraz już wiedział na pewno, że to niedźwiedź. Takiego samego miał wytatuowanego na lewym ramieniu.

„Dziewczyny będą od tego uciekać” – zażartował do tatuażysty, małego pomarszczonego typu o skośnych oczach i prawie brązowej gębie. Ten jednak albo nie lubił gadać przy robocie, albo może wcale nie rozumiał po rosyjsku.

Nie uciekały. Pewnie dlatego, że jedyną dziewczyną, z jaką wolno było Nielubowowi rozmawiać, była lekarka Tatiana Gorczyszewa, wiecznie niezadowolona, zła i w dodatku niezbyt ładna.

„Uśmiechnęłyby się towarzyszka” – kusił ją Nielubow. „Od uśmiechu kobiety pięknieją”, a ona wbijała mu igłę tak, żeby bardziej bolało. Taki los.

Drewno zatrzeszczało, gdy Siewierin usiadł obok na ławeczce.

– Jeszcze do nich polecisz – odgadł myśli podkomendnego. – Ale najpierw czeka cię inne latanie.

– Tym tajnym cudem?

– Już jutro.

– Nareszcie!

– I ja się cieszę, że wreszcie zaczniemy. Wiesz, że imperialiści nas zaatakowali?

– Pierwsze słyszę! Kiedy?

– Najpierw trzy lata temu, ale wtedy udało nam się uniknąć wojny. A ostatnio prawie tydzień temu.

– I nic nie wiem?

– Czasami lepiej nie wiedzieć. Nasza ojczyzna to kraj tajemnic. Na przykład to piękne miasto, spod którego zawrócili i Napoleon, i Hitler, chociaż obaj pożądali jego skarbów. Ile ono kryje sekretów! Zbudowano je na miejscu upadku meteoru, który uderzył w ziemię miliony lat temu. Tutaj zsyłał zesłańców Iwan Groźny, a jego oprycznicy szukali tu potem schronienia, gdy odwróciła się łaska pańska...

– Oprycznicy?

– Takie KGB cara. Tylko nieudane, bo przegrało. A potem zamieszkał w Kałudze sam Ciołkowski. A na przykład, jak wiesz, dwadzieścia kilometrów stąd zawsze wisi na niebie chmura. Od lat nie znika, choć przybiera różne kształty i barwy. I też nikt nie wie, czemu tak się dzieje. Widzisz, Grigoriju, jedno miasto, a tyle niezwykłych tajemnic, których nawet nie trzeba trzymać w sekrecie, bo mało kto o nich pamięta. Bo o pewnych rzeczach wiedzieć nie trzeba.

– Ale o wojnie bym raczej chciał wiedzieć. Nie trzeba walczyć? Bronić Związku Radzieckiego?

– O to się nie martw. Po pierwsze, nasza ojczyzna tak się przygotowała, że to faszyści czmychają przed nami. Nie powtórzyliśmy błędów czterdziestego pierwszego. A po drugie, Grisza, ty i tak bronisz ojczyzny. Jesteś na pierwszej linii najważniejszego frontu. Jutro zrozumiesz. A teraz idź spać, nie możesz być zmęczony.

Oniemiały Nielubow posłuchał, ale zasnąć było mu trudno. A gdy wreszcie zapadł w sen, śnili mu się siepacze Iwana Groźnego ścigający Napoleona, który zmieniał się zaraz w Hitlera. A wszystko to działo się wśród gwiazd.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, wsadzono go w samochód i zawieziono na lotnisko, gdzie już czekał na niego Siewierin. Zaprowadził niedoszłego kosmonautę do hangaru, gdzie stał cud.

– Nazywa się Suchoj, Su-24 – pułkownik przedstawił pilotowi jego nową

maszynę. – Oficjalnie go jeszcze nie ma, nawet nie zaczęto go oblatywać. Będzie naszym samolotem szturmowym, zdolnym przenosić broń jądrową. A myśmy tutaj go jeszcze, po naszymu, ulepszyli. Cacko, prawda?

– Piękny! – szepnął Nielubow, nie mogąc się nadziwić urodzie samolotu, który nie przypominał żadnego tych, na jakich dotąd latał. Oto dziób miał ostry, drapieżny, skrzydła rozłożone po skosie... A na ogonie zamiast zwykłej gwiazdy wymalowano taką, jaką Nielubow nosił teraz na piersi.

Przebrano go w kombinezon przypominający skafander kosmiczny. Gdy zapytał o powód takiego przygotowania, usłyszał, że poleci wysoko.

A potem, nareszcie, wystartował.

Ależ ta maszyna rwała się do lotu! Może nawet za bardzo, w rękach mniej doświadczonego pilota mogłaby ponieść lotnika i zafundować mu widowiskową śmierć.

– Spokojnie – nadawał przez radio Siewierin. – Nie szalej.

Ale jak tu nie szaleć, gdy sama maszyna jest szalona! No dobrze. Wyrównał lot. Sprawdził, jak samolot reaguje na lekkie przechyły skrzydeł, a potem wyskoczył niespodziewanie ku górze.

– Dobrze – pochwalił go pułkownik. – Teraz leć na północny wschód. Pamiętasz o chmurze, o której ci wczoraj mówiłem? Kieruj się na nią.

Nielubow śmignął nad Oką. Wieczną chmurę, o której mówił mu Siewierin, odnalazł prędko, słyszał o niej już wcześniej.

– Jak będziesz blisko, zadrzyj dziób i rwij najwyżej, jak możesz. I nie martw się, ten samolot zniesie więcej niż inne.

„Oblatywacze się nie martwią” – chciał mu odpowiedzieć Nielubow. „My jesteśmy takimi żywymi trupami. Każdy z nas wie, że zginie w rozbłysku i wybuchu. Czas na ziemi kradniemy kosztuje”.

Ale nie powiedział nic, tylko zadarł dziób.

– Przystaniesz, jak powiem – zarządził Siewierin.

Więc Nielubow nie zmieniał kursu, choć serce wyrywało mu się z piersi, a mózg

podpowiadał, że takie rzeczy są niemożliwe, niewykonalne i że chyba chcą go zabić ci na dole. Ale przecież z drugiej strony to samo serce i ten sam umysł cieszyły się, że robi coś tak szalonego, czego żaden człowiek jeszcze nie dokonał.

I wtedy tam, wysoko, osłonięte chmurą, której na takiej wysokości być nie powinno, zobaczył je. Długie, ciemne kształty zawieszane nad ziemią niczym groźna drapieżna ławica.

– Co to jest? – jęknął, bo tylko na jęk było go stać.

– Widzisz je? Wyrównaj. Okrąż. Przypatrz się im dobrze.

– Ale co to jest?

– Przecież wiesz.

– Rakiety, towarzyszu pułkowniku. Chyba... Ponad dwadzieścia!

– Dwadzieścia trzy. Dwadzieścia trzy pociski balistyczne, które imperialistyczni mordercy wystrzelili na nas w sześćdziesiątym pierwszym. Prawie wszystkie są tu.

– Prawie?

– Jeden, niestety, spadł. Napatrzyłeś się na nie, Grisza? To wracaj do domu.

Długo po wylądowaniu Nielubow się nie odzywał. Najchętniej napiłby się teraz mocnego alkoholu, ale to akurat było zabronione. Siedział więc, milczał i gapił się na Siewierina i na siedzącą obok niego Gorcyszewą, po raz pierwszy wyglądającą, jakby się uśmiechała.

– Jak to: jedna spadła? – zapytał wreszcie.

– Nie upilnowaliśmy. Osłona okazała się nie dość szczelna.

– I nikt o tym nie wie?

– Na szczęście rąbnęła daleko na Syberii. No i to przecież Związek Radziecki, towarzyszu. My tutaj wiemy, jak obchodzić się z tajemnicami.

Teraz lekarka uśmiechnęła się naprawdę szeroko, a Nielubow zrozumiał, że istnieją takie uśmiechy, które wcale nie dodają kobietom urody.

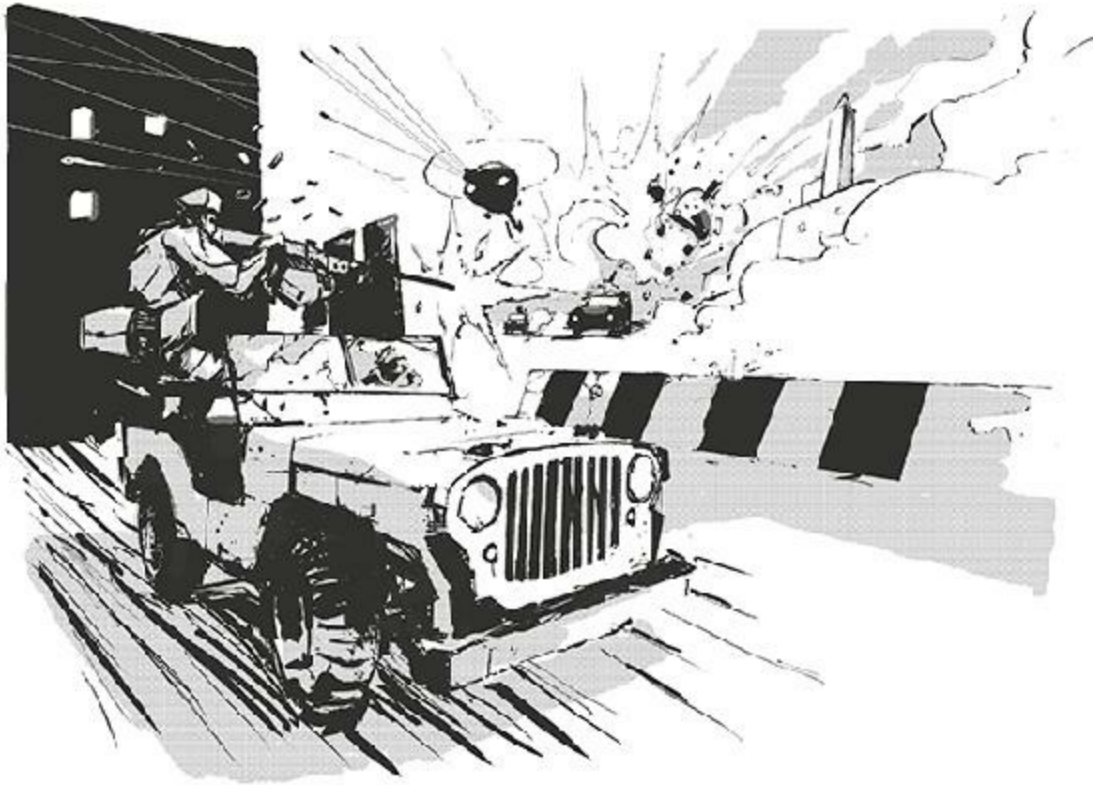
– Nadal nie rozumiem – bąknął.

– Trzy lata temu nie byliśmy gotowi i faszyci narobili nam trochę szkód. Ale to się zmieniło, Grisza. Teraz już umiemy więcej. Żadna atomówka więcej nie spadnie

ani na nas, ani na naszych sojuszników. To zupełnie inny rodzaj wojny niż ten, który świat znał dotąd, Grisza. I my ją wygramy. Pokaż mu, Tatiana.

I Tatiana pokazała Nielubowowi, jak można zmienić losy świata. Uśmiechając się niby to zalotnie, niby to ironicznie, zdjęła jednym płynnym ruchem biały lekarski fartuch, rozpięła guzik łososiowej bluzki i drugi; rozbierała się, odsłaniając coraz więcej ciała.

Nawet nie zdążyła zsunąć ramiączka halki, gdy Nielubow, pilot oblatywacz tańczący w niebiosach ze śmiercią za pan brat, zaczął krzyczeć.





Postówie

To wszystko (prawie wszystko) nigdy się na szczęście nie wydarzyło. Niemniej trzecia wojna światowa wisiała kilkakrotnie na włosku, a opisywane w prologu wydarzenia rzeczywiście miały miejsce. Istniał także 1 Batalion Szturmowy, choć wszyscy służący w nim bohaterowie powieści zostali wymyśleni (jedyną autentyczną postacią jest pojawiający się na chwilę dowódca, major Czesław Mitkowski). Wyglądająca zaś na nieprawdopodobną sytuacja z prologu wzorowana jest na rzeczywistych wydarzeniach.

To niejedyny taki przypadek. Pewną regułą jest, że najdziwniejsze rzeczy okazują się zwykle prawdziwe. Podczas drugiej wojny światowej Niemcy rzeczywiście korzystali z pomocy astrologów i jasnowidzów. Ich śladem poszli Brytyjczycy, którzy... zatrudnili w wywiadzie astrologów, by ci przewidywali, co podpowiedzą Hitlerowi astrologowie niemieccy. W USA naprawdę powstało Stowarzyszenie Antropologii Stosowanej, a jego członkowie, w tym występujące w powieści światowej sławy antropolożki Margaret Mead i Rhoda Métraux, pracowali dla amerykańskiego wywiadu. Z kolei choć przedstawiony w powieści stan wywiadu brytyjskiego może się wydawać karykaturalny, wszystkie jego opisane wpadki miały miejsce i dziś Anglicy sami przyznają, że byli zinfiltrowani przez służby wywiadowcze Układu Warszawskiego w zatrważającym stopniu.

Pewne rzeczy w powieści uprościliśmy, pewne udramatyzowaliśmy. Dla przykładu: brytyjscy agenci śmieją się z Bonda, a potem zachowują tak jak on. Takie są reguły powieści sensacyjnej, przyjęliśmy je z pokorą.

Korzystaliśmy z tak wielu źródeł, że trudno byłoby je tu wymieniwać, jednak powieść oddana w ręce Czytelnika jest pełnokrwistą przygodówką fantastyczną, a nie monografią historyczną, dlatego pozwoliliśmy sobie na drobne nieścisłości

w faktach. Staraliśmy się przy tym, by były one wytłumaczone racjonalnie, i tak na przykład użycie nowego helikoptera Mi-2 półtora roku przed jego oficjalnym wprowadzeniem do produkcji w Polsce mogło naszym zdaniem mieć miejsce w związku z planowaną wojną. Podobnie z nadzwyczajnymi zjazdami KC PZPR, których nie było.

Pragniemy podziękować wszystkim osobom, które wsparły nas w trakcie zbierania materiałów do powieści oraz jej pisania. Dziękujemy też naszym rodzinom, które nie tylko nas wspierały, ale musiały nieraz wytrzymać wloty i upadki autora w procesie twórczym.

Projekt okładki
Sebastian Komorowski

Ilustracja na okładce
Mariusz Kozik

Opieka redakcyjna
Robert Medina

Redakcja
Robert Medina
Maciej Gablankowski

Adiustacja
Witold Kowalczyk

Korekta
Joanna Kłos
Aneta Iwan

Copyright © by Paweł Majka, Radosław Rusak
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-240-5772-6

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink



Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

CO BY BYŁO, GDYBY W 1964 ROKU WYBUCHŁA TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA?



Trwa zimna wojna. Zachód i Wschód groźnie szczerzą kły. Zastępcze konflikty toczone są na polach bitew w Azji i Afryce. Europa cieszy się względnym pokojem. Tutaj zimna wojna nigdy nie nabrała poważnie niebezpiecznej temperatury.

A gdyby historia potoczyła się inaczej?

Jak wówczas wyglądałaby rzeczywistość, w której „nasi chłopcy”, wyrwani ze swoich domów, ginęliby na froncie?

Czerwone żniwa to osadzona w latach 60. XX wieku, wizja alternatywnej rzeczywistości, w której NATO i Układ Warszawski stają przeciw sobie. Szpieczy obu stron przestają przestrzegać jakichkolwiek zasad, bo reguły diametralnie się zmieniły. Polscy komandosi zostają rzućeni do straceniących ataków w pierwszych dniach walk, a specjalna, głęboko utajniona jednostka dywersyjna UW wyrusza w misję, która może zadecydować o losach wojny. Wojny, która skrywa niejedną tajemnicę. Na przykład tę, dlaczego naprawdę musiała wybuchnąć.

gram.pl

na EKRANIE.PL

Ostatnia
Jawerna

antasta
tworzą nową Antystalię



Katedra
www.katedra.nast.pl

KONFLIKTY.PL

lubimyczytać.pl

FAHRENHEIT
WWW.FAHRENHEIT.NET.PL

dlaStudenta.pl Militaria.pl

DZIKA DANDA
PLACZYŃCIE CWAŁO I ZAŁĄŻY

ENKLAWA
MEMOIR

POLTENGEIST
POLTERR.PL

znak

znak.com.pl
KSIAZKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na
woblink.com

ISBN 978-83-240-5715-3



9 788324 057153 >

Cena 39,90 zł